

Philip K. Dick

Dr. Bluthgeld

(Dr. Bloodmoney)

Przekład : Tomasz Jabłoński

Rozdział pierwszy

Wczesnym, rozświetlonym jasnym słońcem rankiem Stuart McConchie zamiatał chodnik przed sklepem Sprzedaż i Naprawa Nowoczesnych Telewizorów, przysłuchując się silnikom samochodów jadących Shattuck Avenue i stukotowi wysokich obcasów sekretarek spieszących do biur. Wciągał w nozdrza podniecające i przyjemne zapachy rozpoczynającego się tygodnia, który dla dobrego sprzedawcy oznaczał nową sposobność osiągnięcia sukcesów. Rozmyślał o ciepłej bułce i kawie na drugie śniadanie, które jadał około dziesiątej. Rozmyślał również o klientach, których udało mu się namówić, by przyszedli jeszcze raz do ich sklepu, a którzy może zjawia się wszyscy naraz właśnie dzisiaj i sprawią, że książka sprzedaży przepełni się jak biblijna czara.

Zamiatając, śpiewał piosenkę z nowej płyty Buddy'ego Greco i rozmyślał także o tym, jakie to uczucie, kiedy jest się sławnym, znanym na całym świecie piosenkarzem, którego ludzie oglądają za pieniądze w takich miejscach jak na przykład Harrah's w Reno albo w eleganckich, ekskluzywnych klubach w Las Vegas, gdzie nigdy nie był, ale o których wiele słyszał. Miał dwadzieścia sześć lat i czasami w piątkowe wieczory jeździł dziesięciopasmową autostradą z Berkeley do Sacramento i dalej przez góry do Reno, gdzie można było pograć w kasynie i spotkać dziewczyny. Jim Fergesson, właściciel sklepu Sprzedaż i Naprawa Nowoczesnych Telewizorów, płacił mu pensję oraz prowizję, a ponieważ Stuart okazał się dobrym sprzedawcą, zarabiał bardzo dużo. Był rok 1981 i interes się kręcił. Kolejny dobry rok, pomyślny od samego początku dla Ameryki, która stawała się coraz silniejsza i potężniejsza, a jej mieszkańcy mieli coraz więcej pieniędzy.

– Dzień dobry, Stuart. – Przechodzący obok mężczyzna w średnim wieku, jubiler pracujący po drugiej stronie Shattuck Avenue, skinął mu głową. Pan Cody szedł właśnie do swojego małego sklepiku.

Otwierano wszystkie sklepy i biura; było po dziewiątej i nawet doktor Stockstill, psychiatra i specjalista od zaburzeń psychosomatycznych, pojawił się już z kluczem w ręku, żeby rozpocząć kolejny dzień swojej dochodowej praktyki w gabinecie mieszczącym się w przeszklonym budynku, który przedsiębiorstwo ubezpieczeniowe wybudowało za jakiś znikomy ułamek swoich zysków. Doktor Stockstill zostawił swój zagraniczny samochód na parkingu, bo było go stać na płacenie pięciu dolarów dziennie. Potem zjawiała się wysoka, długonoga, atrakcyjna sekretarka doktora, wyższa od niego o głowę. Pierwszy tego dnia świrus, co do tego, oparty na miotle Stuart nie miał wątpliwości, sunął ukradkiem, jakby z poczuciem winy, w kierunku gabinetu psychiatry.

Cały świat jest pełen świrów, myślał Stuart. Psychiatrzy zarabiają masę pieniędzy. Gdybym

musiał kiedyś pójść do psychiatry, to wszedłbym tylnymi drzwiami. Nikt by mnie nie widział i nie mógłby się ze mnie nabijać. Może niektórzy tak właśnie robią, pomyślał, może Stockstill ma tylne wejście dla co bardziej chorych pacjentów, a raczej – poprawił się – dla tych, którzy nie chcą robić z siebie widowiska, to znaczy mają po prostu jakiś problem, na przykład martwią się Akcją Policyjną na Kubie, i nie są nienormalni, tylko zwyczajnie się przejmują.

On sam też się przejmował, ponieważ ciągle jeszcze istniała spora szansa, że zostanie powołany do wojska i weźmie udział w wojnie kubańskiej, która ostatnio ugrzęzła w górskich błotach, mimo użycia nowych, małych bomb przeciwpiechotnych, które trafiały tych żółtych śmierdzieli, choćby nie wiem jak głęboko byli okopani. Stuart nie miał pretensji do prezydenta – to w końcu nie jego wina, że Chińczycy zdecydowali się dotrzymać ustaleń zawartego przez siebie paktu. Chodziło tylko o to, że prawie wszyscy przyjeżdżali stamtąd z wirusowym zakażeniem kości. Trzydziestoletni żołnierz wracający do domu wyglądał jak jakaś mumia wietrząca się od stu lat na świeżym powietrzu... a Stuart McConchie nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby jeszcze raz zacząć od początku, wrócić do zawodu sprzedawcy stereofonicznych telewizorów i kontynuować karierę w handlu detalicznym.

– Dzień dobry, Stu – wyrwał go z zamyślenia dziewczęcy głos. Mała ciemnooka kelnerka z cukierni Edy’ego przeszła obok, posyłając mu uśmiech. – O czym tak marzysz od samego rana?

– O niczym – odpowiedział, zabierając się znów energicznie do zamiatania.

Po drugiej stronie ulicy tajemniczy pacjent doktora Stockstilla – czarnowłosa i czarnooki mężczyzna o jasnej skórze, w zapiętym na wszystkie guziki szerokim, również czarnym jak noc płaszczu – przystanął, żeby zapalić papierosa i rozejrzeć się dookoła. Stuart dostrzegł zapadniętą twarz, patrzące badawczo oczy i usta – przede wszystkim usta – ściągnięte mocno, a mimo to obwisłe, jakby jakieś wewnętrzne napięcie, jakieś ciśnienie dawno już strawiło jego zęby i szczękę. Na twarzy mężczyzny ciągle było widać owo napięcie. Stuart odwrócił wzrok.

Czy tak to właśnie jest? – pomyślał. Kiedy jest się szalonym? Kiedy człowiek wypala się od wewnątrz pożerany przez... nie wiedział przez co. Może przez czas albo przez wodę, przez coś, co działa powoli, lecz nieustannie. Już przedtem zdarzało mu się widywać podobnie zniszczonych ludzi, kiedy obserwował wchodzących i wychodzących pacjentów psychiatry, lecz nigdy dotąd obraz choroby nie był tak tragiczny, tak całkowity.

W sklepie zadzwonił telefon i Stuart odwrócił się, wszedł do środka i podniósł słuchawkę. Kiedy wyjrzał znowu na ulicę, ubranego na czarno mężczyzny już nie było, a dzień znów stawał się jasny, pełen nadziei i zapachu piękna. Stuart wzdrygnął się i wziął do ręki miotłę.

Znam tego człowieka, pomyślał. Chyba widziałem jego zdjęcie albo przyszedł kiedyś do sklepu. To pewnie stary klient, może nawet znajomy Fergessona, albo ktoś bardzo znany.

Pograżony w zadumie, zamiatął dalej chodnik.

– Chce pan filiżankę kawy? – zwrócił się do swojego nowego pacjenta doktor Stockstill. – A może herbatę albo colę? – Spojrzał na wizytówkę, którą panna Purcell położyła na biurku. – Pan Tree – powiedział. – Czy jest pan spokrewniony z tą słynną angielską rodziną pisarzy? Iris Tree, Max Beerbohm...

– Wie pan, to właściwie nie jest moje prawdziwe nazwisko. – W głosie pana Tree wyraźnie było słycać obcy akcent. Wydawało się, że jest zirytowany i zniecierpliwiony. – Przyszło mi ono do głowy, kiedy rozmawiałem z tą pana dziewczyną.

Doktor Stockstill spojrział na niego pytająco.

– Zna mnie cały świat – wyjaśnił pan Tree. – Dziwię się, że pan mnie nie rozpoznał, jest pan pustelnikiem czy jak? – Trzęsąc się ręką przegarnął długie czarne włosy. – Na świecie są tysiące, a może miliony ludzi, którzy mnie nienawidzą i chcieliby mnie zniszczyć. Wobec tego jestem oczywiście zmuszony podejmować odpowiednie działania i musiałem podać panu zmyślane nazwisko. – Chrząknął i szybko zaciągnął się papierosem, którego trzymał tak jak Europejczycy: żarzący się czubek w zwiniętej dłoni nieomal dotykał skóry.

O mój Boże, pomyślał doktor Stockstill. Teraz go poznaję. To Bruno Bluthgeld, ten fizyk. Oczywiście ma rację, wielu ludzi i tutaj, i na Wschodzie miałyby ochotę dostać go w swoje ręce z powodu błędu w obliczeniach, który popełnił w 1972 roku. Z powodu strasznego opadu radioaktywnego po wybuchu w stratosferze, który nie miał nikomu wyrządzić krzywdy. Poczynione przed detonacją obliczenia Bluthgelda dowodziły niezbicie, że nic się nikomu nie stanie.

– Życzy pan sobie, żebym wiedział, kim pan jest? – zapytał doktor Stockstill. – Czy przyjmujemy po prostu, że nazywa się pan Tree? Decyzja należy do pana, mnie to nie sprawia różnicy.

– Przejdźmy po prostu do rzeczy – powiedział pan Tree przez zaciśnięte zęby.

– Dobrze. – Doktor Stockstill rozsiadł się wygodnie i poskrobał końcem pióra po kartce przypiętej do podkładki. – Niech pan mówi.

– Czy to, że ktoś nie może wsiąść do najzwyczajszego autobusu, w którym siedzi kilkanaście nieznajomych osób, byłoby dla pana niepokojącym sygnałem? – Pan Tree uważnie przyglądał się psychiatrze.

– Niewykluczone – odpowiedział lekarz.

– Mam uczucie, że ludzie mi się przyglądają.

– Czy jest jakiś szczególny powód?

– Patrzą na mnie, ponieważ mam zniekształconą twarz.

Doktor Stockstill niemal niezauważalnie podniósł wzrok i przyjrzał się wnikliwie swojemu pacjentowi. Zobaczył mocno zbudowanego, czarnowłosego mężczyznę w średnim wieku. Nie goleny od kilku dni ciemny zarost odznaczał się na tle niezwykle jasnej skóry. Dostrzegł też

wywołane zmęczeniem i napięciem kręgi po oczami i widoczną w tych oczach rozpacz. Fizyk miał zniszczoną cerę, zbyt długie włosy, a wewnętrzna troska szpeciła jego twarz... ale nie było na niej widać żadnych zniekształceń. Poza widocznym napięciem była to całkiem zwyczajna twarz, na którą nikt nie zwróciłby uwagi w tłumie.

Widzi pan te krosty? – zapytał chrapliwym głosem pan Tree. Pokazał palcem na policzki i szczękę. – Te wstrętne znamiona, które sprawiają, że wyglądam inaczej niż wszyscy?

– Nie widzę – odparł szybko Stockstill, wykorzystując okazję, by wejść mu w słowo.

– A jednak je mam – powiedział pan Tree. – Są oczywiście ukryte pod skórą, ale ludzie i tak je zauważają i gapią się na mnie. Nie mogę wsiąść do autobusu ani pójść do restauracji czy do teatru. W San Francisco nie mogę się wybrać ani do opery, ani na balet, ani na koncert orkiestry symfonicznej, ani nawet do nocnego klubu, żeby posłuchać na żywo folka. Jeśli nawet uda mi się dostać do środka, to zaraz i tak muszę wyjść, bo ludzie się na mnie gapią. I robią uwagi.

– Proszę mi powiedzieć, co takiego mówią.

Pan Tree nie odezwał się.

– Jak pan sam powiedział, jest pan człowiekiem znanym na całym świecie: nie sądzi pan, iż to naturalne, że ludzie zaczynają szeptać, kiedy zjawia się pomiędzy nimi ktoś taki? Czy nie przytrafia się to panu już od lat? Jak pan sam wspomniał, powstały różnice zdań dotyczące pańskiej pracy... pewna wrogość, może nawet tu i ówdzie słyszeć obraźliwe uwagi. Jednak każdy, kto jest osobą publiczną...

– Nie w tym rzecz – przerwał mu pan Tree. – Czegoś takiego mogę się spodziewać: pisuję artykuły, pokazuję się w telewizji i zdaję sobie sprawę, wiem, że tak może być. To... o czym mówię, ma związek z moim życiem prywatnym. – Spojrzał na Stockstilla. – Czytają mi w myślach i opowiadają mi z najdrobniejszymi szczegółami zdarzenia z mojego prywatnego życia. Sięgają mi w głąb mózgu.

Paranoia sensitiva, pomyślał Stockstill. Chociaż oczywiście trzeba będzie przeprowadzić testy... przede wszystkim Rorschacha. To może też być zaawansowana ukryta schizofrenia; końcowe stadia trwającej przez całe życie choroby. Albo...

– Niektórzy dostrzegają krosty na mojej twarzy wyraźniej niż inni i potrafią też dokładniej czytać w moich myślach – ciągnął pan Tree. – Zauważyłem, że zdolności ludzi w tym względzie są bardzo różne: jedni są prawie zupełnie nieświadomi, a inni najwyraźniej natychmiast budują sobie pełny obraz mojej odmienności, moich stygmatów. Na przykład kiedy szedłem do pana gabinetu, po drugiej stronie ulicy jakiś Murzyn zamiatał chodnik... nagle przestał pracować i zaczął mi się uważnie przyglądać, chociaż oczywiście był zbyt daleko, żeby powiedzieć mi coś obraźliwego. A jednak zwrócił na mnie uwagę. Zauważyłem, że to typowe dla ludzi z niższych klas. Ci, którzy są wykształceni lub mają jakąś ogładę, nie reagują w ten sposób.

– Zastanawiam się, co to może być – powiedział Stockstill, robiąc notatki.

– Zakładam, że powinien pan wiedzieć, jeżeli w ogóle jest pan osobą kompetentną. Kobieta, która mi pana poleciła, powiedziała, że jest pan wyjątkowo zdolny. – Pan Tree spojrzął na lekarza tak, jakby dotychczas nie dostrzegł u niego śladów tych zdolności.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli udzieli mi pan wstępnych informacji o sobie – powiedział Stockstill. – Rozumiem, że poleciła mnie Bonny Keller. Co tam u niej słyszać? Nie widziałem jej chyba od kwietnia... czy jej mąż przestał już uczyć w tej wiejskiej szkole, jak zamierzał?

– Nie przyszedłem tutaj, żeby rozmawiać o George'u i Bonny Kellerach – odparł pan Tree. – Jestem pod wielką presją, panie doktorze. W każdej chwili może zostać podjęta decyzja, by ostatecznie mnie zniszczyć; te szykany ciągną się już tak długo, że... – Przerwał. – Bonny jest zdania, że jestem chory, a ja mam dla niej wielki szacunek. – Mówił teraz tak cicho, że ledwie go było słyszać. – Więc powiedziałem, że odwiedzę pana przynajmniej raz.

– Kellerowie ciągle mieszkają w West Marin?

Pan Tree skinął głową.

– Stoi tam mój domek letniskowy – powiedział Stockstill. – Mam fioła na punkcie żeglowania i jeżdżę nad zatokę Tomales, kiedy tylko nadarza się okazja. Próbował pan kiedyś żeglować?

– Nie.

– Proszę mi powiedzieć, kiedy i gdzie pan się urodził.

– W 1934 roku w Budapeszcie – powiedział pan Tree.

Zręcznie stawiając pytania, krok po kroku doktor Stockstill zaczął budować szczegółowy zyciorys swojego pacjenta. Była to sprawa podstawowa dla dalszego działania: najpierw należało postawić diagnozę, a potem, jeśli to będzie możliwe, wyleczyć. Analiza musi poprzedzać terapię. Znany na całym świecie człowiek, który uroił sobie, że przyglądają mu się obcy ludzie – jak w tym przypadku można oddzielić rzeczywistość od fantazji? Co przyjąć za granicę, która je rozdziela?

Doktor Stockstill zdał sobie sprawę, że znalezienie tu elementów patologii byłoby proste. Bardzo proste i jednocześnie bardzo kuszące. Ktoś tak bardzo znieawidzony... Zgadza się z nimi, pomyślał, z tymi, o których mówi Bluthgeld, czy może raczej Tree. Ostatecznie sam jestem częścią społeczeństwa, częścią cywilizacji zagrożonej z powodu błędów w obliczeniach, które ten człowiek popełnił z tak imponującą lekkomyślnością. Mogło się tak stać... i jeszcze może się zdarzyć... że moje dzieci zostałyby unicestwione tylko dlatego, że Bluthgeld arogancko sądził, iż nie może się mylić.

Jednak było tu coś jeszcze. Już przedtem Stockstill zauważył, że z tym człowiekiem jest coś nie tak. Kiedy oglądał w telewizji przeprowadzane z nim wywiady, słuchał tego, co mówił, i czytywał jego nieprawdopodobnie antykomunistyczne przemówienia, nasunęła mu się niejasna myśl, że Bluthgeld głęboko nienawidzi ludzi; tak mocno i obsesyjnie, że gdzieś w jego

podświadomości czai się pragnienie, by popełnić błąd, by wystawić życie milionów na niebezpieczeństwo.

Nic dziwnego, że dyrektor FBI, Richard Nixon, tak zdecydowanie występował przeciwko „agresywnym antykomunistom amatorom wśród wybitnych naukowców”. Także Nixon zaniepokoił się na długo przed tragiczną omyłką, do której doszło w 1972 roku. Elementy paranoi, złudnego widzenia nie tylko zakresu swoich kompetencji, ale i swej wielkości były u Bluthgelda oczywiste; Nixon, przenikliwy znawca ludzi, zauważył je, podobnie jak wielu innych. Najwyraźniej wszyscy ci ludzie mieli rację.

– Do Ameryki uciekłem przed komunistycznymi agentami, którzy chcieli mnie zamordować – mówił pan Tree. – Już wtedy chcieli mnie dostać w swoje ręce... no i oczywiście hitlerowcy też. Wszyscy chcieli mnie dostać w swoje ręce.

– Rozumiem – powiedział Stockstill, pisząc coś na kartce.

– Ciągłe jeszcze próbują mnie dopaść, ale w końcu muszą przegrać – ciągnął pan Tree ochryplym głosem, zapalając kolejnego papierosa. – Ponieważ Bóg jest po mojej stronie. On widzi, w jakiej potrzebie się znalazłem, często przemawia do mnie i daje mi mądrość, której potrzebuję, by uciec prześladowcom. Obecnie pracuję w Livermore nad nowym projektem, który powinien ostatecznie rozwiązać problem naszego wroga.

Naszego wroga, pomyślał Stockstill. Kto jest właściwie naszym wrogiem... czy przypadkiem nie pan, panie Tree? Czy to nie pan, który siedzi tutaj i wygaduje jakieś paranoiczne bzdury? Jak w ogóle udało się panu osiągnąć tak wysokie stanowisko? Kto jest odpowiedzialny za oddanie w pańskie ręce władzy nad życiem innych ludzi i kto pozwolił panu zatrzymać tę władzę nawet po katastrofie, do której doszło w 1972 roku? To pan – i oni – jesteście naszymi prawdziwymi wrogami. Potwierdziły się wszystkie nasze obawy co do pana. Jest pan obłąkany, a pana obecność tutaj tego dowodzi.

Czy rzeczywiście? – zastanowił się Stockstill. Nie, to nie tak i powinienem się chyba przyznać, że nie jestem w tym wypadku właściwą osobą na właściwym miejscu; może byłoby to z mojej strony nieetyczne, gdybym próbował się panem zajmować. Biorąc pod uwagę to, co czuję... nie jestem w stanie przyjąć neutralnego, obiektywnego punktu widzenia; nie mogę postępować w sposób prawdziwie naukowy, a więc moja analiza i moja diagnoza mogłyby się okazać błędne.

– Dlaczego pan mi się tak przygląda? – zapytał pan Tree.

– Proszę? – spytał Stockstill.

– Czy zniekształcenia na mojej twarzy budzą w panu odrazę?

– Nie, nie – odparł psychiatra – to nie o to chodzi.

– A więc to moje myśli? Czytał pan w moich myślach i ich odrażający charakter sprawił, że zaczął pan żałować, że przyszedłem do pana po poradę, czy nie tak? – Podniósł się z krzesła

i ruszył szybko w stronę drzwi. – Życzę panu miłego dnia.

– Niech pan zaczeka. – Stockstill ruszył za nim. – Dokończmy przynajmniej sprawę pańskiego życiorysu: ledwo co zaczęliśmy.

Pan Tree przyjrzał mu się uważnie i powiedział:

– Mam zaufanie do Bonny Keller; znam jej przekonania polityczne... ona nie należy do międzynarodowego spisku komunistycznego, który ma na celu zabicie mnie przy pierwszej lepszej nadarzającej się okazji. – Usiadł znowu, teraz bardziej już opanowany, jednak z całej jego postaci emanowała ostrożność. Psychiatra wiedział, że w jego obecności ten człowiek nie pozwoli sobie na moment odprężenia. Nie otworzy się i nie ma co liczyć na jego szczerość. Cały czas będzie podejrzliwy i może właściwie ma rację, pomyślał Stockstill.

Parkując samochód, Jim Fergesson, właściciel Nowoczesnych Telewizorów, zauważył, że jego sprzedawca Stuart McConchie stoi wsparty na miotle i nie zamiata, tylko gapi się, jakby marzył o niebieskich migdałach. Popatrzył w tym samym kierunku i spostrzegł, że Stuart nie przygląda się jakiejś przechodzącej dziewczynie czy niezwykłemu samochodowi – Stu lubił dziewczyny i samochody i w czymś takim nie byłoby nic dziwnego – lecz obserwuje pacjentów wchodzących do gabinetu lekarza po drugiej stronie ulicy. To nie było normalne. Właściwie jaki McConchie może mieć w tym interes?

– Słuchaj no – zawołał Fergesson, idąc szybko w stronę wejścia do sklepu – daj sobie spokój! Może i ty kiedyś zachorujesz i jakbyś się czuł, gdyby jakiś pajac gapił się na ciebie, kiedy idziesz do lekarza po pomoc?

– Po prostu zobaczyłem jakiegoś ważnego faceta, który tam wchodził – odpowiedział Stuart, odwracając głowę – i nie mogę sobie przypomnieć, kto to taki.

– Tylko nerwowo chory przygląda się innym nerwowo chorym – rzekł Fergesson. Wkroczył do sklepu, podszedł do kasy, otworzył szufladę i zaczął wkładać do środka drobne i banknoty na nadchodzący dzień. Poczekaj no tylko, aż zobaczysz, kogo zatrudniłem do naprawy telewizorów, pomyślał. Wtedy dopiero będziesz miał na co popatrzeć.

– Słuchaj, McConchie – powiedział po chwili – pamiętasz tego chłopaka bez rąk i nóg, który przyjeżdża na wózku? Tego fokomelika ze śmiesznymi płetwami, którego matka brała te tabletki na początku lat sześćdziesiątych? No wiesz, tego, co tu się płacze, bo chciałby naprawiać telewizory?

Oparty o miotłę Stuart zapytał:

– Zatrudnił go pan?

– Tak, wczoraj, kiedy wyszedłeś w interesach.

– To niedobrze dla sklepu – powiedział McConchie.

– Dlaczego? Nikt go nie zobaczy, bo będzie pracował na dole w warsztacie. W końcu ktoś musi dać tym ludziom pracę; to nie oni są winni, że nie mają rąk i nóg, tylko Niemcy.

– Najpierw zatrudnił pan mnie, czarnucha, a teraz tę fokę. Trzeba panu przyznać, panie Fergesson, że stara się pan robić dobre uczynki.

– Nie staram się, lecz robię – odparł Fergesson, czując ogarniający go gniew. – Ja nie marzę o niebieskich migdałach, tak jak ty, tylko podejmuję decyzje i działam. – Podszedł do sejfu i otworzył go. – Na imię ma Hoppy. Będzie tutaj jeszcze dziś rano. Przyjrzyj się, jak manipuluje tymi swoimi elektronicznymi rękami: cud techniki.

– Widziałem już – odparł Stuart.

– I co, skreśliło cię?

– To jakieś takie... nienaturalne – powiedział Stuart i machnął ręką.

Fergesson spojrział na niego.

– Słuchaj no, tylko nie próbuj się z tego chłopaka nabijać: jeśli złapię na tym ciebie albo innego sprzedawcę, albo w ogóle kogokolwiek, kto u mnie pracuje...

– W porządku – mruknął Stuart.

– Nudzi ci się – stwierdził Fergesson – a to niedobrze, ponieważ kiedy się nudzisz, nie pracujesz na pełnych obrotach: obijasz się, i to na mój koszt. Gdybyś naprawdę ciężko pracował, nie miałbyś czasu opierać się na miotle i wyśmiewać się z biednych, chorych ludzi, którzy idą do lekarza. Zabraniam ci stać na chodniku; jeśli cię jeszcze raz na tym złapię, to wylecisz z pracy.

– Jezu Chryste, a jak mam wchodzić i wychodzić, żeby coś zjeść? A jak mam w ogóle dostać się do sklepu? Przez ścianę?

– Możesz wchodzić i wychodzić, ale nie wolno ci się kręcić bez sensu – zdecydował Fergesson

– O Jeezu – zaprotestował Stuart McConchie, patrząc na niego jak zbity pies.

Fergesson nie zwracał już jednak uwagi na swojego sprzedawcę: zaczął zapalać światła i włączać telewizory, przygotowując sklep do kolejnego dnia.

Rozdział drugi

Fokomelik Hoppy Harrington zjawiał się w sklepie zwykle koło jedenastej przed południem. Wjeżdżał do środka i zatrzymywał wózek przed ladą, a jeśli Jim Fergesson był akurat w pobliżu, prosił go o pozwolenie zejścia na dół, żeby przyjrzeć się pracy dwóch techników naprawiających telewizory. Kiedy Fergessona nie było, Hoppy rezygnował i po chwili wyjeżdżał ze sklepu, bo wiedział, że sprzedawcy nie pozwolą mu zajrzeć do warsztatu, tylko będą się z niego nabijać i robić głupie uwagi. Harrington jednak o to nie dbał. Przynajmniej tak wydawało się Stuartowi McConchie.

Stuart pomyślał, że właściwie nie rozumie Hoppy'ego – chłopaka o ostro zarysowanej twarzy i bystrym spojrzeniu, mówiącego w szybki, nerwowy sposób, często przechodzący w jąkanie. Nie pojmował jego psychiki. Dlaczego właściwie Hoppy chciał naprawiać telewizory? Co w tym takiego wielkiego? Kiedy się patrzyło, jak ta foka kręci się po sklepie, można było dojść do wniosku, że naprawa telewizorów to najbardziej wzniosłe powołanie. Naprawę zaś była to ciężka, brudna, a na dodatek słabo płatna robota. Mimo to Hoppy był absolutnie zdecydowany, żeby zostać facetem od naprawy telewizorów, co mu się w końcu udało, ponieważ Jim Fergesson postanowił czynić dobro wszystkim mniejszościom na świecie. Fergesson był członkiem Amerykańskiego Związku Swobód Obywatelskich, Narodowego Stowarzyszenia Popierania Kolorowych i Ligi Pomocy Osobom Niepełnosprawnym, która – o ile Stuartowi było wiadomo – stanowiła działające na międzynarodową skalę lobby, powstałe, by zapewnić utrzymanie wszystkim ofiarom nowoczesnej medycyny i nauki, na przykład ogromnej masie poszkodowanych w katastrofie spowodowanej przez Bluthgelda w 1972 roku.

A co w tej sytuacji ze mną? – zadał sobie pytanie Stuart, przeglądając książkę sprzedaży w biurze na piętrze. To znaczy teraz, kiedy tu pracuje ta foka... właściwie sam zaczynam wyglądać na ofiarę promieniowania, tak jakby ciemna skóra była czymś w rodzaju wczesnej formy poparzenia. Zrobiło mu się smutno, kiedy o tym pomyślał.

Dawno, dawno temu, zadumał się, wszyscy ludzie na Ziemi byli biali, aż pewnego dnia, powiedzmy, że było to mniej więcej dziesięć tysięcy lat temu, jakiś dupek zdetonował bombę w stratosferze i niektórzy z nas zostali osmaleni wybuchem, który pozostawił trwałe ślady i zmienił kod genetyczny. No i dzisiaj wyglądamy, tak jak wyglądamy.

Do biura wszedł Jack Lightheiser, który też był sprzedawcą u Fergessona, usiadł przy biurku naprzeciwko Stuarta i zapalił cygaro marki Corona.

– Słyszałem, że Jim zatrudnił tego chłopaka na wózku – powiedział. – Zdajesz sobie oczywiście sprawę, dlaczego to zrobił? Dla rozgłosu. Będzie o tym w gazetach w San Francisco. Jim bardzo lubi, kiedy o nim piszą. To bardzo sprytnie posunięcie, kiedy się nad tym dobrze

zastanowić. Będzie pierwszym właścicielem sklepu po wschodniej stronie zatoki, który zatrudnił foke.

Stuart odchrząknął.

– Jim ma wyidealizowany obraz własnej osoby – ciągnął Lightheiser. – Jest nie tylko kupcem, ale i współczesnym Rzymianinem, człowiekiem myślącym o współobywatelach. Ostatecznie to wykształcony facet: zrobił magisterkę na Uniwersytecie Stanforda.

– Takie rzeczy nie mają w tej chwili znaczenia – odparł Stuart, który sam zdobył w 1975 roku tytuł magistra na uniwersytecie stanowym i prosi, jak daleko zaszedł.

– Ale miały, kiedy Fergesson studiował – powiedział Lightheiser. – Kończył studia w 1947, w ramach programu pomocy dla żołnierzy.

Pod nimi, przy frontowych drzwiach sklepu pojawił się wózek, w którym za pulpitem sterowniczym siedziała szczupła postać. Stuart jęknął. Lightheiser spojrział na niego.

– Co za zmora – odezwał się Stuart.

– Będzie inaczej, kiedy zaczniesz robotę – rzekł Lightheiser. – Ten chłopak nie ma... no, prawie nie ma ciała, ale za to jaki mózg. Potężny umysł, a do tego jest ambitny. Człowieku, on ma dopiero siedemnaście lat, a myśli tylko o tym, żeby rzucić szkołę i zacząć pracować. To godne podziwu.

Przyglądali się obaj siedzącemu w wózku Hoppy'emu, który podjeżdżał właśnie do schodów wiodących w dół do warsztatu naprawy telewizorów.

– Czy chłopaki z dołu już wiedzą? – zapytał Stuart.

– Oczywiście, Jim powiedział im wczoraj wieczorem. Wiesz, jacy są technicy, mają stoicki spokój. Pomarudzili trochę, ale to nie ma znaczenia, w końcu i tak cały czas marudzą.

Hoppy usłyszał głos sprzedawcy i gwałtownie podniósł głowę. Spojrzeli w jego chudą, bladą twarz, w której jaśniały oczy.

– Czy jest pan Fergesson? – wyjąkał chłopak.

– Nie – odparł Stuart.

– Pan Fergesson przyjął mnie do pracy.

– No – powiedział Stuart.

Ani on, ani Lightheiser nie ruszyli się z miejsca. Siedzieli przy biurku i gapili się na niego.

– Mogę pójść na dół?

Lightheiser wzruszył ramionami.

– Wychodzę na kawę – oznajmił Stuart i wstał. – Wrócę za dziesięć minut. Uważaj na sklep, dobrze?

– Oczywiście – odparł Lightheiser i pokiwał głową, pociągając dym z cygara.

Kiedy Stuart zszedł do sklepu, przekonał się, że foka nie zaczęła jeszcze skomplikowanego procesu schodzenia po schodach do warsztatu.

– Kłania się siedemdziesiąty drugi rok, co? – rzucił Stuart, mijając wózek.

Fokomelik zaczerwienił się i wyjąkał:

– Urodziłem się w sześćdziesiątym czwartym, to nie ma nic wspólnego z wybuchem. – Kiedy Stuart minął drzwi i znalazł się na chodniku, foka zawołała do niego: – To przez lekarstwo, przez thalidomid! Przecież wszyscy o tym wiedzą!

Stuart nie odpowiedział. Szedł prosto w stronę restauracji.

Fokomelik miał spore trudności ze sprowadzeniem wózka do piwnicy, gdzie przy warsztatach pracowali naprawiający telewizory technicy. W końcu jednak zdołał tego dokonać, chwytając się poręczy protezami rąk, dostarczonymi mu niegdyś przez troskliwy rząd Stanów Zjednoczonych. Protezy nie były za dobre: dopasowano je wiele lat temu i były nie tylko dość znoszone, ale także – czego dowiedział się z literatury fachowej – przestarzałe. Teoretycznie rzecz biorąc, ustawa Remingtona przewidywała, że państwo jest zobowiązane wymienić mu protezy na nowocześniejsze, i Hoppy napisał już w tej sprawie do kalifornijskiego senatora Alfa M. Partlanda. Dotychczas nie dostał żadnej odpowiedzi. Był jednak cierpliwy. Napisał już sporo listów w różnych sprawach do członków Kongresu i często zdarzało się, że odpowiedzi albo się spóźniały, albo były tylko odbitymi na kopiarce gotowymi tekstami, lub wręcz nie przychodziły w ogóle.

Jednak w tym wypadku Hoppy Harrington miał prawo po swojej stronie i zmuszenie kogoś kompetentnego, aby dał mu to, co mu przysługiwało, było tylko sprawą czasu. Był zawzięty; zawzięty, a zarazem cierpliwy. Musieli mu pomóc, czy mieli na to ochotę, czy nie. Jego ojciec, który hodował owce w Sonoma Valley, nauczył go, żeby zawsze żądać tego, co się człowiekowi należy.

Hałas. Technicy byli zajęci pracą. Hoppy zatrzymał się, otworzył drzwi i zobaczył dwóch mężczyzn przy długim, zaśmieconym stole, na którym stały najróżniejsze instrumenty, połyskujące tarczami mierniki, narzędzia i mniej lub bardziej zdemontowane telewizory. Żaden z obu mężczyzn nie zwrócił na niego uwagi.

– Słuchaj no – powiedział w końcu jeden z nich – nikt nie szanuje rzemieślników. Czemu nie chcesz pracować głową? Czemu nie chcesz wrócić do szkoły i zrobić jakiegoś dyplomu? – Technik odwrócił się i spojrzał na niego pytająco.

Nie, pomyślał Hoppy. Chcę zostać tutaj i pracować fizycznie.

– Mógłbyś zostać naukowcem – powiedział drugi, nie przerywając pracy. Patrzył uważnie na woltomierz, usiłując znaleźć uszkodzony obwód.

– Jak Bluthgeld – rzekł Hoppy. Technik zaśmiał się ze zrozumieniem.

– Pan Fergesson powiedział, że znajdziecie mi coś do roboty. Na początek coś, co można łatwo naprawić, dobrze? – Hoppy czekał na odpowiedź, bojąc się, że jej nie dostanie, aż w końcu jeden z mężczyzn pokazał ręką gramofon ze zmieniającym płyt.

– Co się zepsuło? – zapytał Hoppy, czytając jednocześnie przyklejoną do urządzenia kartkę. – Potrafię to naprawić.

– Sprężynka pękła – odparł technik. – Nie wyłącza się po ostatniej płycie.

– Rozumiem – powiedział Hoppy. Podniósł gramofon protezami i podjechał na drugi koniec stołu, gdzie było jeszcze trochę wolnego miejsca. – Tutaj będę pracował.

Ponieważ żaden z techników się nie sprzeciwił, wziął do ręki szczypce. To łatwe, pomyślał. Przecież ćwiczyłem w domu. Zajął się gramofonem, ale jednocześnie kątem oka obserwował obu techników. Ćwiczyłem wiele razy, prawie zawsze się udawało i za każdym razem było coraz łatwiej. Coraz łatwiej można było przewidzieć, że się uda. Sprężynka to niewielki przedmiot, pomyślał, z natury niewielki. Tak lekki, że wystarczy dmuchnąć, żeby zniknęła. Widzę już, gdzie pękłaś, pomyślał. Widzę, gdzie cząsteczki metalu nie są ze sobą powiązane tak jak poprzednio. Skupił myśl na tym miejscu, trzymając szczypce w taki sposób, żeby siedzący najbliżej technik nie mógł zobaczyć, co robi. Udał, że ciągnie sprężynkę, próbując ją wydostać na zewnątrz.

Kiedy skończył, zdał sobie sprawę, że ktoś stoi za nim i przygląda się; odwrócił głowę i zobaczył swojego pracodawcę, Jima Fergessona, który stał bez słowa z dziwnym wyrazem twarzy, trzymając ręce w kieszeniach.

– Skończone – powiedział nerwowo Hoppy.

– Pokaż. – Fergesson wziął gramofon i podniósł go bliżej wiszącej pod sufitem jarzeniówki.

Widział, co zrobiłem? – zastanowił się Hoppy. Czy rozumiał, o co tu chodzi, a jeśli tak, to co o tym myśli? Czy ma coś przeciwko, czy może jest mu wszystko jedno? A może jest... przerażony?

Przez chwilę, kiedy Fergesson oglądał urządzenie, panowała cisza.

– Skąd wzięłeś nową sprężynkę? – zapytał nagle.

– Leżała tutaj – odpowiedział Hoppy bez namysłu. Było nieźle. Fergesson, nawet jeśli zobaczył, co się stało, niczego nie zrozumiał. Fokomelik uspokoił się i poczuł radość, zadowolenie, które zajęło miejsce niepokoju. Uśmiechnął się do techników i rozejrzał się wokół, szukając następnego zadania.

– Nie denerwujesz się, kiedy ludzie na ciebie patrzą? – zapytał Fergesson.

– Nie – odparł Hoppy. – Niech się gapią, ile chcą: wiem, że jestem inny. Ludzie zawsze mi się przyglądali, odkąd tylko pamiętam.

– Chciałem spytać, czy cię nie denerwuje, kiedy patrzą, jak pracujesz.

– Nie – odpowiedział. Jego głos zabrzmiał donośnie, wydało mu się, że może nawet zbyt donośnie. – Zanim dostałem wózek, zanim w ogóle dostałem cokolwiek od rządu, ojciec nosił mnie na plecach w czymś w rodzaju plecaka. Jak indiańskie dziecko – zaśmiał się niepewnie.

– Rozumiem – rzekł Fergesson.

– To było w okolicy Sonomy, gdzie się wychowywałem. Mieliśmy owce. Kiedyś baran uderzył mnie rogami i wyrzucił w powietrze. Jak piłkę. – Znowu się zaśmiał; technicy przerwali pracę i spojrzeli na niego bez słowa.

– Pewnie się pokulałeś jak piłka, kiedy spadłeś na ziemię – powiedział jeden z nich po chwili.

– Tak – potwierdził Hoppy, ciągle się śmiejąc. Teraz śmiali się wszyscy: Hoppy, Fergesson i obaj technicy. Wyobrazili sobie, jak mógł wyglądać siedmioletni Hoppy Harrington bez rąk i nóg, sama tylko głowa i kadłub, toczący się po ziemi i wyjący ze strachu i bólu – no, ale to było śmieszne i Hoppy o tym wiedział. Opowiedział tę historię tak, żeby zabrzmiała zabawnie; zrobił to celowo.

– Teraz, kiedy masz wózek, jest ci o wiele łatwiej – stwierdził Fergesson.

– O tak – odparł Hoppy. – A poza tym projektuję nowy model, to mój własny pomysł: sama elektronika. Czytałem artykuł o sposobie podłączania mózgu do aparatury elektronicznej, jaki stosują w Szwajcarii i w Niemczech. Podłącza się urządzenia bezpośrednio do centrów motorycznych mózgu, przez co unika się opóźnień. Będę się poruszał szybciej niż zwykły organizm. – Chciał już powiedzieć: „szybciej niż człowiek”. – Za kilka lat skończę projekt. Wózek będzie lepszy nawet od szwajcarskiego modelu. Wtedy będę mógł wyrzucić ten szmelc, który dostałem od rządu.

– Podziwiam twoją siłę ducha – rzekł Fergesson uroczystym, oficjalnym tonem.

– Dziękuje ppanu – wyjąkał Hoppy ze śmiechem. Jeden z techników podał mu multipleksowy tuner radiowy.

– Gubi stacje. Zobacz, czy uda ci się go ustawić.

– Dobra – powiedział Hoppy, ujmując tuner metalowymi protezami. – Na pewno dam radę. W domu często robię takie rzeczy. Mam doświadczenie. – Nie było dla niego nic łatwiejszego niż taka robota, nawet nie musiał specjalnie skupiać myśli na urządzeniu. To zadanie pasowało jak ulał do jego umiejętności.

Patrząc na wiszący na ścianie kuchni kalendarz, Bonny Keller zorientowała się, że to właśnie dzisiaj jej znajomy Bruno Bluthgeld ma się zobaczyć w Berkeley z doktorem Stockstillem. Właściwie na pewno już u niego był i ma pierwszą godzinę terapii za sobą. Teraz z pewnością jedzie z powrotem do Livermore, do swojego biura w Laboratorium Radiologicznym, gdzie sama pracowała wiele lat temu, zanim zaszła w ciążę. To właśnie tam w 1975 roku poznała Bluthgelda. Teraz miała trzydzieści jeden lat i mieszkała w West Marin. Jej mąż, George, był zastępcą kierownika miejscowej szkoły i Bonny była bardzo szczęśliwa.

No, może nie aż tak bardzo. Po prostu umiarkowanie, przeciętnie szczęśliwa. Sama w dalszym ciągu chodziła na terapię – ostatnio tylko raz, a nie trzy razy w tygodniu – i pod wieloma względami rozumiała, co się z nią dzieje, rozumiała swoje podświadome popędy

i parataktyczne zaburzenia w odbiorze rzeczywistości.

Sześć lat psychoanalizy zmieniło wiele w jej życiu na lepsze, nie wyleczyło jej jednak z choroby. Właściwie nie istniało nic takiego jak powrót do zdrowia, ponieważ „chorobą” było samo życie i należało cały czas iść naprzód (a może raczej przystosowywać się na tyle, na ile było to możliwe), by nie poddać się psychicznej stagnacji.

Bonny była zdecydowana się nie poddawać. Czytała właśnie *Upadek cywilizacji Zachodu* w niemieckim oryginale. Przeczytała już pięćdziesiąt stron i doszła do wniosku, że było warto. Kto jeszcze z jej znajomych przeczytał tę książkę, chociażby po angielsku?

Jej zainteresowanie niemiecką kulturą, dziełami literackimi i filozoficznymi zaczęło się wiele lat temu poprzez znajomość z doktorem Bluthgeldem. Mimo że w college’u przez trzy lata uczyła się niemieckiego, nigdy przedtem nie uważała tego języka za istotną część swojego dorosłego życia i, podobnie jak wiele innych zdobytych z trudem wiadomości, zepchnęła go w podświadomość, kiedy tylko dostała dyplom i zaczęła pracować. Magnetyczna osobowość Bluthgelda sprawiła, że odżyło wiele jej dawnych akademickich zainteresowań, fascynacja muzyką i sztuką... wiele jej dał i była mu za to wdzięczna.

Teraz Bluthgeld był chory, o czym wiedzieli wszyscy w Livermore. Doktor miał ogromne wyrzuty sumienia i od 1972 roku, kiedy został popełniony ów straszny błąd, jego życie było nieustannym pasmem cierpień. Wszyscy, którzy wtedy pracowali w Livermore, wiedzieli, że w tym, co się stało, nie było aż tak wiele jego własnej winy. Nie musiał brać tego ciężaru na swoje barki, a jednak się na to zdecydował, przez co wpędził się w pogłębiającą się z każdym rokiem chorobę.

W zakończone błędnym wynikiem obliczenia było zaangażowanych wielu kwalifikowanych pracowników, najlepsza aparatura i najnowocześniejsze komputery. Wynik okazał się błędny nie w rozumieniu dostępnej w 1972 roku teoretycznej wiedzy, lecz w praktyce. Kiedy olbrzymie kłębowiska radioaktywnych chmur nie uleciały w przestrzeń, lecz zostały ściągnięte na powrót do atmosfery przez ziemskie pole grawitacyjne, nikt nie był zdumiony bardziej niż naukowcy z Livermore. Teraz oczywiście warstwa Jamisona-Frencha została zbadana o wiele dokładniej i nawet popularne czasopisma, takie jak „Times” czy „US News”, potrafiły klarownie wytłumaczyć, na czym polegała katastrofa i dlaczego się wydarzyła. No, ale na to było trzeba dziewięciu lat.

Kiedy pomyślała o warstwie Jamisona-Frencha, Bonny przypomniała sobie najważniejsze wydarzenie dzisiejszego dnia, które całkiem wyleciało jej z głowy. Podeszła do stojącego w living roomie telewizora i włączyła go. Ciekawe, czy już wystartowali? – pomyślała, spoglądając na zegarek. Nie, jeszcze pół godziny. Ekran rozjaśnił się i jak należało się spodziewać, pokazał stojącą obok wieży rakiety, ludzi z obsługi, wozy techniczne, sprzęt. Rakieta niezaprzeczalnie stała ciągle na ziemi i najprawdopodobniej Walter Dangerfield i jego

żona w ogóle nie weszli jeszcze na pokład.

Pierwsza para ludzi, która ma się osiedlić na Marsie, pomyślała, zastanawiając się jednocześnie, jak w tej chwili może się czuć Lydia Dangerfield, wysoka blondynka, której szansę dotarcia na Marsa obliczono tylko na sześćdziesiąt procent. Co z tego, że czekają na nich obszerne pomieszczenia mieszkalne, wspaniałe budowle i wyposażenie, jeżeli mogą się po drodze spalić? Tak czy inaczej to przedsięwzięcie powinno zrobić wrażenie na krajach Bloku Wschodniego, którym nie udało się utrzymać kolonii na Księżycu. Wysłani tam Rosjanie najzwyczajniej w świecie udusili się lub zmarli z głodu – jak było naprawdę, nikt dokładnie nie wiedział. W każdym razie kolonia przestała istnieć. Zniknęła tak samo, jak ją stworzono – w tajemniczy sposób.

Powstały w NASA pomysł wysłania na Marsa tylko dwojga ludzi, mężczyzny i jego żony, napęłał ją przerażeniem: czuła instynktownie, że agencja naraża przedsięwzięcie na niepowodzenie, bo źle skalkulowała szansę. Powinni wysłać kilku ludzi z Nowego Jorku i kilku z Kalifornii, pomyślała, patrząc, jak obsługa sprawdza rakietę ostatni raz przed startem. Jak to się nazywa? Asekuracja? Tak czy owak nie należało wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka... a jednak NASA zawsze postępowała według tego samego schematu: za każdym razem tylko jeden kosmonauta, od samego początku otaczany wielkim rozgłosem. Kiedy w 1967 roku Henry Chancellor spalił się na węgiel na platformie kosmicznej, cały świat oglądał go w telewizji – oniemiały z przerażenia, to prawda – ale jednak dopuszczono do tego, by ludzie mogli coś takiego zobaczyć. Reakcja opinii publicznej opóźniła wtedy program badań kosmicznych Zachodu o pięć lat.

– Jak państwo widzicie – powiedział sprawozdawca sieci NBC melodyjnym, lecz zdecydowanym głosem – trwają właśnie ostatnie przygotowania. W każdej chwili możemy się spodziewać przybycia państwa Dangerfieldów. Przypomnijmy sobie raz jeszcze olbrzymi zakres przygotowań, które mają zapewnić...

Bzdura, pomyślała Bonny Keller, wzruszyła ramionami i wyłączyła telewizor. Nie mogą tego oglądać.

Co jednak miała robić? Siedzieć i obgryzać paznokcie przez następne sześć godzin, a może przez następne dwa tygodnie? Jedynym rozwiązaniem byłoby po prostu zapomnieć, że to właśnie dzisiaj startuje Pierwsza Para. Z tym, że było już za późno, aby o tym zapomnieć.

Często nazywała ich w myślach Pierwszą Parą – było w tym coś z romantyzmu starych książek fantastycznonaukowych. To było trochę tak, jakby opowiedzieć na nowo historię Adama i Ewy, chociaż Walt Dangerfield w niczym nie przypominał Adama: kojarzył się jej raczej z ostatnim niż z pierwszym człowiekiem. Miał kwaśne, zjadliwe usposobienie, a jego sposób mówienia w rozmowach z dziennikarzami był tak opanowany, że graniczył z cynizmem. Bonny podziwiała tego człowieka. Dangerfield nie był jakimś pierwszym lepszym śmieciem czy

ostrzyżonym po wojskowemu jasnowłosym automatem realizującym perfekcyjnie najnowszy projekt Sił Powietrznych. Walt był autentyczny i niewątpliwie właśnie dlatego NASA go wybrała. Jego geny były prawdopodobnie wypchane po brzegi całym dziedzictwem ludzkości, wszystkim tym, co kultura stworzyła przez ostatnie cztery tysiące lat. Walt i Lydia mogą odnaleźć *terra nova*... a potem po powierzchni Marsa będą stąpać tłumy małych, wyrafinowanych Dangerfieldziątek, wygłaszających różne mądrości z namaszczeniem zabarwionym jednak delikatnym szaleństwem Walta.

„Proszę sobie wyobrazić, że droga, którą mamy przebyć, to długa autostrada”, powiedział Dangerfield w jednym z wywiadów, odpowiadając na pytanie dziennikarza o niebezpieczeństwa związane z podróżą. „Dziesięć pasm ciągnących się przez milion mil... żadnego ruchu, żadnych jadących wolno ciężarówek. Tak jak o czwartej nad ranem... tylko my i nasz samochód. No więc, jak to się mówi, o co ten cały hałas?” A potem na jego twarzy pojawił się dobroduszny uśmiech.

Bonny pochyliła się i znów włączyła telewizor.

Na ekranie ukazała się okrągła twarz Walta Dangerfielda w okularach; ubrany był w kompletny skafander kosmiczny, nie miał tylko hełmu. Lydia stała za mężem i nie odzywała się, gdy on odpowiadał na pytania.

– Słyszałem – mówił Walt, poruszając szczęką, jakby przeżuwał pytanie, zanim udzielił odpowiedzi – że w Boise w stanie Idaho jest pewna MSP, która się o mnie martwi. – Spojrzał ponad głowami, jakby ktoś w tyle pomieszczenia o coś zapytał. – MSP? – powiedział. – MSP to termin, który wymyślił wielki, nieodżałowanej pamięci Herb Caen, i oznacza Małe Starsze Panie... One są wszędzie. Podejrzewam, że na Marsie też jest już jakaś MSP i będziemy mieszkać przy tej samej ulicy, kilka domów dalej. W każdym razie MSP z Boise, jak rozumiem, nieco niepokoi się o Lydię oraz o mnie i boi się, że coś mogłoby się nam stać. Tak więc przysłała nam na szczęście talizman. – Pokazał talizman, trzymając go niezgrabnie między wielkimi palcami rękawicy.

Wśród reporterów podniósł się pomruk rozbawienia.

– Ładny, prawda? – zapytał Dangerfield. – Powiem wam, na co pomaga: mianowicie na reumatyzm.

Dziennikarze zaśmiali się.

– Przyda się, gdybyśmy nabawili się na Marsie reumatyzmu. Czy to może chodziło o podagrę? Zdaje się jednak, że w liście była mowa o podagrze. – Spojrzał na żonę. – Chodziło o podagrę, prawda?

Nie ma chyba talizmanów, które chroniłyby przed meteorytami albo przed promieniowaniem, pomyślała Bonny. Poczowała smutek, jakby ogarnęło ją złe przecucie. A może dlatego, że to właśnie dzisiaj Bruno Bluthgeld miał być u psychiatry? Naszły ją ponure myśli

o śmierci, promieniowaniu, ludzkich pomyłkach i strasznej, nie kończącej się chorobie.

Nie wierzę, że Bruno jest schizofrenikiem, pomyślała. To tylko chwilowe zaburzenia związane z konkretną sytuacją i jeżeli będzie pod opieką dobrego psychiatry i łyknie od czasu do czasu parę tabletek, powinien wydobrzeć. To musi być jakieś zaburzenie hormonalne, które objawia się w ten sposób, a dzisiaj medycyna potrafi w podobnych przypadkach czynić cuda. To nie jest defekt psychiczny ani psychotyczne zwyrodnienie pogłębiające się pod wpływem stresu.

Zresztą co ja mogę na ten temat powiedzieć? – pomyślała ponuro. Dopiero kiedy Bruno zaczął nam opowiadać, że jacyś „oni” zatruwają wodę, którą pije, zorientowaliśmy się z George'em, jak bardzo jest chory... przedtem sądziliśmy, że ma depresję.

Wyobraziła sobie Brunona trzymającego w ręce receptę na jakieś tabletki, które pobudzają korę albo spowalniają procesy zachodzące w międzymózgowiu; w każdym razie musiały to być jakiś nowy zachodni odpowiednik chińskich ziół, zmieniający metabolizm mózgu i usuwający ułudę jak pajęczynę. I wszystko znów wróciłoby do normy, a ona, George i Bruno jak dawniej grywaliby wieczorami Bacha i Haendla w Orkiestrze Muzyki Barokowej West Marin... jak przedtem. Dwa drewniane flety black forest (autentyki) i ona sama przy fortepianie. Dom pełen barokowej muzyki, zapach pieczonego chleba i butelka buena vista z najstarszej kalifornijskiej winnicy.

Na ekranie telewizora Walt Dangerfield żartował właśnie w swój dojrzały sposób, przypominający mieszankę humoru Voltaire'a i Willa Rogersa.

– Oczywiście – mówił do dziennikarki w śmiesznym, wielkim kapeluszu. – Spodziewamy się odkryć na Marsie wiele dziwnych form życia. – Patrząc na jej nakrycie głowy, dodał: – Zdaje mi się, że jedną już znalazłem.

Reporterzy znów się roześmieli.

– Chyba się rusza – powiedział do stojącej obok i przyglądającej się spokojnie Lydii. – Idzie po nas, kochanie.

On naprawdę ją kocha, zrozumiała Bonny, patrząc na Dangerfieldów. Ciekawe, czy George kiedykolwiek darzył mnie podobnym uczuciem; prawdę powiedziawszy, wątpię. Gdyby tak było, nigdy nie pozwoliłby mi na dwie skrobanki. Teraz ogarnął ją jeszcze większy smutek, wstała, odwróciła się plecami do telewizora i odeszła kilka kroków.

To George'a powinno się wysłać na Marsa, pomyślała z goryczą. Albo jeszcze lepiej nas wszystkich: mnie, George'a i Dangerfieldów. George mógłby mieć romans z Lydią – jeśli ona w ogóle jest do czegoś takiego zdolna – a ja chodziłabym do łóżka z Waltem: byłabym niezgorszą bohaterką tej wielkiej przygody. Czemu nie?

Chciałabym, żeby coś się wydarzyło, pomyślała. Chciałabym, żeby zadzwonił Bruno i powiedział, że doktor Stockstill go wyleczył, albo żeby Walt Dangerfield nagle się wycofał, albo żeby Chińczycy zaczęli trzecią wojnę światową, albo żeby George oddał wreszcie szkolnej

radzie nadzorczej tę nieszczęsną umowę, jak zamierzał. Niech się stanie cokolwiek. A może, pomyślała, powinnam wyciągnąć koło garncarskie i zająć się robieniem naczyń z gliny: wrócić do tak zwanych działań kreatywnych czy gier analnych, jak to się tam nazywa. Mogłabym zrobić garnek o nieprzyzwoitym kształcie. Zaprojektować, wypalić w piecu Violet Clatt i sprzedać w sklepie z wyrobami rzemiosła artystycznego w San Anselmo, w którym kupują panie z towarzystwa; w tym samym sklepie, gdzie w zeszłym roku nie chcieli mojej kutej biżuterii. Jestem pewna, że przyjęliby taki garnek, gdyby był naprawdę dobry.

Przed sklepem z telewizorami zebrał się niewielki tłumek ludzi, którzy na wielkim stereofonicznym odbiorniku śledzili start Dangerfieldów, transmitowany do wszystkich amerykańskich domów, biur i fabryk. Stuart McConchie stał za plecami ludzi z rękami założonymi na piersi i też patrzył.

– Gdyby żył John L. Lewis – powiedział Walt Dangerfield w swój beznamiętny sposób – z pewnością doceniłby prawdziwe znaczenie pełnego wynagrodzenia za cały czas spędzony w pracy... Gdyby nie on, to prawdopodobnie zapłaciliby mi za tę podróż pięć dolarów, argumentując, że właściwie nie zacznę pracować, dopóki nie znajdę się na Marsie. – Teraz miał już poważniejszy wyraz twarzy, bo zbliżał się moment, gdy on i Lydia mieli wejść do kabiny statku. – Pamiętajcie... gdyby coś nam się stało, gdybyśmy zaginęli, nie szukajcie nas. Siedźcie spokojnie w domach, a my już się jakoś sami znajdziemy.

– Powodzenia – podniósł się pomruk wśród dziennikarzy. Funkcjonariusze i personel techniczny NASA zaczęli przesuwac Dangerfieldów, którzy wychodzili teraz z pola widzenia kamer telewizyjnych.

– To nie potrwa długo – powiedział Stuart do Lightheisera, który stał obok, także patrząc w ekran.

– Za głupi na tę jazdę – odparł Lightheiser, gryząc wykałaczkę. – Nigdy nie wrócą i on o tym dobrze wie.

– A czemu miałby chcieć wrócić? – zapytał Stuart. Zazdrościł Waltowi Dangerfieldowi: żałował, że to nie on, Stuart McConchie, stoi teraz przed kamerami na oczach całego świata.

U wylotu prowadzących do piwnicy schodów pojawił się Hoppy Harrington i podjechał energicznie na wózku w stronę drzwi.

– Wystrzelili go już? – zapytał nerwowo Stuarta, wpatrując się w ekran. – Spali się: będzie dokładnie tak jak w sześćdziesiątym piątym; oczywiście ja sam tego nie pamiętam, ale...

– Zamknij się, dobra? – zaproponował łagodnie Lightheiser.

Fokomelik zaczerwienił się i umilkł. A potem patrzyli dalej, każdy z nich zatopiony w swoich myślach; na ekranie było widać, jak ostatnia grupa kontrolna odsuwa się na podnośniku od dziobu rakiety. Zaraz miało się zacząć odliczanie. Rakietą była zatankowana i sprawdzona, a teraz właśnie wchodziło na jej pokład dwoje ludzi. Wśród grupki skupionej

przed telewizorem zawrzało.

Później, jeszcze tego samego popołudnia, ich cierpliwość zostanie wynagrodzona. *Dutchman IV* wystartuje, przez mniej więcej godzinę będzie okrążał Ziemię, a ci ludzie będą stali przed telewizorem i patrzyli, aż w końcu ktoś w bunkrze dowodzenia podejmie decyzję o odpaleniu ostatniego członu. Rakieta zmieni trajektorię i opuści orbitę. Mieli już okazję oglądać takie rzeczy, teraz jednak było w tym coś nowego, ponieważ pasażerowie rakiety mieli nigdy nie wrócić. Warto było spędzić dzień przed telewizorem; tłumek przygotował się na oczekiwanie.

Stuart McConchie pomyślał, że pora na lunch i że potem może tu wrócić, ustawić się obok innych i oglądać dalej. Nie zanosilo się na to, żeby dzisiaj miał cokolwiek zrobić, żeby miał komukolwiek sprzedać telewizor. Start rakiety był ważniejszy. Nie mógł przepuścić transmisji. Może i ja kiedyś znajdę się tam, w górze, pomyślał; może sam kiedyś wyemigruję, kiedy będę zarabiał wystarczająco dużo, aby się ożenić, zabrać żonę i dzieci i zacząć nowe życie na Marsie, kiedy będą tam mieli porządną kolonię, a nie same maszyny.

Wyobraził sobie siebie w dziobie rakiety, przypiętego pasami do fotela obok bardzo atrakcyjnej kobiety. Pionierzy – ona i on – kładący podwaliny pod nową cywilizację na nowej planecie. Zaburczało mu w brzuchu i zdał sobie sprawę, jak bardzo jest głodny: nie mógł już dłużej odwlekać pójścia na lunch.

Nawet kiedy patrzył na wielką, stojącą pionowo rakieta, jego myśli ciągle kręciły się wokół zupy, bułek, duszonej wołowiny i ciasta z jabłkami z kulka lodów, które można było zjeść w „Przysmakach Freda”.

Rozdział trzeci

Prawie codziennie Stuart McConchie jadał lunch w knajpce położonej niedaleko sklepu na tej samej ulicy. Kiedy tego dnia wszedł do „Przysmaków Freda”, zauważył z irytacją, że wewnątrz stoi wózek Hoppy’ego Harringtona, a usadowiony na nim Hoppy je lunch z tak stoickim spokojem, jakby przychodził tu od lat. Cholera, pomyślał Stuart, ten to się wszędzie wciśnie. Nadchodzi chyba epoka fok. A ja nawet nie zauważyłem, jak wyjeżdżał ze sklepu.

Mimo wszystko Stuart usiadł przy stoliku i wziął do ręki jadłospis. Nie dam mu się przecież stąd wysiudać, pomyślał, sprawdzając jednocześnie w karcie, jaką potrawę poleca dziś szef kuchni i ile też może ona kosztować. Miesiąc dobiegał już końca i Stuart był prawie zupełnie splukany. Czekał z utęsknieniem chwili, kiedy Fergesson wręczy mu pod koniec tygodnia czek z wypłatą za pół miesiąca pracy.

Jadł zupę, gdy dobiegł go ostry głos fokomelika. Hoppy opowiadał właśnie jakąś historię. Ale komu? – zastanowił się Stuart. Może Connie, tej kelnerce? Odwrócił głowę i zobaczył, że obok wózka stoi nie tylko Connie, ale i kucharz Tony. Oboje słuchali uważnie fokomelika, nie wykazując przy tym żadnych objawów obrzydzenia.

Hoppy zauważył Stuarta i zawołał w jego stronę:

– Cześć!

Stuart skinął mu głową, odwrócił się i zabrał na powrót do zupy.

Fokomelik opowiadał kelnerce i kucharzowi o swoim wynalazku, o jakimś elektronicznym gadżecie, który zbudował czy dopiero zamierzał zbudować – Stuart dokładnie nie zrozumiał, zresztą i tak nic go to nie obchodziło. Nie miało dla niego znaczenia, czym zajmuje się Hoppy i jakie szalone pomysły lęgną się w mózgu tego pokurcza. Na pewno było to coś wyjątkowo pokręconego, jakiś cudaczny mechanizm, może *perpetuum mobile*... a może nawet *perpetuum mobile*, na którym mógłby się poruszać. Ten pomysł tak mu się spodobał, że zaśmiał się w duchu. Muszę to powiedzieć Lightheiserowi, postanowił. *Perpetuum mobile* Hoppy’ego Harringtona... a potem pomyślał: fokomobil fokomelika. Tym razem roześmiał się na głos.

Hoppy usłyszał go i najwidoczniej uznał, że Stuart śmieje się z czegoś, co właśnie powiedział.

– Hej, Stuart! – zawołał. – Siadaj koło mnie. Postawię ci piwo.

Co za kretyn, pomyślał McConchie. Czy on nie wie, że Fergesson nie pozwala nam pić piwa w czasie przerwy na lunch? To była żelazna reguła: jeśli któryś z pracowników wypiłby piwo, nie miał po co wracać do sklepu. Fergesson w takich wypadkach wysyłał czek pocztą.

– Słuchaj no – powiedział do fokomelika, odwracając się na krześle. – Gdybyś pracował u Fergessona trochę dłużej, to nie proponowałbyś takich głupstw.

Hoppy zaczerwienił się i mruknął:

– Dlaczego?

– Fergesson nie pozwala swoim ludziom na alkohol – wyjaśnił kucharz. – To wbrew jego zasadom, prawda, Stuart?

– Zgadza się – odparł Stuart. – I powinienesz to sobie wbić do głowy.

– Nie wiedziałem – powiedział fokomelik. – Zresztą nie chciałem zamówić piwa dla siebie. Ale nie rozumiem, jakim prawem szef zabrania swoim podwładnym picia tego, na co mają ochotę, w czasie wolnym od pracy. W końcu to jest przerwa na lunch i każdy powinien móc sobie wypić piwo, jeśli taka jego wola. – W jego głosie zabrzmiało oburzenie. Teraz już nie żartował.

– Po prostu nie życzy sobie, żeby od jego sprzedawców zalatywało jak z browaru – odparł Stuart. – I uważam, że ma rację. Gdyby jakaś starsza klientka poczuła ten zapach, mogłaby się poczuć urażona.

– Rozumiem, że może to dotyczyć ciebie i innych sprzedawców – upierał się Hoppy. – Ale ja jestem przecież monterem i wypiłbym piwo, gdybym miał na nie ochotę.

Kucharz wyglądał na zbitego z tropu.

– Słuchaj, Hoppy... – zaczął.

– Jesteś za młody, żeby pić piwo – rzekł Stuart. Teraz już wszyscy obecni w lokalu patrzyli w ich stronę, przysłuchując się rozmowie.

Fokomelik oblał się rumieńcem.

– Jestem pełnoletni. – W jego cichym głosie zabrzmiało napięcie.

– Nie podawaj mu piwa – powiedziała kelnerka do kucharza. – To jeszcze dzieciak.

Hoppy sięgnął protezą do kieszeni, wyjął portfel, położył go na ladzie i otworzył.

– Mam dwadzieścia jeden lat – oświadczył.

– Bzdura – zaśmiał się Stuart. Ma w portfelu jakiś lewy dokument, pomyślał. Sam go sobie pewnie wydrukował, wariat jeden, albo coś przerobił. Chce być dokładnie taki sam jak inni, to jakaś obsesja.

Kucharz przyjrzał się zawartości portfela.

– Tu jest napisane, że jest pełnoletni. Ale Hoppy, pamiętaj, co było, kiedy ostatnim razem podałem ci piwo...

– Musisz mnie obsłużyć – upierał się fokomelik. Kucharz mruknął coś pod nosem, wyszedł, po chwili wrócił z butelką piwa Hamms i zamkniętą postawił przed Hoppym.

– Otwieracz – powiedział fokomelik.

Kucharz przyniósł otwieracz i rzucił go na ladę. Hoppy zerwał kapsel.

Zrobił głęboki wdech i pociągnął z butelki.

Co tu się dzieje? – zdziwił się Stuart. Zauważył, że kucharz, Connie, a nawet kilku stałych

gości przygląda się Hoppy'emu w jakiś szczególny sposób. Może zaraz spadnie pod stół, pomyślał. Albo dostanie kota? Czuł niesmak, a jednocześnie jakiś głęboki niepokój. Najwyższy czas skończyć lunch i wreszcie stąd wyjść. Nie chce być świadkiem tego, co tu się będzie działo, cokolwiek by to miało być. Wróć do sklepu i będę dalej oglądał transmisję ze startu rakiety, postanowił. Popatrzę, jak Dangerfield leci w kosmos. To jest coś ważnego dla Ameryki, a nie ten cudak. Nie będę na niego marnował czasu.

Nie ruszył się jednak z miejsca, ponieważ z Hoppym Harringtonem działo się coś dziwnego; coś, od czego nie mógł oderwać wzroku, nawet gdyby bardzo chciał.

Fokomelik zapadł się w wózek, jakby miał zaraz zasnąć. Leżał z głową opartą o rączkę służącą do kierowania wehikułem. Jego współprzymknięte oczy stały się szkliste.

– Jezus Maria, znowu to samo – jęknął kucharz. Rozejrzał się wokół, jakby prosząc, żeby ktoś coś zrobił, nikt się jednak nie ruszył. Wszyscy stali i siedzieli tak jak przedtem.

– Wiedziałam, że tak będzie – powiedziała Connie gorzkim, oskarżycielskim tonem.

Usta fokomelika drżały.

– Pytajcie – wybełkotał. – Niech mnie ktoś zapyta.

– O co? – rzucił gniewnie kucharz. Machnął ręką ze zniechęceniem, odwrócił się i ruszył do swojego pieca.

– Pytajcie – powtórzył Hoppy przytłumionym, dobiegającym jakby z daleka głosem.

Patrząc na niego, Stuart zdał sobie sprawę, że to z pewnością jakiś atak... może padaczka. Czuł przemożną chęć, żeby stąd wyjść, a jednak nie mógł się poruszyć i podobnie jak inni wpatrywał się jak zauroczony w Hoppy'ego.

– Nie możesz go odwieźć z powrotem do sklepu? – zapytała Connie. – No, wstań i popchnij ten wózek. – W jej oczach było widać gniew.

Stuart nie mógł jednak nic zrobić. Zgarbił się i rozłożył ręce, żeby zademonstrować swoją bezsilność.

Fokomelik rzucał się na wózek, coś bełkocząc. Plastikowo-metalowe protezy rąk trzęsły się.

– Pytajcie – mówił. – Zapytajcie, zanim będzie za późno. Teraz mogę wam powiedzieć. Widzę...

– Może ktoś go w końcu zapyta – rzucił głośno stojący przy piecu kucharz. – Niech to się wreszcie skończy. A jeśli nikt się nie zdecyduje, to ja to zrobię: mam parę spraw, które chciałbym wyjaśnić. – Rzucił łopatkę do mięsa i ruszył w stronę Hoppy'ego. – Słuchaj – powiedział. – Ostatnim razem mówiłeś, że wszędzie panuje ciemność, zgadza się? Nie było żadnego światła?

Wargi fokomelika wykrzywiły się.

– Trochę światła. Słabe. Żółte, jakby już gasło.

Za Stuartem pojawił się mężczyzna w średnim wieku, jubiler z przeciwka.

– Byłem tu ostatnim razem, jak to się zdarzyło – szepnął mu. – Powiedzieć ci, Stu, co on widzi? Posłuchaj: on widzi drugą stronę.

– Drugą stronę czego? – zapytał Stuart, podnosząc się z krzesła, żeby lepiej widzieć i słyszeć.

Wszyscy podeszli bliżej, żeby nie uronić nic z tej sceny.

– No, wiesz – rzekł pan Crody – to, co po śmierci. Życie pozagrobowe. Możesz się śmiać, ale to prawda. Kiedy napije się piwa, wpada w trans, taki jak teraz, i ma wizje czy coś w tym rodzaju. Spytaj Tony’ego albo Connie, albo kogoś z tych gości, którzy tu byli ostatnim razem.

Connie pochylała się nad skurczoną, pokręconą postacią leżącą na wózku.

– Hoppy, skąd pochodzi to światło? Czy to Bóg? – Zaśmiała się nerwowo. – No wiesz, tak jak w Biblii? Czy to wszystko prawda?

– Szarość, ciemność – wymamrotał fokomelik. – Jak popiół. A potem wielka równina. Nic, tylko ognie, światło płomieni. Palą się przez całą wieczność. Nie ma niczego żywego.

– A gdzie ty jesteś? – spytała Connie.

– Ja... płynę. Nisko nad ziemią... nie, teraz jestem bardzo wysoko. Jestem lekki, nie mam już ciała, więc mogę latać tak wysoko, jak tylko chcę. Mogę zawisnąć w powietrzu i nie muszę wracać. Podoba mi się tutaj. Mogę okrążyć Ziemię bez końca. Jest pode mną i mogę tak krążyć i krążyć...

– Eee... Hoppy, czy jest tam ktoś jeszcze? – zapytał jubiler Crody, podchodząc do wózka. – Czy wszyscy jesteśmy skazani na samotność?

– Teraz widzę... innych ludzi – bełkotał fokomelik. – Opadam. Staję wśród szarości. Idę.

Idę? – zdziwił się Stuart. Na czym? Ładne mi życie pozagrobowe: nogi pozbawione ciała. Zaśmiał się w duchu. Niezły cyrk. Co za idiotyzm. Jednak i on zaczął się przeciskać bliżej, żeby lepiej widzieć Hoppy’ego.

– Czy rodzimy się jeszcze raz, jak nauczają na Wschodzie? – zapytała starsza pani w płaszczu.

Tak – odparł niespodziewanie Hoppy. – Nowe życie. Mam nowe ciało. Mogę robić wszystko.

To byłby jakiś krok naprzód – odezwał się Stuart.

– Tak – wymamrotał fokomelik. – Krok naprzód. Jestem taki jak inni. Właściwie nawet lepszy. Mogę robić to co wszyscy i wiele innych rzeczy. Mogę się znaleźć wszędzie, gdzie zechcę, a inni tego nie potrafią. Nie mogą się poruszać.

– Dlaczego nie? – zapytał kucharz.

– Po prostu nie mogą. Nie mogą się poruszać ani w powietrzu, ani po drogach, ani płynąć statkiem. Są nieruchomi. Zupełnie inni. Widzę ich wszystkich: wyglądają, jakby nie żyli, jakby byli przygwożdżeni do ziemi. Są jak trupy.

– Czy mogą mówić?– spytała Connie.

– Tak – odparł fokomelik. – Mogą się między sobą porozumiewać. Ale... muszą... – Zamilkł, a potem się uśmiechnął; na jego chudej, wykrzywionej twarzy pojawiła się radość. – Mogą mówić tylko przeze mnie.

Ciekawe, co to wszystko ma znaczyć? – zastanowił się Stuart. Brzmi to jak mającienie kogoś cierpiącego na megalomanię, komu wydaje się, że panuje nad całym światem. Pewnie kompensuje sobie w ten sposób swoje kalectwo – właśnie czegoś takiego można się spodziewać po focie.

Kiedy zdał sobie z tego sprawę, cała ta historia przestała go interesować. Wrócił do stolika, gdzie stał jego lunch.

– Czy to jest dobry świat? – zapytał kucharz. – Powiedz: jest lepszy czy gorszy niż nasz?

– Gorszy – odparł Hoppy. A potem dodał: – Gorszy dla ciebie. Ten świat jest dla każdego tym, na co sobie zasłużył. Jest sprawiedliwy.

– Więc dla ciebie jest lepszy. – W głosie Connie zabrzmiało pytanie.

– Tak – odparł fokomelik.

– Słuchaj, Connie – odezwał się Stuart od stolika. – Nie widzisz, że to jest tylko psychiczna kompensacja jego kalectwa? Takie wizje utrzymują go przy życiu. Nie rozumiem, jak możesz go brać poważnie.

– Nie biorę go poważnie – odpowiedziała Connie. – Ale to, co mówi, jest interesujące. Tacy ludzie to media. Czytałam o tym. Wchodzą w trans i porozumiewają się ze światem umarłych, tak jak Hoppy. Nigdy o tym nie słyszałeś? To sprawdzony fakt. Prawda, Tony? – Odwróciła się do kucharza, szukając poparcia.

– Sam nie wiem – odparł kucharz z namysłem, idąc w stronę pieca po łopatkę do mięsa.

Teraz wydawało się, że fokomelik zapadł głębiej w wywołany piwem trans. Wydawało się, że śpi, że nic już nie widzi, czy może raczej nie jest już świadomy obecności zgromadzonych wokół niego ludzi, że nie próbuje już przekazać im swojej wizji, czy cokolwiek to było.

Seans dobiegł końca.

Nigdy nic nie wiadomo, pomyślał Stuart. Ciekawe, co by powiedział Fergesson, gdyby to zobaczył. Ciekawe, czy chciałby, żeby pracował u niego ktoś, kto jest nie tylko upośledzony fizycznie, ale ma jeszcze padaczkę, czy co to tam jest? Zastanawiam się, czy powinienem mu o tym powiedzieć, kiedy wrócę do sklepu? Kiedy się dowie, to pewnie zaraz wyrzuci Hoppy'ego na zbity łeb. Nie miałbym o to do niego żalu. Może więc lepiej nic nie mówić, zdecydował.

Fokomelik otworzył oczy.

– Stuart – powiedział słabym głosem.

– Czego chcesz? – zapytał McConchie.

– Ja... – Głos Hoppy'ego brzmiał jak głos chorego, jak gdyby to, co przeszedł, stanowiło

zbyt wielki ciężar dla jego słabego ciała. – Słuchaj, czy mógłbyś... – Podciągnął się do pozycji siedzącej i podjechał do stolika, przy którym siedział Stuart. – Czy mógłbyś mnie zawieźć do sklepu? – zapytał tym samym słabym głosem. – Nie od razu, tylko jak skończysz jeść. Byłbym ci bardzo wdzięczny.

– A dlaczego? – zdziwił się Stuart. – Nie możesz sam pojechać?

– Niezbyt dobrze się czuję – powiedział fokomelik.

– Dobra. – Stuart skinął głową. – Zaraz jak skończę lunch.

– Dziękuję.

Stuart zajął się jedzeniem, nie zwracając najmniejszej uwagi na Hoppy'ego Harringtona. Szkoda, że wszyscy wiedzą, że go znam, pomyślał. Byłoby o wiele lepiej, gdyby odturlał się stąd i poczekał na mnie gdzie indziej. Jednak fokomelik siedział koło niego na wózku, pocierając czoło protezą lewej ręki, i wyglądał na zbyt wyczerpanego, by odjechać choćby na swoje miejsce w drugim końcu sali.

Kiedy jakiś czas potem Stuart pchał wózek ulicą w kierunku sklepu z telewizorami, fokomelik odezwał się cicho:

– Na człowieku, który ma dar spoglądania w świat umarłych, ciąży wielka odpowiedzialność.

– No – odburknął Stuart, nie chcąc się wdawać w rozmowę. Wypełniał tylko swoją obietnicę: pchał wózek i na tym koniec. To, że pcham twój wózek, to jeszcze nie żaden powód, żebym wdawał się z tobą w pogaduszki, pomyślał.

– Gdy to się zdarzyło pierwszy raz... – ciągnął Hoppy.

– Nie interesuje mnie to – przerwał mu Stuart. – Chcę tylko jak najszybciej wrócić do sklepu i zobaczyć, czy wystrzelili rakietę. Pewnie jest już na orbicie.

– Też tak myślę – zgodził się fokomelik. Przystanęli przed skrzyżowaniem, żeby poczekać na zielone światło.

– Kiedy to się zdarzyło pierwszy raz – powiedział Hoppy – bardzo się przestraszyłem. Od razu się zorientowałem, co widzę – dodał, kiedy przechodzili przez jezdnię. – Ten dym i ogień... Wszystko spowite mgłą. To wyglądało trochę jak kopalnia albo jak koksownia. Coś okropnego. – Wzdrygnął się. – No, ale czy teraz to jest takie wspaniałe przeżycie? W każdym razie nie dla mnie.

– Mnie się podobało – odparł krótko Stuart.

– No, oczywiście. Ale ty nie jesteś wybrykiem natury.

Stuart chrząknął.

– Wiesz, jakie jest moje najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa? – zapytał cicho fokomelik. – Pamiętam, jak niosą mnie do kościoła w kocu i układają na ławce jak... – jego głos się załamał. – Wnieśli mnie i wynieśli z kościoła w kocu, żeby nikt mnie nie widział. To był

pomysł mojej matki. Nie mogła się pogodzić z tym, że ojciec nosi mnie na plecach i że ludzie na mnie patrzą.

Stuart znowu chrząknął.

– Co za okropny świat – powiedział Hoppy. – Kiedyś musieliście cierpieć wy, Murzyni. Gdybyś mieszkał na Południu, to i dzisiaj nie byłoby ci łatwo. Ty o tym zapomniałeś, bo pozwolono ci zapomnieć, ale ja... ja nie mam takiej możliwości. Oczywiście nie znaczy to, że chcę zapomnieć o tym, jaki jestem. Na tamtym świecie wszystko będzie inaczej. Przekonasz się o tym, bo i ty się tam znajdziesz.

– Nie – odparł Stuart. – Kiedy umrę, to umrę. Ja nie mam duszy.

– Przekonasz się – powtórzył fokomelik ze złośliwą satysfakcją, a w jego głosie zabrzmiał jakby ton okrutnej radości. – Wiem o tym.

– Skąd? – zapytał Stuart.

– Ponieważ pewnego razu cię tam widziałem.

Stuart mimo woli się przestraszył.

– Aaa... – wyjąkał.

– Widziałem cię – powtórzył fokomelik z naciskiem. – To byłeś ty, nie mam żadnych wątpliwości. Powiedzieć ci, co robiłeś?

– Nie.

– Jadłeś na surowo zdechłego szczura.

Stuart nie rzekł ani słowa, tylko przyspieszył kroku. Pchał wózek coraz szybciej po chodniku. Pędził ile sił w nogach w kierunku sklepu.

Kiedy tam dotarli, zauważyli, że tłumek ciągle jeszcze stoi przed wystawą. Rakieta już wystartowała. Właśnie odrywała się od ziemi i nie można było jeszcze powiedzieć, czy wszystkie kolejne fazy startu przebiegły pomyślnie.

Hoppy zjechał po schodach do warsztatu. Stuart został przed telewizorem, słowa fokomelika wprawiły go jednak w taki niepokój, że nie mógł się skoncentrować na tym, co dzieje się na ekranie. Zauważył, że w biurze na pięterku siedzi Fergesson, i poszedł tam.

Właściciel sklepu siedział przy biurku zawalonym umowami i etykietkami z cenami. Stuart podszedł bliżej.

– Niech pan posłucha, ten cholerny Hoppy... – zaczął. Fergesson spojrzał na niego znad papierów.

– Mniejsza o to – przerwał McConchie, tracąc rezon.

– Przyglądałem się jego pracy – powiedział Fergesson. – Zszedłem do warsztatu i patrzyłem, jak pracuje, a on nie wiedział, że tam jestem. Zgadza się, że był to może dość przykry widok, ale ten chłopak ma smykałkę. Zobaczyłem, co zrobił, i było to zrobione dobrze, a tylko to się liczy. – Spojrzał na niego z gniewem.

– Powiedziałem przecież, że mniejsza o to – powtórzył Stuart.

– Wystrzelili już raketę?

– Przed chwilą.

– Nie sprzedaliśmy dzisiaj dosłownie nic z powodu tego cyrku – powiedział Fergesson.

– Cyrku? – zdziwił się Stuart, siadając przy biurku tak, żeby widzieć sklep na dole. – Przecież to wydarzenie przejdzie do historii.

– To przez was. Stoicie tak cały czas i nic nie robicie. – Fergesson znów zabrał się do etykietek.

– Powiem panu, co zrobił Hoppy. – Stuart nachylił się ku swemu pracodawcy. – Byliśmy dzisiaj w knajpie u Freda.

Fergesson przerwał pracę i spojrzał na niego badawczo.

– Miał atak – powiedział Stuart. – Zupełnie mu odbiło.

– Nie żartuj. – Fergesson wyglądał na niezadowolonego z tego, co usłyszał.

– Odbiło mu, bo napił się piwa. A potem zobaczył, co będzie, kiedy umrzemy. Widział, jak jem zdechłego szczura. Na surowo. Tak mówił.

Fergesson roześmiał się.

– To wcale nie jest zabawne – zaprotestował Stuart.

– Oczywiście, że jest. Odegrał się za te wszystkie wredne gadki, które mu wciskałeś, a ty jesteś tak głupi, że dałeś się nabrać.

– On to naprawdę widział – upierał się Stuart.

– A mnie widział?

– Tego nie powiedział. Nie pierwszy raz zdarzył mu się w tej knajpie taki numer: zawsze, kiedy napije się piwa, wpada w trans, a personel i goście zadają mu pytania. Chcą wiedzieć, jak tam jest. Spotkałem go u Freda przypadkowo, kiedy poszedłem na lunch. Nawet nie widziałem, jak wyjeżdżał ze sklepu, i nie miałem pojęcia, że tam będzie.

Przez chwilę Fergesson siedział ze zmarszczonymi brwiami, zastanawiając się głęboko, a potem przycisnął guzik interkomu, łączącego biuro z warsztatem.

– Hoppy, pofatyguj się na górę. Chciałbym z tobą porozmawiać.

– Nie miałem zamiaru wplątywać go w kłopoty – powiedział Stuart.

– Oczywiście, że miałeś. Z drugiej strony mam prawo wiedzieć, jak moi pracownicy zachowują się w miejscach publicznych i czy nie robią czegoś, co mogłoby zaszkodzić opinii sklepu.

Po chwili usłyszeli odgłos wózka wprowadzanego z trudem po schodach na górę.

– Panie Fergesson – odezwał się Hoppy, gdy pojawił się w biurze – to, co robię w czasie przerwy na lunch, to wyłącznie moja sprawa. Tak uważam.

– Mylisz się – odparł Fergesson. – To również moja sprawa. Powiedz, czy widziałeś mnie

w świecie umarłych? Co tam robiłem? Oczekuję od ciebie konkretnej odpowiedzi, bo inaczej wylecisz stąd jeszcze dzisiaj.

– Nie widziałem pana, panie Fergesson – odpowiedział fokomelik cichym, spokojnym głosem – ponieważ pana dusza zginęła i nie narodzi się ponownie.

Przez chwilę Fergesson przyglądał się uważnie Hoppy’emu.

– Dlaczego? – zapytał w końcu.

– Takie jest pana przeznaczenie.

– Nie popełniłem żadnego przestępstwa ani nie zrobiłem niczego, co byłoby niemoralne.

– Takie jest prawo kosmosu. Niech pan nie ma do mnie pretensji. – Fokomelik zamilkł.

– Chryste – powiedział Fergesson, odwracając się do Stuarta. – Kiedy zadaje się głupie pytania, otrzymuje się równie głupie odpowiedzi. – Potem znowu zwrócił się do Hoppy’ego. – W jaki sposób naprawiłeś ten zmieniacz płyt? Jak naprawdę to zrobiłeś? Wyglądało to tak, jakbyś nie wymienił sprężyny, tylko uzdrowił tę pękniętą. Jak to zrobiłeś? Czy użyłeś tych swoich nadnaturalnych sił, czy co to tam jest?

– Po prostu go naprawiłem – odparł fokomelik.

– No i nie powie – rzekł Fergesson do Stuarta. – Ale ja to widziałem. Widziałem, jak wpatrywał się w tę sprężynę... w jakiś szczególny sposób. Może miałeś rację, McConchie. Może nie trzeba go było przyjmować do pracy. Z drugiej strony liczą się efekty. Słuchaj, Hoppy, nie życzę sobie, żebyś robił takie numery z wpadaniem w trans w miejscach publicznych, przynajmniej na naszej ulicy, dopóki u mnie pracujesz. Mogłeś to sobie robić kiedyś, ale teraz koniec. Wpadaj sobie w trans u siebie w domu, jasne? – Znów wziął do ręki plik etykietek. – To wszystko. Idźcie na dół i weźcie się do roboty, zamiast się płątać bez sensu.

Fokomelik natychmiast zakręcił wózkem i odjechał w stronę schodów. Stuart ruszył za nim powoli, z rękami w kieszeniach.

Kiedy znalazł się na dole i podszedł do telewizora, wokół którego ciągle stał tłumek ludzi, usłyszał, jak sprawozdawca mówi, że pierwsze trzy człony rakiety oddzieliły się pomyślnie.

To dobra wiadomość, pomyślał Stuart. Wielki rozdział w historii ludzkości. Poczuł się nieco podniesiony na duchu. Stał koło lady, skąd miał lepszy widok na ekran.

Dlaczego miałbym jeść zdechłego szczura? – zadał sobie pytanie. Świat, w którym będziemy żyli, gdy narodziemy się ponownie, musi być przerażający. Żeby nawet nie gotować tego szczura, tylko po prostu go złapać i zeżreć. Może nawet ze skórą? – pomyślał. Ze skórą i z ogonem... Wzdrygnął się.

I jak tu się przyglądać, jak na naszych oczach staje się historia, kiedy człowiek musi myśleć o zdechłych szczurach? – zirytował się. Chciałbym się całkowicie skupić na tym wspaniałym spektaklu, którego jestem świadkiem, a zamiast tego mam głowę wypełnioną śmieciem, którego napchał mi tam ten sadystyczny, pokręcony przez lekarstwa i promieniowanie dziwoląg

zatrudniony dzisiaj przez Fergessona. Cholera!

Po czym wyobraził sobie Hoppy'ego nie jako bezrękiego i beznogiego kalekę, lecz istotę unoszącą się w powietrzu. Wyobraził go sobie jako władcę wszystkich ludzi, całego świata, tak jak mówił Hoppy. I ta myśl wydała mu się jeszcze straszniejsza niż wizja pożerania zdechłego szczura.

Na pewno widział też masę rzeczy, o których nie chce mówić, pomyślał Stuart. Rzeczy, które celowo zataja. Mówi nam tylko tyle, ile potrzeba, żebyśmy zrobili wielkie oczy, a potem zamyka dziób. Jeżeli potrafi wejść w trans i zobaczyć, co się dzieje po śmierci, to znaczy, że może zobaczyć wszystko, no bo niczego więcej już nie ma. No, ale ja i tak nie wierzę w te wszystkie wschodnie nauki, pomyślał. W nic, co nie jest chrześcijańskie.

A jednak uwierzył w to, co mówił Hoppy. Uwierzył, ponieważ widział na własne oczy. To rzeczywiście był trans. I co do tego nie mogło być wątpliwości.

Co on jeszcze może widzieć? – zastanowił się. Jakby go tu, pokurcza jednego, zmusić do gadania? Czego jeszcze dowiedział się ten pokręcony, wredny mózdzek o mnie i o innych? O nas wszystkich?

Też chciałbym mieć taki dar. Ta myśl wydała się Stuartowi bardzo istotna, przestał więc się wpatrywać w ekran. Zapomniał o Walterze i Lydii Dangerfieldach i o historii dziejącej się na jego oczach. Głowę miał zaprzątniętą wyłącznie Hoppym i zdarzeniem w restauracji. Miał wielką ochotę przestać się nad tym zastanawiać, ale nie mógł.

Rozdział czwarty

Dobiegający z daleka warkot sprawił, że pan Austurias odwrócił głowę, by się przekonać, co też nadjeżdża drogą. Stał na zboczu wzgórza, na skraju dębowego zagajnika, przysłonił oczy dłonią i zobaczył na szosie poniżej niewielki fokomobil Hopp'ego Harringtona. Siedzący w pojeździe fokomelik sterował nim tak, by omijać dziury w nawierzchni. Warkot jednak nie mógł pochodzić od zasilanego akumulatorem wózka.

Cieżarówka, zdał sobie sprawę pan Austurias. Któraś ze starych, przerobionych na gaz drzewny ciężarówek Oriona Strouda. Teraz ją zobaczył – jechała bardzo szybko, zbliżając się do fokomobilu. Hopp'y zdawał się nie słyszeć pędzącego za nim wielkiego samochodu.

Droga należała do Oriona Strouda. Odkupił ją rok temu od hrabstwa i zobowiązał się ją utrzymywać w dobrym stanie oraz umożliwić przejazd także innym pojazdom, nie tylko swoim ciężarówkom. Nie było mu wolno pobierać żadnych opłat. Jednak wbrew zawartej umowie napędzana gazem drzewnym ciężarówka miała najwyraźniej zamiar zmieść fokomobil z szosy. Jechała, nie zwalniając, prosto na niego.

Boże, pomyślał pan Austurias. Odruchowo podniósł rękę, jakby chciał odepchnąć ciężarówkę. Teraz była już nieomal na wysokości wózka, mimo to Hopp'y ciągle nie zwracał na nią uwagi.

– Hopp'y! – krzyknął pan Austurias, a jego głos na tle warkotu silnika odbił się echem od pograżonego w popołudniowej ciszy lasu.

Fokomelik spojrział w górę, lecz go nie zauważył. Jechał dalej, a ciężarówka była już tak blisko, że Austurias zamknął oczy. Kiedy znów je otworzył, zobaczył, że fokomobil stoi na poboczu. Ciężarówka przewaliła się z rykiem obok. Hopp'y był już bezpieczny. Usunął się z drogi w ostatnim momencie.

Hopp'y wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokiwał protezą za wielkim samochodem. Nie przejął się tym, co się stało, i zupełnie się nie przestraszył, chociaż musiał wiedzieć, że ciężarówka chciała rozjechać go na miazgę. Odwrócił się i pomachał panu Austuriasowi. Nie widział go co prawda, ale wiedział na pewno, że musi być blisko.

Nauczycielowi trzęsły się ręce. Pochylił się, podniósł pusty koszyk i ruszył w górę wzgórza, w kierunku rzucającego głęboki cień dębu. Pan Austurias był na grzybobraniu. Odwrócił się tyłem do drogi i zaczął się pięć w górę, wchodząc w mrok. Hopp'y był bezpieczny, mógł więc zapomnieć i o nim, i o tym, czego był przed chwilą świadkiem. Skupił znów uwagę na wielkich, pomarańczowych okazach *Cantharellus cibarius* – grzyba zwanego kurką.

Tak, to były one – od czarnej ziemi odbijał się żywym, jaskrawym kolorem krąg mięsistych, przypominających kwiaty, niskich, nieomal zagrzebanych w gnijących liściach kapeluszy. Pan

Austurias czuł już w ustach smak wielkiej, świeżej, wyrosłej po ostatnich deszczach kurki. Pochylił się i ułamał pieńek całkiem u dołu, żeby w koszyku znalazło się jak najwięcej grzyba. Jeszcze jeden i starczy na wieczorny posiłek. Przykucnął nad ziemią i rozejrzał się dookoła, nie ruszając się z miejsca.

Następny grzyb, ciemniejszy, może już nie tak świeży... wyprostował się i podszedł do niego ostrożnie, jakby się bał, że mu ucieknie albo że straci go z oczu. Dla pana Austuriasa nie istniało nic smaczniejszego niż kurki, wołał je nawet od delikatnych czernidłaków. Na porośniętych dębami stokach wzgórz i w lasach West Marin znał wiele miejsc, gdzie rosły kurki. Zbierał w sumie osiem gatunków grzybów leśnych i łąkowych. Przez te wszystkie lata uczył się, gdzie można je znaleźć, i tą wiedza mu się opłacała. Większość ludzi bała się zbierać grzyby, zwłaszcza od czasu Katastrofy. Obawiali się szczególnie nowych, zmutowanych gatunków, bo w takim wypadku nie mógł już pomóc żaden podręcznik.

Na przykład ten grzyb, który teraz zerwałem, pomyślał Austurias... czy kolor nie jest trochę inny? Odwrócił go i przyjrzał się blaszkom. Może to niby-kurka, gatunek nie spotykany przedtem w tej okolicy, trujący, może nawet śmiertelnie trujący, zmutowany? Powąchał grzyb i poczuł zapach czarnoziemiu.

Nie jeść go? – zastanowił się. Jeśli fokomelik potrafi spokojnie stawić czoło niebezpieczeństwu, to ja też powinienem.

Włożył kurkę do koszyka i poszedł dalej.

Z dołu, od strony drogi, dobiegał dziwny, przejmujący, urywany dźwięk. Austurias przystanął i zaczął nasłuchiwać. Dźwięk powtórzył się i nauczyciel ruszył szybkim krokiem w kierunku, z którego przybył, aż wyszedł spomiędzy dębów i znalazł się znów bezpośrednio nad szosą.

Fokomobil stał nieruchomo na poboczu, w tym samym miejscu co przedtem. Wewnątrz siedział zgięty wpół rzemieślnik Hoppy Harrington. Co on robi? – zastanowił się Austurias. Konwulsje, które wstrząsały ciałem fokomelika, podrzuciły na moment jego głowę i pan Austurias zauważył ze zdumieniem, że Hoppy płacze.

To strach, zdał sobie sprawę nauczyciel. Fokomelik przestraszył się ciężarówki, ale nie dał tego po sobie poznać: olbrzymim wysiłkiem woli ukrywał przerażenie, dopóki ciężarówka nie zniknęła mu z oczu. Kiedy wydawało mu się, że nikt go nie może zobaczyć i że jest sam – odreagował to.

Jeśli bałeś się aż tak, to dlaczego tak długo nie zjeżdżałeś z drogi tej ciężarówce? – pomyślał Austurias.

W dole chude ciało fokomelika trzęsło się i kołysało w przód i w tył; kościstą, ptasią twarz wykrzywił smutek. Ciekawe, co powiedziałby o tym nasz miejscowy lekarz, doktor Stockstill? – zastanowił się nauczyciel. Ostatecznie przed Katastrofą był psychiatrą. Ma całą masę teorii na

temat Harringtona i jego sprawnego działania.

Pan Austurias dotknął dwóch grzybów leżących w koszyku. Przez cały czas ocieramy się o śmierć, pomyślał.

No, ale czy przedtem było lepiej? Środki owadobójcze wywołujące raka, smog zatrzuwający całe miasta, wypadki drogowe i lotnicze... wtedy też nie było bezpiecznie i nasze życie nie było wcale łatwe. I wtedy, tak jak teraz, trzeba było czasem uskoczyć w bok.

Z tego, co mamy, musimy wycisnąć ile tylko się da i cieszyć się życiem, na ile można. Jeśli można się cieszyć życiem, pomyślał. Jeszcze raz wyobraził sobie patelnię smakowitych kurek na prawdziwym maśle, z czosnkiem, imbirem i domowym rosołem na wołowinie... jaka wspaniała kolacja. Kogo mógłby na nią zaprosić? Kogoś, kogo bardzo lubi, albo kogoś ważnego. Gdyby tylko udało mu się znaleźć jeszcze jedną kurkę... Mógłbym zaprosić George'a Kellera, pomyślał. George'a, kierownika szkoły, mojego szefa. Albo kogoś z rady szkolnej, może nawet samego Oriona Strouda, tego wielkiego, okrągłego, grubego mężczyznę.

Może jeszcze żonę George'a – Bonny Keller – najpiękniejszą kobietę w West Marin, a może nawet w całym hrabstwie. Oto ktoś, komu udaje się przetrwać w obecnym społeczeństwie... właściwie oboje Kellerowie dają sobie świetnie radę od Dnia Katastrofy. W każdym razie wiedzie im się lepiej niż przedtem.

Pan Austurias spojrzął na słońce i obliczył czas. Wyglądało na to, że zbliża się czwarta i nadeszła pora, by pospieszyć do miasta i posłuchać transmisji z przelatującego satelity. Nie wolno mi się spóźnić, pomyślał, ruszając w drogę. Nawet za milion dolarów w srebrze, jak to się kiedyś mówiło. *W niewoli uczuć* – do tej pory usłyszeli czterdzieści odcinków i zaczynało się to robić naprawdę interesujące. Na tej audycji na pewno nikogo nie zabraknie. Tym razem człowiekowi w satelicie udało się wybrać znakomitą rzecz. Ciekawe, czy zdaje sobie z tego sprawę? – zastanowił się pan Austurias. Nie mam sposobu, żeby mu o tym powiedzieć; mogę tylko słuchać. Nie możemy się z nim skontaktować z West Marin. Szkoda. Gdyby wiedział, mogłoby to dla niego wiele znaczyć.

Walt Dangerfield musi być strasznie samotny w swoim satelicie, pomyślał. Okrąża Ziemię dzień za dniem. Śmierć jego żony to przerażająca tragedia – od razu można było zauważyć różnicę – od tamtej pory stał się zupełnie inny. Gdybyśmy tylko mogli ściągnąć go z powrotem... chociaż gdybyśmy tak zrobili, to kto, mówiłby do nas z nieba? Nie, zdecydował nauczyciel. Ściąganie go na Ziemię to niedobry pomysł, bo w ten sposób dowiedziałby się, że już nigdy nie polecą w kosmos. Po tylu latach z pewnością już na poły oszalał od siedzenia w tym pudle i chciałby się z niego wydostać.

Schwycił koszyk z grzybami i ruszył szybko w kierunku Point Reyes Station, gdzie było jedyne radio – ich jedyny kontakt z zamkniętym w satelicie Waltem Dangerfieldem, a przez niego ze światem zewnętrznym.

– Obsesjonaci żyją w świecie, w którym wszystko się rozpada – mówił doktor Stockstill. – To daje im wspaniałą możliwość intuicyjnego wnikania w istotę rzeczy. Spróbuj to sobie wyobrazić.

– W takim razie wszyscy jesteśmy obsesjonatami – odparła Bonny Keller – ponieważ właśnie coś takiego dzieje się na naszych oczach... prawda? – Uśmiechnęła się do niego, a on nie mógł jej nie odpowiedzieć tym samym.

– Możesz się śmiać – powiedział – ale psychiatria jest potrzebna. Może nawet bardziej niż przedtem.

– Absolutnie nie – sprzeciwiła się Bonny. – Nie jestem pewna, czy była potrzebna nawet wtedy, chociaż w tamtych czasach byłam o tym przekonana. Jak sam dobrze wiesz, miałam na tym punkcie obsesję.

June Raub majstrowała przy radiu stojącym w drugim końcu dużego pokoju.

– Proszę o ciszę – powiedziała. – Zaraz będziemy go odbierać.

Odezwał się nasz autorytet, pomyślał Stockstill, a my robimy to, co nam każe. I pomyśleć, że przed Katastrofą była ledwie maszynistką w miejscowej filii Bank of America.

Bonny zmarszczyła brwi i już miała odpowiedzieć coś pani Raub, lecz nagle pochyliła się w stronę Stockstilla.

– Wyjdźmy na zewnątrz. Zaraz przyjdzie George z Edie. No chodź.

Złapała go za ramię i pociągnęła między siedzącymi na krzesłach ludźmi w kierunku drzwi. Doktor Stockstill znalazł się nagle na ganku przed budynkiem.

– Ta June Raub – odezwała się Bonny – jest cholernie arogancka. – Spojrzała na przebiegającą obok Foresters Hall drogę, najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. – Nie widzę mojego męża i córki; nie widzę nawet naszego znakomitego nauczyciela. Austurias chodzi oczywiście po lesie i zbiera muchomory, żeby nas wszystkich wytruć. A co zamierza Hoppy, to Bóg tylko raczy wiedzieć. Pewnie znów grzebie przy jakimś bezsensownym dziwadle.

Bonny zamyśliła się. Stała w półmroku późnego popołudnia i w tej chwili wydała się Stockstillowi szczególnie pociągająca: była ubrana w wełniany sweter i uszytą ręcznie spódnicę; płomiennie rude włosy miała związane w kok. Co za wspaniała kobieta, pomyślał. Szkoda, że już kogoś ma. A potem mimo woli przyszła mu do głowy nieco złośliwa myśl, że to tylko kolejny mężczyzna z całego korowodu kandydatów.

– Idzie mój najukochańszy mąż – powiedziała Bonny. – Udało mu się wyrwać z kieratu szkolnych zajęć. A oto i Edie.

Na drodze pojawiła się drobna sylwetka kierownika szkoły podstawowej, który trzymał za rękę idącą obok miniaturę Bonny Keller – małą rudowłosą dziewczynkę o żywych, inteligentnych, wyjątkowo ciemnych oczach. Kiedy podeszli bliżej, George uśmiechnął się na powitanie.

– Zaczęło się już? – zapytał.

– Jeszcze nie – odparła Bonny.

– To dobrze, bo Bill nie znosi, kiedy się spóźniamy na audycję. Bardzo się denerwuje.

– Kto to jest Bill? – zapytał ją doktor Stockstill.

– Mój brat – odparła Edie spokojnie, z całą godnością, na jaką stać siedmioletnią dziewczynkę.

Nie wiedziałem, że Kellerowie mają dwoje dzieci, pomyślał Stockstill ze zdziwieniem. Zresztą nie było tu oprócz Edie żadnego innego dziecka.

– A gdzie jest Bill? – zapytał.

– Ze mną – odparła Edie. – Jak zawsze. Nie zna pan Billa?

– Wyimaginowany towarzysz zabaw – wyjaśniła Bonny, wzdychając ciężko.

– Wcale nie wyimaginowany – sprzeciwiła się jej córka.

– No dobrze – ustąpiła z irytacją Bonny. – Prawdziwy. Poznaj Billa – zwróciła się do doktora. – To brat mojej córki.

Przez krótką chwilę na twarzy Edie widać było skupienie.

– Bill cieszy się, że mógł pana w końcu poznać, panie doktorze – powiedziała. – Pozdrawia pana.

Stockstill zaśmiał się.

– Powiedz mu, że też się cieszę.

– Idzie Austurias – rzekł George, pokazując palcem. – I niesie ze sobą kolację – dodała Bonny grobowym głosem. – Dlaczego nie nauczy nas zbierać grzybów? Przecież w końcu jest naszym nauczycielem, a nauczyciele są po to, żeby uczyć innych. Muszę ci się przyznać, George, że czasami się zastanawiam, czy ktoś, kto...

– Gdyby nas tego nauczył – powiedział doktor Stockstill – to zjedlibyśmy wszystkie grzyby od razu. – Zdawał sobie sprawę, że pytanie Bonny było czysto retoryczne. Mimo że im się to nie podobało, wszyscy szanowali to, że Austurias zachowuje sekretną wiedzę dla siebie – miał prawo nie dzielić się z nikim swoimi wiadomościami na temat grzybów. Każdy z nich miał jakiś własny zasób wiadomości, z którego korzystał. Inaczej by nie przeżyli, pomyślał. Dołączyliby do olbrzymiej większości leżących pod ich stopami, milczących zmarłych; do milionów ludzi, których można było uważać za szczęściarzy lub pechowców – w zależności od punktu widzenia. Czasami odczuwał potrzebę pesymizmu i w takie dni myślał, że zmarli mieli szczęście. Pesymizm jednak nie gościł nigdy długo w duszy doktora Stockstilla, a już na pewno nie w tej chwili, kiedy stał w cieniu obok Bonny Keller, tak blisko, że wystarczyło tylko wyciągnąć rękę żeby jej dotknąć... tego jednak nie mógł zrobić. Dostałbym od niej prztyczka w nos, pomyślał. I to mocnego. A na dodatek usłyszałby ich George, jakby prztyczek od Bonny nie wystarczył.

Zachichotał. Bonny spojrzała na mego podejrzliwie.

– Przepraszam – powiedział. – Myślałem o takich tam głupstwach.

Pan Austurias podszedł do nich wielkimi krokami, twarz miał czerwoną z wysiłku.

– Wejdźmy – wysapał. – Bo się spóźnimy na audycję Dangerfielda.

– Przecież wie pan, jak to się skończy – powiedział Stockstill. – Wie pan, że Mildred do niego wróci i zamieni jego życie w pasmo udręki. Zna pan tę powieść tak samo dobrze jak ja, jak wszyscy. – Chciało mu się śmiać, kiedy widział, jak bardzo nauczyciel się przejmuje.

– Ja dzisiaj nie będę słuchać – oświadczyła Bonny. – Nie znoszę, jak June Raub mnie ucisza. Stockstill spojrział na nią.

– W przyszłym miesiącu ty możesz zostać przewodniczącą.

– Sądzę, że June potrzebuje psychoanalityka – orzekła Bonny. – Jest taka agresywna, taka męska; to nie jest normalne. Powinieneś pogadać z nią w cztery oczy i poświęcić jej parę godzin.

– Znowu podsyłasz mi pacjenta? Ciągle nie mogę zapomnieć tego ostatniego. – Stockstillowi niełatwo było o nim zapomnieć, ponieważ spotkał się z nim tego dnia, kiedy nad zatoką zrzucono bombę. To już tyle lat, pomyślał. W innym życiu, jakby powiedział Hoppy Harrington.

– Mogłeś mu pomóc – rzekła Bonny – gdybyś miał okazję go leczyć, ale po prostu nie było na to czasu.

– Miło, że mnie podnosisz na duchu – powiedział z uśmiechem.

– A właśnie, doktorze – wtrącił się Austurias. – Miałem dzisiaj okazję zaobserwować, jak nasz mały fokomelik zachowywał się w bardzo dziwny sposób. Chciałem zasięgnąć pana opinii na jego temat, skoro nadarza się okazja. Nie wiem, co o nim sądzić, muszę przyznać... a jednocześnie zaciekawia mnie... Hoppy z całą pewnością ma zdolność przetrwania w pozornie beznadziejnym położeniu. To dla nas bardzo pocieszające, jeśli pan wie, co mam na myśli. Jeżeli udaje się to Hoppy'emu... – Nauczyciel przerwał. – Ale musimy już wejść.

– Ktoś mi mówił, że Dangerfield wspominał ostatnio o twoim starym znajomym – zwrócił się Stockstill do Bonny.

– O Brunonie? – Bonny nagle stała się bardzo uważna. – Żyje, prawda? Wiedziałaś, że żyje.

– Nie, o tym Dangerfield nie mówił. Powiedział coś zgryźliwego o pierwszej wielkiej katastrofie. Przypominasz sobie, co było w 1972 roku?

– Tak – odparła sucho. – Przypominam sobie.

– Według tego kogoś, kto mi to mówił... – Tak naprawdę przypominał sobie bardzo dobrze, że to June Raub powtórzyła mu *bon mot* Dangerfielda, ale nie chciał Bonny jeszcze bardziej do niej zniechęcać. – Powiedział tak: Teraz wszyscy żyjemy w świecie, który powstał w następstwie wypadku spowodowanego przez Brunona. Niesiemy ze sobą ducha siedemdziesiątego drugiego roku. Jasne, że to niezbyt oryginalne: słyszeliśmy już takie głosy. Oczywiście nie potrafię tego powiedzieć tak jak Dangerfield... on ma taki specyficzny styl.

Pewnych rzeczy nikt nie potrafi ująć tak jak on.

Pan Austurias, który zatrzymał się przed drzwiami Foresters' Hall i przysłuchiwał się rozmowie, podszedł teraz do nich.

– Bonny, czy pani znała Brunona Bluthgelda jeszcze przed Katastrofą? – zapytał.

– Tak – odparła. – Przez pewien czas pracowałam w Livermore.

– Teraz Bluthgeld oczywiście nie żyje – rzekł Austurias.

– Ciągłe mi się wydaje, że żyje – odpowiedziała z zadumą. – Był... albo może wciąż jest... wielkim człowiekiem, a ten wypadek w siedemdziesiątym drugim to nie jego wina. Obwiniają go ludzie, którzy o całej tej sprawie nie mają pojęcia.

Pan Austurias odwrócił się bez słowa, wszedł po schodach i zniknął w budynku.

– Cokolwiek by się o tobie powiedziało – odezwał się Stockstill – nie można ci zarzucić, że ukrywasz swoje poglądy.

– Ktoś musi wskazywać ludziom właściwy kierunek – odparła Bonny. – Austurias naczytał się o Bluthgeldzie w gazetach. Gazety! Przynajmniej pod tym względem jest lepiej niż przedtem. Nie ma gazet, chyba że liczyć tę głupią małą „News & Views”, która dla mnie przynajmniej jest pozbawiona znaczenia. A o Dangerfieldzie powiem ci jedno: ten człowiek nie kłamie.

Bonny i Stockstill, a za nimi George z Edie, weszli w ślad za Austuriasem do wypełnionego ludźmi budynku, żeby wysłuchać transmisji nadawanej przez krążącego nad nimi w satelicie Dangerfielda.

Słuchając znajomego głosu na tle radiowych szumów, pan Austurias pomyślał, że może rzeczywiście fizyk Bruno Bluthgeld jeszcze żyje. Możliwe, że Bonny ma rację. Znała go już przedtem i z tego, co podsłuchał z jej rozmowy z psychiatrą (ryzykowne posunięcie w dzisiejszych czasach, ale nie mógł się oprzeć), wynikało, że wysłała kiedyś Bluthgelda na leczenie do Stockstilla... a to potwierdzałoby jego głębokie przekonanie, że doktor Bruno Bluthgeld w ostatnich latach przed Katastrofą cierpiał na zaburzenia psychiczne; że był najwyraźniej szalony i groźny nie tylko jako osoba prywatna, ale – co ważniejsze – jako figura publiczna.

Co do tego nie było nigdy wątpliwości. Opinia publiczna zdawała sobie sprawę, że z tym człowiekiem jest coś nie w porządku. W wystąpieniach Bluthgelda czuło się chorobliwą obsesję, a na jego twarzy odbijała się wyraźnie wewnętrzna udreka, która sprawiała, że nie mówił, lecz bełkotał. Opowiadał o wrogach, o infiltrowaniu społeczeństwa, o systematycznym niszczeniu jego instytucji, szkół i organizacji, a nawet życia prywatnego. Wrogiej działalności dopatrywał się wszędzie: w książkach, filmach, w ludziach i w organizacjach politycznych, które miały poglądy odmienne od jego własnych. Oczywiście propagował swoje idee w sposób inteligentny; nie był przecież jakimś agresywnym krzykaczem z zapadłego miasteczka na południu. Nie, Bluthgeld przemawiał w sposób wyszukany, posługując się naukowym stylem i starannie

dobierając słowa. A jednak, kiedy poddało się jego wypowiedzi głębszej analizie, okazywało się, że nie były one bardziej rozsądne, racjonalne i wyważone niż pijackie gędzenie tego bawidamka Joego McCarth'ego czy jemu podobnych.

Kiedy pan Austurias był jeszcze studentem, spotkał kiedyś Joego McCarthy'ego, który wydał mu się nawet sympatyczny. W Brunonie Bluthgeldzie nie było niczego sympatycznego. Pan Austurias miał również okazję poznać słynnego fizyka, a właściwie ich znajomość była nawet bliższa. Obaj pracowali w tym samym czasie na Uniwersytecie Kalifornijskim, chociaż oczywiście Bluthgeld pełnił funkcję dyrektora instytutu, a Austurias był tylko zwykłym asystentem. Mimo to spotykali się i toczyli spory. Ścierali się zarówno prywatnie – na korytarzu po zajęciach – jak i na płaszczyźnie publicznej. W końcu właśnie Bluthgeld doprowadził do usunięcia Austuriasa z uniwersytetu.

Nie było to trudne, ponieważ Austurias popierał radykalne grupki studentów angażujące się w działania na rzecz pokoju ze Związkiem Radzieckim oraz Chinami i inne, podobne sprawy, a na dodatek wypowiadał się przeciwko popieranym przez Bluthgelda, nawet po katastrofie 1972 roku, eksperymencie z bombą. Pewnego razu skrytykował publicznie przeprowadzony w tymże roku test i nazwał go przykładem psychotycznego sposobu myślenia pewnych wybitnych naukowców – wypowiedź ta była skierowana przeciw Bluthgeldowi i tak też z pewnością została przez niego zrozumiana.

Kto drażni węża, ryzykuje, że zostanie ukąszony, pomyślał pan Austurias... To, że został wyrzucony z uniwersytetu, nie zdziwiło go, lecz utwierdziło jeszcze bardziej w przekonaniu, że ma rację. Kiedy Austurias zastanawiał się nad tą całą historią, dochodził do wniosku, że również doktor Bluthgeld wyszedł z tych sporów silniejszy. Najprawdopodobniej jednak fizyk nigdy już nie zaprzął sobie głowy tą sprawą. Austurias był mało znanym asystentem i uniwersytet nie stracił na jego odejściu – funkcjonował dalej, jak przedtem. Podobnie zresztą jak doktor Bluthgeld.

Muszę o nim porozmawiać z Bonny Keller, pomyślał. Muszę się dowiedzieć wszystkiego, co mi może powiedzieć na temat Bluthgelda, a ponieważ Bonny lubi mówić, nie powinno być z tym kłopotu. Ciekawe też, co Stockstill miałby do dodania na ten temat. Oczywiście, jeżeli widział Bluthgelda chociażby raz, mógłby potwierdzić moją diagnozę, że fizyk cierpi na schizofrenię paranoidalną.

Z radiowego głośnika dobiegał monotony głos Dangerfielda czytającego *W niewoli uczuć*, a pan Austurias zaczął się przysłuchiwać, bo jak zawsze wciągnęła go interesująca akcja. Kiedyś, dawno temu, ważnym problemem wydawało się nam zerwanie nieudanego związku, pomyślał. A teraz gotowi jesteśmy cenić jakąkolwiek więź między ludźmi. Wiele się nauczyliśmy.

Oto jeszcze jeden przeciwnik Brunona Bluthgelda, pomyślała siedząca niedaleko nauczyciela Bonny Keller. Jeszcze jeden człowiek, który zrzuca na niego winę za wszystko, co

się stało, i chce go uczynić kozłem ofiarnym. Przecież sam Bruno nie byłby w stanie wywołać wojny światowej i spowodować śmierci milionów ludzi, nawet gdyby tego chciał.

Ja nie pomogę ci go odnaleźć, pomyślała. Mogłabym dostarczyć panu wielu informacji, panie Austurias, ale tego nie zrobię. Niech pan wraca do swojej kupki pozbawionych okładek książek albo zajmie się zbieraniem grzybów. Niech pan zapomni o Brunonie Bluthgeldzie, a raczej o panu Tree, bo tak się teraz nazywa. Tak nazywa się od tamtego dnia przed siedmiu laty, kiedy zaczęły spadać bomby, a on błąkał się wśród ruin ulicami Berkeley i nie mógł pojąć – podobnie jak my wszyscy – co się właściwie dzieje.

Rozdział piąty

Zgarbiony, z płaszczem przewieszonym przez ramię, Bruno Bluthgeld szedł przez Oxford Street w kierunku zabudowań Uniwersytetu Kalifornijskiego. Nie rozglądał się dookoła. Znał dobrze drogę i nie interesowali go przechodzący obok studenci. Nie zwracał również uwagi na przejeżdżające samochody ani na okoliczne budynki, z których wiele dopiero co wybudowano. Berkeley nie istniało dla niego, ponieważ nie miało dlań znaczenia. Zagłębił się w myślach. Był przekonany, że zrozumiał wreszcie jasno przyczynę swojej choroby. Co do tego, że jest chory, nie miał żadnych wątpliwości, bo czuł się bardzo źle – należało tylko odkryć źródło infekcji.

Pomyślał, że przyczyna tej strasznej choroby, która zmusiła go w końcu, by poszedł do doktora Stockstilla, leży gdzieś na zewnątrz, poza nim samym. Czy psychiatra po ich dzisiejszym spotkaniu ma już na ten temat jakąś przekonującą teorię? Bruno Bluthgeld w to powątpiewał.

Potem spostrzegł nagle, że wszystkie odchodzące w lewo przecznice są pochylone, jakby miasto zapadało się w tamtym kierunku, jak gdyby stopniowo przewracało się na lewy bok. Wydało mu się to zabawne, bo natychmiast zrozumiał przyczynę tego zjawiska – to astygmatyzm, który zaostrzał się pod wpływem napięcia nerwowego. Czuł się tak, jakby szedł po pochyłym, podniesionym z jednej strony chodniku, i zdawało mu się, że wszystko osuwa się na bok. Miał wrażenie, że z nim też dzieje się to samo. Z trudnością stawiał stopy, szedł chwiejnym krokiem i dryfował w lewo razem z ulicą.

Jakże istotne są dane dostarczane przez zmysły, pomyślał. Ważne jest nie tylko to, co się odbiera, ale i to, w jaki sposób się to dzieje. Zaśmiał się cicho. Łatwo stracić równowagę, kiedy ma się ostry astygmatyzm, pomyślał. Jak bardzo zmysł równowagi może wpłynąć na nasze widzenie otaczającego świata... słuch jest pochodną zmysłu równowagi – niedocenianego fundamentu innych zmysłów. Niewykluczone, że dostałem lekkiego zapalenia błędnika. Powinienem dać się przebadać.

Tak jak przewidywał, zakłócenie zmysłu równowagi zaczęło wpływać na jego słuch. To fascynujące, jak oko i ucho połączyły się w całość. Najpierw wzrok, potem równowaga, a teraz zaczynał też inaczej słyszeć.

Dobiegało go przytłumione, głębokie echo własnych kroków, stukających po chodniku butów. Nie był to jednak ostry, wyraźny odgłos, jaki mogłyby wydawać damskie pantofle, lecz tępe, głuche dudnienie, jakby dobiegające z jakiejś rozpadliny czy jaskini.

To nie był przyjemny dźwięk. Wbijający się w czaszkę łomot powodował przejmujący ból. Zwolnił, skrócił krok i zaczął się przyglądać uderzającym o chodnik stopom, jakby chciał przewidzieć, kiedy się rozlegnie ten hałas.

Wiem, skąd to się bierze, pomyślał. Już przedtem zdarzało mu się słyszeć owo echo, które wywołują normalne dźwięki w labiryncie ucha. Podobnie jak zaburzenia wzroku, również ta dolegliwość miała proste fizjologiczne podłoże. Kiedyś całymi latami podobne objawy dziwiły go i przerażały, choć brały się po prostu ze złej postawy, z napięcia układu kostnego, zwłaszcza w okolicy podstawy karku. Obracając głową na boki, był nawet w stanie sprawdzić słuszność swojej teorii. Słyszał lekki trzask kręgów szyjnych – krótki, ostry dźwięk, który natychmiast powodował bardzo bolesny łomot w uszach.

Muszę być dzisiaj wyjątkowo przygnębiony, pomyślał Bruno Bluthgeld. W tym momencie zaczęło się pojawiać jeszcze jedno, głębsze i dotychczas nie znane mu zaburzenie percepcji. Szara chmura dymu opadała powoli na otaczające go przedmioty, sprawiając, że domy i samochody zaczęły wyglądać jak nieruchome, ciemne, pozbawione barw kopce.

Gdzie się podzieli ludzie? Wydało mu się, że wlecze się zupełnie sam, ciężkim, stromym szlakiem wzdłuż Oxford Street do miejsca, gdzie zostawił swojego cadillaca. A może wszyscy (dziwna myśl) weszli nagle do budynków? Jakby chcieli się skryć przed deszczem, pomyślał... przed deszczem drobnych płatków sadzy wypełniających powietrze i przeszkadzających w widzeniu, oddychaniu i posuwaniu się naprzód.

Zatrzymał się. Stał przy skrzyżowaniu i spojrzał w głąb bocznej ulicy, która ginęła w dziwnym mroku, a potem popatrzył w prawo, gdzie ulica pięła się w górę, aż gwałtownie się urywała, jak ucięta. Nagle ku swemu zdziwieniu dostrzegł coś, czego nie mógł sobie wytłumaczyć zaburzeniami funkcji organizmu – pęknięcia w murach. Budynki po jego lewej stronie waliły się. W ich ścianach otwierały się ostre rysy, jakby ustępowała najtwardsza z substancji – beton, na którym stało miasto i z którego zrobione były otaczające go domy, ulice, fundamenty.

Jezu Chryste, pomyślał. Co to jest? Wpatrywał się w chmurę sadzy. Teraz zniknęło też niebo, zasłonięte całkowicie ścianą czarnego deszczu.

A potem, wśród kawałów betonu i gruzów, dostrzegł małe, jakby uschnięte kształty. To byli ludzie, przechodnie, którzy zniknęli na jakiś czas. Teraz pojawili się znowu, tym razem jednak wszyscy byli skurczeni i patrzyli na niego niewidzącymi oczami, nie mówiąc ani słowa, tylko kręcąc się w kółko bez celu.

– Co to jest? – zapytał, tym razem na głos. Usłyszał, jak jego słowa odbiły się głuchym echem. Wszystko zniszczone, całe miasto jest kompletnie zniszczone. Ale co je zburzyło? Co się stało? Zszedł z chodnika i zaczął się przeciskać między rozrzuconymi, rozbitymi kawałkami Berkeley. To nie złudzenie, zrozumiał. Wydarzyła się jakaś ogromna, straszliwa katastrofa. Nagle usłyszał grzmot i płatki sadzy zawirowały, poruszone tym dźwiękiem. Gdzieś z daleka, bardzo słabo, zabrzmiał samochodowy klakson.

Stuart McConchie stał w sklepie z telewizorami i oglądał transmisję ze startu rakiety

Dangerfieldów. Nagle, ku swemu zdumieniu, zauważył, że ekran zgasł.

– Stracili obraz – stwierdził ze zniechęceniem Lightheiser.

Stojący wokół ludzie poruszyli się oburzeni. Lightheiser gryzł wykałaczkę.

– Zaraz będzie – powiedział Stuart, pochylając się nad odbiornikiem, żeby zmienić kanał.

Ostatecznie dzisiejsze wydarzenie transmitowały wszystkie stacje.

Na żadnym kanale nie było obrazu. Nie było również dźwięku. Przełączył jeszcze raz. W dalszym ciągu nic.

Z piwnicy wybiegł jeden z techników i rzucił się w stronę frontowych drzwi.

– Czerwony alarm! – krzyknął.

– Co to takiego? – zapytał Lightheiser ze zdziwieniem, a jego twarz nabrała jakiegoś niezdrowego wyrazu.

Patrząc na niego, Stuart McConchie rozumiał bez słów jego myśli. On sam nie musiał się zastanawiać. Od razu pojął, co się stało; wybiegł ze sklepu na ulicę i zatrzymał się na pustym chodniku. Kiedy ludzie przed telewizorem zobaczyli biegnących McConchiego i technika, również rozpierzchli się we wszystkie strony. Jedni usiłowali dostać się na drugą stronę ulicy, przebiegając między jadącymi samochodami; inni kręcili się w kółko, a jeszcze inni biegli prosto przed siebie. Mogło się wydawać, że na każdego z nich spadło inne nieszczęście.

Stuart i Lightheiser biegli w kierunku szarozielonej metalowej kłapy w chodniku, prowadzącej do pustego teraz podziemnego magazynu, w którym kiedyś, dawno temu, przechowywane były zapasy drugstore'u. Obaj szarpnęli za klapę, a potem zawołali jednocześnie, że nie chce się otworzyć. Można ją było odblokować tylko od spodu. W drzwiach sklepu z konfekcją męską pojawił się sprzedawca. Zobaczył ich. Lightheiser wrzasnął na niego, żeby pobiegł natychmiast na dół i otworzył klapę.

– Otwórz klapę! – krzyknął Lightheiser, a po nim okrzyk ten powtórzył Stuart i jeszcze kilku ludzi, którzy stali lub kucali wokół, czekając, aż otworzy się wejście do magazynu. Sprzedawca odwrócił się i wbiegł z powrotem do sklepu. Po chwili pod stopami Stuarta rozległ się szcęk.

– Cofnij się – powiedział starszy, potężnie zbudowany mężczyzna. – Zejdz z kłapy.

Spojrzeli w głąb znajdującej się pod chodnikiem zimnej, mrocznej jamy, a potem zeskoczyli do środka. Upadli na dno i leżeli przyciśnięci do wilgotnego betonu. Niektórzy zwijali się w kłębek, inni kładli się płasko na ziemi. Wili się i wciskali w pokruszoną, zalatującą zgnilizną posadzkę, na której leżały zdechłe stonogi.

– Zamknijcie tam u góry! – zawołał jakiś mężczyzna.

Zdawało się, że wśród ludzi znajdujących się w piwnicy nie ma kobiet; nawet jeżeli były, nie odzywały się ani słowem. Stuart nasłuchiwał z głową wciśniętą w ką, lecz docierały do niego tylko męskie głosy. Słyszał, jak inni chwytają za klapę i próbują ją zamknąć. Potem pojawili się nowi ludzie: spadli bezładnie, krzycząc, jakby wrzuceni przez otwór w górze.

– Boże, jak długo jeszcze? – zapytał ktoś.

– Już – powiedział Stuart. Wiedział, że to właśnie teraz, wiedział, że w tym momencie wybuchają bomby, czuł je. Wydawało mu się, że wszystko to odbywa się wewnątrz jego ciała. Usłyszał wybuchy bomb, a może były to jakieś pociski wystrzelone przez wojsko, żeby je zniszczyć; może to była obrona. Chce znaleźć się jak najniżej, pomyślał Stuart. Tak głęboko, jak to możliwe. Chce znaleźć się pod ziemią. Przycisnął się do posadzki i przekręcił, by stać się możliwie płaskim. Ludzie leżeli teraz na nim; dusił się pod ich płaszczami, ale nie miał nic przeciwko temu. Nie chciał, żeby wokół było pusto, potrzebował solidnej osłony ze wszystkich stron. Nie musiał oddychać. Zamknął oczy. Zarówno one, jak i inne otwory jego ciała – usta, uszy i nos – zamknęły się. Obwarował się i czekał.

Znowu wybuchy.

Ziemia zadygotała.

Damy sobie radę, pomyślał. Tu, w głębi ziemi, jesteśmy bezpieczni. Jesteśmy w środku, w miejscu, które jest bezpieczne. Przejdzie nad nami. Ten wiatr.

Nad nimi z ogromną prędkością przewalił się podmuch. Stuart wiedział, że to właśnie to: że górą przesuwa się gnana potężną siłą masa powietrza.

Leżący w dziobie *Dutchmana IV* Walt Dangerfield ciągle czuł na sobie prasę przyspieszenia.

– Walt, trzeci człon oddzielił się zgodnie z planem – usłyszał w słuchawkach głos z znajdującego się w dole bunkra. – Jesteście na orbicie. Właśnie dowiedziałem się, że ostatni stopień odpalimy o 15.45, a nie o 15.44.

Prędkość orbitalna, pomyślał, próbując przekręcić głowę, żeby spojrzeć na żonę. Straciła przytomność; natychmiast odwrócił wzrok i zajął się swym aparatem tlenowym. Wiedział, że nic jej nie będzie, ale wolał nie patrzeć, jak cierpi. W porządku, pomyślał. Z nami wszystko w porządku. Jesteśmy na orbicie i czekamy na odpalenie ostatniego członu rakiety. Nie jest źle.

– Na razie wszystko przebiega dokładnie według planu – rozległ się głos w słuchawkach. – Jest z nami prezydent. Masz jeszcze osiem minut i sześć sekund, zanim zaczniesz wstępna korekta przed odpaleniem czwartego stopnia rakiety. Gdyby korekta niewielkich...

Szumy zagłuszyły głos w słuchawkach. Już nic nie słyszał.

Gdyby korekta niewielkich, lecz istotnych odchyłeń od zadanej trajektorii nie zakończyła się całkowitym powodzeniem, to zostaniemy ściągnięci na ziemię, tak jak było w wypadku lotów bezzałogowych, pomyślał Dangerfield. A potem spróbujemy jeszcze raz. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, wejście w atmosferę to dobrze znana procedura. Czekał.

Głos w słuchawkach odezwał się znowu:

– Walter, jesteśmy atakowani.

– Co? – zapytał. – Coś ty powiedział?

– Boże, miej nas w swojej opiece – usłyszał. To był pusty, pozbawiony uczucia głos

człowieka, który już nie żyje. A potem głos zamarł. Zniknął.

– Atakowani przez kogo? – powiedział do mikrofonu. Pomyślał, że to może jakieś pikiety, demonstranci; wyobraził sobie rzucone cegły i rozwścieczony tłum. Zostali napadnięci przez jakichś szaleńców, czy o to chodzi?

Z trudem wyzwolił się z pasów i spojrzał w dół przez iluminator. Ogarnął wzrokiem chmury, ocean, potem całą planetę. Tu i ówdzie na powierzchni błyskały płomyki zapalek. Zobaczył dymki i wybuchy. Lecącym bezgłośnie przez przestrzeń i patrzącym na rozrzucone po Ziemi drobinki eksplozji Dangerfieldem owładnął strach. Zrozumiał, co to znaczy.

To śmierć, pomyślał. Śmierć zapala co sekundę ogień i niszczy życie.

Nie odrywał wzroku od iluminatora.

Doktor Stockstill wiedział, że pod jednym z banków jest schron, lecz nie mógł sobie przypomnieć, jaki to bank. Złapał swoją sekretarkę za rękę, wybiegł z budynku i ruszył przez Center Street, wypatrując znanego od lat czarno-białego znaku, który stał się częścią niezmiennego krajobrazu ulicy, przy której pracował. Znak wtopił się w nieruchomą scenografię, a teraz właśnie psychiatrze zależało, żeby tak jak kiedyś rzucił mu się w oczy, by stał się konkretnym symbolem czegoś bardzo ważnego, co mogło mu ocalić życie.

W końcu to właśnie sekretarka pokazała mu drogę, ciągnąc go za rękaw. Krzyczała mu do ucha tak długo, aż w końcu zobaczył, gdzie jest schron. Odwrócił się w tamtym kierunku, a potem pobiegli oboje przez jezdnię, między ludźmi i zastygłymi, znieruchomiałymi samochodami. W chwilę później przeciskali się z wysiłkiem, żeby wejść do podziemnego pomieszczenia. Kiedy przedzierał się przez zbitą masę ludzi, coraz niżej i niżej w głąb schronu, pomyślał o pacjencie, którego dopiero co pożegnał. Pomyślał o panu Tree, a w jego umyśle jakiś głos powiedział wyraźnie: „Ty to zrobiłeś. Zobacz, co się stało: zabiłeś nas wszystkich”.

Rozdzielono go z sekretarką i teraz był sam wśród obcych; dyszał im w twarze i czuł na sobie ich oddechy. Przez cały czas słyszał lamenty kobiet i małych dzieci, zaskoczonych w trakcie robienia zakupów w domach towarowych. Czy drzwi są zamknięte? – zastanowił się. Czy już się zaczęło? Tak, zaczęło się, właśnie w tym momencie. Zamknął oczy i zaczął się głośno, histerycznie modlić, nasłuchując jednocześnie tego dźwięku. Nie słyszał go jednak.

– Przestań się pan tak drzeć – powiedziała mu jakaś kobieta prosto do ucha, z tak bliska, że aż go zabolalo. Otworzył oczy. Kobieta w średnim wieku patrzyła na niego z wściekłością, jakby tylko jego głośna modlitwa miała znaczenie, jakby nie było nic ważniejszego. Poświęcała całą swoją energię temu, żeby zamilkł, a on, zdziwiony, rzeczywiście przerwał modlitwę.

Czy o to właśnie ci chodziło? – pomyślał zdumiony tak beznadziejnie wąskim i ograniczonym zainteresowaniem rzeczywistością.

– Dobrze – odparł. – Ty cholerna idiotko – dodał, lecz ona go nie usłyszała. – Przeszkadzało ci to? – ciągnął, nie zwracając na nią uwagi. Kobieta wpatrywała się z oburzeniem w kogoś

innego, kto ją szturchnął czy potracił. – Przepraszam – powiedział. – Przepraszam, ty głupia stara wrono, ty... – obrzucał ją wyzwiskami, klął, zamiast się modlić, i to przynosiło mu większą ulgę.

A potem nagle, kiedy tak rzucał mięsem, przyszła mu do głowy dziwna, lecz bardzo klarowna myśl: zaczęła się wojna i spadają na nich bomby, które zapewne ich zabiją, lecz to nie Rosjanie czy Chińczycy zrzucają te bomby, lecz Waszyngton. Coś musiało się popsuć i spowodować, że umieszczony w kosmosie automatyczny system obronny zadziałał właśnie w ten sposób i nikt nie potrafi go zatrzymać. Tak, to prawdziwa wojna i prawdziwa śmierć, lecz ich przyczyną jest błąd, nie zaś celowe działanie. Nie sądził, by te siły nad nimi były im wrogię. Nie było w nich mściwości ani żadnej motywacji do walki, tylko lodowata obojętność. To tak, jakby przejechał go samochód – wydarzenie niezaprzeczalnie realne, lecz właściwie pozbawione znaczenia. To nie polityka, lecz jakaś awaria, błąd czy przypadek sprawiły, że stało się to, co się stało.

I dlatego w tej chwili nie czuł nienawiści i pragnienia odwetu na przeciwniku, ponieważ nie potrafił sobie wyobrazić, wytłumaczyć czy zrozumieć, co kryje się pod tym słowem. Wyglądało na to, że jego ostatni pacjent, pan Tree, doktor Bluthgeld czy kim on tam właściwie był, wessał w siebie wszystko to, co mieści się pod pojęciem „przeciwnik” i nie zostawił nic dla innych. Bluthgeld sprawił, że Stockstill stał się innym człowiekiem, kimś, kto nawet w obecnej sytuacji nie potrafi widzieć wroga w kimkolwiek innym. Szaleństwo Bluthgelda odebrało słowu „przeciwnik” całą wiarygodność.

– Będziemy walczyć, będziemy walczyć, będziemy walczyć – zawodził jakiś stojący niedaleko psychiatry mężczyzna.

Stockstill spojrział na niego ze zdumieniem, zastanawiając się, z kim też ów człowiek chce walczyć.

Przecież spadają na nich bomby; czy zamierza wzlecieć w niebo w jakimś przedziwnym akcie zemsty?

Czy potrafi zawrócić siły natury tak, jak puszcza się do tyłu rolkę filmowej taśmy? Bardzo dziwny i pozbawiony sensu pomysł. Tym człowiekiem musiała zawładnąć podświadomość. Jego zachowaniem nie kierowało już ego, lecz jakiś archetyp.

Zaatakowało nas coś bezosobowego, pomyślał doktor Stockstill. Tak, to właśnie to – uderzono w nas jednocześnie od wewnątrz i z zewnątrz. Nadszedł koniec współpracy, koniec naszych wspólnych dążeń. Zostały tylko atomy. Osobne, zamknięte kształty, które uderzają o siebie, nie wydając wyraźnych dźwięków, lecz tylko nieokreślony szum.

Wcisnął palce w uszy, usiłując odgrodzić się od otaczających go odgłosów. Miał absurdalne wrażenie, że hałas dobiega z dołu, że dźwięk wznosi się, zamiast dochodzić z góry. Chciało mu się śmiać.

Krótko przed bombardowaniem Jim Fergesson zszedł do warsztatu, gdzie naprawiano telewizory. Stał naprzeciwko Hoppy'ego Harringtona i widział, jak zmieniła się twarz fokomelika, kiedy na falach ultrakrótkich ogłoszono czerwony alarm, po którym natychmiast zaczął działać system conalrad. Zobaczył, jak na pociągłą, kościstą twarz wpełza krzywy uśmiech przypominający grymas chciwości; wyglądało to tak, jakby chłopak usłyszał i pojął ukrytą wiadomość. Hoppy'ego przepełniała radość, radość istnienia. Nagle wyraźnie się ożywił, odrzucił wszystko, co go krępowało, co przyduszało go do ziemi, wszystkie te siły, które przedtem sprawiały, że był powolniejszy niż inni. W oczach Harringtona pojawił się blask; wykrzywił wargi i wysunął język, jakby naśmiewając się ze swojego szefa.

– Ty cholerny potworku – powiedział Fergesson.

– To koniec! – wrzasnął fokomelik. Dziwny wyraz zniknął już z jego twarzy. Może nawet nie usłyszał, co Fergesson do niego powiedział. Wydawało się, że jest całkowicie zajęty sobą. Trząsał się, a wystające z wózka sztuczne kończyny wiły się i tańczyły jak rzemyki bata.

– A teraz słuchajcie – odezwał się Fergesson. – Zostańcie tutaj, jesteśmy poniżej poziomu ulicy. – Złapał za ramię technika, który nazywał się Bob Rubinstein. – Zostań, durniu, gdzie jesteś. Pójdę na górę i sprowadzę stamtąd ludzi. Zrób tu tyle miejsca, ile tylko się da. – Puścił swojego pracownika i pobiegł w kierunku schodów.

Kiedy wbiegał po dwa stopnie, trzymając się kurczowo poręczy, coś nagle stało się z jego nogami. Dolna połowa jego ciała została odcięta: upadł do tyłu, potoczył się po schodach, a z góry runęły tony białego tynku. Uderzył głową o betonową posadzkę i wtedy zrozumiał, że budynek został trafiony, zdmuchnięty i że na górze nie ma już nikogo. Sam też był ranny, przecięty na pół, i zdał sobie sprawę, że przeżyją tylko Hoppy i Bob Rubinstein, choć nawet to nie było wcale pewne.

Chciał coś powiedzieć, ale już nie mógł.

Siedzący ciągle przy stole Hoppy poczuł, jak budynek zadrżał od wybuchu, i zobaczył, że otwór drzwi wypełnia się kawałkami sufitu, a schody zamieniają się w wirujące w powietrzu drewniane drzazgi, wśród których jest coś jeszcze, coś miękkiego – kawałki ludzkiego ciała. Jeżeli było to ciało Fergessona, oznaczało to, że właściciel sklepu nie żyje. Cały dom zatrzaskał się i rozległ się dźwięk przypominający huk zatrzaskiwanych drzwi. Jesteśmy odcięci, zdał sobie sprawę Hoppy. Lampa nad ich głowami zgasła i nie było nic widać. Ciemność. Bob Rubinstein zawył przejmująco.

Fokomelik odjechał wózkiem w tył w ciemną czeluść piwnicy, wybierając drogę dotknięciami protez. Wymacał przejście między przeznaczonymi na sprzedaż wielkimi telewizorami zapakowanymi w kartony, wciskając się powoli i ostrożnie tak głęboko, jak tylko mógł, byle jak najdalej od wejścia. Z góry nic na niego nie spadło. Fergesson miał rację. Tutaj, poniżej poziomu ulicy, jest bezpiecznie. Ci, którzy zostali na górze, są już tylko kawałkami

mięsa wymieszanymi z białym pyłem, który był kiedyś budynkiem, lecz tutaj jest inaczej.

Nie było czasu, pomyślał. Ostrzegli nas, a potem zaraz się to zaczęło i wciąż trwa. Czuł wiejący w górze wiatr, który gnał niczym nie zatrzymywany, bo wszystko, co przedtem stało, leżało teraz na ziemi. Nie możemy stąd wyjść z powodu promieniowania, zrozumiał. Nawet potem. Na tym właśnie polegał błąd Japońców: wyszli od razu na powierzchnię z uśmiechem na ustach.

Jak długo będę musiał tu zostać? – zastanowił się. Miesiąc? Nie będzie wody, chyba że pękła jakaś rura. Po jakimś czasie skończy się też powietrze, o ile między gruzami nie będzie jakichś szpar. Mimo wszystko lepiej zostać tu, niż wychodzić na zewnątrz. Nie wyjdę, postanowił. Nie jestem takim idiotą jak inni.

Teraz nic już nie słyszał. Wstrząsy ustały, skończył się też deszcz spadających w otaczającej go ciemności przedmiotów – drobiazgów zsuwających się z półek i regałów. Cisza. Nie słyszał Boba Rubinsteina. Zapalki. Wyciągnął z kieszeni pudełko, zapalił jedną i zobaczył, że kartony pospadały w taki sposób, że stworzyły wokół niego zamkniętą przestrzeń. Był sam w swoim własnym pomieszczeniu.

Do licha, pomyślał z entuzjazmem, ale mam szczęście. To miejsce jest jakby dla mnie stworzone. Mogę tu tkwić całymi dniami i przeżyć; wiem, że było mi to pisane, tak jak Fergessonowi było pisane umrzeć na samym początku. To wola boża. Bóg wie, co robi. Patrzy na nas – co do tego nie ma wątpliwości. To wszystko, co się stało, to wielkie sprzątanie świata. Trzeba było zrobić miejsce, stworzyć ludziom przestrzeń, między innymi i mnie.

Zgasił zapalkę i znów ogarnęła go ciemność, ale to mu nie przeszkadzało. Muszę czekać, tu, na tym wózku, pomyślał. Na tym polega szansa, którą mi dano. Kiedy stąd wyjdę, będę inny. To przeznaczenie, które kierowało mną, zanim jeszcze przyszedłem na świat, i wciąż mną kieruje. Teraz wszystko rozumiem. Rozumiem, dlaczego jestem inny niż wszyscy. Pojmuję przyczynę.

Ile czasu już upłynęło? – zastanowił się. Zaczynał się niecierpliwić. Godzina? Nienawidzę czekać, pomyślał. To znaczy wiem, że muszę czekać, ale wolałbym, żeby to tak długo nie trwało. Nasłuchiwał, czy na górze nie ma jakiś ludzi, wojskowych grup ratunkowych, które odgrzebują zasypanych. Na razie nie było jednak nic słychać.

Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo, pomyślał. Jest tyle do zrobienia. Czeka mnie praca.

Kiedy się stąd wydostanę, wezmę się do spraw organizacyjnych, ponieważ właśnie to będzie potrzebne: organizacja i udzielanie wskazówek. Ludzie będą się kręcić w kółko, bez celu. Może już teraz powinienem zabrać się do układania planu.

W ciemności zaczął układać plan działania. Przychodziły mu na myśl najróżniejsze projekty. Nie tracił czasu i nie siedział beczynnym tylko dlatego, że nie mógł się poruszać. W głowie kłębiły mu się przeróżne oryginalne pomysły. Nie mógł się doczekać, żeby przekonać się, jak

sprawdzą się w działaniu. Większość z nich dotyczyła sposobów na przetrwanie. Nikt już nie będzie uzależniony od licznego społeczeństwa. Życie będzie się opierać na małych miasteczkach i samodzielnym działaniu, jak w książkach Ayn Rand. Nastąpi koniec konformizmu i ujednoczonego myślenia. Znikną też śmieci: nie będzie już produkowanych przez fabryki śmieci, takich jak te kartony z trójwymiarowymi kolorowymi telewizorami, które zwaliły się na niego ze wszystkich stron.

Serce tłukło mu się w piersi z ekscytacji i niecierpliwości. Nie mógł już znieść tego oczekiwania i wydawało mu się, że upłynął chyba milion lat. Jeszcze go nie znaleźli, choć już szukają. Wiedział o tym; czuł, że pracują, że są coraz bliżej.

– Pospieszcie się! – krzyknął, wyrzucając przed siebie protezy rąk. Ich końce uderzyły o kartony z telewizorami, wydając głuchy odgłos. Ze zniecierpliwieniem zaczął uderzać w tekturowe pudła. Bębnienie rozniosło się po pograżonym w mroku pomieszczeniu i wydawało się, że jest tu więcej uwięzionych, cała gromada ludzi, nie tylko samotny Hoppy Harrington.

Dom Bonny Keller stał na zboczach wzgórza w zachodniej części hrabstwa Marin. Dobiegająca z living roomu muzyka klasyczna nagle ucichła. Bonny wyszła z sypialni, ścierając z rąk resztki tempery i zastanawiając się, czy – jak mówił George – szlag trafił znowu tę samą lampę.

A potem zobaczyła rysujący się na tle nieba potężny słup dymu, tak gęsty i brunatny, że przypominał pień drzewa. I wtedy właśnie rozprysnęło się okno. Upadła na plecy i potoczyła się po podłodze, porwana falą szklanych odłamków. Wszystkie znajdujące się w domu przedmioty zatrzęsły się, pospadały na podłogę i rozbijając się, potoczyły w tym samym co Bonny kierunku, jakby ktoś uniósł dom z jednej strony.

Uskok San Andreas, zrozumiała. Straszliwe trzęsienie ziemi – takie samo jak osiemdziesiąt lat temu. Wszystko, co zbudowaliśmy... wszystko leży w gruzach. Uderzyła plecami w szczytową ścianę domu, która teraz leżała poziomo. Zobaczyła, jak z góry spadają niby deszcz i rozbijają się lampy, stoliki i krzesła, i pomyślała ze zdumieniem, że wszystko to takie tandetne. Nie mieściło jej się w głowie, jak rzeczy, które należały do niej od lat, mogły tak łatwo ulec zniszczeniu. Tylko ściana, którą miała pod sobą, została cała.

Mój dom, pomyślała. Już go nie ma. Nie ma niczego, co do mnie należało i co miało dla mnie jakieś znaczenie. Przecież to niesprawiedliwe.

Leżała na plecach, dysząc ciężko. Bolała ją głowa. Wygładziła ubranie i spostrzegła, że jej ręce są zupełnie białe od pokrywającego je pyłu i trzęsą się. Nadgarstek zalała krew z jakiejś rany, której nie zdołała zlokalizować. O Boże, moja głowa, pomyślała. Przesunęła ręką po czole i jakieś kawałki wypadły jej spomiędzy włosów. Nagle spostrzegła coś, czego nie mogła zrozumieć: podłoga znowu była na swoim miejscu, a ściana wróciła do pionu. Znowu było normalnie, z tym że wszystko leżało potłuczone i połamane. To się nie zmieniło. Dom pełen

śmiesi, pomyślała. Miną tygodnie albo nawet miesiące. Nigdy już nie będzie jak przedtem. To koniec naszego życia, naszego szczęścia.

Wstała i zaczęła się kręcić po domu. Kopnęła na bok szczątki krzesła. Przedzierając się przez rumowisko, dotarła do drzwi. W powietrzu było gęsto od drobinek pyłu, które wdychała, którymi się dławiła i które wzbudzały w niej nienawiść. Wszędzie leżało pełno szkła i nie było już wspaniałych panoramicznych okien. Zostały tylko puste kwadratowe otwory, gdzie tkwiły luźne odłamki szyb, ciągle jeszcze spadające na ziemię. Drzwi wygięły się, tworząc szczelinę. Przesunęła je, napierając całym ciałem, wyszła niepewnie na zewnątrz i stanęła kilka metrów od domu, rozglądając się dookoła, żeby się zorientować, co też właściwie się stało.

Głowa bolała ją coraz bardziej. Co się stało z moimi oczami? – zdumiała się. Z trudnością utrzymywała otwarte powieki. Czy widziałam jakieś światło? Zapamiętała błysk, na który nie zdążyły zareagować nerwy wzrokowe, błysk tak nagły i krótki, jakby otwarta się migawka aparatu fotograficznego, właściwie nawet nie można było powiedzieć, że go widziała. A jednak bolały ją oczy i czuła, że coś się z nimi stało. Całe jej ciało było obolałe, czemu nawet się nie dziwiła. Jednak na ziemi nie zauważyła żadnych pęknięć. Dom też stał; tylko okna i wszystko to, co było wewnątrz, uległo zniszczeniu. Została tylko budowla, pusta skorupa, w której nic już nie było.

Idąc wolno przed siebie, pomyślała, że powinna poszukać kogoś, kto mógłby jej pomóc. Potrzebuję pomocy lekarskiej. A potem, kiedy się potknęła i upadła, spojrzała w niebo i jeszcze raz zobaczyła na południu słup brunatnego dymu. Czy San Francisco już płonie? – zadała sobie pytanie.

Tak, to pożar, zdecydowała. To prawdziwa katastrofa. Nie tylko tu, w West Marin; miastu też się dostało. To nie tylko my, mieszkający na wsi, ale i ci z San Francisco. Tam muszą być tysiące zabitych. Będzie trzeba ogłosić stan klęski i sprowadzić Czerwony Krzyż i wojsko; zapamiętamy ten dzień na całe życie. Szła dalej przed siebie, płacząc, z dłońmi przyciśniętymi do twarzy. Nie widziała, dokąd idzie, zresztą i tak było jej wszystko jedno. Nie płakała nad sobą ani nad zniszczonym domem, lecz nad leżącym na południu miastem.

Płakała nad jego mieszkańcami, ich domami i nad tym, co się z nimi stało.

Już nigdy nie zobaczę San Francisco, pomyślała. Nie ma go już. Miasto nie istnieje. Dzisiaj nadszedł jego koniec. Z twarzą zalaną łzami wlokła się w kierunku miasta. Słyszała już głosy ludzi, podnoszące się z leżącej w dole równiny. Poszła w ich stronę.

Obok Bonny zatrzymał się samochód. Otworzyły się drzwi i jakiś mężczyzna wyciągnął do niej ze środka rękę. Nie wiedziała nawet, czy mieszka w tej okolicy, czy po prostu tędy przejeżdżał. Rzuciła mu się na szyję.

– Już dobrze – powiedział nieznajomy, obejmując ją w pasie.

Ciągle płacząc, przysunęła się bliżej, wcisnęła się w siedzenie i przyciągnęła mężczyznę do

siebie tak, że znalazł się na niej.

A potem znów szła, tym razem wąską drogą, wzdłuż której rosły dęby. Po obu stronach miała stare, sękaty dęby, które tak bardzo lubiła. Niebo było szaroblade, zasłonięte ciężkimi chmurami, które wlokły się monotonna procesją na północ. To na pewno droga na ranczo w Bear Valley, pomyślała. Bolały ją stopy, a kiedy się zatrzymała, zobaczyła, że idzie boso: gdzieś po drodze zgubiła buty.

Ciągle miała na sobie zachlapane farbą dżinsy, te same, w które była ubrana, kiedy zaczęło się trzęsienie ziemi i kiedy przestało działać radio. Czy to w ogóle było trzęsienie ziemi? Mężczyzna w samochodzie, wystraszony i bełkoczący jak niemowlę, twierdził co innego, ale był tak przerażony, a to, co mówił, było tak zagmatwane, że nie mogła nic zrozumieć.

Chcę wrócić do domu, powiedziała w myśli. Chcę znaleźć się w domu i chcę włożyć buty. Daję głowę, że zabrał je ten facet. Założę się, że są w jego samochodzie. Nigdy ich już nie zobaczę.

Powłokła się z trudem dalej, krzywiąc się z bólu. Myślała o tym, że bardzo by chciała kogoś spotkać, zastanawiała się nad dziwnym kolorem nieba i z każdą mijającą chwilą była coraz bardziej samotna.

Rozdział szósty

Odjeżdżając volkswagenem furgonetką, Andrew Gill spojrzął po raz ostatni na ubraną w sweter i zaplamione farbą spodnie kobietę, którą właśnie wysadził z samochodu; patrzył, jak wlecze się na bosaka drogą, aż wreszcie stracił ją z oczu, kiedy samochód minął zakręt. Nie wiedział, jak się nazywa, ale był przekonany, że rudowłosa nieznajoma o delikatnych stopach to najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widział, a potem pomyślał ze zdumieniem, że przecież dopiero co kochał się z nią z tyłu volkswagena.

Wydawało mu się, że jest świadkiem parady cudownych zdarzeń: teraz ta kobieta, a przedtem potężne eksplozje na południu, które rozdarły krajobraz i zakryły niebo szarą zasłoną. Zdawał sobie sprawę, że to wojna albo przynajmniej jakaś katastrofa, której świat jeszcze nigdy nie widział i której on sam nie potrafił zrozumieć.

Tego ranka wyruszył ze swojego sklepu w Petalumie w kierunku West Marin, żeby dostarczyć do drugstore'u w Point Reyes Station importowane z Anglii wrzoscowe fajki. Andrew Gill handlował tytoniem i napojami alkoholowymi wysokiej jakości – przede wszystkim winem. Miał na składzie wszystko, czego potrzebują palacze, nawet małe niklowane urządzonek do czyszczenia fajek i ubijania tytoniu. Teraz, siedząc w samochodzie, zastanawiał się, czy to, co się stało, sięgnęło aż po okolice Petalomy.

Cholera, powinienem chyba tam pojechać i zorientować się na miejscu, pomyślał, a potem znów przypomniał sobie niewysoką rudowłosą kobietę w dżinsach, która wsiadła do jego furgonetki – czy może raczej pozwoliła, by ją do niej wciągnął; sam nie był już pewien, jak to było naprawdę – i przyszło mu do głowy, że powinien za nią pojechać, żeby sprawdzić, czy nic się jej nie stało. Ciekawe, czy mieszka w tej okolicy? – zastanowił się. Jak mógłbym ją odnaleźć? Chciał być blisko niej. Nigdy przedtem nie poznał ani nawet nie widział nikogo takiego jak ona. Czy zrobiła to dlatego, że była w szoku? – pomyślał. Czy miała wtedy wszystkie klepki na swoim miejscu? Czy robiła takie rzeczy już przedtem... i – co najważniejsze – czy miałyby ochotę zrobić to jeszcze raz?

Nie zawrócił jednak, lecz jechał dalej przed siebie. Ręce mu zdrętwiały, jakby uciekło z nich życie. Był wykończony. Wiem, że wybuchną jeszcze następne bomby, pomyślał. Pierwszą rzucili na miasta nad zatoką, następne spadną na nas. Na niebie zobaczył serię następujących po sobie w krótkich odstępach błysków, a potem odległe dudnienie sprawiło, że furgonetka się zakołysała. To wybuchy bomb w atmosferze, uzmysłowił sobie. Może to nasz system obronny. Ale bomb będzie więcej i niektóre przedrą się przez obronę.

A poza tym było jeszcze promieniowanie.

Przesuwające się nad głową chmury, o których wiedział, że są źródłem śmiertelności

promieniowania, odpływały na północ. Były na tyle wysoko, że nie wydawało się, aby mogły wpłynąć na życie na ziemi – na jego życie i na życie rosnących wzdłuż drogi krzewów i drzew. Może zaczniemy obumierać i za kilka dni już nas nie będzie, pomyślał. Może to już tylko sprawa czasu. Czy warto w ogóle się kryć? Czy powinienem uciekać na północ? Przecież chmury przesuwają się w tamtym kierunku. Lepiej będzie, jeśli zostanę tutaj i poszukam w pobliżu jakiegoś schronienia, uznał. Czytałem gdzieś kiedyś, że to bezpieczna okolica. Wiatry omijają West Marin i wieją w głąb łąd, w kierunku Sacramento.

Wciąż nie było nikogo widać. Od pierwszego wielkiego wybuchu, od chwili, kiedy zdał sobie sprawę, co on oznacza, spotkał tylko tę kobietę. Żadnych samochodów. Żadnych pieszych. Pewnie zaraz zaczną wychodzić z doliny, pomyślał. Tysiącami. I będą umierali w drodze. Uchodźcy. Może powinienem coś zrobić, żeby im pomóc. Ale w furgonetce były tylko fajki, puszki z tytoniem i butelki kalifornijskiego wina z małych winnic; nie miał lekarstw i nie znał się na medycynie. Sam miał już ponad pięćdziesiąt lat i chroniczną chorobę serca zwaną tachykardią napadową. To właściwie cud, że nie dostał ataku, kiedy kochał się z tą kobietą.

Moja żona i dwoje dzieci, pomyślał. Może już nie żyją. Muszę wracać do Petalomy. Telefon? Nonsens. Telefony z pewnością nie działają. Jechał bez celu przed siebie, nie wiedząc, dokąd się skierować i co robić. Nie wiedział, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, nie wiedział, czy atak przeciwnika już się skończył, czy to dopiero początek. W każdej chwili mogą zginąć, pomyślał.

Mimo wszystko czuł się bezpiecznie w znajomej furgonetce, którą miał od sześciu lat. Samochód nie zmienił się przez to, co się stało – był solidny i można było na nim polegać, w przeciwieństwie do świata, do wszystkich innych rzeczy, które uległy nieodwracalnej, straszliwej metamorfozie.

Nie chciał nic widzieć.

A jeśli Barbara i chłopcy nie żyją? – zastanowił się. Co dziwne, ta myśl niosła ze sobą ulgę. Nowe życie zaczęło się od chwili, kiedy spotkał tę kobietę. Stare się skończyło. Może tytoń i wino nabrają teraz wielkiej wartości. Może mam w furgonetce prawdziwą fortunę. Nie muszę już wracać do Petalomy. Mogę zniknąć, a Barbara nigdy mnie nie znajdzie. Teraz poczuł się raźniej i weselej.

Ale to by oznaczało – co nie daj Boże – że będzie musiał zrezygnować ze sklepu, i ta przerażająca myśl przepełniła go uczuciem zagrożenia i samotności. Przez dwadzieścia lat stopniowo nawiązywał kontakty z klientami, uczył się, czego ludzie potrzebują, i zaspokajał te potrzeby.

Z drugiej strony, pomyślał, oni wszyscy pewnie nie żyją, podobnie jak moja rodzina. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy: wszystko uległo zmianie, a nie tylko to, co nic mnie nie obchodzi.

Jadąc wolno drogą, próbował rozważyć w myślach wszystkie możliwości, lecz im dłużej się

zastanawiał, tym bardziej czuł się skonfundowany i niepewny. Nie sędzę, żeby ktokolwiek z nas mógł przeżyć, uznał. Najprawdopodobniej wszyscy zostaliśmy wystawieni na działanie promieniowania, a ta historia z rudowłosą kobietą była ostatnim ważnym wydarzeniem w moim życiu; również w jej życiu – ona także na pewno jest skazana na śmierć.

Chryste, pomyślał z goryczą, za to wszystko jest odpowiedzialny jakiś zakuty łeb w Pentagonie. Powinniśmy byli zostać ostrzeżeni dwie do trzech godzin przed faktem, a dano nam pięć minut. Najwyżej!

Teraz nie odczuwał już nienawiści do wroga, lecz tylko wstyd i rozczarowanie. Ci głupcy w mundurach siedzą pewnie zdrowi i cali w betonowych bunkrach, jak Adolf Hitler pod koniec wojny, pomyślał. A nas wystawili na pewną śmierć. Na myśl o tym poczuł zakłopotanie. Przecież to okropne.

Nagle spostrzegł, że na siedzeniu obok leży para butów – dwa znoszone pantofle. To tej kobiety. Poczuł znużenie i westchnął. Niezłe memento, pomyślał z przygnębieniem, a potem ożywił się: to nie memento, lecz znak, znak, że powinienem zostać w West Marin i zacząć na nowo. Jeśli tu zostanę, na pewno ją spotkam. Na pewno. Wystarczy uzbroić się w cierpliwość. To, dlatego zostawiła buty w samochodzie – wiedziała już, że zacznę tu nowe życie, że po tym, co się stało, nie wyjadę, nie będę mógł wyjechać. Do diabła ze sklepem, do diabła z żoną i dziećmi w Petalumie.

Poczuł taką radość i ulgę, że zaczął pogwizdywać.

Bruno Bluthgeld nie miał już żadnych wątpliwości. Patrzył na niekończący się strumień samochodów, które jechały w jedną tylko stronę – na północ, w kierunku prowadzącej za miasto autostrady. Berkeley było teraz sitem, z którego przez każdą dziurkę wyciekali napierający od dołu ludzie, mieszkańcy Oakland, San Leonardo, San Jose. Wszyscy oni szli ulicami, na których zapanował teraz jeden kierunek ruchu. To nie moja wina, pomyślał doktor Bluthgeld. Stał na chodniku i nie mógł przejść przez jezdnię, żeby dostać się do swojego samochodu. A jednak, zrozumiał nagle, chociaż to wszystko dzieje się naprawdę, chociaż to koniec wszystkiego, te ruiny i ludzie dookoła... Jestem za to odpowiedzialny.

W pewnym sensie przyłożyłem rękę do tego, co się stało, pomyślał.

Muszę wprowadzić poprawki. Ze zmartwienia splótł mocno dłonie. Trzeba odwrócić to, co się wydarzyło. Muszę cofnąć ten proces.

Musiała stać się rzecz następująca: moi przeciwnicy szukali sposobów, by mi zaszkodzić, lecz nie wzięli pod uwagę pewnej mojej zdolności, która, jak sędzę, jest częściowo podświadoma. Nie do końca potrafię nad nią panować, ponieważ ma swoje źródło w warstwie ponadosobowej, którą Jung nazwałby nieświadomością kolektywną. Nie liczyli się z praktycznie nieograniczoną siłą mojej reaktywnej energii psychicznej, która zadziałała w odpowiedzi na ich knowania. To stało się bez udziału mojej woli, zadziałała po prostu zasada psychicznego bodźca

i reakcji, mimo wszystko muszę jednak przyjąć za to moralną odpowiedzialność, ponieważ ostatecznie to byłem właśnie ja, moje superego, moja jaźń, górująca nad świadomością. Teraz, kiedy ta moc spełniła swoje zadanie w walce z wrogiem, muszę nad nią zapanować. Nie ulega wątpliwości, że jej działanie było wystarczająco silne. Czy szkody, które powstały, nie są przypadkiem zbyt duże?

Nie, jednak nie. W czysto fizycznym sensie, rozumując tylko w kategoriach bodźca i reakcji, nie są zbyt wielkie. Zadziałało tu prawo zachowania energii, zasada równowagi. Nieświadomość kolektywna Bluthgelda zareagowała proporcjonalnie do nieprzyjaznych zamiarów przeciwnika. Teraz jednak nadszedł czas, by odpokutować za skutki jej działania. Logicznie rzecz biorąc, taki powinien być właśnie następny krok. Jej energia już się wyczerpała... Czy aby na pewno? Ogarnęły go wątpliwości i głęboki niepokój. Czy proces reakcji metabiologicznego systemu obronnego już się zakończył, czy też może to jeszcze nie wszystko?

Wciągnął w nozdrza powietrze, próbując odgadnąć, co jeszcze może się stać. Niebo, zawiesina drobinek pyłu, gruzy, na tyle lekkie, że można je usunąć. Co leży pod nimi, ukryte niby w kokonie? Kokon – źródło czystej esencji ukryte we mnie, gdy stoję zadumany, pomyślał. Ciekawe, czy ci ludzie przejeżdżający obok, czy ci mężczyźni i kobiety wiedzą, kim jestem? Czy są świadomi, że to właśnie ja jestem *omphalos* – centrum tego kataklizmu? Patrzył na przesuwany się tłum i zdał sobie sprawę, że ludzie uświadamiają sobie jego obecność i to, iż jest sprawcą tego wszystkiego, lecz boją się go zaatakować. Dostali nauczkę.

Wyciągnął rękę w ich kierunku i zawołał:

– Nie martwcie się! Nic już się nie stanie! Obiecuję!

Czy go zrozumieli i uwierzyli w to, co powiedział? Czuł, że ich myśli kierują się w jego stronę, czuł paniczny strach ogarniający tych ludzi, ich ból i nienawiść do niego, której siłę ograniczał dopiero, co zakończony wspaniały pokaz jego możliwości. Wiem, co teraz czujecie – sam nie bardzo wiedział, czy pomyślał, czy wyrzekł głośno te słowa. To była dla was gorzka, twarda lekcja. Dla mnie też. Muszę uważniej obserwować, co się ze mną dzieje, i w przyszłości pilniej strzec swojej siły. Muszę podchodzić z większym szacunkiem do daru, który został złożony w moje ręce.

Dokąd powinienem teraz pójść? – zastanowił się. Czy odejść daleko stąd, by sprawy ułożyły się same? To dobry pomysł, słuszne, ludzkie, sprawiedliwe rozwiązanie, które wyjdzie im wszystkim na dobre.

Czy jestem w stanie stąd odejść? Oczywiście, że tak. Siłami, które objawiły tu swoją moc, można przecież kierować – przynajmniej do jakiegoś stopnia. Mógł je przywołać, ponieważ teraz był już świadom ich istnienia. Przedtem było inaczej i to właśnie stało się powodem nieszczęścia. Niewykluczone, że poprzez intensywną psychoanalizę byłby dotarł do nich na czas i można by uniknąć tego ogromnego zamieszania. Teraz już jednak za późno, żeby się nad tym

zastanawiać. Ruszył w kierunku, z którego przyszedł. Jestem w stanie przedostać się na drugą stronę jezdni i zniknąć z tej okolicy, zapewnił się w myśli. Żeby dowieść, że tak rzeczywiście jest, zszedł z chodnika prosto w nieprzerwany strumień samochodów. Inni robili podobnie, inni piesi, z których wielu trzymało w rękach wyniesione z domu rzeczy: książki, lampy... ktoś miał klatkę z ptakiem, ktoś nawet kota. Przyłączył się do nich, machając ręką, żeby pokazać im, by poszli za nim, ponieważ potrafi ich przeprowadzić na drugą stronę, kiedy tylko będzie chciał.

Samochody nieomal się zatrzymały. Na pozór mogło się wydawać, że sprawiły to inne pojazdy, które usiłowały wyjechać z leżącej dalej przecznicy, lecz Bluthgeld wiedział, że tak nie jest: to tylko pozór, prawdziwą przyczyną zatrzymania ruchu była jego wola przejścia przez ulicę. Tuż przed nim powstała luka między dwoma samochodami i doktor Bluthgeld poprowadził grupę pieszych na drugą stronę.

Dokąd ja właściwie idę? – zadał sobie pytanie, nie zwracając uwagi na podziękowania otaczających go ludzi, próbujących okazać mu swoją wdzięczność. Czy pojechać na wieś, jak najdalej stąd? Jestem zagrożeniem dla miasta, pomyślał. Powinienem pojechać jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt mil na wschód, może gdzieś daleko w góry. West Marin? Mógłbym tam wrócić. Tam jest Bonny. Mógłbym zamieszkać z nią i z George'em. Myślę, że to wystarczająca odległość, a gdyby okazało się, że tak nie jest, ruszę dalej. Muszę opuścić tych ludzi, bo nie zasługują na to, aby spadła na nich kolejna kara. Jeśli zajdzie taka konieczność, będę wędrował nieprzerwanie i nigdy nie zatrzymam się na dłużej w jednym miejscu.

Oczywiście nie dostanę się do West Marin samochodem, pomyślał. Żaden z tych samochodów nigdy już nie ruszy z miejsca. Za duży tłok. Poza tym z pewnością nie istnieje też most Richardsona. Trzeba tam będzie pójść; potrwa to parę dni, ale w końcu przecież tam dotrę. Pójdę na północ, w kierunku drogi do Black Point, w stronę Vallejo, a potem przez bagna. Okolica jest płaska, będę więc mógł przejść na skróty polami.

Tak czy inaczej, to kara za grzech, który popełniłem. To będzie oczyszczająca duszę pielgrzymka.

Ruszył przed siebie, próbując skupić myśli na otaczającym go rumowisku. Patrzył na nie i zastanawiał się, jak naprawić szkody, jak odbudować miasto, jak przywrócić mu, w miarę możliwości, pierwotny kształt. Kiedy podszedł do leżącego w gruzach budynku, przystanął i powiedział:

– Niech ruina ta stanie się znowu domem.

A gdy zobaczył rannych ludzi, rzekł:

– Niech ludzie ci zostaną uznani za niewinnych i niech będzie im wybaczone.

Za każdym razem robił specjalny, wymyślony przez siebie ruch dłonią, który miał oznaczać, że jego wolą jest, by nic podobnego już się nie zdarzyło. Sądzę, że odebrali nauczkę, która wystarczy im do końca życia, pomyślał. Teraz niech mnie zostawią w spokoju.

Nagle zrozumiał jednak, że sprawy mogą przybrać odmienny obrót, że kiedy już wyczołgają się spomiędzy ruin swoich domów, mogą przecież poczuć jeszcze silniejszą żądzę zgładzenia go. W dłuższej perspektywie to, co teraz robił, mogło wzbudzić w nich większą nienawiść, zamiast ją rozładować.

Kiedy pomyślał o zemście, jaka może na niego spaść, poczuł przerażenie. Może powinienem się ukryć, pomyślał. Może powinienem zostać przy nazwisku Tree albo używać jakiegoś innego, żeby mnie nie znaleźli. Na razie czują przede mną respekt... boję się jednak, że to długo nie potrwa.

A jednak, idąc naprzód, ciągle robił w ich kierunku ów szczególny gest dłonią. Ciągle starał się z całych sił, by przywrócić im to, co mieli przedtem. Nie było w nim wrogości, był od niej wolny. To tylko w ich duszach mieszkała nienawiść.

Nad brzegiem zatoki doktor Bluthgeld wyszedł z tłumu i spojrzał na białe, przypominające szkło, porozrzucone po drugiej stronie gruzu San Francisco. Żaden budynek nie ocalał. Dym i żółte płomienie wznosiły się w niebo w sposób tak przedziwny, że Bluthgeld nie wierzył własnym oczom. Wydawało się, że miasto stało się kupką wrzuconego do pieca drewna, które spłonęło, nie pozostawiając żadnego śladu. A jednak wychodzili stamtąd ludzie. Dostrzegł podskakujące na wodzie drobinki. Mieszkańcy powrzucaли do zatoki najróżniejsze przedmioty i trzymając się ich kurczowo, próbowali przepłynąć do hrabstwa Marin.

Doktor Bluthgeld stał nieruchomo, zapomniawszy o swojej pielgrzymce. Najpierw należało uzdrowić tych ludzi, a potem, jeśli się uda, uzdrowić miasto. Skupił myśli na ruinach San Francisco i oburącz robił gesty, które nigdy przedtem nie przyszły mu do głowy. Próbował wszystkiego, aż wreszcie, po dłuższym czasie, zauważył, że dym zaczyna się przerzedzać. To dodało mu otuchy. Jednak płynących przez zatokę, uciekających z miasta ludzi było coraz mniej. Widział, jak ich ubywa, aż w końcu na wodzie zostały tylko śmieci.

Skoncentrował się więc na samych ludziach: pomyślał o szlakach wiodących na północ, którymi powinni pójść uciekinierzy, i o tym, co powinni tam znaleźć. Przede wszystkim była im potrzebna woda, a następnie żywność. Pomyślał o wojsku, które zaopatrzy ich w jedzenie, i o pracownikach Czerwonego Krzyża; pomyślał o małych, prowincjonalnych miasteczkach, których mieszkańcy udostępnią uchodźcom swoje zapasy. W końcu, opornie, jego wola zaczęła się stawać rzeczywistością, a on trwał długo jeszcze bez ruchu, pilnując, by dokonano się to, co sobie zamierzył. Wszystko przybierało dobry obrót. Zadbał o to, by poparzoną opatrzone rany. Dopilnował też, by uleczyć ich olbrzymi strach – to było ważne. Dopilnował, by zapaliły się światełka ich nowych, choćby prowizorycznych domów.

W tym samym jednak czasie, kiedy poświęcał się, by poprawić byt tych ludzi, zauważył ze zdumieniem i przerażeniem, że jego własna kondycja zaczyna się pogarszać. Stracił wszystko, czyniąc dobro innym; jego ubranie zamieniło się w przypominające worki szmaty. Palce nóg

wystawały z butów. Wyrosła mu niechlujna broda, a usta zasłaniał wąs. Nad uszami wisiały mu włosy, spadające na podarty kołnierz, a zęby wypadły z dziąseł. Czuł się stary, chory i pusty, to jednak, co zrobił, było tego warte. Jak długo stał tam, zajęty swoją pracą? Dawno już zniknęły rzeki samochodów. Tylko opuszczone wraki stały jeszcze wzdłuż biegnącej po jego prawej stronie autostrady. Czy minęły tygodnie? Może nawet miesiące. Był głodny i trząśł się z zimna, więc raz jeszcze ruszył w drogę.

Oddałem im wszystko, co miałem, pomyślał i wtedy poczuł coś w rodzaju urazy, silniejszej od owej drobiny strachu, który go przedtem ogarnął. A co dostałem w zamian? Muszę się ostrzyć, zjeść coś i pójść do lekarza. Ja też mam swoje potrzeby. Jestem zbyt słaby, by dotrzeć do hrabstwa Marin, pomyślał. Będę musiał przez pewien czas zostać po tej stronie zatoki, żeby wypocząć i nabrać sił. Uczucie urazy narastało w nim, kiedy szedł wolno przed siebie.

Udało mu się jednak zrobić to, co zaplanował. Przed sobą, niedaleko, zauważył punkt pierwszej pomocy: rzędy beczkowatych namiotów i kobiety z opaskami na rękawach, w których rozpoznał pielęgniarki. Zobaczył mężczyzn w stalowych hełmach, którzy trzymali w rękach broń. Prawo i porządek, pomyślał. Na skutek moich wysiłków tu i ówdzie przywrócono prawo i porządek. Zawdzięczają mi bardzo wiele, ale oczywiście nie doceniają tego, co dla nich zrobiłem. Niech i tak będzie, zdecydował.

Kiedy dotarł do pierwszego beczkowatego namiotu, zatrzymał go jeden z uzbrojonych mężczyzn. Inny, trzymający w ręku przypiętą do podkładki listę, zbliżył się do nich.

- Skąd pan jest? – zapytał go ten z listą.
- Z Berkeley.
- Nazwisko.
- Jack Tree.

Zapisałi to, co im powiedział, a potem wydarli kartkę i dali mu ją. Na kartce był numer i mężczyźni wyjaśnili mu, że powinien ją zatrzymać, gdyż bez niej nie będzie mógł dostać przydziału żywności. Następnie powiedziano mu, że gdyby próbował kiedykolwiek pobrać żywność w innym punkcie pomocy, zostanie zastrzelony. Potem obaj mężczyźni odeszli, a on został sam, trzymając w dłoni kartkę z wypisanym numerem.

Może powinienem im powiedzieć, że to wszystko jest moim dziełem? – pomyślał. Powiedzieć im, że ja i tylko ja jestem odpowiedzialny i na wieki potępiony za potworny grzech, którym było spowodowanie tego wszystkiego? Nie, postanowił, bo gdybym tak zrobił, odebraliby mi kartkę i nie dostałbym przydziału żywności. A Bluthgeld był bardzo, bardzo głodny.

Teraz podeszła do niego jedna z pielęgniarek.

- Wymioty, zawroty głowy, zmiana barwy stolca? – zapytała rzeczowo.
- Nie – odparł.

– Powierzchowne poparzenia, które nie chcą się zagoić?

Potrząsnął przecząco głową.

– Proszę pójść tam – wskazała ręką – i zdjąć ubranie. Zostanie pan odwyszawiony i ogolą panu głowę, a potem dostanie pan zastrzyki. Nie mamy szczepionki na tyfus, niech więc pan o nią nie prosi.

Ze zdumieniem spostrzegł, że mężczyzna z elektryczną golarką zasilaną z benzynowego generatora strzyże włosy zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Ludzie czekali cierpliwie w kolejce. Czy to środek zapobiegawczy? – zastanowił się.

Wydawało mi się, że to też naprawiłem, pomyślał. Czy może zapomniałem o niebezpieczeństwie epidemii? Najwyraźniej tak. Ruszył w tamtą stronę, zdumiony, że jednak nie wziął wszystkiego pod uwagę. Z pewnością nie pomyślałem też o różnych innych, podstawowych sprawach, stwierdził, ustawiając się w kolejce ludzi czekających, aż ogolą im głowy.

W ruinach betonowej piwnicy domu przy Cedar Street, na wzgórzach Berkeley, Stuart McConchie wypatrzył coś tłustego i szarego, co zeskoczyło z jednej sterty gruzu i zniknęło za następną. Wziął do ręki kij od miotły, którego jeden koniec ułamał się, tworząc podłużne ostrze, i ruszył naprzód.

– Chyba nie będziesz tego jadł – odezwał się Ken, wychudzony, umierający na chorobę popromienną mężczyzna o żółtej, niezdrowej cerze, który mieszkał ze Stuartem w piwnicy.

– Oczywiście, że będę – odparł McConchie. Czołgał się przez kurz, który pokrył pozbawioną stropu piwnicę, a potem przywarował za odłupanym betonowym blokiem. Szczur spostrzegł człowieka i pisnął ze strachu. Musiał wyjść z ciągnących się pod Berkeley kanałów, a teraz chciał dostać się do nich z powrotem. McConchie jednak znalazł się między nim i wlotem kanału, a raczej, pomyślał Stuart, między nią a kanałem. Była to z pewnością duża samica. Samce są mniejsze.

Szczur odskoczył gwałtownie ze strachu i wtedy Stuart wbił w niego ostry koniec kija. Zwierzę znów wydało z siebie przeciągły pisk bólu. Żyło jeszcze, nadziane na ostrze, i ciągle piszczało. McConchie przycisnął szczura kijem do ziemi i rozdeptał mu głowę.

– Mógłbyś go przynajmniej ugotować – powiedział umierający mężczyzna.

– Nie – odrzekł Stuart. Usiadł, wyciągnął scyzoryk, który znalazł kiedyś w kieszeni martwego chłopca, i zaczął obdzierać zwierzę ze skóry. Ken przyglądał się z dezaprobatą, jak McConchie je szczura na surowo.

– Dziwię się, że jeszcze mnie nie zjadłeś – stwierdził umierający.

– Smakuje nie gorzej niż surowe krewetki – odparł McConchie. Poczul się znacznie lepiej. To był jego pierwszy posiłek od wielu dni.

– Czemu nie pójdziesz poszukać któregoś z tych punktów pomocy, o których mówili

wczoraj z helikoptera? – zapytał Ken. – Mówili zdaje się... przynajmniej tyle zrozumiałem... że jest taki punkt w pobliżu szkoły podstawowej na Hillside. To tylko kilka przecznic stąd. Tak daleko przecież byś zaszedł.

– Nie – odparł Stuart.

– Dlaczego nie?

Odpowiedź była właściwie prosta: choć nie miał ochoty powiedzieć tego na głos, zwyczajnie bał się wyjść z piwnicy na ulicę. Sam nie wiedział dokładnie, czego się boi, może kręcących się wśród opadającego popiołu sylwetek. Przypuszczał, że to Amerykanie, choć mogli to przecież być Rosjanie albo Chińczycy. Ich głosy odbijały się dziwnym echem nawet za dnia. Jeśli chodzi o helikopter, to ta sprawa też nie była zupełnie pewna. Mógł to być przecież podstęp nieprzyjaciela, mający na celu wywabienie ludzi z ukrycia, by ich zastrzelić. Przecież z równinnej części miasta ciągle było słycać strzały. Odległa kanonada zaczynała się o świcie i trwała z przerwami aż do zmierzchu.

– Nie możesz tu przecież zostać na zawsze – powiedział Ken. – To nie ma sensu. – Leżał owinięty w koce ściągnięte z łóżka, które stało kiedyś w domu, do którego należała piwnica. Kiedy budynek się zawalił, łóżko zostało wyrzucone na zewnątrz: Stuart i Ken znaleźli je w ogrodzie. Starannie wsunięte pod materac koce i dwie wypchane kaczym pierzem poduszki były ciągle na swoim miejscu.

Stuart pomyślał o tym, że w ciągu pięciu dni udało mu się zgromadzić tysiące dolarów, które odebrał zabitym w ruinach domów przy Cedar Street – znajdował pieniądze w kieszeniach nieboszczyków i w samych domach. Inni grzebiący w ruinach ludzie szukali żywności i innych rzeczy, takich jak noże czy broń, i niepokoiło go nieco, że tylko on szuka pieniędzy. Bał się, że gdyby ruszył się stąd i dotarł do punktu pomocy, to dowiedziałby się prawdy, a mianowicie tego, że pieniądze są teraz bez wartości. A jeśli tak jest rzeczywiście, okazałby się dupkiem żołądny i gdyby pojawił się w punkcie pomocy z poszewką od poduszki wypchaną banknotami, wszyscy by się z niego śmiali i mieliby rację, bo dupek żołądny zasługuje na to, aby się z niego śmiać.

Poza tym nie wydawało mu się, żeby inni ludzie jedli szczury na surowo. Niewykluczone, że można dostać gdzieś żywność w doskonałym gatunku, tylko on o tym nic nie wie. To było dla niego typowe: siedzieć w jakiejś dziurze i jeść coś, czego inni nie wzięliby do ust. Może z powietrza zrzucano puszki z racjami żywnościowymi; może zrzucano je wcześniej rano, kiedy jeszcze spał, i ludzie już je wyzbierali, zanim udało mu się chociażby je zobaczyć. Od kilku dni narastał w nim głęboki lęk, że dzieje się coś, w czym nie dane mu jest wziąć udziału, że może innym rozdaje się coś za darmo – może nawet w biały dzień – wszystkim, tylko nie jemu. Taki mój los, pomyślał i poczuł rozgoryczenie. Teraz nawet szczur, którego dopiero co zjadł, nie wydawał mu się już tak sycącym posiłkiem.

Przez ostatnie kilka dni, które spędził, ukrywając się w ruinach domu przy Cedar Street, miał

masę czasu, żeby się nad sobą zastanowić. Zdał sobie sprawę, że zawsze sprawiało mu trudności zorientowanie się w tym, co robią inni ludzie; z największym wysiłkiem udawało mu się postępować i zachowywać jak inni. To nawet nie to, że był Murzynem, bo podobne problemy miał zarówno z czarnymi, jak i z białymi. To nie była sprawa społecznej adaptacji w zwykłym znaczeniu tego słowa: jego problem sięgał głębiej. Na przykład Ken, ten umierający człowiek, który leżał tu naprzeciw niego. Stuart nie rozumiał go, czuł, że coś ich rozdziela. Może to dlatego, że Ken umierał, a on nie. Może stąd ten mur między nimi. Świat podzielił się najwyraźniej na dwa nowe obozy: na tych, którzy słabną z każdą chwilą i mają odejść, i na takich jak on sam – ludzi, którzy mają przeżyć. Porozumienie między nimi było niemożliwe, ponieważ ich światy zbyt szybko się od siebie różniły.

A jednak między nim a Kenem stało coś jeszcze, coś innego, zadawniony problem, który nie był efektem bombardowania, lecz który bombardowanie wyciągnęło tylko na światło dzienne. Teraz przepaść jeszcze się pogłębiła i stało się dla niego oczywiste, że nie rozumie większości z tego, co się wokół niego dzieje... Rozmyślał na przykład o corocznych wizytach w wydziale komunikacji, żeby przedłużyć prawo jazdy. Kiedy zastanawiał się nad tym, leżąc w piwnicy, z każdą chwilą rozumiał coraz lepiej, że inni ludzie chodzili do wydziału komunikacji przy Sacramento Street, mając ku temu konkretny powód, a on chodził tam tylko dlatego, że robili tak oni. Zwyczajnie chodził za innymi jak cień, jakby był małym dzieckiem. Teraz jednak nie było nikogo, za kim mógłby pójść. Teraz był sam. I dlatego też nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby przedsięwziąć, nie potrafił podjąć żadnej decyzji ani zrealizować jakiegokolwiek pomysłu na przyszłe życie.

Czekał więc tylko i rozmyślał o przelatującym nad nimi od czasu do czasu helikopterze, o niewyraźnych sylwetkach na ulicy, a przede wszystkim o tym, czy właściwie jest dupkiem żołądnym, czy nie.

A potem nagle przypomniał sobie wizję, jaką miał Hoppy w „Przysmakach Freda”. Hoppy ujrzał, jak on – Stuart McConchie – je szczura, jednakże Stuart ze strachu i zdenerwowania zupełnie o tej historii zapomniał. Fokomelik zobaczył to, co się teraz właśnie dzieje. O to chodziło w jego wizji, a nie o życie po śmierci.

Szlag by trafił tego cholernego pokurcza, pomyślał Stuart, dłubiąc w zębach kawałkiem drutu. To oszust. Wcisnął nam jakiś kit.

To niesamowite, jacy ludzie są łatwowierni, pomyślał. Może uwierzyliśmy mu dlatego, że tak dziwnie wyglądał... to, co mówił, wydawało się godne zaufania, bo Hoppy jest, jaki jest... czy może raczej był. Teraz pewnie już nie żyje, pogrzebany w piwnicy, gdzie mieścił się warsztat. Ta wojna zlikwidowała przynajmniej wszystkie dziwolągi. No ale, zdał sobie nagle sprawę, narobiła przy okazji nowych. Przez następny milion lat po świecie będzie się plątała masa cudaków. Raj dla Bluthgelda. Pewnie już jest bardzo zadowolony, bo to był w końcu

prawdziwy eksperyment z bombą. Ken poruszył się na łóżku.

– Dałbyś się może namówić do przejścia na drugą stronę ulicy? – spytał cicho. – Ten trup, który tam leży, może mieć przy sobie papierosy.

Do diabła z papierosami, pomyślał Stuart. Ma pewnie portfel pełen pieniędzy. Popatrzył za wzrokiem umierającego i dostrzegł zwłoki kobiety leżące wśród gruzów po drugiej stronie ulicy. Serce zaczęło mu bić szybciej, bo zauważył, że kobieta wciąż ściska w rękę wypchaną torebkę.

– Daj sobie spokój z pieniędzmi – powiedział Ken słabym głosem. – Masz jakąś obsesję, to dla ciebie jakiś symbol. Bóg jeden wie czego.

Kiedy Stuart wyczołgał się z piwnicy, Ken zawołał:

– Symbol bogatego społeczeństwa! – Zakaszłał, jakby miał zaraz zwymiotować. – A tego społeczeństwa już nie ma! – udało mu się jeszcze dodać.

Kij ci w oko, pomyślał Stuart, czołgając się przez ulicę do leżącej na ziemi torebki. Gdy ją otworzył, znalazł zwitek banknotów: jedno – i pięciodolarówki, a nawet dwudziestkę. Był tam także batonik U-No, który również zabrał ze sobą. Kiedy jednak czołgał się z powrotem, pomyślał, że przecież batonik może być radioaktywny, więc go wyrzucił.

– Były papierosy? – zapytał Ken.

– Nie było. – Stuart rozwiązał poszewkę od poduszki, zagrzebaną prawie całkowicie w suchym popiele, który wypełniał piwnicę. Dołożył banknoty do pozostałych i zawiązał poszewkę.

– Może zagramy w szachy? – Ken dźwignął się z trudem i otworzył pudełko szachownicy, które znaleźli w ruinach domu. Udało mu się już nauczyć Stuarta podstawowych reguł. Przed wojną McConchie nie grał.

– Nieee – odparł Stuart. Patrzył w dal, gdzie na tle szarego nieba poruszał się cylindryczny kształt jakiegoś samolotu czy rakiety. Boże, pomyślał, czy to może być pocisk? Patrzył z przygnębieniem, jak obniża lot. Tym razem McConchie nie położył się na ziemi i nie szukał kryjówki, tak jak wtedy, w ciągu tych pierwszych kilku minut, od których zależało tak wiele, a przede wszystkim ich życie.

– Co to jest? – zapytał.

Umierający człowiek popatrzył w niebo.

– To jest balon.

– To Chińczycy! – sprzeciwił się Stuart.

– To naprawdę balon. Mały. Zdaje się, że mówiono na nie „blimp”. Mały sterowiec. Nie widziałem takiego od dzieciństwa.

– Czy Chińczycy mogliby przelecieć nad Pacyfikiem balonami? – zapytał Stuart, wyobraziwszy sobie tysiące małych, szarych sterowców w kształcie cygar, a w każdym z nich pluton powołanych do armii mongoloidalnych chińskich chłopów uzbrojonych w czeskie

pistolety maszynowe, trzymających się kurczowo uchwytów i każdej fałdy materiału. – Czegoś takiego można by się właśnie po nich spodziewać. Sprowadzają cały świat do swojego poziomu, kilkaset lat wstecz. Zamiast spróbować zrównać się z nami... – Przerwał, bo nagle zobaczył na burcie sterowca napis po angielsku:

BAZA SIŁ POWIETRZNYCH HAMILTON

– To nasi – sucho stwierdził umierający człowiek.

– Ciekawe, skąd go wzięli? – zastanowił się Stuart.

– Pomysłowe, prawda? – powiedział Ken. – Podejrzewam, że zapasy benzyny i nafty już się wyczerpały. Skończyły się raz dwa. Będziemy mieli jeszcze okazję oglądać najdziwniejsze środki transportu. A raczej to ty będziesz miał taką okazję.

– Przestań się nad sobą użalać – rzekł Stuart.

– Nie użalam się ani nad sobą, ani nad nikim innym – odparł umierający człowiek, rozstawiając starannie pionki i figury na szachownicy. – Ładna robota – powiedział. – Z Meksyku, jak widzę. Figury z pewnością ręcznie rzeźbione... ale bardzo delikatne.

– Wyłumacz mi jeszcze raz, jak się porusza dama – poprosił Stuart.

Sterowiec z bazy sił powietrznych Hamilton zbliżył się do nich i wydawał się teraz większy. Siedzący w piwnicy dwaj ludzie pochyleni nad szachownicą nie zwracali na niego uwagi. Może robił zdjęcia, a może odbywał strategiczną misję; może na pokładzie była krótkofalówka i załoga była w kontakcie z jednostkami 6. Armii na południe od San Francisco. Kto wie. I kogo to właściwie obchodzi. Sterowiec przepłynął nad nimi w chwili, gdy umierający człowiek przesunął królewskiego piona o dwa pola do przodu, rozpoczynając grę.

– Gra się zaczęła – powiedział umierający człowiek. – Przynajmniej dla ciebie – dodał cichym głosem. – Dziwna, nieznana, nowa gra... jeśli chcesz, możesz nawet postawić na nią swoją poduszkę z pieniędzmi.

Stuart chrząknął, przyjrzał się uważnie swoim figurom i zdecydował rozpocząć gambitem, przesuując skrajny pionek. Kiedy jego palce dotknęły piona, zrozumiał, że to idiotyczny ruch.

– Mogę cofnąć? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Kiedy dotkniesz figury, musisz ją przesunąć – powiedział Ken, robiąc ruch koniem.

– To nie w porządku. Przecież dopiero się uczę. – Spojrzał na umierającego człowieka, ale w jego ziemistej twarzy nie zobaczył przyzwolenia. – Dobrze – zgodził się z rezygnacją i przesunął swojego królewskiego piona, powtarzając ruch Kena. Będę obserwował, jak gra, i robił to co on, pomyślał. Tak będzie bezpieczniej.

Ze sterowca, który był teraz dokładnie nad ich głowami, posypały się białe kartki i wirując, opadły na ziemię. Stuart i umierający człowiek przerwali grę. Jedna z kartek wpadła do piwnicy, tuż koło nich. Ken pochylił się, podniósł ją, przeczytał i podał Stuartowi.

– Burlingame?! – zdziwił się Stuart, patrząc na nią. Była to odezwa, wzywająca ochotników

do wojska. – Chcą, żebyśmy poszli do Burlingame i wstąpili do wojska? Przecież to jest pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt mil stąd, i do tego naokoło zatoki. Musieli chyba zwariować!

– Pewnie, że tak – przyznał Ken. – Nikt się do nich nie zgłosi.

– Cholera, nie dam nawet rady dojść na LeConte Street do punktu pomocy – powiedział Stuart. Spojrzał z oburzeniem na przelatujący sterowiec z Hamilton. Nigdy w życiu do nich nie pójde, pomyślał. Możemy się założyć.

– Piszą – odezwał się Ken, czytając odezwę – że kiedy zjawisz się w Burlingame, gwarantują ci wodę, żywność, jedzenie, szczepionki i leczenie poparzeń popromiennych. I co ty na to? O panienkach nie wspominają.

– Możesz jeszcze myśleć o dziewczynach? – zdziwił się McConchie. – Chryste, nawet nie przyszło mi to do głowy od czasu, gdy spadła pierwsza bomba. To było tak, jakby ze strachu odpadł mi interes. Od razu na samym początku.

– To dlatego, że w niebezpieczeństwie ośrodek międzymózgowiowy tłumi popęd płciowy – poinformował go Ken. – Ale to przejdzie.

– Nie przejdzie – odparł Stuart. – Nie przejdzie, ponieważ każde dziecko, które by się teraz urodziło, będzie nienormalne. Ludzie w ogóle nie powinni odbywać stosunków przez, powiedzmy, najbliższe dziesięć lat. Powinni ustanowić takie prawo. Nie mogę znieść myśli, że świat mógłby zaludnić się cudakami, bo mam w tym względzie osobiste doświadczenia. Pracowałem z takim jednym w sklepie z telewizorami, to znaczy on pracował w warsztacie. Jeden starczy. Uważam, że Bluthgelda powinni powiesić za jaja za to, co zrobił.

– To, co Bluthgeld zrobił w latach siedemdziesiątych, to drobnostka w porównaniu z tym, co się stało teraz – powiedział Ken, pokazując otaczające ich ruiny.

– Zgadzam się – rzekł Stuart. – Ale Bluthgeld to zaczął.

Sunący nad nimi sterowiec zawrócił i leciał teraz w stronę, z której przybył. Może skończyły mu się ulotki i zawrócił do Hamilton Field, po drugiej stronie zatoki czy gdzie to tam było.

– No, powiedz nam coś jeszcze – odezwał się Stuart, patrząc w niebo.

– Nic więcej nie potrafi – powiedział umierający człowiek. – To bardzo prymitywne stworzenie. Będziesz grał sam czy mam przesuwac figury za ciebie? Wszystko mi jedno.

Stuart bardzo ostrożnie przesunął damę i znów od razu zdał sobie sprawę, że to błędny ruch. Wystarczyło popatrzeć na twarz umierającego człowieka.

W kącie piwnicy, pomiędzy kawałami betonu, coś zwinnego i bardzo przestraszonego rzuciło się błyskawicznie z piskiem do ucieczki, przyglądając się uważnie ludziom. Stuart przeniósł uwagę z szachownicy na szczura. Rozejrzał się za kijem od szczotki.

– Graj! – zdenerwował się Ken.

– No już dobrze, dobrze – odparł Stuart. Poczł ogarniającą go złość. Zrobił jakiś

przypadkowy ruch, ciągle patrząc na szczura.

Rozdział siódmy

Była dziewiąta rano. Eldon Blaine czekał przed apteką w Point Reyes Station. Pod pachą trzymał zniszczoną, ciasno obwiązaną sznurkiem teczkę. W tym samym czasie, wewnątrz budynku, aptekarz zdejmował łańcuchy i siłował się z metalowymi drzwiami. Eldon przysłuchiwał się tym dźwiękom z niecierpliwością.

– Chwileczkę – dobiegł go przytłumiony głos aptekarza. W końcu udało mu się otworzyć drzwi. – To były kiedyś tylne drzwi ciężarówki – usprawiedliwiał się farmaceuta. – Żeby je otworzyć, potrzeba obu rąk i nóg. Proszę, niech pan wchodzi. – Przytrzymał wysokie skrzydło drzwi i Eldon zajrzał do ciemnego wnętrza, gdzie na sparcałym przewodzie zwisała z sufitu słaba żarówka.

– Przyszedłem do pana – powiedział szybko Eldon – po antybiotyk o szerokim zakresie działania: taki, jakiego używa się do leczenia infekcji dróg oddechowych. – Starał się, by to, co mówi, brzmiało w miarę swobodnie. Nie powiedział aptekarzowi, w ilu miasteczkach północnej Kalifornii był w ciągu ostatnich kilku dni, wędrując pieszo lub przygodną okazją; nie wspomniał także, jak bardzo chora jest jego córka. Wiedział dobrze, że to podbiłoby tylko cenę. Poza tym nie mógł dostrzec w aptece zbyt wielu lekarstw. Najprawdopodobniej ten człowiek nie miał tego, czego Eldonowi było trzeba.

– Nie widzę, żeby miał pan przy sobie coś na wymianę, jeśli przyjmiemy, że mam antybiotyk, którego pan szuka – rzekł aptekarz, przyglądając się uważnie swojemu klientowi. Nerwowo przegarnął do tyłu przerzedzone, siwe włosy. Był starym, niskim człowiekiem i najwyraźniej podejrzewał, że Eldon jest ćpunem. Prawdopodobnie podejrzewał o to wszystkich.

– Tam, skąd przychodzę, nazywają mnie sprzedawcą szkieł. – Otworzył teczkę i pokazał aptekarzowi poukładane w rzędy nienaruszone i lekko uszkodzone szkła optyczne, oprawki i gotowe okulary, które znalazł w różnych miejscach w rejonie zatoki San Francisco, a szczególnie w wielkich magazynach w Oakland. – Potrafię skorygować prawie każdą wadę wzroku. Mam znakomity wybór. Jest pan krótkowidzem? Dalekowidzem? Ma pan astygmatyzm? Mogę panu pomóc w ciągu dziesięciu minut, wymieniając tylko jedno albo dwa szkiełka.

– Jestem dalekowidzem – odparł powoli aptekarz. – Nie sędzę jednak, żebym miał to, czego pan potrzebuje. – Spojrzał pożądliwie na rzędy szkieł.

– Czemu więc nie powiedział pan tego od razu i nie pozwolił mi odejść? – zapytał gniewnie Eldon. – Chcę dostać się jeszcze dzisiaj do Petalummy: tam jest masa aptek. Muszę tylko znaleźć ciężarówkę z sianem, która jedzie w tamtym kierunku.

– A nie mógłby pan zamienić jednej pary na coś innego? – zapytał płaczliwie aptekarz, idąc za odchodzącym klientem. – Mam bardzo cenny lek na serce, glikonian chinidynowy. Z pewnością będzie pan mógł go wymienić, na co tylko pan będzie chciał. W hrabstwie Marin nikt poza mną nie ma glikonianu chinidynowego.

– Czy jest w tej okolicy jakiś lekarz? – zapytał Eldon, zatrzymując się na porośniętym zielskim skraju wiejskiej drogi, wzdłuż której stało kilkanaście domów i sklepów.

– Jest – odparł aptekarz, kiwając z dumą głową. – Doktor Stockstill. Osiedlił się tutaj kilka lat temu. Ale on nie ma żadnych lekarstw. Lekarstwa mam tylko ja.

Eldon Blaine ruszył wiejską drogą, nasłuchując z nadzieją pyrkania napędzanego gazem drzewnym silnika, które narastało w ciszy wczesnego wiejskiego kalifornijskiego poranka. Dźwięk jednak ucichł. Ciężarówka pojechała niestety w przeciwnym kierunku.

Te tereny, położone na północ od San Francisco, należały kiedyś do kilku bogatych farmerów, zajmujących się hodowlą bydła mlecznego. Na okolicznych łąkach pasły się mleczne krowy, lecz te czasy już minęły. Zniknęły także hodowane na mięso woły i owce. Wszyscy wiedzieli, że pole spełnia lepiej swoje zadanie jako źródło ziarna i warzyw. Eldon dostrzegł rosnącą w ciasnych rzędach wczesnie dojrzewającą odmianę kukurydzy, a między rzędami duże, włochate odnogi, z których wyrastały dziwne, żółte, przypominające kule do kręgli dynie. Był to rzadki gatunek wschodniej dyni, którą można jeść razem ze skórą i pestkami; kiedyś traktowano je w kalifornijskich dolinach z pogardą... ale czasy się zmieniły.

Grupka zdążających do szkoły dzieci przebiegła przed nim mało uczęszczaną drogę. Eldon Blaine zobaczył ich podarte książki, pojemniki na drugie śniadanie, usłyszał ich głosy i pomyślał, jak to miło widzieć zdrowe, biegnące do swoich zajęć dzieci, tak niepodobne do jego własnej córki. Jeśli Gen umrze, zastąpią ją inni. Przyjął ten fakt bez zbytnej emocji. Tego można się było nauczyć. Tego trzeba się było nauczyć.

Szkoła stała po prawej stronie w siodle między dwoma wzgórzami. W większości składała się na nią to, co zostało z parterowego nowoczesnego budynku, postawionego niewątpliwie tuż przed wojną staraniem ambitnych, przejętych dobrem publicznych obywateli, którzy zaciągnęli dziesięcioletni kredyt, nie wiedząc nawet, że nie dożyją terminu spłaty długu. W ten sposób, przypadkiem, dostali szkołę podstawową za darmo.

Kiedy spojrzął na okna budynku, o mało nie wybuchnął śmiechem. Powyciągane z najróżniejszych starych wiejskich zabudowań, wielkie i małe, trzymały się w otworach okiennych za pomocą zdobionych desek. Poprzednie okna wyleciały oczywiście od podmuchu. Szkło, pomyślał. To taka rzadka dzisiaj rzecz... jeśli ma się szkło, w jakiegokolwiek formie, jest się bogatym człowiekiem. Ścisnął mocniej teczkę pod pachą.

Kilkoro dzieci na widok obcego mężczyzny przystanęło i zaczęło przyglądać mu się z niepokojem, który potęgowała jeszcze ciekawość. Uśmiechnął się do nich, zastanawiając się,

czego też się uczą i jakich mają nauczycieli. Może uczy je stara, zgrzybiała dama, której przerwano spokojne życie emerytki i jeszcze raz posadzono za biurkiem. A może jakiś miejscowy, który przypadkiem ma uniwersytecki dyplom. Najpewniej zaś to same matki, zorganizowane w grupę i uzbrojone w stos bezcennych książek z biblioteki.

Z tyłu zawołała go jakaś kobieta, a kiedy się odwrócił, usłyszał skrzypienie roweru.

– Czy to pan jest tym sprzedawcą szkieł?! – zawołała ponownie wyglądająca poważnie, lecz atrakcyjna ciemnowłosa kobieta, ubrana w męską, bawełnianą koszulę i dżinsy, jadąca na podskakującym na każdym wyboju rowerze. – Niech się pan zatrzyma. Rozmawiałam z Fredem Quinnem, naszym aptekarzem, i on mi powiedział, że był pan u niego. – Dogoniła go i zahamowała, łapiąc z trudem powietrze. – Od ładnych paru miesięcy nie było u nas sprzedawcy szkieł. Może by pan wpadał częściej?

– Nie przyszedłem tutaj, żeby handlować – odparł Eldon Blaine. – Szukam antybiotyku. – Czuł, że ogarnia go złość. – Muszę się dostać do Petalomy – dodał i nagle zdał sobie sprawę, że patrzy na jej rower z zazdrością. Wiedział, że można to wyczytać z jego twarzy.

– Możemy panu załatwić ten antybiotyk – odparła kobieta. Była starsza, niż mu się przedtem wydawało. Na ciemnawej skórze jej twarzy widać było zmarszczki i Eldon pomyślał, że musi mieć prawie czterdzieści lat.

– Jestem w Komitecie Planowania w West Marin. Na pewno jesteśmy w stanie załatwić panu to, czego pan potrzebuje, jeśli tylko pójdzie pan ze mną i poczeka trochę. Niech pan nam da dwie godziny. Potrzebujemy kilku par okularów... nie puszczę pana. – W jej głosie słychać było tylko zdecydowanie i nie było w nim ani śladu przymilnej prośby.

– Czy pani przypadkiem nie nazywa się Raub? – zapytał.

– Tak – odparła. – Skąd pan wie?

– Pochodzę z okolic Bolinas – powiedział. – Słyszeliśmy o tym, co tutaj robicie. Dobrze by było, gdybyśmy mieli u siebie coś takiego jak wasz komitet. – Bał się jej trochę. Mówiono, że pani Raub zawsze potrafi postawić na swoim. To właśnie ona i Larry Raub organizowali życie w West Marin w okresie Uspokojenia. Przedtem, przed Katastrofą, była nikim i dopiero wojna dała jej, podobnie jak wielu innym, okazję do pokazania, na co ją naprawdę stać.

– Dla kogo ten antybiotyk? – spytała pani Raub, kiedy zawrócili w stronę miasteczka. – Chyba nie dla pana, bo wygląda pan na zdrowego jak koń.

– Moja córeczka jest umierająca – odparł.

Nie usłyszał od pani Raub słów współczucia, bo na świecie już ich nie było. Kobieta pokiwała tylko głową.

– Żółtaczka zakaźna? – zapytała. – Jakie macie źródło wody? Jest tam urządzenie do chlorowania? Bo jeśli nie...

– Nie, to nie żółtaczka, lecz zapalenie gardła – odpowiedział.

– Wczoraj wieczorem słyszeliśmy z satelity, że w Niemczech zaczęły znów działać niektóre zakłady farmaceutyczne, więc jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy mieli na rynku niemieckie lekarstwa. Przynajmniej na Wschodnim Wybrzeżu.

– Odbieracie satelitę? – zapytał z ożywieniem. – Radio nam się zepsuło, a nasz rzemieślnik pojechał gdzieś na południe San Francisco, żeby poszukać części do lodówek, i nie będzie go pewnie przez następny miesiąc. Niech mi pani powie, co on teraz czyta? Ostatnim razem, kiedy udało się nam go odebrać... to było tak cholernie dawno... czytał *Prowincjalki* Pascala.

– Teraz Dangerfield czyta *W niewoli uczuć* – odparła pani Raub.

– Czy to o tym facecie, który nie może się pozbyć dziewczyny? – spytał Eldon. – Chyba sobie przypominam, bo czytał to już przedtem, parę lat temu. Ta dziewczyna ciągle pojawiała się w jego życiu i w końcu zdaje się zupełnie go wykończyła.

– Nie wiem, poprzednim razem chyba tego nie słyszeliśmy.

– Dangerfield to naprawdę znakomity radiowiec – powiedział Eldon. – Najlepszy, jakiego kiedykolwiek słyszałem, nawet przed Katastrofą. Nigdy nie opuszczaliśmy jego audycji. Każdego wieczoru do remizy przychodziło dwieście osób. Myślę, że ktoś z nas potrafiłby naprawić to cholerne radio, ale komitet postanowił, żeby poczekać, aż wróci rzemieślnik. Jeśli w ogóle wróci... poprzedni wyruszył na poszukiwanie części i zniknął.

– Może teraz wasza społeczność zrozumie potrzebę posiadania podręcznego sprzętu. Zawsze twierdziłam, że to sprawa podstawowa.

– Czy ktoś od nas mógłby przysłuchiwać się obradom waszej grupy i potem zdać nam sprawozdanie?

– Oczywiście – odparła pani Raub. – Ale...

– To nie będzie to samo – zgodził się Eldon. – To nie... – Machnął ręką. Na czym polega rola Dangerfielda, który siedzi w przelatującym nad nimi codziennie satelicie? Kontakt ze światem... Dangerfield spogląda w dół i widzi wszystko: odbudowę, zmiany na lepsze i na gorsze; odbiera wszystkie sygnały radiowe, nagrywa je, przechowuje, a potem odtwarza, więc poprzez niego ludzie mają ze sobą łączność.

Ciągle potrafił przywołać w myśli ów głos, którego ich społeczność była pozbawiona od tak dawna: wyrazisty, cichy śmiech, poważniejsze nutki, serdeczność; głos, w którym nigdy nie było fałszu. Żadnych sloganów, żadnych przemówień na czwartego lipca, żadnych takich historii, przez które znaleźli się w obecnym położeniu.

Kiedyś Eldon usłyszał, jak Dangerfield spytał: „Chcecie się dowiedzieć tak naprawdę, dlaczego nie było mnie z wami, kiedy zaczęła się wojna? Dlaczego na wszelki wypadek wysłali mnie w kosmos, tuż zanim to się zaczęło? Wiedzieli, że niedobrze by było dawać mi do ręki broń... zastrzeliłbym jakiegoś oficera”. Potem Dangerfield zaśmiał się, obracając sprawę w żart, lecz to, co powiedział, było prawdą, każde jego słowo było prawdziwe, nawet jeśli próbował

zartować. Dangerfield nie był politykiem, a jednak ponieważ znalazł się tam, w górze, i przelatywał nad ich głowami rok po roku, stał się kimś, komu wierzyli.

Dom Raubów stał na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na West Marin. Dookoła ciągnęły się pola poprzecinane rowami nawadniającymi, tu i ówdzie widać było stojące w zagrodach kozy, no i oczywiście były jeszcze konie. Stojący przy oknie living roomu Eldon Blaine spostrzegł wielkiego perszerona, który bez wątpienia używany był do ciągnięcia pługa... pługa, a czasem i pozbawionego silnika samochodu, kiedy trzeba się było wybrać po zakupy. Potem zobaczył jadący drogą konny zaprzęg, który zabrałby go pewnie i dowiózł szybko do Petalummy, gdyby nie spotkanie z panią Raub.

Pod nim, u stóp wzgórza, widać ją było, jak jedzie rowerem po antybiotyki. Zdziwił się bardzo, kiedy zostawiła go samego w domu, bo mógł przecież z łatwością podwędzić wszystko, co tylko wpadłoby mu w ręce. Zaczął się rozglądać. Krzesła, książki, w kuchni jedzenie, a nawet butelka wina, wszystkie szafy wypełnione ubraniami – myszkował po całym domu, dotykając wszystkiego, co zobaczył. Wyglądało tu prawie jak przed wojną, tyle tylko, że wszystkie urządzenia elektryczne dawno już zostały wyrzucone.

Przez wychodzące na tyły domu okno zobaczył zielone deskowanie dużego zbiornika na wodę. A więc Raubowie mieli nawet własne źródło wody. Wyszedł na zewnątrz i spostrzegł czysty, nieskażony strumień.

Na jego brzegu stało jakieś mechaniczne urządzenie przypominające wózek. Przyjrzał mu się uważnie: wystające na zewnątrz protezy pracowicie napełniały wiadra wodą ze strumienia. W wózku siedział człowiek bez rąk i nóg. Mężczyzna ten kiwał głową, jakby dyrygował orkiestrą, a otaczające go urządzenia poddawały się jego woli. Eldon zrozumiał, że to fokomelik siedzący w fokomobilu, urządzeniu będącym połączeniem wózka i zastępujących kończyny protez.. Ale co on tu robi? Czyżby podkradał Raubom wodę?

– Ej, ty – odezwał się Eldon.

Fokomelik natychmiast odwrócił głowę i spojrzał w jego stronę z przestachem, a potem Eldon poczuł uderzenie w pierś. Coś pchnęło go do tyłu, a kiedy, chwiejąc się, usiłował odzyskać równowagę, spostrzegł, że nie może oderwać ramion od boków. Druciana siatka wyrzucona w jego kierunku z fokomobila zupełnie go unieruchomiła. Fokomelik bronił się.

– Kkim jjesteś? – spytał go fokomelik. Tak bardzo mu się spieszyło, żeby się dowiedzieć, czy nie grozi mu niebezpieczeństwo, że zaczął się jąkać. – Nie mieszkasz w okolicy. Nnie znam cię.

– Jestem z Bolinas – odparł Eldon. Siatka opinała go tak ściśle, że z trudem łapał powietrze.

– Jestem sprzedawcą szkieł. Pani Raub kazała mi tu czekać.

Teraz siatka jakby zluźniła ucisk.

– Nie mogę ryzykować – powiedział fokomelik. – Nie wypuszczę cię do powrotu June Raub.

– Wiadra znów zanurzyły się w strumieniu i zaczęły napępniać przymocowany do wózka zbiornik, dopóki woda się nie przelała.

– Wolno ci to w ogóle robić? – zapytał Eldon. – Wolno ci brać wodę ze strumienia Raubów?

– Mam prawo – odpowiedział fokomelik. – Okolicznym mieszkańcom daję więcej, niż od nich biorę.

– Pozwól mi odejść – poprosił Eldon. – Szukam lekarstwa dla mojej córki. Jest umierająca.

– Moja córka. Jest umierająca – zaczął go przedrzeźniać fokomelik, zaskakująco wiernie naśladowując głos sprzedawcy szkieł. Odjechał od strumienia i zbliżył się do Eldona. Fokomobil cały się świecił. Części, z których był zrobiony, wyglądały na nowe i błyszcząły. Był to jeden z najstaranniej wykonanych mechanizmów, jakie Eldon widział w życiu.

– Pozwól mi odejść – powtórzył Eldon. – Jeśli pozwolisz mi odejść, dam ci za darmo okulary. Jakie tylko będziesz chciał.

– Mam doskonały wzrok – odparł fokomelik. – Całe moje ciało jest doskonałe. Niektórych członków mi brakuje, ale ja ich nie potrzebuję. Właściwie nawet mi bez nich lżej. Na przykład potrafię znaleźć się pod tym wzgórzem szybciej niż ty.

– Kto zbudował ten pojazd? – spytał Eldon. Po siedmiu latach fokomobil byłby z pewnością zmatowiał i częściowo zepsuty, jak wszystko dookoła.

– Sam go zbudowałem – odparł fokomelik.

– Jak mogłeś zbudować swój własny pojazd? Przecież to sprzeczność.

– Przewody, które kiedyś miałem podłączone do ciała, teraz prowadzą prosto do mózgu. To też sam sobie zrobiłem. Jestem tutaj rzemieślnikiem. Stare protezy, które dostałem od rządu przed wojną, nie były nawet tak dobre jak te wypustki z mięśni, które masz ty. – Fokomelik skrzywił się w uśmiechu. Miał chudą, ruchliwą twarz, ostro zarysowany nos i śnieżnobiałe zęby: była to twarz jakby stworzona do wyrażania emocji, które ukazał właśnie Eldonowi Blaine'owi.

– Dangerfield powiada, że rzemieślnicy to najbardziej użyteczni ludzie na świecie – rzekł Eldon. – Kiedyś, kiedy słuchaliśmy transmisji, ogłosił Światowy Dzień Rzemieślnika i wymienił z nazwiska kilku najbardziej znanych. A ty jak się nazywasz? Może o tobie też wspominał?

– Nazywam się Hoppy Harrington – odparł fokomelik. – Ale o mnie na pewno nie mówił, ponieważ ja na razie trzymam się w cieniu; nie nadszedł jeszcze moment, w którym stanę się sławny, ale zamierzam do tego doprowadzić. Miejscowi mają okazję przyjrzeć się po części temu, co potrafię, ale nie wolno im o tym rozpowiadać.

Tego na pewno nie zrobią – powiedział Eldon. – Nie chcieliby cię przecież stracić. U nas nie ma w tej chwili rzemieślnika i dotkliwie to odczuwamy. Może mógłbyś zająć się przez chwilę okolicami Bolinas? Mamy bardzo wiele rzeczy na wymianę. W czasie Katastrofy prawie żaden z napastników nie dotarł do nas za górę, więc prawie nic nie zostało zniszczone.

– Byłem kiedyś w okolicy Bolinas – rzekł Hoppy Harrington. – Wszędzie już byłem,

dotarłem w głąb ładu aż do Sacramento. Nikt nie widział tyle, ile ja. Potrafię przejechać dziennie pięćdziesiąt mil. – Przez jego chudą twarz przebiegł skurcz, a potem fokomelik zaczął się jękać: – Nnie mogę pojechać do Bolinas, bbo tam są w morzu ppotwory.

– Kto to powiedział? – zapytał ostro Eldon. – To bajki. Kto powiedział coś takiego o naszej wspólnocie?

– Zdaje się, że Dangerfield.

– Niemożliwe – odparł sprzedawca szkieł. – Na nim można polegać. Nigdy nie słyszałem, żeby w swoich programach opowiadał podobne rzeczy. Może żartował. Założę się, że żartował, a ty wzięłeś to poważnie.

– Bomby wodorowe – powiedział fokomelik – wyrwały potwory morskie ze snu w głębinach. – Pokiwał głową z powagą.

– Przyjedź do nas i sam zobacz. U nas panuje porządek i jesteśmy rozwinięci o wiele bardziej niż jakiegokolwiek inne miasto. Na ulicach palą się nawet latarnie, cztery latarnie każdego wieczoru przez godzinę. Dziwię się, że rzemieślnik mógł uwierzyć w podobną bajkę.

Fokomelik wyglądał na zasmuconego.

– Nigdy nie można być do końca pewnym – mruknął. – Może to zresztą nie był Dangerfield.

Pod nimi pnącą się na szczyt wzgórza drogą szedł koń; usłyszeli stukot kopyt i jednocześnie się odwrócili. Wysoki, tęgi, czerwony na twarzy mężczyzna jechał pod górę, przyglądając się im uważnie.

– Czy to pan jest sprzedawcą szkieł?! – zawołał z końskiego grzbietu.

Tak! – odparł Eldon, kiedy koń skręcił w zarośniętą trawą podjazd. – Ma pan antybiotyki?!

– June Raub je przywiezie – oznajmił wielki, rumiany mężczyzna, ściągając cugle i zatrzymując wierzchowca. – Niech pan pokaże, co pan tam ma. Jestem krótkowidzem i mam ostry astygmatyzm w lewym oku. Mógłby mi pan jakoś pomóc? – Podszedł do Eldona, ciągle mu się przyglądając.

– Nie mogę nic dla pana zrobić, ponieważ Hoppy Harrington mnie związał – odpowiedział Eldon.

– Na miłość boską, Hoppy – zdenerwował się rumiany mężczyzna – puśćże sprzedawcę szkieł, żeby mógł mnie obsłużyć. Czekam już od miesiący i nie mam zamiaru czekać ani chwili dłużej.

– W porządku, Leroy – zgodził się z rozdrażnieniem Hoppy Harrington. A potem metalowa siatka wokół Eldona zwolniła ucisk i popęzła po ziemi ku czekającemu w błyszczącym, skomplikowanym pojeździe fokomelikowi.

Kiedy satelita przelatywał nad Chicago, jego przypominające skrzydła anteny przechwyciły słabiutki sygnał i Walt Dangerfield usłyszał w słuchawkach nikły, odległy i głuchy dobiegający z dołu głos:

-...i prosimy, żeby puścić *Waltzing Matilda*, bo wielu z nas to lubi. I proszę o *The Woodpecker Song*. I... – Słabiutki sygnał zamarł i teraz Dangerfield słyszał już tylko szum w eterze. No, wystrzał z lasera to nie był, pomyślał z ironią.

– Drodzy przyjaciele, mam tu zamówienie na *Waltzing Matilda*. – Sięgnął ku klawiszom magnetofonu. – Znakomity bas-baryton Peter Dawson... którego nazwisko jest jednocześnie nazwą znakomitego gatunku szkockiej whisky... w utworze *Waltzing Matilda*. – Z mocno podniszczonego magazynka wybrał odpowiednią taśmę i już po chwili szpula kręciła się na magnetofonie.

Gdy grała muzyka, Walt Dangerfield zaczął dostrajać odbiornik, licząc na to, że złapie znowu ten słabiutki sygnał. Zamiast tego włączył się w rozmowę prowadzoną przez dwie jednostki wojskowe, zajęte akcją policyjną gdzieś na północy Illinois. Prowadzona z ożywieniem, wciągnęła go, słuchał więc, dopóki nie skończyła się taśma.

– Życzę powodzenia chłopcom w mundurach – powiedział do mikrofonu. – Złapcie tych łobuzów i niech was Bóg błogosławi. – Zaśmiał się, bo pomyślał, że jeżeli kiedykolwiek istniał ktoś całkowicie bezpieczny przed jakimkolwiek odwetem, to tym człowiekiem jest właśnie on. Nikt z Ziemi nie mógł się do niego dostać: próbowano tego sześć razy od czasu Katastrofy, bez powodzenia. – Złapcie tych łobuzów... czy może powinienem raczej powiedzieć: porządnych ludzi. Niech mi ktoś wyjaśni, kto teraz jest porządny, a kto nie. – W ciągu ostatnich tygodni wysłuchał przez swój odbiornik wiele skarg na brutalność wojskowych. – Posłuchajcie, co wam teraz powiem: uważajcie na facetów ze strzelbami na wiewiórki. – W taśmotece satelity zaczął szukać nagrania *The Woodpecker Song*. – To tyle – powiedział i włączył taśmę.

Leżący w dole świat zwracał ku niemu swoją pograżoną w mroku stronę, a jednak na obrzeżach rysował się już paseczek dziennego światła, w który satelita niedługo znów wleci. Tu i tam błyskały światła, jak dziury wydziobane w powierzchni planety, którą opuścił siedem lat temu. Opuścił ją w innym celu i z innymi zamiarami. W celu o wiele bardziej szlachetnym.

Jego satelita nie był jedynym, który okrążał Ziemię, jednakże Dangerfield był jedyną żywą istotą na orbicie. Wszyscy inni dawno już powymierali. Ci inni jednak nie byli wyposażeni tak jak on i Lydia, na dziesięć lat życia na obcej planecie. Miał szczęście, bo na pokładzie oprócz żywności, wody i powietrza były miliony mil taśm wideo i audio, które umieszczono tam, żeby mu się nie nudziło. A teraz z ich pomocą zapewniał im rozrywkę – pozostałym przy życiu przedstawicielom cywilizacji, która go na tę orbitę wysłała. Na szczęście dla samych siebie spartolili próbę posłania go na Marsa. Od tego momentu ta porażka przynosiła im tylko korzyści.

– Trala lala la – zaśpiewał do mikrofonu nadajnika, który zbudowano po to, żeby przekazywał głos na odległość milionów, a nie ledwie paruset mil. – Co można zrobić z programatorem wymontowanym ze starej pralko-suszarki firmy RCA. Ta informacja nadeszła od rzemieślnika z okolic Genewy. Dziękuję panu Georgowi Schilperowi. Jestem przekonany, że

wszyscy będą zadowoleni, gdy usłyszą, jak udziela pan tej aktualnej porady osobiście. – Puścił nagrany na taśmę głos rzemieślnika. Teraz mieszkańcy regionu Wielkich Jezior będą mieli okazję zapoznać się z okruczem wiedzy przekazany przez Geoga Schilpera i niewątpliwie zaraz wykorzystają go w praktyce. Świat był zgłodniały wiadomości tkwiących tu i tam po kieszeniach różnych ludzi – wiedzy, która bez Dangerfielda zostałaby tam, gdzie się narodziła, być może na zawsze.

Kiedy skończyła się taśma z Georgiem Schilperem, Dangerfield założył na magnetofon swoje nagranie *W niewoli uczuć* i sztywno podniósł się z fotela.

W klatce piersiowej czuł ból, który go martwił. Pojawił się pewnego dnia pod mostkiem i teraz Dangerfield po raz setny wziął do ręki jeden z mikrofilmów z informacjami na tematy medyczne i zaczął przeglądać rozdział dotyczący serca. Czy ten ból przypomina pozbawiający oddechu nacisk nasadą dłoni? – zadał sobie pytanie. Jakby ktoś naciskał całym ciężarem? Trudno mu było sobie przypomnieć, co oznacza pojęcie ciężaru. Czy to może tylko pieczenie... a jeśli tak, to kiedy się pojawia? Przed posiłkami czy po?

W zeszłym tygodniu nawiązał łączność ze szpitalem w Tokio i opisał te objawy. Lekarze nie byli pewni, co mają mu powiedzieć. Trzeba by panu zrobić elektrokardiogram, orzekli. Ale jak miał wykonać na sobie takie badanie tutaj, w górze? Jak to w ogóle mogło być możliwe, w jakimkolwiek innym przypadku? Japońscy lekarze żyli przeszłością albo też postęp w Japonii zaszedł dalej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

To zadziwiające, że udało mi się tak długo przeżyć, pomyślał nagle. Chociaż właściwie ten okres nie wydawał mu się długi, ponieważ jego poczucie czasu zostało zakłócone. Poza tym był bardzo zajęтым człowiekiem: w tej chwili sześć magnetofonów monitorowało sześć używanych często zakresów fal i zanim skończy się odcinek powieści Maughama, Dangerfield musi przesłuchać te taśmy. Nagrania mogą być zupełnie nieinteresujące, mogą jednak też zawierać całe godziny interesujących rozmów. Tego nigdy nie dawało się przewidzieć. Gdybym tylko mógł użyć systemu szybkiej transmisji, pomyślał... jednak tam, na dole, potrzebne do tego dekodery już nie istniały. Można by zamienić godziny w sekundy i przekazać każdemu z regionów pełną relację. A tak musiał rozdzielać między potrzebujących krótkie kawałki nagrań, często się powtarzając. W ten sposób czytanie jednej powieści ciągnęło się czasem miesiącami.

Udało mu się jednak obniżyć częstotliwość nadajnika satelity o tyle, że ludzie na dole mogli go odbierać przez zwykłe radia. To było wielkie osiągnięcie i to ono właśnie uczyniło go tym, kim był obecnie.

Odcinek powieści Maughama skończył się, a potem taśma przewinęła się automatycznie i zaczęła odtwarzanie od początku dla następnego obszaru, nad którym przelatywał. Walt Dangerfield nie zwrócił na to uwagi, wciąż zajęty przeglądaniem zawierających medyczne

informacje mikrofilmów. Podejrzewam, że to tylko skurcze zastawki odźwiernikowej, zdecydował. Szkoda, że nie mam luminalu... jednak luminal skończył się już dawno: jego żona połknęła wszystkie tabletki podczas swojej ostatniej głębokiej samobójczej depresji – połknęła je, a potem i tak popełniła samobójstwo. Co dziwne, to właśnie nagłe milczenie radzieckiej stacji orbitalnej wywołało u niej załamanie. Do tamtego momentu wierzyła jeszcze, że ktoś do nich dotrze i ściągnie bezpiecznie na Ziemię. Rosjanie umarli z głodu, cała dziesiątka, nikt jednak nie mógł tego przewidzieć, ponieważ aż do ostatnich godzin słychać było ich wygłaszane naukowym żargonem raporty.

– Trala lala la – zaśpiewał Dangerfield, czytając o zastawce odźwiernika i jej skurczach. – Słuchajcie no – mruknął. – Czuję taki dziwny ból wywołany zbytnim uleganiem słabościom... potrzebowałbym wszechstronnej odnowy, nie sądzicie? – Włączył mikrofon, zatrzymując taśmę. – Pamiętacie te stare reklamy? – zapytał swoich pogrążonych w ciemnościach, niewidocznych słuchaczy. – Jak to tam szło przed wojną? Produkujesz coraz więcej bomb wodorowych i sprawia ci to coraz mniej radości? – Zaśmiał się. – Martwisz się z powodu wojny termojądrowej? Czy Nowy Jork już mnie odbiera? Chciałbym, żeby wszyscy, którzy są w zasięgu mojego głosu, żeby każda z tych sześćdziesięciu pięciu osób, które mnie słuchają, zapaliła teraz zapałkę, abym wiedział, że tam jesteście.

W słuchawkach Dangerfielda odezwał się wyraźny głos:

– Dangerfield, tu Kapitanat Portu w Nowym Jorku, czy mógłby pan nam powiedzieć coś na temat pogody?

– Pogoda będzie ładna – odpowiedział Dangerfield. – Możecie sobie wypłynąć na morze tymi malutkimi łódkami i nałapać radioaktywnych ryb: nie ma się czym przejmować.

Teraz włączył się inny głos, nieco słabszy:

– Czy mógłby pan może puścić arie operowe? Szczególnie zależałoby nam na „Jak zmarzła twa mała rączka” z *La Boheme*.

– To akurat mogę wam nawet zaśpiewać – powiedział Dangerfield, sięgając po taśmę i nucąc tenorem do mikrofonu.

Tego samego wieczoru Eldon Blaine wrócił do Bolinas, dał córce pierwszą dawkę antybiotyku, a potem pociągnął żonę na stronę.

– Słuchaj, w West Marin mają pierwszorzędnego rzemieślnika, o którym nikomu nie mówią, a to tylko dwadzieścia mil stąd. Wydaje mi się, że powinniśmy wysłać tam delegację, niech go uprowadzą i ściągną do nas. To fokomelik – dodał. – Powinnaś zobaczyć, jaki pojazd sobie wybudował; żaden z tych rzemieślników, których mieliśmy, nie potrafiłby zrobić niczego nawet w połowie tak dobrego. – Znów włożył wełnianą kurtkę i ruszył do drzwi pokoju. – Poproszę komitet, żeby przeprowadził w tej sprawie głosowanie.

– Przecież mamy dekret dotyczący upośledzonych – zaprotestowała Patricia. – A w tym

miesiącu przewodniczącą komitetu jest pani Wallace, a wiesz przecież, co ona sądzi na ten temat: nigdy by nie pozwoliła na to, żeby jeszcze jakiś fokomelik osiadł w naszej okolicy. I tak mamy już czterech, a pani Wallace ciągle na nich narzeka.

– Dekret dotyczy tylko upośledzonych, którzy mogliby stać się finansowym obciążeniem dla wspólnoty – odparł Eldon. – Wiem, bo sam pomagałem opracowywać ten przepis. Hoppy Harrington nie byłby obciążeniem, lecz cennym nabytkiem. Dekret go nie dotyczy, a ja nie zamierzam się poddać pani Wallace. Jestem przekonany, że uda mi się uzyskać oficjalne zezwolenie; przemyślałem też dokładnie, jak przeprowadzić uprowadzenie. Zaprosili nas, żebyśmy przyszli na ich teren i posłuchali satelity. I tak też zrobimy: pójdziemy do nich, ale nie po to, żeby słuchać Dangerfielda. Kiedy oni będą zajęci audycją, my uprowadzimy Hoppy'ego: unieruchomimy fokomobil, ściągniemy go do nas, a oni nigdy się nie zorientują, co się stało. Kto znalazł, niech ma, kto zgubił, niech płacze. Poza tym mamy policję, która nas obroni.

– Boję się fokomelików – powiedziała Patricia. – Oni mają szczególne, nadnaturalne umiejętności. Wszyscy o tym wiedzą. Prawdopodobnie zbudował swój fokomobil, używając magii.

– Tym lepiej – odparł Eldon, śmiejąc się z żony. – A może tego właśnie nam potrzeba: magii, zaklęć, własnego czarodzieja? Ja jestem za.

– Pójdę zobaczyć, jak się czuje Gwen – oznajmiła Patricia i ruszyła w stronę wydzielonej części pokoju, gdzie w dzieciennym łóżeczku leżała ich córka. – Nie mam zamiaru brać w tym udziału. Uważam, że to, co chcesz zrobić, jest przerażające.

Eldon Blaine wyszedł z pokoju prosto w ciemności nocy. Po chwili kroczył już ścieżką w kierunku domu Wallace'ów.

Obywatele West Marin wchodzili jeden za drugim do Foresters' Hall i zajmowali miejsca. June Raub była zajęta ustawianiem kondensatora dwunastowoltowego samochodowego radia. Zauważyła, że Hoppy Harrington znów się nie pojawił, żeby posłuchać transmisji z satelity. Co to on kiedyś powiedział? „Nie lubię słuchać chorych ludzi”. Dostyc dziwna wypowiedź, pomyślała.

Z radiowego głośnika najpierw wydobywał się szum, a potem usłyszeli pierwsze słabe piski z satelity. Jeszcze kilka minut i będzie słychać wyraźnie... chyba że akumulator, który zasilą radio, znowu przestanie działać, tak jak to się zdarzyło na krótką chwilę parę dni temu.

Rzędy siedzących postaci milczały, słuchając uważnie, jak poprzez szумы i trzaski przebijają się pierwsze słowa Dangerfielda.

...podobno przenoszony przez wszy tyfus ogarnia tereny od Waszyngtonu do granicy kanadyjskiej – mówił. – Trzymajcie się więc z daleka od tej okolicy. Jeśli ta wiadomość jest prawdziwa, to byłby to bardzo zły znak. A teraz informacja z Portland w stanie Oregon, nieco weselsza. Ze wschodu przybyły dwa statki. To wiadomość, na którą wszyscy czekali, prawda?

Z tego, co słyszałem, wynika, że są to dwa duże frachtowce wyładowane artykułami przemysłowymi z niewielkich fabryk w Japonii i Chinach.

Siedzący w pokoju ludzie poruszyli się z ożywieniem.

– A teraz porada z zakresu gospodarstwa domowego od specjalisty do spraw żywienia z Hawajów – zaczął Dangerfield, lecz jego głos zniknął i znów słychać było tylko trzaski i szumy. June Raub nastawiła głośniejsze radio, lecz to nic nie pomogło. Na twarzach wszystkich siedzących w pomieszczeniu ludzi widać było zawód.

Gdyby tu był Hoppy, pomyślała, potrafiłby dostroić radio znacznie lepiej niż ja. Poczula zdenerwowanie i poszukała wzrokiem męża, oczekując od niego poparcia.

– Warunki pogodowe – odezwał się ze swego krzesła w pierwszym rzędzie. – Musimy być cierpliwi.

Mimo wszystko kilkoro ludzi patrzyło na nią z wyraźną wrogością, jakby to ona ponosiła winę za to, że transmisja z satelity nie jest już słyszalna. Rozłożyła ręce w geście bezradności.

Drzwi do Foresters' Hall otworzyły się i do środka weszli niepewnie trzej mężczyźni. Dwóch z nich June nie знаła, a trzecim był sprzedawca szkieł. Z widoczną niepewnością rozejrzeli się za wolnymi krzesłami, a wszyscy obecni w sali odwrócili głowy w ich stronę.

– Coście za jedni? – zapytał pan Spaulding, kierownik stodoły. – Czy ktoś was tutaj prosił?

– Zaprosiłam do nas delegację z Bolinas, żeby posłuchali z nami, bo ich radio jest zepsute.

– Óóó – odezwało się kilka osób, bo głos z satelity znów stał się słyszalny.

–...no więc – mówił Dangerfield – boli mnie przeważnie wtedy, kiedy się obudzę, albo przed jedzeniem. Ból mija po posiłkach i dlatego podejrzewam, że to raczej wrzód, a nie serce. Jeśli słyszą mnie jacyś lekarze, którzy mają dostęp do nadajnika, to niech się odezwą i powiedzą, co o tym sądzą. Mogę podać więcej informacji, jeśli będzie trzeba.

June Raub słuchała ze zdziwieniem, jak człowiek w satelicie opisuje coraz szczegółowiej swoje dolegliwości. Czy to o tym mówił Hoppy? – zastanowiła się. Dangerfield stał się hipochondrykiem i nikt poza Hoppym, którego zmysły są szczególnie wyostrzone, nie zauważył tej zmiany. Po plecach przebiegł jej dreszcz. Ten biedny człowiek, tam w górze, jest skazany na to, by okrążyć Ziemię raz za razem, dopóki, tak jak Rosjanom, nie skończą mu się zapasy żywności i będzie musiał umrzeć.

I co wtedy pocniemy? – zadała sobie pytanie. Jak mamy dalej żyć... bez Dangerfielda?

Rozdział ósmy

Orion Stroud, przewodniczący rady szkolnej West Marin, zapalił benzynową lampę Colemana. Silny blask rozświetlił pokój i czterej członkowie rady mogli się przyjrzeć nowemu nauczycielowi.

– Zadam mu kilka pytań – powiedział Stroud do pozostałych. – Na początek pozwolę sobie przedstawić kandydata: to jest pan Barnes z Oregonu. Powiedział mi, że jest specjalistą w dziedzinie nauk ścisłych i naturalnej żywności. Zgadza się, panie Barnes?

Nowy nauczyciel, niski, młody mężczyzna ubrany w koszulę koloru khaki i robocze spodnie, odchrząknął nerwowo i odpowiedział:

– Tak, znam się na chemikaliach, roślinach i zwierzętach, a szczególnie na wszystkim, co można znaleźć w lasach, na przykład na jagodach i grzybach.

– Nie mieliśmy szczęścia do grzybów – odezwała się pani Tallman, starsza dama, która należała do rady jeszcze przed Katastrofą. – Ostatnio daliśmy sobie z nimi spokój, ponieważ straciliśmy kilku ludzi z powodu ich chciwości, nieostrożności lub tylko zwykłej ignorancji.

– Jednak obecny tu pan Barnes nie jest ignorantem – rzekł Stroud. – Studiował na uniwersytecie w Davis, gdzie nauczono go, jak odróżniać grzyby jadalne od trujących. On nie będzie zgadywał albo oszukiwał, czyż nie, panie Barnes? – Spojrzał na nowego nauczyciela, oczekując potwierdzenia.

– Co do niektórych gatunków jadalnych nie sposób się pomylić – rzekł pan Barnes, kiwając głową. – Oglądałem pastwiska i lasy w tej okolicy i znalazłem kilka ładnych okazów. Moglibyście uzupełnić dietę, nie ponosząc żadnego ryzyka. Znam nawet łacińskie nazwy tych grzybów.

Wśród członków rady zapanowało poruszenie. To musiało na nich zrobić wrażenie, pomyślał Stroud. Te łacińskie nazwy.

– Dlaczego wyjechał pan z Oregonu? – zapytał wprost George Keller, dyrektor szkoły.

Nowy nauczyciel spojrzał na niego i odparł:

– To była decyzja o charakterze politycznym.

– Podjęta przez pana?

– Przez kogoś innego – odrzekł Barnes. – Ja się polityką nie zajmuję. Uczę dzieci, jak się robi atrament i mydło, jak obcinać ogony jagniętom, nawet wtedy, gdy jagnięta są już prawie dorosłe. Poza tym mam własne książki. – Wziął do ręki tom z leżącego przed nim stosiku, pokazując członkom rady, w jak dobrym jest stanie. – Chciałbym państwu powiedzieć jeszcze coś: w tej części Kalifornii istnieją możliwości produkcji papieru. Wiedzieliście państwo o tym?

– Tak – odparła pani Tallman. – Ale nie wiedzieliśmy dokładnie, jak to się robi. Zdaje się, że

używa się do tego kory drzew, prawda?

Na twarzy nowego nauczyciela pojawił się tajemniczy wyraz. Stroud wiedział, że pani Tallman ma rację, jednak nauczyciel nie chciał jej nic powiedzieć: chciał zachować swoją wiedzę dla siebie, ponieważ rada na razie go nie zatrudniła. Jego wiedza nie była jeszcze dla nich dostępna – nie chciał niczego oddawać za darmo. I to oczywiście było właściwe zachowanie. Stroud docenił to i poczuł szacunek dla Barnes'a. Tylko głupiec oddawałby cokolwiek za darmo.

Po raz pierwszy głos zabrała najmłodsza stażem członkini zarządu, panna Costigan:

– Ja sama... wiem co nieco na temat grzybów. Panie Barnes, na co zwróciłby pan przede wszystkim uwagę, żeby się przekonać, czy jakiś grzyb nie jest trującym muchomorem? – Spojrzała bacznie na nowego nauczyciela, najwyraźniej mając zamiar przyłapać go na nieznajomości konkretów.

– Na tak zwany pierścień śmierci – odparł pan Barnes. – To opona u nasady trzonu. Muchomory ją mają, a większość innych gatunków nie. Poza tym jest jeszcze welon. Trujące gatunki muchomorów mają z reguły białe zarodniki... no i oczywiście białe blaszki. – Uśmiechnął się do panny Costigan, która odpowiedziała mu tym samym.

Pani Tallman przyglądała się uważnie ułożonym w stos książkom.

– Widzę, że ma pan tutaj *Typy psychologiczne* Carla Junga. Czy zajmował się pan psychologią? Miło mieć w szkole nauczyciela, który nie tylko potrafi odróżnić grzyby jadalne od niejadalnych, ale jest także ekspertem znającym się na Freudzie i Jungu.

– To są rzeczy bez wartości – warknął Stroud z irytacją. – Potrzebujemy konkretnych informacji, a nie akademickiego trucia. – Czuł się osobiście urażony, ponieważ Barnes nie powiedział mu o swoich zainteresowaniach przedmiotami czysto teoretycznymi. – Psychologią nie wykopie się sterylnych zbiorników na wodę.

– Myślę, że jesteśmy już gotowi do głosowania nad kandydaturą pana Barnes'a – powiedziała panna Costigan. – Jeśli chodzi o mnie, to jestem za przyjęciem go do pracy, przynajmniej na okres próbny. Czy ktoś jest przeciw?

– Czy wiedział pan, że zabiliśmy naszego poprzedniego nauczyciela? – spytała Barnes'a pani Tallman. – To dlatego miejsce jest wolne. I dlatego też pan Stroud został wysłany na poszukiwania wzdłuż wybrzeża.

– Wiem – odparł Barnes z kamienną twarzą, kiwając głową. – To mnie nie zniechęca.

– Nazywał się Austurias i też bardzo dobrze znał się na grzybach, chociaż właściwie zbierał je tylko na własny użytek. Nie nauczył nas niczego o grzybach, ale my rozumieliśmy jego powody i to nie dlatego postanowiliśmy go zabić. Zabiliśmy go, ponieważ nas okłamał. Widzi pan, prawdziwy powód, dla którego Austurias do nas przybył, nie miał nic wspólnego z nauczaniem. On szukał pewnego człowieka nazwiskiem Jack Tree, który, jak się okazało, mieszka w naszej okolicy. Pani Keller, szanowana członkini naszej wspólnoty i żona George'a

Kellera, obecnego tu kierownika szkoły, jest dobrą znajomą pana Tree i to ona właśnie poinformowała nas o tej sytuacji, a my upoważniliśmy naszego szefa policji, pana Earla Colviga, do podjęcia zgodnych z prawem, oficjalnych działań.

– Rozumiem – rzekł pan Barnes. Przez cały czas nie przerywał mówiącej.

Teraz wtrącił się Orion Stroud i powiedział głośno:

– Zespół sędziowski, który go skazał i wykonał wyrok, składał się ze mnie, Casa Stone’a, który jest największym właścicielem ziemskim w West Marin, z pani Tallman i z pani Raub. Powiedziałem, że zespół wykonał wyrok, ale samą czynnością, to znaczy samym rozstrzelaniem, zajął się Earl. To było jego zadanie, które wykonał, kiedy sąd w West Marin podjął odpowiednią decyzję. – Orion utkwiał spojrzenie w nauczyciela.

– Z tego, co słyszę, działa się tu formalnie i zgodnie z literą prawa – stwierdził pan Barnes. – Takiego właśnie miejsca szukałem, a poza tym... – tu uśmiechnął się do wszystkich –...ja podzielę się z wami wiedzą na temat grzybów; nie zatrzymam jej dla siebie, jak nieżyjący pan Austurias.

Wszyscy pokiwali głowami z aprobatą. Panujące w pokoju napięcie ustąpiło i siedzący w nim ludzie zaczęli cicho rozmawiać. Ktoś zapalił papierosa, jednego ze specjalnych deluxe gold label Andrew Gilla. Przyjemny, bogaty aromat, który rozpląnął się po pomieszczeniu, wprowadził wszystkich w dobry nastrój i spowodował, że poczuli przyływ sympatii do nowego nauczyciela i do siebie nawzajem.

Kiedy pan Barnes zobaczył papierosa, jego twarz przybrała dziwny wyraz.

– Macie tu tytoń? Po siedmiu latach? – zapytał lekko schrypniętym głosem. Najwyraźniej nie mógł w to uwierzyć.

Pani Tallman uśmiechnęła się z rozbawieniem i powiedziała:

– Panie Barnes, oczywiście, że nie mamy tytoniu, ponieważ nikt go nie ma. Mamy jednak eksperta od tytoniu. Fabrykuje dla nas specjalny gatunek deluxe gold label z przyrządzanej w szczególnie sposób mieszanki wybranych gatunków warzyw i ziół, której skład pozostaje, i słusznie, jego tajemnicą.

– A ile kosztują te papierosy?

– Gdyby liczyć według waluty stanu Kalifornia, to około stu dolarów za sztukę – odparł Orion Stroud. – Na przedwojenne monety: dziesięć centów.

– Mam dziesięć centów – oznajmił pan Barnes, sięgając trzęsącą się dłonią do kieszeni płaszcza. Wyciągnął monetę i podsunął ją palącemu papierosa mężczyźnie, którym był George Keller, rozparty na krześle, z nogą założoną dla wygody na nogę.

– Przykro mi – powiedział George – ale nie sprzedam panu. Niech pan lepiej zwróci się bezpośrednio do pana Gilla: w ciągu dnia znajdzie go pan w sklepie. Sklep znajduje się tutaj, w Point Reyes Station, chociaż oczywiście pan Gill obsługuje też całą okolicę; ma zaprzężonego

w konia volkswagena furgonetkę.

– Będę pamiętał – odparł pan Barnes i bardzo starannie schował dziesięciocentówkę.

– Czy ma pan zamiar skorzystać z promu? – zapytał urzędnik z Oakland. – Jeżeli nie, to proszę przestawić samochód, bo blokuje bramę.

– Dobrze – powiedział Stuart McConchie. Wsiadł do samochodu i strzepnął lejce, co spowodowało, że Edward Książę Walii, jego koń, pociągnął pojazd, a pozbawiony silnika pontiac z 1975 roku przejechał przez bramę i wydostał się z powrotem na molo.

Pokryte krótką falą niebieskie wody zatoki otaczały go z dwóch stron i Stuart zauważył przez przednią szybę mewę, która opadła gwałtownie, by spomiędzy pali porwać coś do jedzenia. Patrzył na linki niknące w wodzie – jacyś mężczyźni łowili ryby na kolację. Kilku z nich miało na sobie strzepy mundurów. Weterani, którzy być może mieszkają pod molo. Stuart pojechał dalej.

Gdybym tylko mógł sobie pozwolić na telefon do San Francisco, pomyślał. Jednak podmorski kabel znowu nie działał, a przewody szły najpierw na południe do San Jose, a potem znów na północ po drugiej stronie zatoki, wzdłuż półwyspu, więc zanim by się dodzwonił do San Francisco, musiałyby zapłacić pięć dolarów monetami.

Takie rozwiązanie mogli brać pod uwagę tylko bardzo bogaci ludzie. Stuart musiał poczekać dwie godziny do odplynięcia promu... ale czy starczy mu cierpliwości na tak długie czekanie?

Miał do załatwienia ważną sprawę.

Doszła go plotka, że odnaleziono wielki radziecki pocisk kierowany, jeden z tych, które nie wybuchły. Był zagrzebany w ziemi niedaleko Belmont, a znalazł go jakiś farmer podczas orki. Teraz ten farmer sprzedawał pocisk na części, których w samym układzie sterującym było parę tysięcy. Rolnik żądał centa za sztukę. Stuart w pracy potrzebował wielu podobnych detali. Ale potrzebowali ich także inni. Obowiązywała więc zasada kto pierwszy, ten lepszy. Jeśli nie przedostanie się w miarę szybko przez zatokę do Belmont, będzie już za późno i wszystkie potrzebne mu w pracy elektroniczne części zostaną sprzedane.

Stuart sprzedawał (robił je kto inny) małe elektroniczne pułapki. Szkodniki uległy mutacji i teraz potrafiły omijać lub bronić się przed tradycyjnymi pasywnymi pułapkami. W szczególności zmieniły się koty, a pan Hardy zbudował znakomitą pułapkę na koty, lepszą nawet od paści na szczury i psy.

Niektórzy twierdzili, że w ciągu tych lat, które minęły od wojny, koty wykształciły własny język. Nocami słychać było, jak porozumiewają się w ciemności, wydając serie szybkich, nienaturalnych, niskich dźwięków, tak różnych od kociego miauczenia, do którego wszyscy byli przyzwyczajeni. Koty zbierały się w niewielkie grupki i – to przynajmniej było pewne – gromadziły pożywienie na zapas. To właśnie ta żywność, sprytnie zgromadzona i zamaskowana,

była pierwszym alarmującym sygnałem, bardziej nawet istotnym niż nowy rodzaj miauczenia. W każdym jednak razie koty, podobnie jak szczury i psy, były niebezpieczne. Zabijały i pożerały małe dzieci właściwie tylko dla kaprysu, przynajmniej tak się mówiło. No i oczywiście, kiedy to tylko było możliwe, one też były łapano i zjadane. Za szczególny przysmak uważano psy nadziewane ryżem. W „Tribune”, niewielkiej lokalnej gazecie wychodzącej w Berkeley, można było znaleźć przepisy na różne potrawy z psów: zupę, gulasz, a nawet pudding.

Rozmyślania nad puddingiem z psa sprawiły, że Stuart McConchie poczuł głód. Wydawało mu się, że nie przestał być głodny, odkąd spadła pierwsza bomba. Ostatnim porządnym posiłkiem, który zjadł, był lunch w „Przysmakach Freda” tego dnia, gdy natknął się na fokomelika odstawiającego swój wizjonerski numer. Gdzie też teraz jest ten mały fokomelik? – przyszło mu nagle do głowy. Od lat o nim nie myślał.

Oczywiście widywał i potem fokomelików, prawie wszystkich, jak Hoppy, na wózkach, a każdy z nich siedział w centrum swojego pojazdu jak we własnym wszechświecie, którym władał niby bezręki i beznogi bóg. Ich widok ciągle jeszcze napawał Stuarta obrzydzeniem, no ale ostatnio nie brakowało odrażających widoków... ten był tylko jednym z wielu i z pewnością jeszcze nie najgorszym. Największy sprzeciw budzili w nim wlokący się ulicą symbiotycy: ludzie zrośnięci ze sobą jakąś częścią ciała i mający wspólne organy. Była to jakby ulepszona przez Bluthgelda wersja bliźniąt syjamskich... z tym, że w tym wypadku ludzi było więcej niż dwoje. Widywał już nawet po sześć zrośniętych ze sobą osób. Połączenie następowało jednak nie w macicy, lecz wkrótce po urodzeniu. W ten sposób ratowano życie ludziom pozbawionych istotnych organów – symbiotyczny związek pozwalał im przeżyć. Jedna trzustka służyła kilku ludziom – triumf nauk biologicznych. Stuart był jednak zdania, że dzieciom z wrodzonymi wadami powinno się pozwolić umrzeć.

Na prawo od Stuarta, na powierzchni zatoki, leżący na tratwie beznogi weteran wiosłował w stronę kupy śmieci, która była niewątpliwie zatopionym okrętem. Z kadłuba zwieszały się linki do połowu ryb, które należały do tego człowieka; właśnie zajęty był ich sprawdzaniem. Stuart patrzył na tratwę i zastanawiał się, czy można by nią dopłynąć do San Francisco. Mógł przecież zaproponować temu człowiekowi pięćdziesiąt centów za kurs w jedną stronę, dlaczego by nie. Stuart wysiadł z samochodu i podszedł do brzegu.

– Hej! – zawołał. – Niech pan tu podpłyń! – Wyjął z kieszeni jednocentówkę i rzucił ją na molo. Weteran zobaczył to i usłyszał. Obrócił gwałtownie tratwę i zaczął gorączkowo wiosłować z powrotem, usiłując nabrać szybkości, przy czym po jego twarzy polały się strumienie potu. Uśmiechnął się do Stuarta, przykładając do ucha zwiniętą dłoń.

– Ryby?! – krzyknął. – Dzisiaj jeszcze nie ma, może później! Może małego rekina?! Na pewno nie zaszkodzi! – Wyciągnął w górę rękę z podniszczonym licznikiem Geigera, przywiązany do nadgarstka kawałkiem liny. Pewnie po to, żeby nie spadł mu z tratwy albo

żeby nikt mu go nie ukradł, pomyślał Stuart.

– Nie – odpowiedział Stuart, kucając na krawędzi molo. – Chcę się dostać do San Francisco. Mogę panu zapłacić dwadzieścia pięć centów za kurs w jedną stronę.

– Musiałbym zostawić linki – odparł weteran, któremu uśmiech zniknął z twarzy. – Trzeba je pozbierać, bo inaczej ktoś mi je ukradnie, jak mnie nie będzie.

– Trzydzieści pięć centów – powiedział Stuart.

W końcu ugodzili się na czterdzieści. Stuart skuł nogi Edwarda Księcia Walii, by nikt nie mógł go ukraść, i w chwilę potem podskakiwał w górę i w dół na tratwie, którą weteran popychał uderzeniami wiosł w stronę San Francisco.

– Czym się pan zajmuje? – zapytał go mężczyzna. – Nie jest pan przypadkiem poborcą podatków, co? – Spojrzał na niego spokojnie.

– Nieee – odparł Stuart. – Sprzedaję pułapki.

– Wiesz pan co? – powiedział weteran. – Pod molo, tam gdzie mieszkam, mam oswojonego szczura. Jest sprytny, potrafi grać na flecie. Nie chcę pana nabierać, to prawda. Zrobiłem mu z drewna mały flecik, a on na nim gra przez nos... to taki azjatycki flet nosowy, jakich używają w Indiach. No cóż, trzeba raczej powiedzieć, że miałem tego szczura, bo parę dni temu został przejechany. Widziałem dokładnie, jak to się stało. Nie mogłem go zatrzymać ani nic. Przebiegał przez molo, żeby coś złapać, może kawałek materiału... zrobiłem mu takie łódeczko, ale ciągle się zaziębia, to znaczy zaziębiał, bo kiedy szczury uległy mutacji, to akurat ten gatunek wyłysiał.

– Już je widziałem – rzekł Stuart, myśląc o tym, jak sprytnie nagi brązowy szczur potrafi unikać nawet elektronicznych pułapek Hardy'ego. – Nie mówię, że panu nie wierzę. Znam się dobrze na szczurach. Ale szczury to jeszcze nic w porównaniu z tymi małymi szarobrązowymi kotami w paski... na pewno flet zrobił pan sam, bo ten szczur tego by nie potrafił.

– Fakt – odparł weteran. – Ale to był artysta. Musiałby pan usłyszeć, jak grał. Wieczorem, kiedy kończyliśmy łowić, zbierał się cały tłum ludzi. Próbowałem go nauczyć *Chaconne na strunie D* Bacha.

– Złapałem kiedyś takiego kota – powiedział Stuart – i trzymałem przez miesiąc, dopóki mi nie uciekł. Potrafił robić z wieczek od puszek takie malutkie szpiczaste przedmiociki. Zdaje się, że zginał jakoś te wieczka czy coś; nigdy nie widziałem, jak je robi, ale były niesamowite.

– Jak się teraz żyje na południe od San Francisco? – zapytał weteran, wiosłując. – Nie mogę wychodzić na ląd. – Pokazał dolną część swojego ciała. – Cały czas jestem na tratwie. Jest tu taka mała klapka, na wypadek gdybym chciał skorzystać z ubikacji. Chciałbym kiedyś znaleźć nieżywego fokomelika i zabrać jego wózek. Na te wózki mówi się fokomobile.

– Znałem pierwszego fokomelika – powiedział Stuart. – Jeszcze przed wojną. Był niesamowicie zdolny, wszystko potrafił naprawić. – Zapalił papierosa z namiastki tytoniu, a weteran przyglądał się temu pożądliwie. – Na południe od San Francisco są tylko pola

uprawne. Nikt tam niczego nie odbudowywał, a poza tym przedtem były tam tylko małe domki szeregowe, nie ma więc prawie wcale porządnych piwnic. Ludzie hodują groszek, kukurydzę i fasolę. Wybieram się tam, żeby obejrzeć dużą rakieta, którą znalazł niedawno jeden farmer. Potrzebuję przekaźników, lamp i innych elektronicznych części do pułapek, które buduje pan Hardy. – Przerwał na chwilę. – Pan też powinien mieć pułapkę Hardy’ego.

– Po co? Jem ryby i dlaczego miałbym nienawidzić szczurów? Lubię je.

– Ja też je lubię – powiedział Stuart – ale trzeba patrzeć na sprawy praktycznie; trzeba myśleć o przyszłości. Jeśli nie będziemy się mieli na baczności, szczury mogą pewnego dnia zawładnąć Ameryką. Naszym obowiązkiem wobec ojczyzny jest łapać i zabijać szczury, zwłaszcza te najinteligentniejsze, które mogłyby zostać przywódcami.

Weteran spojrział na niego.

– Reklamowa gadka, nic innego.

– Mówię, jak myślę.

– Tego właśnie nie lubię u sprzedawców: wierzą we własne kłamstwa. Wie pan co, w najlepszym razie szczury mogą za milion lat rozwinąć się na tyle, żeby przydać się ludziom jako służący. Mogłyby przenosić wiadomości i może wykonywać drobne prace. Ale żeby miały być niebezpieczne... – Pokręcił głową. – Ile kosztuje u pana taka pułapka?

– Dziesięć dolarów w monetach. Pieniądzy stanowych nie przyjmuję. Pan Hardy jest starszym człowiekiem... wie pan, jacy są starsi ludzie... Hardy nie uważa stanowej forsy za prawdziwe pieniądze. – Zaśmiał się.

– Opowiem panu o szczurze, który dokonał bohaterskiego czynu – zaczął weteran, lecz Stuart mu przerwał:

– Mam na ten temat swoje zdanie i nie będę się z panem spierał – powiedział.

Obaj zamilkli. Stuart podziwiał otaczające go ze wszystkich stron wody zatoki, a weteran wiosłował. Dzień był ładny, tratwa unosiła się i opadała na falach, płynąc w stronę San Francisco, a Stuart rozmyślał o wszystkich tych częściach elektronicznych, które być może przywiezie panu Hardy’emu do fabryczki przy San Pablo Avenue, niedaleko ruin budynków, które kiedyś stanowiły zachodnią część Uniwersytetu Kalifornijskiego.

– Co to za papieros? – przerwał ciszę weteran.

– Ten? – Stuart przyjrzał się niedopałkowi. Chciał go już zgasić i schować do metalowego pudełka, które miał w kieszeni. Pudełko było pełne niedopałków, z których po rozcięciu Tom Frandi, trafikarz z Berkeley, zrobi nowe papierosy. – Ten akurat jest z importu – powiedział. – Z hrabstwa Marin. To jest specjalny gatunek deluxe gold label wyprodukowany przez... – Przerwał dla większego efektu. – Myślę, że nie muszę panu mówić.

– Przez Andrew Gilla – dokończył weteran. – Chciałbym kupić od pana jedną sztukę; zapłacę dziesięć centów.

– Są warte piętnaście – odparł Stuart. – Trzeba je ściągać z jakiegoś miejsca za Nicasio i transportować wokół Black Point i Sears Point, a potem jeszcze przez Lucas Valley Road.

– Kiedyś miałem jednego takiego deluxe gold label Andrew Gilla – powiedział weteran. – Wypadł z paczki pewnemu człowiekowi, który wsiadał na prom. Wyciągnąłem go z wody i wysuszyłem.

Nagle Stuart podał mu niedopałek.

– Chryste – jęknął weteran, nie patrząc na Stuarta. Zaczął szybciej wiosłować, poruszając wargami i mrużąc powieki.

– Mam ich więcej – powiedział Stuart.

– Powiem panu, co jeszcze pan ma – powiedział weteran. – Panie, pan ma zrozumienie dla drugiego człowieka, a to dzisiaj rzadkość. Duża rzadkość.

Stuart pokiwał głową. Czuł, że w słowach weterana kryje się prawda.

Bonny zapukała do drzwi niewielkiej drewnianej chaty i zapytała:

– Jack, jesteś tam? – Popchnęła drzwi i przekonała się, że są otwarte. – Pewnie jest gdzieś ze swoim stadem – powiedziała do pana Barnes. – Owce się teraz kocą i Jack ma z tym kłopoty, bo rodzi się masa zwierzaków, które mają wady genetyczne i nie potrafią przejść przez kanał rodny bez pomocy.

– Ile on ma owiec? – zapytał pan Barnes.

– Trzysta. Pasą się w kanionach niedaleko stąd, więc trudno je dokładnie policzyć. Nie boi się pan chyba baranów?

– Nie – odparł Barnes.

– No to chodźmy – powiedziała Bonny.

– Więc to jest człowiek, którego nasz poprzedni nauczyciel próbował zabić – mruknął Barnes, kiedy szli przez wyskrobaną przez owce łąkę w kierunku niskiego wzniesienia porośniętego jodłami i zaroślami. Zarośla także były poobgryzane, a ich gołe gałęzie świadczyły o tym, że ładnych parę sztuk ze stada pana Tree musiało znajdować się w pobliżu.

– Tak – powiedziała idąca obok niego z rękami w kieszeniach kobieta. – Zupełnie nie wiem dlaczego – dodała szybko. – Jack jest tylko hodowcą owiec. Wiem, że nie wolno hodować owiec na terenach, które nadają się pod orkę... ale jak pan widzi, niewiele można tu zaorać, w większości to kanion. Może Austurias mu zazdrościł.

Nie wierzę jej, pomyślał pan Barnes. Właściwie niewiele go to wszystko obchodziło. Chciał tylko uniknąć pomyłki, którą popełnił jego poprzednik. Kimkolwiek czy czymkolwiek był pan Tree, Barnes miał wrażenie, że ten człowiek stał się już częścią naturalnego środowiska, że zatracił cechy ludzkie i nie ma pełnej swobody przenoszenia się z miejsca na miejsce. Obraz pana Tree, który powstał w jego umyśle, nie był przyjemny, była to raczej niepokojąca wizja.

– Szkoda, że pan Gill nie mógł z nami pójść – rzekł Barnes. Nie udało mu się jeszcze poznać

słynnego znawcy tytoniu, o którym słyszał, zanim jeszcze przywędrował do West Marin. – Mówiła pani, że macie tu parę osób zajmujących się muzykowaniem. Gracie na instrumentach? – Zainteresował się tym, bo sam grał kiedyś na wiolonczeli.

– Na fletach angielskich – wyjaśniła Bonny. – Andrew Gill i Jack Tree na fletach, a ja na fortepianie; gramy starych kompozytorów, Henry’ego Purcella i Johanna Pachelbela. Od czasu do czasu gra z nami doktor Stockstill, ale... – Przerwała, marszcząc czoło. – Jest zbyt zajęty, odwiedza tyle miasteczek. Wieczorami jest za bardzo zmęczony.

– Czy można by się przyłączyć do waszej orkiestry? – zapytał Barnes z nadzieją w głosie.

– A na czym pan gra? Muszę pana uprzedzić, że zajmujemy się tylko muzyką klasyczną. Nie jesteśmy jakąś tam amatorską grupką. George, Jack i ja graliśmy jeszcze przed Katastrofą. Zaczęliśmy... jakieś dziewięć lat temu. – Uśmiechnęła się i Barnes spostrzegł, jak piękne Bonny ma zęby. Tylu ludzi cierpiało ostatnio na awitaminozę i chorobę popromienną... tracili zęby, i gniły im dziąsła. On sam ukrywał swoje zęby, jak tylko się dało, bo nie były już w najlepszym stanie.

– Grałem kiedyś na wiolonczeli – rzekł, wiedząc, że to zupełnie bezwartościowa umiejętność, ponieważ, całkiem po prostu, nie było już wiolonczeli. Gdyby grał na instrumencie blaszanym...

– Jaka szkoda – powiedziała Bonny.

– Nie ma w okolicy jakichś instrumentów strunowych? – Był przekonany, że gdyby było trzeba, mógłby się nauczyć grać na przykład na altówce. Pomyślał, że miło by mu było, gdyby w ten sposób mógł zostać członkiem orkiestry.

– Nie ma żadnych – odparła Bonny.

Przed nimi pojawiła się owca o czarnym pysku, rasy suffolk. Przyjrzała się im, a potem podskoczyła, odwróciła się i uciekła. Dorosła samica, spostrzegł Barnes. Spora i ładna, dużo mięsa i wspaniała wełna. Ciekawe, czy była już kiedyś strzyżona, pomyślał.

Poczuł, jak w ustach zbiera mu się ślina. Od lat nie jadł baraniny.

– Zabija je czy hoduje tylko na wełnę? – zapytał.

– Na wełnę – odpowiedziała. – Ma fobię na punkcie zabijania: nie zrobi tego, choćby nie wiem ile mu proponowano. Oczywiście czasem ktoś się podkradnie i zabierze mu jakąś owcę ze stada... jeśli miałby pan ochotę na baraninę, to jest jedyny sposób, więc powiem panu od razu, że owce są dobrze pilnowane. – Pokazała ręką, a Barnes dostrzegł stojącego na szczycie wzgórza psa, który przyglądał się im uważnie. Od razu zorientował się, że zwierzę jest bardzo mocno zmutowane, ale w przydatny sposób. Na pysku psa było widać jakiś nowy rodzaj inteligencji.

– Nie podejść do owiec – stwierdził pan Barnes. – Pies da nam spokój, prawda? Poznaje panią chyba?

– Dlatego tu z panem przyszłam – powiedziała Bonny. – Z powodu psa. Jack ma tylko

jednego, ale on mu w zupełności wystarcza.

Pies podbiegł w ich kierunku.

Kiedyś, domyślił się Barnes, jego przodkami musiały być zwyczajne szare albo czarne owczarki niemieckie: rozpoznał uszy i kufę. Ale ten... Barnes czekał znieruchomiały na zbliżającego się psa. W kieszeni miał oczywiście nóż, który wiele już razy pomógł mu wyjść z opresji, ale ten pies... tutaj nóż nie zdałby się na nic. Barnes trzymał się blisko kobiety, która szła wciąż przed siebie, najwyraźniej niczym się nie przejmując.

– Cześć – odezwała się do psa.

Zwierzę zatrzymało się przed nimi, otworzyło pysk i zaskomlało. Był to przerażający dźwięk i Barnesowi przeszły ciarki po plecach. Brzmiało to tak, jakby odezwał się upośledzony człowiek, jakby ktoś sparaliżowany usiłował bezskutecznie zmusić do posłuszeństwa swoje organy mowy. W tym skowycie Barnes usłyszał – a w każdym razie tak mu się wydawało, choć nie był do końca pewny – dźwięk przypominający słowo.

– Dobry Terry – rzekła Bonny do zwierzęcia. – Dziękuję ci, Terry. – Pies pomachał ogonem. Kobieta zwróciła się do Barnesa. – Jeżeli pójdziemy tą samą ścieżką, znajdziemy go ćwierć mili stąd. – Ruszyła w dalszą drogę.

– Co on powiedział? – zapytał Barnes, kiedy znaleźli się dostatecznie daleko, by pies nie mógł ich słyszeć.

Bonny wybuchnęła śmiechem. Barnes spojrzał na nią z gniewem.

– O mój Boże – powiedziała. – Pies przeskoczył milion lat ewolucji, co można uznać za jeden z największych cudów natury, a pan nie potrafił nawet zrozumieć, co powiedział. – Przetarła oczy wierzchem dłoni. – Przepraszam, ale to takie cholernie zabawne. Dobrze, że mnie pan nie zapytał wcześniej, bo pies mógłby usłyszeć.

– Nie zrobiło to na mnie specjalnego wrażenia – rzekł ugodowo. – W ogóle trudno mnie zadziwić. Siedzi tu pani w tej wiejskiej okolicy i taka historia może się pani wydawać niezwykła, ale ja wędrowałem wzdłuż wybrzeża i widziałem rzeczy, które panią... – Przerwał. – Ten pies to jeszcze nic. Nic w porównaniu z tym, co widziałem, chociaż sędzę, że w gruncie rzeczy to niewątpliwe osiągnięcie.

Bonny schwyciła go za ramię, wciąż nie przestając się śmiać.

– Tak, pan jest z wielkiego świata. Widział pan już wszystko i racja jest po pana stronie. No i co pan takiego widział, Barnes? Wie pan co, mój mąż jest pana szefem, a Orion Stroud jego szefem. Dlaczego pan tu przyszedł? Czy mieszkamy aż tak na uboczu? Czy to taka straszna wieś? Wydaje mi się, że można tu spokojnie żyć. Mamy tu stabilną wspólnotę. Ale rzeczywiście, tak jak pan powiedział, niewiele tu atrakcji. Nie mamy takich cudów i dziwów jak w wielkich miastach, gdzie promieniowanie było silniejsze. No, ale oczywiście mamy Hoppy'ego.

– Cholera, fokomelików jest teraz na kopy, wszędzie ich pełno.

– Najął się pan tutaj do pracy – drażyła Bonny, patrząc na niego uważnie.

– Powiedziałem już, że wplątałem się przez politykę w spór z beznadziejnymi prowincjonalnymi oficjelami, którzy uważali się za udzielnych władców własnego królestwa.

– Pan Austurias interesował się polityką – powiedziała Bonny z namysłem. – I psychologią, tak jak pan. – Szli dalej, a ona ciągle przyglądała mu się badawczo. – Nie był tak przystojny jak pan. Miał małą, okrągłą głowę, która wyglądała jak jabłko. Kiedy biegł, kołysał się jak kaczka. W ogóle nie powinien był biegać. – Nagle spoważniała. – Trzeba przyznać, że gotował doskonałą potrawkę z grzybów, czernidłaków i kurek, znał wszystkie gatunki. Może zrobiłby pan grzyby na kolację i mnie zaprosił? To już tyle czasu... próbowaliśmy sami zbierać, ale jak mówiła pani Tallman, nie za dobrze to wyszło. Szybko się pochorowaliśmy.

– Niech się pani czuje zaproszona.

– Podobam się panu? – zapytała.

– No pewnie, że tak – wymamrotał zdziwiony. Przywarł do jej ramienia, jakby miała go gdzieś poprowadzić. – Dlaczego pani chce to wiedzieć? – zapytał ostrożnie, czując, że gdzieś głęboko rośnie w nim uczucie, którego natury jeszcze nie potrafił pojąć, gdyż było dla niego czymś zupełnie nowym. Przypominało podniecenie, a jednak tkwiło w nim coś chłodnego i racjonalnego; może zresztą nie było to wcale uczucie, a tylko świadomość, rodzaj graniczącej z pewnością intuicji, która dotyczyła jego samego, krajobrazu, wszystkiego, co widział dookoła – wydawało mu się, że ową intuicją przenika każdy aspekt rzeczywistości, a przede wszystkim tę kobietę.

W ułamku sekundy zdał sobie sprawę, chociaż nie miał przecież na ten temat żadnych informacji, że Bonny Keller ma z kimś romans – może z Gillem, sprzedawcą papierosów, a może nawet z panem Tree albo z Orionem Stroudem – w każdym razie zrozumiał, że ten romans już się skończył albo przynajmniej ma się ku końcowi, a ona szuka nowego kandydata. Szuka w instynktowny, praktyczny sposób, nie jak uczennice, które romantycznie wgapią się w swojego wybranka szeroko otwartymi oczami. Nie ulega więc wątpliwości, że miała już ładnych parę romansów i jest w tych sprawach kimś w rodzaju eksperta, eksperta w sondowaniu mężczyzn, żeby sprawdzić, czy będą się nadawali.

A ja? – pomyślał. Czy ja bym się nadawał? Czy to czasem nie jest niebezpieczne? Mój Boże, przecież jej mąż to kierownik szkoły, mój szef.

A potem pomyślał, że może wszystko to sobie tylko uroił, bo przecież było mało prawdopodobne, aby ta atrakcyjna kobieta, która odgrywa tak istotną rolę w swoim środowisku i która ledwo go zna, miała wybrać akurat jego... no, ale ona jeszcze go nie wybrała. Po prostu sonduje. Został wzięty pod uwagę jako kandydat, ale jeszcze nie udało mu się zdać egzaminu. Jego duma wybiła się na pierwszy plan, zabarwiając autentycznym uczuciem ową chłodną intuicję, która opanowała nim przed chwilą. Natychmiast też poczuł, jak duma ta wykrzywia jego

emocje. Nagle zapragnął odnieść sukces i zostać wybrany bez względu na ryzyko. Nie czuł do Bonny miłości ani nawet fizycznego pożądania, na to było jeszcze za wcześnie. W grę wchodziła tu tylko jego duma, pragnienie, by nie zostać pominiętym.

Jakie to dziwne, pomyślał. Był zadziwiony samym sobą, swoją własną prostotą. Jego umysł działał jak jakaś niższa forma życia, jak coś w rodzaju rozgwiadzy: jeden, dwa rodzaje reakcji, to było wszystko.

– Gdzie właściwie jest ten cały Tree? – zapytał. Teraz szedł przed nią, wyęzając wzrok, przyglądając się uważnie wzgórzom, na którym rosły drzewa i kwiaty. W ciemnej rozpadlinie zobaczył grzyba i natychmiast ruszył w jego stronę.

– Niech pani spojrzy. Gąska. Tak się te grzyby nazywają. Są bardzo smaczne. I rzadko się je spotyka.

Bonny Keller podeszła do niego i pochyliła się. Kiedy siadała na trawie koło grzyba, Barnesowi mignęły jej nagie, białe kolana.

– Chce go pan zerwać? – zapytała. – I zabrać ze sobą jak trofeum?

– Zabiorę go – odparł. – Lecz nie jako trofeum. Raczej jako coś, co można wrzucić na patelnię i usmażyć na odrobinie smalcu.

Popatrzyła na niego smutno swoimi ładnymi oczami. Siedziała, odgarniając do tyłu włosy, i wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć. Nie odezwała się jednak. W końcu Barnes poczuł się niezręcznie, bo najwidoczniej czekała na jakąś reakcję z jego strony, a on nagle zrozumiał ku swojemu zaniepokojeniu, że Bonny czeka nie tylko na to, by coś powiedział, lecz także na to, by coś zrobił.

Patrzyli na siebie i teraz również Bonny wyglądała na przestraszoną, jakby czuła to samo co on. Żadne z nich nie ruszyło się jednak, każde czekało, by to druga strona zrobiła pierwszy ruch. Barnesowi wydało się nagle, że gdyby wyciągnął rękę w jej kierunku, to albo dałaby mu w twarz, albo uciekła... co w efekcie mogłoby mieć nieciekawe następstwa. Mogłaby... Boże święty... przecież oni zabili poprzedniego nauczyciela. Nagle uderzyła go przerażająca myśl: czy to właśnie dlatego? A może ona miała z nim romans, a on powiedział coś jej mężowi albo zrobił jakieś inne głupstwo? Czy to może być aż tak niebezpieczne? Jeśli tak, to do diabła z moją dumą. Chcę się z tego wypłatać.

– Jest Jack Tree – oznajmiła Bonny.

Na wzgórzach pojawił się pies mutant, obdarzony podobno umiejętnością mówienia, a tuż za nim szedł zgarbiony mężczyzna o wynędzniałej twarzy i okrągłych, pochylonych ramionach. Ubrany był w podniszczony płaszcz o wyraźnie miejskim kroju i szaroniebieskie spodnie. W żadnym razie nie wyglądał jak farmer. Barnes pomyślał, że ten człowiek przypomina pracownika ubezpieczalni w średnim wieku, zagubionego od miesiąca w lesie. Tree miał na brodzie czarny cień zarostu, który kontrastował nieprzyjemnie z jego nienaturalnie białą skórą.

Barnes natychmiast poczuł do niego niechęć. Ale czy tylko z powodu jego wyglądu? Bóg świadkiem, że w ostatnich latach widywał aż zbyt wielu ludzi i zbyt wiele zwierząt okaleczonych, poparzonych, pozbawionych kończyn i spalonych... nie, uczucie, które ogarnęło go na widok pana Tree, wywołał jego niezgrabny sposób chodzenia. Nie był to chód człowieka zdrowego, lecz gnębnego jakąś bardzo poważną chorobą. Czegoś takiego Barnes jeszcze nie widział.

– Cześć – odezwała się Bonny, wstając.

Pies podbiegł do nich, tym razem najzupełniej po psiemu.

– Nazywam się Barnes, jestem nowym nauczycielem – przedstawił się Barnes, wstając i wyciągając dłoń do pana Tree.

– Tree – powiedział chory człowiek, także wyciągając dłoń. Kiedy Barnes ją ujął, przekonał się, że jest niezwykle wilgotna; nie był w stanie trzymać jej w swojej dłoni, więc natychmiast cofnął rękę.

– Pan Barnes zna się bardzo dobrze na metodach usuwania jagniętom ogonów, kiedy już są starsze i ryzyko zachorowania na tęzec nie jest tak duże – wtrąciła się Bonny.

– Rozumiem – rzekł pan Tree, kiwając głową. Najwyraźniej jednak nawet nie próbował niczego zrozumieć i było mu wszystko jedno. Pochylił się i poklepał psa. – Barnes – powiedział wyraźnie, jakby chciał nauczyć psa nowego nazwiska.

– Brnnnnz... – wywarczał pies, po czym zaszczekał, patrząc na swojego pana z widocznym oczekiwaniem.

– Dobrze – powiedział pan Tree i uśmiechnął się. Prawie w ogóle nie miał zębów, widać było tylko puste dziąsła.

Zęby ma gorsze niż ja, pomyślał Barnes. Musiał być gdzieś poniżej San Francisco, kiedy zaczęło się bombardowanie – to jedna możliwość, albo też zęby wypadły mu z powodu złej diety, tak jak w moim wypadku. Tak czy inaczej postanowił na niego nie patrzeć i odszedł na bok z rękami w kieszeniach.

– Ma pan tutaj sporo ziemi – rzucił przez ramię. – Od kogo dostał pan prawo własności? Od hrabstwa Marin?

– Nie mam prawa własności – odparł pan Tree. – Mam tylko prawo użytkowania, które otrzymałem dzięki koneksjom Bonny od Obywatelskiej Rady West Marin i Komitetu Planowania.

– Ten pies mnie zadziwia – powiedział Barnes, odwracając się. – Naprawdę potrafi mówić: całkiem wyraźnie powiedział moje nazwisko.

– Powiedz „dzień dobry” panu Barnesowi – zwrócił się Tree do psa.

Pies szczechnął, a potem wywarczał:

– Dźńdbry pniebrnnnnz. – Zaszczekał jeszcze raz, tym razem oczekując na reakcję Barnes'a.

Nauczyciel westchnął w duchu, a potem pochwalił psa:

– Wspaniale.

Zwierzę zaskomlało i zaczęło kręcić się w kółko z radości. Barnes poczuł do niego coś w rodzaju sympatii. Tak, to było prawdziwe osiągnięcie. A jednak pies napawał go odrazą, podobnie jak pan Tree. Zarówno w człowieku, jak i w zwierzęciu było coś nienaturalnego, jakby samotne przebywanie w tym lesie odcięło ich od rzeczywistości. Nie zdziczeli i nie dostrzegli w nich nic barbarzyńskiego. Obaj byli po prostu nienaturalni. Zwyczajnie ich nie polubił.

Ale lubił Bonny i nie mógł się nadziwić, jakim cudem ta kobieta poznała takiego cudaka jak pan Tree. Czy to, że miał tyle owiec, czyniło z niego figurę w tutejszej społeczności? A może było coś jeszcze: coś, co mogło wytłumaczyć podjętą przez poprzedniego, nieżyjącego już nauczyciela próbę unicestwienia pana Tree?

Poczuł zaciekawienie; być może był to ten sam instynkt, któremu ulegał, kiedy znalazł nowy rodzaj grzyba i czuł przemożną potrzebę, by go skatalogować i dowiedzieć się dokładnie, jaki to gatunek. Niezbyt to chyba pochlebia panu Tree, pomyślał z przekąsem, takie porównanie do grzyba. Ale tak to właśnie było, tak właśnie odbierał pana Tree i jego dziwaczego psa.

– Nie przyprowadziłaś dzisiaj córki? – zwrócił się pan Tree do Bonny.

– Nie – odparła. – Edie źle się czuje.

– Coś poważnego? – zapytał Tree tym swoim schrypniętym głosem. Wyglądał na zaniepokojonego.

– To tylko ból brzucha. Odkąd pamiętam, stale jej się coś takiego przydarza. Brzuch ma wyduęty i twardy. To może być zapalenie wyrostka, ale zabiegi chirurgiczne są w dzisiejszych czasach takie niebezpieczne... – Bonny przerwała, a potem zwróciła się do Barnes: – Nie poznał pan mojej córki... ona po prostu uwielbia Terry'ego. Zaprzyjaźnili się i rozmawiają ze sobą całymi godzinami, kiedy tu jesteśmy.

– Ona i jej brat – dodał pan Tree.

– Słuchaj – powiedziała Bonny – mam już tego powyżej uszu. Powiedziałam Eddie, żeby z tym skończyła. Szczerze mówiąc, lubię tu przychodzić dlatego, że może się pobawić z Terrym. Powinna mieć prawdziwych partnerów do zabawy, a nie zamykać się w sobie i zajmować czymś, co nie istnieje. Jako nauczyciel zgodzi się pan chyba ze mną, panie Barnes, że dziecko powinno się interesować rzeczywistością, a nie fantazjowaniem.

– W tych czasach... – odparł z namysłem Barnes – rozumiem dzieci, które uciekają w świat fantazji... i trudno je za to winić. Może i my powinniśmy wziąć z nich przykład. – Uśmiechnął się, lecz ani Bonny, ani pan Tree nie odpowiedzieli uśmiechem.

Bruno Bluthgeld nawet na chwilę nie oderwał wzroku od młodego nauczyciela – o ile oczywiście prawdą było, że ten niski młody człowiek w spodniach koloru khaki i roboczej koszuli był rzeczywiście nauczycielem, jak powiedziała Bonny.

Czy on też chce mnie zlikwidować? – zastanowił się Bluthgeld. Jak ten poprzedni? Tak sądzę. A Bonny go tu przyprowadziła... czy to znaczy, że nawet ona jest po ich stronie? Przeciwno mnie?

Trudno mu było w to uwierzyć. Po tylu latach? Przecież to właśnie Bonny odkryła prawdziwy powód, dla którego pan Austurias zjawił się w West Marin. Bonny ocaliła go przed Austuriasem i był jej za to wdzięczny: gdyby nie ona, nie żyłby już i nigdy jej tego nie zapomni, więc może ten cały Barnes jest tym, za kogo się podaje, i nie ma się czym przejmować. Bluthgeld odetchnął nieco spokojniej; opanował się i pomyślał, że dobrze będzie pokazać Barnesowi nowo narodzone jagnię rasy suffolk.

Jednak prędzej czy później ktoś mnie tu odnajdzie i zabije, pomyślał. To tylko sprawa czasu, przecież oni wszyscy mnie nienawidzą, a nie poddadzą się nigdy. Cały świat szuka człowieka odpowiedzialnego za to, co się stało, i trudno tych ludzi winić. Słusznie czynią. Ostatecznie dźwigam na barkach odpowiedzialność za śmierć milionów, za zniszczenie trzech czwartych świata i ani oni, ani ja nie możemy o tym zapomnieć. Tylko Bóg byłby w stanie przebaczyć i zapomnieć tak straszną zbrodnię przeciwko ludzkości.

Nie zabiłbym pana Austuriasa, pomyślał; pozwoliłbym, by on zabił mnie. No, ale Bonny i pozostali... to oni zdecydowali. To nie była moja decyzja, ponieważ ja nie potrafię już podejmować decyzji. Bóg już mi na to nie pozwala: to nie byłoby właściwe. Moim zadaniem jest czekać tutaj, zajmować się owcami, czekać na tego, który ma nadejść, na człowieka, którego wyznaczono, by po raz ostatni czynił sprawiedliwość. Na tego, który pomści świat.

Kiedyż on nadejdzie? – zastanowił się Bluthgeld. Czy już niebawem? Czekam tyle lat. Jestem zmęczony... Mam nadzieję, że to już niedługo.

– Czym się pan zajmował, zanim zabrał się pan do hodowli owiec? – zapytał pan Barnes.

– Byłem naukowcem i zajmowałem się atomistyką – odparł Bluthgeld.

– Jack był nauczycielem – wtrąciła szybko Bonny. – Uczył fizyki. W szkole średniej. Oczywiście nie w naszej okolicy.

– Nauczyciel – powtórzył pan Barnes. – W takim razie mamy ze sobą coś wspólnego. – Uśmiechnął się do doktora Bluthgelda, a ten automatycznie uśmiechnął się w odpowiedzi.

Bonny patrzyła na nich, czując rosnące zdenerwowanie, ścisnęła dłonie, jakby się bała, że może się stać coś strasznego.

– Musimy się częściej spotykać – powiedział Bluthgeld ponuro. – Koniecznie musimy jeszcze porozmawiać.

Rozdział dziewiąty

Kiedy Stuart McConchie wrócił na wschodni brzeg zatoki z wyprawy w dół półwyspu, podczas której dotarł aż na południe od San Francisco, przekonał się, że jacyś ludzie, bez wątpienia weterani, zabili i zjedli jego konia, Edwarda Księcia Walii. Ze zwierzęcia został tylko szkielet, nogi i głowa – resztki bezwartościowe zarówno dla niego, jak i dla kogokolwiek innego. Stał obok i zadumał się. Cóż, to była kosztowna wycieczka. Poza tym i tak się spóźnił: farmer zdążył już wyprzedać po cenie za sztukę wszystkie elektroniczne części radzieckiego pocisku.

Pan Hardy na pewno załatwi mu innego konia, ale Stuart polubił Edwarda Księcia Walii. Nie należało zabijać zwierzęcia, by je zjeść, ponieważ konie potrzebne były do innych celów: stanowiły podstawowy środek transportu, bo większość drewna została zużyta przez napędzane gazem drzewnym samochody i przez mieszkających w piwnicach ludzi, którzy palili nim w piecach, by ogrzać się zimą. Poza tym konie potrzebne były do odbudowy – z braku elektryczności były głównym źródłem energii. Głupota tego czynu wprawiła go we wściekłość. Pomyślał, że to barbarzyństwo, barbarzyństwo, którego tak się wszyscy obawiali. To był akt anarchii, do tego dokonany w środku miasta; w samym centrum Oakland, i to w biały dzień. Czegoś takiego można by się spodziewać po chińskich komunistach.

Ruszył piechotą w stronę San Pablo Avenue. Słońce chyliło się już nad horyzontem i zaczynał się przepyszny, wspaniały zachód, do którego zdążyli się już przyzwyczaić od dnia Katastrofy. Prawie nie zwrócił na ten widok uwagi. Może powinienem znaleźć sobie jakieś inne zajęcie, pomyślał. Pułapki na małe zwierzęta – cóż, da się z tego wyżyć, ale awansować nie sposób. Do czego jeszcze mógłbym dojść, pracując w takim interesie?

Strata konia przygnębiła go. Spuścił głowę i wbił wzrok w połamane, usiane kawałkami szkła płyty chodnika. Szedł, wybierając drogę między kupami ruin, które kiedyś były fabrykami. Jakieś bystre oczy śledziły jego kroki z legowiska zbudowanego na pustym placu; oczy jakiegoś zwierzęcia, pomyślał ponuro, które powinno raczej wisieć za tylne nogi, obdarte ze skóry.

Pomyślał, że może to właśnie dlatego Hoppy'emu wydawało się, że widzi życie po śmierci. Te ruiny, śmiertelna bladość zadymionego nieba... bystre oczy stworzenia, które śledziło go i zastanawiało się, czy może bezpiecznie zaatakować. Schylił się, podniósł kawałek betonu o ostrych brzegach i cisnął go w stronę legowiska – konstrukcji zbudowanej z warstw organicznej i nieorganicznej substancji, spojonych białym śluzem. Stworzenie przerobiło kawałki leżących dookoła śmieci na rodzaj zawiesiny i uzyskało zdatną do użytku substancję. Jakieś wyjątkowo bystre stworzenie, pomyślał. Właściwie było mu wszystko jedno. Świat mógłby się równie dobrze obyć bez tych wszystkich bystrych, zdegenerowanych zwierząt, które pojawiły się w ciągu kilku ostatnich lat.

Ja też się zmieniłem, pomyślał, odwracając się po raz ostatni w stronę zwierzęcia, na wypadek gdyby chciało rzucić się na niego od tyłu. Mój umysł jest o wiele sprawniejszy niż kiedyś: jestem w stanie ci sprostać w każdej sytuacji, lepiej więc daj sobie spokój.

Zwierzę było najwyraźniej tego samego zdania, bo nie wyszło nawet ze swojej kryjówki.

Zmieniłem się, ale mimo to jestem sentymentalny, pomyślał. Było mu naprawdę żal konia. Żeby szlag trafił tych cholernych weteranów. Pewnie rzucili się całą chmarą na Edwarda, ledwo tylko tratwa odbiła od brzegu. Chciałbym wynieść się z miasta. Chciałbym wyprowadzić się na wieś, tam, gdzie nie ma tego brutalnego okrucieństwa i bandytyzmu. Psychiatra tak zrobił. Stockstill natychmiast po Katastrofie wyniósł się ze wschodniego brzegu zatoki; widziałem, jak odchodzi. Mądry facet. Nie próbował wracać na stare śmieci i ciągnąć dalej tego, co zostało przerwane, a ja tak zrobiłem.

Właściwie to nie wiedzie mi się teraz lepiej niż przed tą cholerną Katastrofą, stwierdził. Przedtem sprzedawałem telewizory, a teraz elektroniczne pułapki na szkodniki. Co za różnica? Tamta robota była tak samo beznadziejna jak ta. Tak naprawdę to idzie mi coraz gorzej.

Żeby wprawić się w lepszy humor, wyciągnął jednego z pozostałych specjal deluxe gold label Andrew Gilla i zapalił.

Zmarnowałem cały dzień na szukanie wiatru w polu po drugiej stronie zatoki, pomyślał. Za dwie godziny będzie ciemno i trzeba będzie położyć się spać w ocieplonym kocimi skórami piwnicznym pomieszczeniu, które pan Hardy wynajmował mu za srebrnego dolara miesięcznie. Oczywiście mógł zapalić jeszcze łożówkę i poczytać przez chwilę książkę albo raczej fragment książki – większość jego biblioteki składała się z fragmentów książek, których pozostałe strony zostały zniszczone lub zaginęły. Mógł też odwiedzić państwa Hardy'ch i posłuchać wieczornej transmisji z satelity.

Kiedy parę dni temu był na błotnistych terenach na zachód od Richmond, przez miejscowy nadajnik poprosił Dangerfielda o piosenkę. Poprosił o *Wieczorem wielki bal*, stary kawałek, który pamiętał z dzieciństwa. Nikt nie wiedział, czy mile nagranej taśmy w satelicie Dangerfielda zawierają ten utwór, niewykluczone więc, że czekał na próżno.

Zaśpiewał:

Ktoś dzisiaj mówił mi:

Wieczorem wielki bal.

Ktoś dzisiaj mówił mi:

Wieczorem wielki bal!

Będę dziś niby młody bóg.

Przytulę cię z całych sił.

Kiedy przypomniał sobie tę piosenkę i świat sprzed Katastrofy, łzy zakręciły mu się w oczach. Tego wszystkiego już nie ma, pomyślał. Wszystko zbluthgeldowane z powierzchni ziemi, jak to się mówi... a w zamian mamy szczura grającego na flecie, chociaż właściwie to nawet i tego nie mamy, bo szczur został przejechany.

Była jeszcze jedna stara piosenka, która mu się podobała, coś o facecie z nożem. Próbował sobie przypomnieć, jak to leci. Coś o rekinie, który miał zęby, czy też ostre zęby. Nie bardzo mógł sobie przypomnieć. Matka puszczała mu tę płytę. Słuchał chrapliwego głosu piosenkarza i to było cudowne.

Założę się, że szczur nie potrafiłby tego zagrać, pomyślał. Nawet gdyby ćwiczył przez milion lat. Ta muzyka jest święta. To muzyka naszej przeszłości, naszej świętej przeszłości, i żadne inteligentne zwierzę ani żaden pokręcony człowiek nie dzielą z nami tego doświadczenia. Przeszłość należy tylko do prawdziwych ludzi. Chciałbym (ta myśl zaniepokoiła go) mieć taki dar jak Hoppy. Chciałbym wejść w trans, lecz nie widzieć tego, co będzie, lecz to, co było.

Jeśli Hoppy jeszcze żyje, to czy potrafiłby zobaczyć przeszłość? Czy próbował? Ciekawe, gdzie teraz jest ten omen. Tym właśnie był Hoppy – zapowiedzią. Pierwszym fokomelikiem. Założę się, że udało mu się przeżyć. Pewnie przeszedł do Chińczyków, kiedy wylądowali na północy.

Wróć do tego momentu, kiedy pierwszy raz spotkałem Jima Fergessona, postanowił. Do czasów, kiedy szukałem pracy i kiedy ciężko było czarnemu dostać robotę, w której ma się do czynienia z klientami. To właśnie było charakterystyczne dla Fergessona – ten człowiek nie miał żadnych uprzedzeń. Pamiętam te czasy. Handlowałem wtedy patelniami, chodząc od domu do domu, a potem pracowałem w Encyclopaedia Britannica, ale tam też trzeba było chodzić po domach. Boże, pomyślał, przecież to Fergesson dał mi pierwszą prawdziwą robotę, bo przecież tego chodzenia od drzwi do drzwi nie można nazwać pracą.

Kiedy tak wspominał Jima Fergessona, który od dawna nie żył, bo wiele już lat minęło od czasu, kiedy spadły bomby, dotarł do San Pablo Avenue – alei, na której tu i tam stały małe sklepiki, stragany, gdzie sprzedawano wszystko od wieszaków na ubrania po siano. Na jednym z nich widniał napis:

HARDY

HOMEOSTATYCZNE PUŁAPKI NA SZKODNIKI.

Stuart skierował się w tę stronę.

Kiedy wszedł do środka, pan Hardy spojrzął na niego znad stojącego w głębi warsztatu. Pracował w białym świetle lampy łukowej, a wokół niego leżały stosy części elektronicznych ściągniętych ze wszystkich zakątków północnej Kalifornii. Wiele z nich pochodziło z ruin w Livermore. Pan Hardy miał znajomości we władzach stanowych, więc pozwolono mu szukać również na terenach zastrzeżonych.

Kiedyś Dean Hardy był inżynierem w lokalnej, nadającej na falach średnich stacji radiowej w centrum Oakland. Był szczupłym, spokojnym, starszym mężczyzną; nosił sweter i krawat, a krawat w dzisiejszych czasach należał do rzadkości. Hardy miał kręcone, pokryte siwizną włosy i kojarzył się Stuartowi z pozbawionym zarostu świętym Mikołajem: jednocześnie śmieszny i srogi i o zjadliwym poczuciu humoru. Był drobnej budowy i ważył zaledwie sto dwadzieścia funtów, jednak jego dość gwałtowny temperament sprawiał, że Stuart czuł przed nim respekt. Hardy dobiegał sześćdziesiątki i pod wieloma względami przypominał Stuartowi ojca. Ojciec Stuarta, który zmarł jeszcze w latach siedemdziesiątych, pracował jako agent ubezpieczeniowy. Był równie spokojnym mężczyzną ubranym w sweter i krawat. Nie miał jednak w sobie srogości Hardy'ego i nie zdarzały mu się napady gniewu, a jeśli nawet się zdarzały, to Stuart albo nigdy nie był świadkiem takiego zdarzenia, albo wymazał je z pamięci.

A poza tym Dean Hardy przypominał Jima Fergessona.

To właśnie był główny powód, dla którego Stuart został przy Hardym trzy lata temu. Zdawał sobie z tego sprawę: nie twierdził, że tak nie jest, i nie chciał się tego wypierać. Brakowało mu Jima Fergessona i czuł sympatię do każdego, kto go przypominał.

– Zjedli konia – powiedział do pana Hardy'ego i usiadł na stojącym przed warsztatem krześle.

Żona Hardy'ego, Ella, wyszła ze znajdującego się w tyle mieszkania, gdzie przygotowywała właśnie kolację.

– Zostawiłeś go?

– Tak – przyznał.

Ella Hardy, wyniosła kobieta, spojrzała na niego oskarżycielsko.

– Sądziłem, że będzie bezpieczny na miejskim nabrzeżu promowym w Oakland. Mają tam urzędnika, który...

– Takie rzeczy cały czas się zdarzają – stwierdził Hardy zmęczonym głosem. – Dranie. To na pewno ci weterani, którzy się tam gnieźdzą. Ktoś powinien rozsypać pod molo cyjanek. Mieszkają ich tam całe setki. A co z samochodem? Pewnie musiałeś go zostawić.

– Przepraszam – powiedział Stuart.

– Edward był wart osiemdziesiąt pięć dolarów w srebrze – rzekł Hardy kwaśno. – To oznacza stratę zysku z całego tygodnia.

– Oddam panu te pieniądze – odparł Stuart sucho.

– Nie ma o czym mówić – przerwał mu Hardy. – Mamy jeszcze konie w sklepie w Orindzie. A co z częściami rakiety?

– Mieliśmy pecha – powiedział Stuart. – Kiedy tam dotarłem, wszystkie już były sprzedane. Z wyjątkiem tego. – Pokazał garść tranzystorów. – Farmer je przeoczył; po prostu je sobie zabrałem, tylko nie wiem, czy się do czegoś nadadzą. – Podeszedł do stołu montażowego

i położył części na blacie. – Nie za wiele tego jak na całodzienną wyprawę. – Czuł się wyjątkowo podle.

Ella Hardy wróciła bez słowa do kuchni, zaciągając za sobą zasłonkę.

– Zjesz z nami kolację? – spytał Hardy, gasząc światło i zdejmując okulary.

– Sam nie wiem – odparł Stuart. – Jakoś dziwnie się czuję. Zdenerwowałem się, kiedy wróciłem i zobaczyłem, że zjedli Edwarda. – Zaczął kręcić się bez celu po pomieszczeniu. Zmienił się nasz stosunek do zwierząt, pomyślał. Jesteśmy sobie bliżsi. Nie ma już między nami takiej przepaści jak kiedyś. – Po drugiej stronie zatoki widziałem coś niesamowitego – powiedział. – Zwierzę, które latało jak nietoperz, ale to nie był nietoperz. Bardziej wyglądało na łasicę, takie długie, chude, z dużą głową. Nazywają je tam tommies, bo podlatują do okien i zagląдают do środka jak ciekawski Tom.

– To wiewiórki – wyjaśnił Hardy. – Już je widziałem. – Rozparł się w krześle i rozluźnił krawat. – To mutacje wiewiórek, które mieszkały w Golden Gate Park. – Ziewnął. – Miałem kiedyś w związku z nimi pewien pomysł. Można by ich użyć, przynajmniej teoretycznie, do przenoszenia wiadomości. Potrafią przelecieć, czy też może szybować, na odległość mili. Ale są zbyt dzikie. Złapałem jedną taką i dałem sobie spokój. – Wyciągnął prawą rękę. – Widzisz tę bliznę na kciuku? To właśnie robota takiego toma.

– Facet, z którym rozmawiałem, mówił, że są smaczne. Mówił, że smakują jak kurczaki przed Katastrofą. Można je dostać na straganach w centrum San Francisco. Starsze panie sprzedają gotowane tommies po dwadzieścia pięć centów. Jeszcze ciepłe i zupełnie świeże.

– Nie próbuj ich jeść – ostrzegł go pan Hardy. – Często są trujące, to sprawa ich sposobu odżywiania.

– Panie Hardy – odezwał się nagle Stuart. – Chcę się wynieść z miasta i przenieść na wieś.

Pracodawca spojrzał na niego uważnie.

– Życie jest tutaj takie brutalne – powiedział Stuart.

– Życie wszędzie jest brutalne.

– Nie aż tak bardzo, kiedy wyjedzie się z miasta rzeczywiście daleko, jakieś pięćdziesiąt do stu mil.

– Tylko wtedy trudno na nie zarobić.

– Czy na wsi też pan sprzedaje pułapki? – zapytał Stuart.

– Nie – odparł Hardy.

– Dlaczego nie?

– Szkodniki mieszkają w miastach, wśród ruin. Sam przecież wiesz. Marzyciel z ciebie. Wieś jest sterylna; brakowałoby ci tych wszystkich nowych pomysłów, które rodzą się w mieście. Nic się tam nie dzieje. Ludzie tylko uprawiają ziemię i słuchają transmisji z satelity. Poza tym najprawdopodobniej nadziałbyś się na stare uprzedzenia przeciwko czarnym: ludzie

wrócili tam do dawnych nawyków. – Założył okulary, włączył lampę łukową i znów zajął się leżącą przed nim pułapką. – Wyższość wsi nad miastem to jeden z największych mitów, jakie ludzie wymyślili. Jestem pewien, że wróciłbyś po tygodniu.

– Chciałbym zabrać trochę pułapek i pojeździć na przykład w okolicach Napy – upierał się Stuart. – Może dotarłbym aż do Doliny Świętej Heleny. Może mógłbym zamienić je na wino. Tam się chyba uprawia winorośl, tak jak kiedyś.

– Ale to wino smakuje inaczej – powiedział Hardy. – Gleba ma inny skład. Wino jest... – Machnął ręką. – Nie potrafię tego opisać, musiałbyś sam spróbować, ale jest paskudne. Jakieś zgniłe.

Przez chwilę obaj milczeli.

– A jednak się je pije – odezwał się wreszcie Stuart. – Widziałem je u nas w mieście. Przywiozła je taka stara ciężarówka na gaz drzewny.

– A tak, bo ludzie piją teraz wszystko, co im tylko wpadnie w ręce. Dotyczy to zarówno ciebie, jak i mnie. – Pan Hardy uniósł głowę i spojrzał na Stuartha. – Wiesz, kto ma alkohol? Mam na myśli autentyczny alkohol, taki, o którym nie można powiedzieć, czy jest jeszcze przedwojenny, skądś wygrzebany, czy świeżo zrobiony.

– Nikt nad zatoką nie ma czegoś takiego.

– Andrew Gill, ten specjalista od tytoniu – powiedział Hardy.

– Nie wierzę. – Stuart wstrzymał oddech, mając się na baczności.

– No, nie robi tego dużo. Widziałem tylko jedną butelkę. Ćwiarteczkę brandy. Wypiłem z niej ledwie kieliszek. – Hardy uśmiechnął się krzywo do Stuartha. – Smakowałoby ci.

– Ile to u niego kosztuje? – zapytał Stuart, starając się, by jego głos brzmiał naturalnie.

– Więcej, niż myślisz.

– A... czy smakuje jak prawdziwy alkohol? Tak jak przed wojną?

Hardy roześmiał się i wrócił do pracy.

– Tak właśnie smakuje.

Ciekawe, co to za człowiek ten Andrew Gill, zastanowił się Stuart. Wysoki, może ma brodę i nosi kamizelkę... podpira się laską ze srebrną główką. Olbrzym z rozwianą grzywą siwych włosów, w oku monokl z importu... tak go sobie wyobrażam. Pewnie jeździ jaguarem, teraz przerobionym na gaz drzewny, ale mimo to jest to wielki, potężny jaguar XVI saloon.

Hardy spostrzegł wyraz twarzy Stuartha i pochylił się w jego stronę.

– Powiem ci, co jeszcze sprzedaje Andrew Gill.

– Angielskie fajki z wrzośca – spróbował zgadnąć Stuart.

– Fajki też. – Hardy ściszył głos. – Fotki z panienkami. W artystycznych pozach, sam rozumiesz.

– Chryste – powiedział Stuart. Zakręciło mu się w głowie. To było po prostu zbyt dużo jak

dla niego. – Nie wierzę.

– Jak Boga kocham. Autentyczne przedwojenne kalendarze z panienkami. Nawet z 1950 roku. Oczywiście takie rzeczy są warte fortunę. Słyszałem, że za kalendarz „Playboya” z 1962 roku ktoś zapłacił tysiąc dolarów w srebrze. To podobno było na wschód od nas. W Newadzie czy gdzieś. – Hardy zadumał się. Wbił wzrok w przestrzeń, zapominając o pułapce, nad którą pracował.

– W Nowoczesnych Telewizorach, tam, gdzie pracowałem, zanim to wszystko się zaczęło, mieliśmy w warsztacie masę kalendarzy z panienkami. Oczywiście wszystkie się spaliły. – Przynajmniej tak się zawsze Stuartowi wydawało.

Hardy pokiwał głową z rezygnacją.

– Wyobraźmy sobie, że ktoś grzebałby w ruinach – powiedział Stuart – i natknął się na magazyn pełen kalendarzy z panienkami. Potrafi pan sobie coś takiego wyobrazić? – Myśli gonily mu w głowie jedna za drugą. – Ile można by za to dostać? Pewnie miliony. Taki ktoś mógłby pozamieniać te kalendarze na ziemię. Mógłby za nie dostać całe hrabstwo!

– Masz rację. – Hardy pokiwał głową.

– Byłby bogaty do końca życia. W Japonii drukuje się takie kalendarze, ale one są do niczego.

– Tak, widziałem je – zgodził się Hardy. – Są prymitywne. Wiedza o tym, jak robi się takie kalendarze, zaginęła, została zapomniana. To sztuka, która umarła. Może na zawsze.

– Nie sądzi pan, że stało się tak między innymi dlatego, że nie ma już dziewczyn, które wyglądają jak te na starych kalendarzach? – zapytał Stuart. – Ludzie są tacy wychudzeni i nie mają zębów, a większość dziewczyn ma poparzenia popromienne, no i co to byłby za kalendarz z bezzębnymi dziewczynami?

– Myślę, że są takie dziewczyny – rzekł Hardy. – Nie wiem co prawda gdzie: może w Szwecji albo w Norwegii, albo może w jakimś odległym zakątku świata, na przykład na Wyspach Salomona. Sądząc z tego, co mówią marynarze, jestem przekonany, że tak musi być. Z całą pewnością nie ma takich dziewczyn ani w Stanach, ani w Europie, ani w Rosji, nigdzie tam, gdzie spadły bomby, co do tego masz rację.

– A może udałoby się nam je znaleźć? – powiedział Stuart. – I rozkręcić interes?

Hardy zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

– Brakuje filmów. Nie ma też chemikaliów do ich wywoływania. Większość porządnych aparatów fotograficznych została zniszczona albo zaginęła. Nie byłoby możliwości drukowania kalendarzy w dużych ilościach. Gdybyś nawet zaczął je drukować...

– No, ale gdyby ktoś znalazł dziewczynę bez poparzeń i z dobrymi zębami, taką, jakie były kiedyś...

– Powiem ci, jaki interes byłby dobry – rzekł Hardy. – Wiele na ten temat myślałem. –

Przyjrzał się Stuartowi z zastanowieniem. – Igły do maszyn do szycia. Wystarczy wymienić cenę, a dostaniesz, czego tylko zażadasz.

Stuart zrobił jakiś ruch ręką, wstał i zaczął przechadzać się po warsztacie.

– Niech pan posłucha. Mam wielkie plany. Nie mam ochoty bawić się w handel, mam tego powyżej uszu. Sprzedawałem już aluminiowe garnki i patelnie, sprzedawałem encyklopedie i telewizory, a teraz sprzedaję te pułapki. To nie są złe pułapki i ludzie chcą je kupować, ale jestem przekonany, że znalazłoby się dla mnie inne zajęcie.

Hardy odchrząknął i zmarszczył czoło.

– Nie chcę pana urazić – ciągnął Stuart – ale chciałbym pójść dalej. Po prostu muszę. Albo człowiek idzie naprzód, albo zdycha od razu na samym początku. Straciłem kupę lat przez tę wojnę, tak jak wszyscy. Jestem w tym samym punkcie, w którym byłem dziesięć lat temu, a to nie może być powód do zadowolenia.

Hardy podrapał się po nosie i spytał:

– A co ci chodzi po głowie?

– Może udałoby mi się znaleźć zmutowanego ziemniaka, którym można by nakarmić wszystkich ludzi na świecie.

– Jednym ziemniakiem?

– Mam na myśli gatunek ziemniaka. Może zająłbym się uprawą roślin, tak jak Luther Burbank. Za miastem na pewno można znaleźć miliony pokreślonych gatunków roślin, ostatecznie mamy tu pełno pokreślonych zwierząt i ludzi.

– Może znalazłbyś inteligentną fasolę – podsunął Hardy.

– Ja nie żartuję – odparł Stuart cicho.

Popatrzyli na siebie w milczeniu.

– Produkcja homeostatycznych pułapek, które niszczą zmutowane koty, psy, szczury i wiewiórki, to praca w służbie ludzkości – powiedział w końcu Hardy. – Wydaje mi się, że zachowujesz się jak dziecko. Może zjedli ci tego konia, kiedy byłeś na południu San Francisco...

Do pokoju weszła Ella Hardy i powiedziała:

– Kolacja jest gotowa i chciałabym ją podać, dopóki jest jeszcze ciepła. Zrobiłam pieczone łby dorsza z ryżem. Trzy godziny stałam w kolejce na południowej autostradzie, żeby dostać te łby.

Obaj mężczyźni wstali.

– Zjesz z nami, Stuart? – zapytał pan Hardy.

Na myśl o pieczonym łbie dorsza Stuartowi pociekła ślinka. Nie potrafił powiedzieć nie, więc skinął tylko potakująco głową i poszedł za Hardym do znajdującego się w tyle budynku małego pomieszczenia, które służyło za kuchnię i jadalnię. Od miesiąca nie miał w ustach ryby. W zatoce prawie już ich nie było. Większość ławic wyginęła i nigdy już się nie odbudowała.

A te sztuki, które udawało się złapać, bywały często radioaktywne. Nie miało to jednak specjalnego znaczenia. Ludzie nauczyli się je jeść. W tych czasach ludzie jedli prawie wszystko, ponieważ od tego zależało ich życie.

Córeczka Kellerów siedziała, trzęsąc się, na stole w gabinecie. Patrząc na jej wątle i blade ciało, doktor Stockstill przypomniał sobie skecz, który widział w telewizji wiele lat przed wojną. Hiszpański brzuchomówca udawał, że rozmawia z kurą... kura zniosła właśnie jajko.

– Synu – zwróciła się kura do jajka.

– Jesteś pewna, że to syn? – zapytał kurę brzuchomówca. – Skąd wiesz, że nie córka?

– Znam się na swojej robocie – odparła kura z godnością.

To było dziecko Bonny Keller, ale doktor Stockstill pomyślał, że dziewczynka nie jest córką George'a Kellera. Jestem tego pewien – znam się na swojej robocie. Z kim to też Bonny miała romans siedem lat temu? Dziecko musiało zostać poczęte gdzieś w tym czasie, kiedy wybuchła wojna. Oczywiście dopiero po tym, kiedy spadły bomby, to było oczywiste. Może stało się to właśnie tamtego dnia... To bardzo w stylu Bonny: wybiec z domu, kiedy padają bomby, i na krótką chwilę rzucić się komuś w ramiona, komuś, kogo pewnie nawet przedtem nie znała, pierwszemu mężczyźnie, którego spotkała... no i masz ci los.

Dziewczynka uśmiechnęła się do Stockstilla, a on odpowiedział jej uśmiechem. Na pierwszy rzut oka Edie Keller wyglądała na zdrowe dziecko. Nie było widać żadnych odchyień od normy. Cholera jasna, jak bardzo przydałby mu się teraz rentgen.

– Opowiedz mi o swoim bracie – poprosił Edie.

– No cóż – odezwała się dziewczynka cichym, delikatnym głosem – cały czas coś do niego mówię, a on czasami odpowiada, chociaż przeważnie śpi. Właściwie prawie cały czas śpi.

– Teraz też?

Przez chwilę dziewczynka nie odzywała się ani słowem.

– Nie, teraz nie śpi.

Doktor Stockstill wstał i podszedł do niej.

– Chciałbym, żebyś pokazała mi dokładnie, gdzie jest twój brat.

Edie pokazała na swój bok, nisko z lewej strony. Okolica wyrostka, pomyślał. Tam ją boli. Dlatego jest u mnie; Bonny i George martwili się o nią. Wiedzieli o bracie, ale wychodzili z założenia, że to wytwór fantazji ich córki, wymagowany partner do zabawy, który dotrzymuje jej towarzystwa. Początkowo jemu też się tak wydawało: z karty nie wynikało, żeby Edie miała brata, a jednak Edie ciągle o nim wspominała. Bill był w tym samym wieku co ona. Urodził się, oczywiście, tego samego dnia, jak poinformowała doktora Edie.

– Dlaczego „oczywiście”? – zapytał ją, rozpoczynając badanie. Wysłał rodziców do innego pokoju, ponieważ dziewczynka była w ich obecności onieśmielona.

– Bo to jest mój brat bliźniak – oświadczyła Edie w typowy dla siebie uroczy i spokojny

sposób. – A jak inaczej mógłby się znaleźć wewnątrz mnie? – Podobnie jak kura hiszpańskiego brzuchomówcy, powiedziała to z przekonaniem i pewnością siebie. Ona też знаła się na swojej robocie.

W ciągu tych wszystkich lat, które upłynęły od wybuchu wojny, doktor Stockstill przebadał tysiące ludzi z uszkodzeniami: wiele dziwnych i egzotycznych egzemplarzy ludzkiego gatunku, które mnożyły się pod znacznie bardziej niż kiedyś tolerancyjnym, choć przysłoniętym welonem dymu niebem. Nie można go było już zadziwić. A jednak... ta dziewczynka, której brat żył w jej ciele, gdzieś u dołu w okolicach pachwiny... Bill Keller mieszkał tam od siedmiu lat, a doktor Stockstill, słuchając tego, co mówiła Edie, uwierzył jej. Wiedział, że to możliwe. To nie był pierwszy przypadek tego rodzaju. Gdyby miał rentgen, mógłby zobaczyć maleńkie, pomarszczone stworzonko, nie większe pewnie od małego króliczka. Właściwie to nawet rękami wyczuwał kształt... dotknął jej boku i poczuł twardy, przypominający cystę twór. Głowa w pozycji normalnej, ciało całkowicie w jamie brzusznej, ręce i nogi, wszystko normalnie. Pewnego dnia Edie umrze, a ktoś rozetnie jej ciało i zrobi sekcję.

I wtedy znajdą małe pomarszczone chłopięce ciało, może nawet z siwą brodą i niewidzącymi oczami... jej brata, w dalszym ciągu nie większego od małego króliczka.

Bill przeważnie śpi, od czasu do czasu rozmawia jednak z siostrą. Co ma jej do powiedzenia? Co on może w ogóle wiedzieć?

Na to akurat pytanie Edie miała gotową odpowiedź:

– On nie wie zbyt dużo. Nic nie widzi, ale myśli. A ja opowiadam mu, co się dzieje, żeby był na bieżąco.

– Czym się interesuje? – zapytał Stockstill. Skończył badanie. Te kilka instrumentów medycznych i testów, które miał do dyspozycji, spełniło już swoje zadanie. Zweryfikował to, co powiedziała dziewczynka, i było to już coś, chociaż nie mógł zobaczyć embriona, a tym bardziej nawet myśleć o jego usunięciu. To było absolutnie niemożliwe, choć pożądane rozwiązanie.

Edie zastanawiała się przez chwilę i powiedziała:

– Eee, on chciałby usłyszeć coś o jedzeniu.

– O jedzeniu? – powtórzył zafascynowany Stockstill.

– Tak, przecież pan wie, że on nic nie je. Chciałby, żebym opowiadała mu w kółko, co jadłam na kolację, bo po jakimś czasie to jedzenie dociera też do niego... tak przynajmniej myślę. Tak musi przecież być, bo inaczej by nie żył, prawda?

– Tak – zgodził się Stockstill.

– Jedzenie dostaje ode mnie – ciągnęła Edie, zapinając powoli bluzkę – i chce wiedzieć, co to za jedzenie. Bardzo lubi, kiedy jem jabłka albo pomarańcze. A poza tym lubi słuchać, jak mu opowiadam. Ciągle chce, żebym mu opowiadała o różnych miejscach. Najlepiej o takich, które są daleko, na przykład o Nowym Jorku. Mama opowiadała mi o Nowym Jorku, więc mu

powtórzyłam. Chciałby tam pojechać i zobaczyć, jak tam jest.

– Przecież on nie widzi.

– Ale ja widzę – powiedziała Edie – a to prawie to samo.

– Dobrze się nim opiekujesz, prawda? – rzekł Stockstill, głęboko wzruszony. Dla dziewczynki ta sytuacja była normalna: żyła tak od urodzenia i nie знаła innej możliwości. Stockstill po raz kolejny przekonał się, że nie ma niczego, co byłoby „nienaturalne”, że to logiczna sprzeczność. Tak naprawdę nie istnieją dziwolągi ani odchylenia od normy, a jeśli istnieją, to tylko w sensie statystycznym. Ta sytuacja jest nienormalna, ale nie jest to nic, co mogłoby nas przerażać; właściwie powinna być nawet powodem do radości. Życie jest dobre z samej definicji, a to jest jedna z form, jakie ono przybiera. Nie ma tu bólu, okrucieństwa ani cierpienia. Jest za to opiekuńczość i delikatność.

– Boję się, że pewnego dnia może umrzeć – powiedziała nagle dziewczynka.

– Nie wydaje mi się – odparł Stockstill. – Jest bardziej prawdopodobne, że urośnie. A to mogłoby stanowić pewien problem, bo twój organizm miałby trudności, żeby go pomieścić.

– I co by się wtedy stało? – Edie popatrzyła na niego wielkimi, ciemnymi oczami. – Czy wtedy by się urodził?

– Nie – rzekł Stockstill. – Jest inaczej ułożony. Trzeba by go wydobyć chirurgicznie. Ale... tego by nie przeżył. On może żyć tylko tak jak teraz, wewnątrz twojego ciała. – Jak pasożyt, pomyślał, nie wypowiadając tego słowa na głos. – Nie będziemy się martwić na zapas – dodał, klepiąc dziewczynkę po głowie. – Może do tego nigdy nie dojdzie.

– Mama i tato nie wiedzą – oświadczyła Edie.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł Stockstill.

– Mówiłam im o nim, ale... – Roześmiała się.

– Nie martw się niczym. Żyj tak, jak dotychczas. Wszystko samo się ułoży.

– Cieszę się, że mam brata – powiedziała dziewczynka. – Inaczej byłabym samotna. Nawet kiedy śpi, czuję, że jest tam w środku, wiem, że jest ze mną. To tak, jakbym miała w brzuchu dziecko. Nie mogę wozić go w wózku ani ubierać, ale cieszę się, że mogę z nim rozmawiać. Mogę mu na przykład opowiadać o Mildred.

– O Mildred? – Stockstill nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– No wie pan. – Uśmiechnęła się, widząc jego ignorancję. – To ta dziewczyna, która ciągle wraca do Philipa. I zatruwa mu życie. Słuchamy każdego wieczoru. Satelity.

– Oczywiście. – Chodziło o książkę Maughama, którą czytał Dangerfield. Niesamowita sprawa, pomyślał doktor Stockstill. Pasożyt, który wzrasta w jej ciele, w niezmiennej wilgoci i ciemności, karmiony jej krwią, słucha w jakiś niewyobrażalny sposób opowieści o książce słynnego pisarza... co sprawia, że Bill Keller uczestniczy w kulturze. Prowadzi także groteskowe życie społeczne. Bóg jeden raczy wiedzieć, ile rozumie z tej historii. Czy stara się ją sobie

wyobrazić, czy stara się sobie wyobrazić nasze życie? Czy mu się śnimy?

Doktor Stockstill pochylił się i pocałował dziewczynkę w czoło.

– No dobrze – powiedział, prowadząc ją do drzwi – możesz już iść. Porozmawiam teraz przez chwilę z twoimi rodzicami. W poczekalni są bardzo stare prawdziwe przedwojenne czasopisma; możesz je sobie poczytać, pod warunkiem że będziesz się z nimi ostrożnie obchodzić.

– A potem będziemy mogli pójść do domu na kolację – zaszczębiotała radośnie Edie, otwierając drzwi prowadzące do poczekalni.

George i Bonny wstali; ich twarze były ściągnięte niepokojem.

– Wejdźcie – odezwał się Stockstill. Zamknął za nimi drzwi. – To nie jest rak – wyjaśnił, zwracając się przede wszystkim do Bonny, którą dobrze znał. – Jest to rodzaj nowotworu, co do tego nie ma wątpliwości. Nie potrafię powiedzieć, jakie osiągnie rozmiary. Jednak moim zdaniem nie powinniście się tym przejmować. Prawdopodobnie do czasu, kiedy zacznie się stawać kłopotliwy, chirurgia osiągnie już taki poziom, że lekarze dadzą sobie z tym radę.

Oboje Kellerowie odetchnęli z ulgą. Widać było, że trzęsą się ze zdenerwowania.

– Moglibyście ją zabrać do szpitala uniwersyteckiego w San Francisco – rzekł Stockstill. – Przeprowadzają tam drobniejsze zabiegi chirurgiczne... ale szczerze mówiąc, na waszym miejscu dałbym sobie z tym spokój. – Lepiej dla was samych, żebyście nie wiedzieli, pomyślał. Ciężko byłoby wam dać sobie z tym radę... szczególnie tobie, Bonny. Z uwagi na okoliczności, które towarzyszyły zapłodnieniu. Tak łatwo mogłabyś poczuć się winna. – Edie to zdrowe, cieszące się życiem dziecko – powiedział. – Zostawcie to tak, jak jest. Ma to od urodzenia.

– Naprawdę? – zdziwiła się Bonny. – Nie wiedziałam. Chyba nie jestem dobrą matką. Mam tyle na głowie w związku ze sprawami społecznymi...

– Doktorze Stockstill – wtrącił się George Keller – proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy Edie jest... dzieckiem specjalnej troski?

– Specjalnej troski? – Lekarz spojrzał na niego z uwagą.

– Myślę, że wie pan, co mam na myśli.

– Chciał pan spytać, czy jest nienormalna?

George pobladł, lecz na jego twarzy ciągle malował się wyraz zdecydowania. Oczekiwał odpowiedzi. Stockstill zrozumiał, że tego człowieka nie da się zbyć kilkoma zdaniami.

– Sądzę, że o to właśnie chciał pan zapytać – powiedział. – Dlaczego zadaje pan takie pytanie? Czy jest w jakimś sensie nienormalna? Czy wygląda nienormalnie?

– Wygląda normalnie – odezwała się Bonny w nagłym porywie niepokoju. Trzymała męża mocno za rękę, przyciskając się do niego. – Jezus, przecież to chyba oczywiste, że Edie wygląda najzupełniej normalnie. Idź do diabła, George. Co się z tobą dzieje? Jak możesz opowiadać takie bzdury o swoim własnym dziecku? Nudzi ci się czy co?

– Są też nienormalni, po których tego nie widać – wyjaśnił George Keller. – Ostatecznie mam do czynienia z wieloma dziećmi. Widuję wszystkie okoliczne dzieci. Zdołałem wyrobić sobie umiejętność, która pozwala mi odróżnić normalne od nienormalnych. Mam intuicję, która zwykle mnie nie zawodzi. Wymaga się od nas, to znaczy od ludzi pracujących w szkołach, żebyśmy wszystkie nienormalne dzieci oddawali instancjom stanowym, gdzie poddaje się je specjalnemu leczeniu. Więc...

– Idę do domu – oznajmiła Bonny. Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi prowadzących do poczekalni. – Do widzenia, doktorze.

– Poczekaj, Bonny – zatrzymał ją Stockstill.

– Nie podoba mi się ta rozmowa – powiedziała. – Jest chora. Obaj jesteście chorzy. Stockstill, jeżeli sugerujesz, że Edie jest nienormalna, to nigdy się już do ciebie nie odezwę. Ani do ciebie, George. Nie żartuję.

– Niepotrzebnie tyle mówisz, Bonny – odezwał się po chwili Stockstill. – Niczego nie sugeruję, bo nie mam żadnego powodu, żeby cokolwiek sugerować. Edie ma łagodny nowotwór w jamie brzusznej, to wszystko. – Poczł zdenerwowanie. Właściwie ogarnęła go nawet ochota, żeby powiedzieć jej prawdę. Zasłużyła sobie na to. Ale kiedy poczuje się już winna, kiedy zacznie sobie wyrzucać, że zadała się z jakimś mężczyzną i urodziła nienormalne dziecko, wtedy skieruje swoją uwagę na Edie i znieńawidzi ją. Wyładuje się na dziecku. Zawsze tak jest. Dzieci, w jakimś specyficznym sensie, stanowią dla rodziców wyrzut sumienia z powodu tego, co zrobili albo dawno temu, albo w pierwszych dniach wojny, kiedy wszyscy powariowali i każdy na własną rękę czynił zło. Niektórzy z nas zabijali, żeby przeżyć, inni po prostu uciekli, a jeszcze inni zrobili z siebie głupców... Bonny niewątpliwie poszła na całość, puściły jej hamulce. Jest teraz tą samą osobą co przedtem; mogłaby tak zrobić raz jeszcze, a może już tak się stało. I Bonny doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Po raz kolejny zastanowił się, kto jest ojcem tego dziecka.

Kiedyś zapytam ją o to wprost, postanowił. Może sama tego nie wie, może ten czas to zamazana plama w jej pamięci. Straszne dni. A może nie takie straszne? Może wspaniałe? Mogła zatrzeć ślady i bez obawy robić to, na co miała ochotę, ponieważ Bonny, podobnie jak my wszyscy, wierzyła, że nikt nie wyjdzie z tego z życiem.

Wykorzystała okazję do końca, jak zwykle zresztą, pomyślał. Korzysta z każdej szansy, jaką przynosi życie. Też bym tak chciał... Poczł zazdrość, patrząc, jak Bonny wychodzi z gabinetu i idzie do córki. Atrakcyjna, zadbana kobieta, tak samo atrakcyjna teraz jak dziesięć lat temu – proces destrukcji, ta nieokreślona przemiana, która zmieniała ludzi i ich życie, najwyraźniej jej nie dotknął.

Bonny to grający na skrzypkach świerszcz. W mrokach wojny, wśród zniszczeń i wśród nieskończoności form, które stworzyła natura, Bonny przesuwiała smyczkiem po strunach,

wygrywając melodię radości, entuzjazmu i bez troski. Nawet to, co działo się wokół, nie było w stanie nauczyć ją rozsądku. Szczęśliwcy, ci ludzie jak Bonny, którzy są silniejsi od mocy niosących ze sobą przemiany i zniszczenie. Udało jej się umknąć mocom zniszczenia, które zapanowały nad nami. Dach zawalił się na głowy wszystkim z wyjątkiem Bonny.

Przypomniał mu się dowcip rysunkowy w „Punchu”...

Bonny przerwała jego rozmyślania:

– Poznałeś już Hala Barnes, naszego nowego nauczyciela?

– Nie – odparł. – Jeszcze nie. Widziałem go tylko z daleka.

– Polubisz go. Chciałby grać na wiolonczeli, tylko oczywiście nie ma instrumentu. – Roześmiała się wesoło, w jej oczach widać było radość życia. – Czy to nie pożałowania godna sytuacja?

– Nawet bardzo – zgodził się.

– A czy to przypadkiem nie dotyczy nas wszystkich? – spytała. – Nie ma już naszych wiolonczel. No i powiedz, proszę, co nam zostało?

– Chryste panie, nie wiem, nie mam najmniejszego pojęcia.

– Ależ ty jesteś poważny – powiedziała Bonny ze śmiechem.

– Do mnie też tak mówi – rzekł George, uśmiechając się blado. – Dla mojej żony ludzie to żuki, które toczą kulki gnoju. Oczywiście jest przekonana, że jej samej to nie dotyczy.

– I nie myli się – stwierdził Stockstill. – Mam nadzieję, że nie będzie musiała zmieniać zdania.

George spojrział na niego krzywo i wzruszył ramionami.

Mogłaby się zmienić, pomyślał psychiatra, gdyby poznała prawdę o swojej córce. To mógłby być ten bodziec. To musiałyby być właśnie coś takiego: niespodziewany i nagły cios. Może nawet popełniłaby samobójstwo. Radość i werwa mogłyby zmienić się w coś zupełnie przeciwnego.

– Posłuchajcie, Kellerowie – powiedział – przedstawcie mnie w najbliższym czasie temu nowemu nauczycielowi. Chciałbym poznać byłego wiolonczelistę. Może sklecilibyśmy mu coś ze starej balii i z drutu od prasy do belowania. Mógłby na tym grać jakimś...

– Końskie włosie – podrzuciła Bonny praktycznie. – Smyczek można by zrobić, to akurat nie problem. Potrzebowalibyśmy dużego pudła rezonansowego, które wydawałoby niskie dźwięki. Może uda nam się znaleźć jakąś starą cedrową skrzynię. Starczyłaby skrzynia. Z pewnością potrzebujemy czegoś z drewna.

– Można by przeciąć beczkę na pół.

Roześmieli się i Edie Keller też się roześmiała, chociaż nie słyszała, co powiedział jej ojciec czy – jak pomyślał Stockstill – raczej mąż jej matki.

– Może na plaży znajdziemy coś, co wyrzuciło morze – podsunął George. – Zauważyłem, że

wala się tam masa drewnianych szczątków, zwłaszcza po sztormach. Nawet wraki chińskich statków, z pewnością bardzo stare.

Wyszli z gabinetu Stockstilla w dobrych nastrojach. Stał i patrzył za nimi i za idącą pomiędzy rodzicami dziewczynką. Troje ludzi, pomyślał. A raczej czworo, jeśli liczyć niewidoczną, lecz realnie istniejącą istotę wewnątrz Edie.

Zamknął drzwi w głębokim zamyśleniu.

To mogłoby być moje dziecko, pomyślał. Ale nie jest, ponieważ siedem lat temu Bonny była tutaj, w West Marin, a ja miałem gabinet w Berkeley. Gdybym jednak był wtedy blisko niej...

Kto znalazł się wtedy w pobliżu? – zastanowił się. Kiedy spadły bomby... kto z nas mógł wtedy z nią być? Ogarniało go jakieś dziwne uczucie, kiedy myślał o tym mężczyźnie, kimkolwiek on był. Ciekawe, jakby się czuł, gdyby dowiedział się o dziecku... o dzieciach. Może kiedyś go spotkam. Nie potrafię tego powiedzieć Bonny, ale może kiedyś powiem jemu.

Rozdział dziesiąty

Siedzący w Foresters' Hall mieszkańcy West Marin rozprawiali o chorobie, na którą cierpiał człowiek w satelicie. Byli tak podekscytowani, że przerywali jeden drugiemu, próbując za wszelką cenę dojść do słowa. Rozpoczął się już kolejny odcinek *W niewoli uczuć*, ale nikt nie miał ochoty słuchać: wszyscy mówili półgłosem z ponurymi minami, zaniepokojeni podobnie jak June Raub myślała o tym, co by się z nimi stało, gdyby umarł ich radiowy prezenter.

– Przecież nie może być aż tak chory! – zawołał Cas Stone, największy właściciel ziemski w West Marin. – Znam w San Rafael naprawdę dobrego lekarza, specjalistę od chorób serca. Podwiozę go do jakiegoś nadajnika i niech powie Dangerfieldowi, w czym rzecz. Na pewno potrafi go wyleczyć.

– Ale on tam w górze nie ma żadnych lekarstw – odezwała się pani Lully, najstarsza dama w tym towarzystwie. – Słyszałam kiedyś, jak mówił, że jego żona przed śmiercią zużyła wszystkie lekarstwa.

– Mam chinidynę – wtrącił aptekarz. – Prawdopodobnie tego mu właśnie trzeba. No, ale nie ma jak mu tego posłać na górę.

– Podobno wojskowi z Cheyenne będą w tym roku próbowali jeszcze raz do niego dotrzeć.

– Niech pan zawiezie chinidynę do Cheyenne – zasugerował Cas Stone aptekarzowi.

– Do Cheyenne? – zapytał piskliwym głosem aptekarz. – Wszystkie drogi prowadzące na drugą stronę gór są nieprzejezdne. Nigdy bym się tam nie dostał.

– A może on nie jest naprawdę chory – powiedziała June Raub, starając się, by jej głos brzmiał możliwie spokojnie. – Może to tylko hipochondria spowodowana trwającą tyle lat samotnością. Sądząc z tego, jak szczegółowo opisywał każdy objaw, to właśnie podejrzewam.

Jednak prawie nikt jej nie słuchał. Trzej przysłani z Bolinas delegaci podeszli po cichu do radiodbiornika i pochyleni słuchali odcinka powieści.

– A może nie umrze – dodała June na poły do siebie. Sprzedawca szkieł usłyszał to i spojrzał na nią. Na jego twarzy zastygł wyraz przerażenia, jakby myśl o tym, że człowiek w satelicie mógłby zachorować i umrzeć, była ponad jego siły. Pomyślał, że choroba jego własnej córki nie stanowi dla niego aż takiego problemu.

Ludzie w najodleglejszej części sali nagle ucichli i June Raub spojrzała w ich stronę, żeby się dowiedzieć, co się stało.

Przez drzwi wtoczył się wózek wypełniony lśniąca maszyną. Przybył Hoppy Harrington.

– Wiesz, co się stało, Hoppy?! – zawołał Cas Stone. – Dangerfield powiedział, że źle się czuje, może ma coś z sercem!

Wszyscy zamilkli, czekając, co powie fokomelik.

Hoppy przejechał koło nich i zbliżył się do radia; zatrzymał pojazd, wysunął jedną ze swoich protez i delikatnie pokręcił gałką strojenia. Trzej delegaci z Bolinas odsunęli się z szacunkiem na bok. Radiowy szum stał się głośniejszy, potem przycichł i głos Walta Dangerfielda zabrzmiał głośno i wyraźnie. Odcinek jeszcze się nie skończył i Hoppy, usadowiony w swojej maszynie, słuchał z uwagą. I on, i wszyscy zgromadzeni słuchali, nie mówiąc ani słowa, aż do momentu, gdy satelita znalazł się poza zasięgiem radia i głos zanikł. Potem znów słyszeć było tylko szum.

– I cóż, drodzy przyjaciele, czym teraz się zabawimy? – zapytał nagle fokomelik głosem przypominającym do złudzenia głos Dangerfielda.

Naśladownictwo było tym razem tak doskonałe, że kilka osób na sali po prostu zatkało. Kilka innych zaklaskało i Hoppy się uśmiechnął.

– Zrób jeszcze jakąś sztuczkę! – zawołał aptekarz. – Podobało mi się!

– Sztuczkę – powiedział fokomelik, tym razem piskliwie, przesadnie akcentując wyrazy, tak jak aptekarz. – Podobało mi się.

– Nie – sprzeciwił się Cas Stone. – Niech mówi tak jak Dangerfield. No, Hoppy, powiedz coś jeszcze. Dalej.

Fokomelik zakręcił wózkiem i obrócił się do zgromadzonych.

– Trala lala la – zaśpiewał i wybuchnął niskim, swobodnym śmiechem, który wszyscy tak dobrze znali.

June Raub wstrzymała oddech. Fokomelik potrafił naprawdę znakomicie naśladować głosy. Zawsze ją to niepokoiło... gdyby zamknęła oczy, byłaby w stanie uwierzyć, że to Dangerfield, że jeszcze nie stracili z nim kontaktu. Zaciśnęła powieki, żeby oderwać się od rzeczywistości. Nie jest chory i nie umrze, wmawiała sobie, słuchając fokomelika. Jak gdyby w odpowiedzi na jej myśli przyjazny głos powiedział cicho:

– Trochę mnie boli w klatce piersiowej, ale to nic takiego, nie przejmujcie się tym, proszę. To najprawdopodobniej od żołądka. Za dużo dobrego. Co mam na to zażyć? Czy ktoś jeszcze pamięta?

– Ja pamiętam: „Zalkalizuj kaca alka seltzerem”! – krzyknął jakiś mężczyzna z sali.

– Trala lala la – zaśpiewał ciepły głos, śmiejąc się jednocześnie. – Zgadza się. Bardzo dobrze. A teraz powiem wam, jak przechować cebulki gladioli przez zimę, by nie dotknęła ich żadna choroba. Wystarczy zawinąć je w folię aluminiową.

Zgromadzeni na sali ludzie zaczęli klaskać i June Raub usłyszała, jak ktoś siedzący niedaleko niej mówi:

– Dokładnie to samo powiedziałby Dangerfield.

To był sprzedawca szkieł z Bolinas. Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Tak właśnie musiała wyglądać tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy usłyszała, jak Hoppy naśladuje Dangerfielda.

– A teraz – Hoppy ciągle mówił głosem Dangerfielda – zaprezentuję państwu kilka sztuczek, nad którymi ostatnio pracowałem. Ma nadzieję, że wszystkim wam się spodoba. Uważajcie.

Eldon Blaine, sprzedawca szkieł z Bolinas, zobaczył, jak fokomelik kładzie na podłodze kilkanaście stóp od wózka monetę. Protezy cofnęły się, a Hoppy, ciągle mruczając coś pod nosem głosem Dangerfielda, skoncentrował całą swoją uwagę na monecie, która nagle zaczęła się przesuwać z brzękiem w jego stronę. Zgromadzeni w sali zaczęli klaskać. Fokomelik pokraśniał z zadowolenia, uklonił się i ponownie ułożył monetę na podłodze, tym razem jeszcze dalej.

Czary, pomyślał Eldon. Tak, jak powiedziała Pat: fokomelicy potrafią robić takie rzeczy dlatego, że rodzą się bez rąk i nóg. W ten sposób natura pomaga im przeżyć. I znowu moneta przesunęła się w stronę wózka, a ludzie w Foresters' Hall zaczęli klaskać.

– Co wieczór to robi? – spytał Eldon panią Raub.

– Nie – odparła. – Pokazuje najróżniejsze sztuczki. Tę akurat już widziałam, chociaż oczywiście nie za każdym razem tu przychodzę. Mam tyle roboty. Pomagam w pracach wspólnoty. Niezwykłe, prawda?

Działanie na odległość, pomyślał Eldon. Musimy go mieć. Teraz już na pewno. Ponieważ kiedy umrze Walt Dangerfield – a zdaje się, iż nie ma wątpliwości, że stanie się to niedługo – będziemy mieli po nim pamiątkę, jego ucieleśnienie w postaci tego fokomelika. Coś w rodzaju płyty gramofonowej, którą będzie można odtwarzać w nieskończoność.

– Boi się go pan? – spytała June Raub.

– Nie – odparł. – A powinienem?

– Nie wiem – powiedziała z zastanowieniem.

– Czy łączył się kiedyś z Dangerfieldem? – spytał Eldon. – Wielu rzemieślników tak robi. Dziwne, gdyby tego nie robił. Przy jego zdolnościach.

– Miał zamiar – odpowiedziała June Raub. – W zeszłym roku zaczął budować nadajnik: pracował nad nim od przypadku do przypadku, ale najwyraźniej nic z tego nie wyszło. Ciągle zaczyna różne rzeczy... stale jest zajęty. Niech pan sobie obejrzy wieżę. Wyjdźmy stąd na chwilę, to panu pokażę.

Poszedł za nią do drzwi. Stali przez chwilę na zewnątrz, dopóki ich oczy nie przywykły do ciemności.

Tak, rzeczywiście, jakiś dziwaczny, pokrzywiony maszt wznosił się ku niebu, a potem kończył się nagle.

– To jego dom – odezwała się June Raub. – Maszt jest na dachu. Zbudował to bez żadnej pomocy z naszej strony. Potrafi wzmacniać impulsy mózgowo i zamieniać je w coś, co nazywa serwowspomaganiem, przez co staje się bardzo silny, o wiele silniejszy niż normalny człowiek. – Zamilkła na chwilę. – Jesteśmy dla niego pełni podziwu. Tyle dla nas zrobił.

– Tak – powiedział Eldon.

– Przyszedł pan tu, żeby go nam zabrać? – spytała cicho. – Prawda?

Zdziwił się i natychmiast zaprotestował:

– Nie, naprawdę nie. Przyjechaliśmy po to, żeby posłuchać satelity; przecież pani wie.

– Podejmowano już takie próby – powiedziała pani Raub. – Nie porwiecie go, ponieważ on wam na to nie pozwoli. Wasza wspólnota nie podoba się Hoppy’emu, bo słyszał, jakie tam macie przepisy. U nas nie ma takiej dyskryminacji i on jest nam za to wdzięczny. Jest bardzo wrażliwy na swoim punkcie.

Eldon Blaine, najwyraźniej zbity z tropu, zostawił June Raub samą i ruszył z powrotem ku drzwiom do Foresters’ Hall.

– Proszę poczekać – zatrzymała go pani Raub. – Niech się pan nie przejmuj. Nikomu nie powiem. Nie mogę mieć pretensji o to, że kiedy go pan zobaczył, zapragnął pan go zdobyć dla swojej społeczności. Musi pan wiedzieć, że Hoppy nie urodził się w West Marin. Pewnego dnia, jakieś trzy lata temu, przyjechał do naszego miasteczka na wózku, nie na tym, tylko na innym, starszym, takim, jakie budowano przed Katastrofą na rządowe zamówienie. Przyjechał tu aż z San Francisco, tak nam powiedział. Szukał miejsca, gdzie mógłby się osiedlić, a przed nami nikt mu na to nie pozwolił.

– W porządku – mruknął Eldon. – Rozumiem.

– W dzisiejszych czasach wszystko można ukraść – ciągnęła pani Raub. – Wystarczy być dostatecznie silnym. Widziałam, że przy drodze stoi wasz pojazd policyjny i wiem, że ci dwaj ludzie, którzy z panem przyjechali, to policjanci. Ale Hoppy robi to, na co ma ochotę. Myślę, że gdybyście próbowali go do czegoś zmusić, to by was zabił. Nie sprawiłoby mu to specjalnego kłopotu i nie miałby też żadnych oporów.

– Dziękuję pani za szczerść – powiedział po chwili Eldon.

Oboje weszli w milczeniu do Foresters’ Hall.

Wszyscy wpatrzeni byli w Hoppy’ego Harringtona, który ciągle jeszcze zajęty był naśladowaniem Dangerfielda...

– Przechodzi mi, kiedy coś zjem – mówił właśnie fokomelik. – I dlatego przypuszczam, że to wrzód, a nie serce. Jeśli więc słyszy mnie jakiś lekarz, który ma dostęp do nadajnika...

– Skontaktuję się z moim lekarzem w San Rafael – przerwał mu siedzący na sali mężczyzna. – Nie żartuję. Nie możemy sobie pozwolić na to, by jeszcze jeden trup okrążał Ziemię. – Był to ten sam człowiek, który już wcześniej zabierał głos. Tym razem jego głos brzmiał jeszcze poważniej. – A jeśli jest tak, jak sądzi pani Raub, to znaczy jeśli chodzi tylko o problem psychiczny, może pomógłby mu doktor Stockstill?

Przecież Hoppy’ego nie było tutaj, kiedy Dangerfield wypowiedział te słowa, pomyślał Eldon. Jak on może naśladować coś, czego nie słyszał?

A potem zrozumiał. To było oczywiste. Fokomelik miał w domu odbiornik i zanim zjawił

się w Foresters' Hall, słuchał audycji. To by oznaczało, że w West Marin są dwa działające radia, a w Bolinas nie ma ani jednego. Eldona ogarnęła rozpacz i wściekłość. Niczego nie mamy, zdał sobie sprawę. A ci tutaj mają wszystko, nawet prywatne radio, którego słucha tylko jedna osoba.

Całkiem jak przed wojną, przysłała mu do głowy pozbawiona logiki myśl. Żyją sobie tak samo dobrze jak wtedy. Przecież to niesprawiedliwe.

Odwrócił się i wyszedł z sali w wieczorny mrok. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nie obchodził ich. Byli zbyt zajęci dyskusją o Dangerfieldzie i jego zdrowiu, żeby zwracać uwagę na kogokolwiek innego.

Drogą nadeszły trzy postacie, z których jedna niosła lampę naftową, i stanęły naprzeciw niego: wysoki, chudy mężczyzna i młoda kobieta o ciemnorudych włosach, a między nimi mała dziewczynka.

– Czy odcinek już się skończył? – spytała kobieta. – Spóźniliśmy się?

– Nie wiem – odparł Eldon, przechodząc obok nich.

– Spóźniliśmy się! – krzyknęła dziewczynka. – Mówiłam wam, żebyście się pospieszyli!

– Tak czy inaczej, wejdźmy do środka – powiedział do niej mężczyzna, a potem ich głosy ucichły, gdy Eldon Blaine zniknął w ciemnościach, oddalając się od dźwięków i ludzi, odchodząc od zamożnych mieszkańców West Marin, którzy posiadali tyle różnych rzeczy.

Hoppy Harrington, wciąż naśladować Dangerfielda, podniósł wzrok i spostrzegł, że weszli Kellerowie z córką i siadają w tylnym rzędzie. Najwyższy czas, pomyślał, zadowolony, że powiększyła mu się publiczność. Potem jednak zdenerwował się, bo zobaczył, że dziewczynka bacznie mu się przygląda. W jej wzroku było coś, co za każdym razem, kiedy na niego patrzyła, sprawiało, że czuł niepokój. Nie podobało mu się to, więc zamilkł natychmiast

– No dalej, Hoppy – ponaglił go Cas Stone.

– Dalej – przyłączyły się inne głosy.

– Kool Aid! – zawołała jakaś kobieta. – Zaśpiewaj ten kawałek, który śpiewają bliźniaki z Kool Aid, no wiesz który.

– Kool Aid, Kool Aid nie może czekać ani chwili – zaczął Hoppy, lecz znowu przerwał. – Starczy na dzisiaj – odezwał się w końcu.

Na sali zrobiło się cicho.

– Mój brat mówi, że na tej sali jest pan Dangerfield – powiedziała córeczka Kellerów.

Hoppy roześmiał się.

– Zgadza się – potwierdził z ożywieniem.

– Odcinek już się skończył? – zapytała Eddie Keller.

– Tak – odpowiedział Earl Colvig. – Ale myśmy nie słuchali. Słuchaliśmy Hoppy'ego i patrzyliśmy, co robi. Bardzo śmieszne rzeczy nam dzisiaj pokazywał, prawda, Hoppy?

– Pokaż dziewczynce tę sztuczkę z monetą – zażądała June Raub. – Myślę, że się jej spodoba.

– No, zrób to jeszcze raz! – zawołał aptekarz ze swojego miejsca. – Dobrze to było i jestem pewien, że wszyscy chcieliby jeszcze raz zobaczyć tę sztuczkę. – Tak wielką miał na to ochotę, że wstał z krzesła, zapominając o tych, którzy siedzieli za nim.

– Mój brat chciałby posłuchać powieści – powiedziała znów Edie. – Po to tu przyszedł. Nie obchodzi go żadne sztuczki z monetami.

– Cicho bądź – upomniała ją Bonny.

Brat? – pomyślał Hoppy. Przecież ona nie ma brata. Roześmiał się głośno, wywołując automatycznie uśmiechy na twarzach kilku siedzących na widowni osób.

– Brat? – zapytał, podjeżdżając do dziewczynki. – Brat? – Zatrzymał wózek tuż przed nią, ciągle się śmiejąc. – Ja ci mogę poczytać – powiedział. – Mogę być Philipem i Mildred, mogę być każdą postacią, która występuje w powieści. Mogę być Dangerfieldem... czasami nawet naprawdę jestem Dangerfieldem. Byłem nim dzisiaj i dlatego twojemu bratu wydawało się, że on tutaj jest. Przecież to ja. – Rozejrzał się wokół. – Nie mam racji, moi drodzy? Czy to czasem nie Hoppy?

– Tak jest – potwierdził Cas Stone, kiwając głową. Pozostali, a przynajmniej większość, również pokiwali głowami.

– Na miłość boską, Hoppy! – powiedziała ostro Bonny Keller. – Uspokój się, bo wylecisz z tego wózka. – Posłała mu srogie i władcze spojrzenie i Hoppy poczuł, że ustępuje, wycofał się wbrew swej woli. – Co tu się właściwie dzieje? – zapytała.

– Hoppy naśladował Dangerfielda tak znakomicie, że nie uwierzyłabyś, że to nie on – wyjaśnił aptekarz Fred Quinn.

Pozostali pokiwali głowami, przyłączając się do farmaceuty.

– Przecież ty nie masz brata – powiedział Hoppy do dziewczynki. – Dlaczego powiedziałaś, że twój brat chce posłuchać powieści, jeżeli nie masz brata? – Nie przestawał się śmiać.

Dziewczynka milczała.

– Czy mógłbym go zobaczyć? – zapytał. – Czy mógłbym z nim porozmawiać? Pozwól mi go posłuchać, to... będę mógł go naśladować. – Teraz już śmiał się tak głośno, że prawie nic nie widział, bo łzy napłynęły mu do oczu; otarł je protezą.

– To byłby niezły numer – powiedział Cas Stone.

– Chciałbym to usłyszeć – odezwał się Earl Colvig. – No dalej, Hoppy.

– Zrobię to wtedy, kiedy on się do mnie odezwie – powiedział Hoppy. – Rozparł się w wózku. – Czekam.

– Starczy tego – ucięła Bonny Keller. – Zostaw moje dziecko w spokoju. – Policzki podbiegły jej krwią ze złości.

– Gdzie on jest? – zwrócił się Hoppy do Edie, zupełnie ignorując jej matkę. – Gdzieś niedaleko?

– Niech pan się pochyli – odparła Edie. – Niech pan się do mnie nachyli. – Jej twarz, podobnie jak twarz matki, miała surowy wyraz.

Hoppy pochylił się w jej stronę, przekrzywiając głowę w kąpiącym geście, który miał wyrażać napiętą uwagę.

Głos, który wydobył się z Hoppy'ego, jakby należący do kogoś, kto zamieszkiwał jego własny świat, powiedział:

– W jaki sposób naprawiłeś ten zmieniaacz płyt? Jak naprawdę to zrobiłeś?

Hoppy krzyknął przeraźliwie.

Wszyscy zerwali się z krzeseł i patrzyli na niego nieruchomo z pobladłymi twarzami.

– Słyszałem Jima Fergessona – rzekł Hoppy. Dziewczynka zmierzyła go spokojnym spojrzeniem.

– Czy chciałby pan usłyszeć jeszcze coś od mojego brata, panie Harrington? Powiedz mu coś jeszcze, Bill. On by chciał, żebyś jeszcze coś powiedział.

Głos płynący z wewnętrznego świata Hoppy'ego odezwał się:

– Wyglądało to tak, jakbyś nie wymienił sprężyny, tylko uzdrowił tę pękniętą...

Hoppy zakręcił gwałtownie wózkami, podjechał między rzędami krzeseł na drugi koniec sali i okręcił się raz jeszcze. Teraz był z dala od córki Kellerów. Serce waliło mu jak młotem, kiedy na nią patrzył. Spojrzała mu bez słowa w oczy, tym razem jednak na jej wargach pojawił się nikły uśmiezek.

– Słyszał pan, co powiedział mój brat?

– Tak – odparł. – Słyszałem.

– I wie pan, gdzie on jest?

Tak. – Pokiwał głową. – Nie rób tego więcej. Proszę. Jeżeli nie chcesz, to nie będę już nikogo naśladował, dobrze? – Spojrzał na nią błagalnie, lecz w jej wzroku nie było żadnej reakcji, żadnej obietnicy. – Przepraszam – dodał. – Teraz ci już wierzę.

– Boże święty – wyszeptala Bonny i odwróciła się do męża, jakby chciała go o coś spytać, lecz George potrząsnął głową, nie odezwał się jednak ani słowem.

Powoli i wyraźnie dziewczynka powiedziała:

– Jeśli ma pan ochotę, panie Harrington, może go pan także zobaczyć. Chciałby pan się przekonać, jak wygląda?

– Nie – odparł. – Nie chcę.

– Przestraszył się go pan? – Teraz dziewczynka uśmiechała się do niego już całkiem wyraźnie, jednak ten uśmiech był zimny i obojętny. – Odegrał się na panu, bo pan się mnie czepiał. Zdenerwowało go to i się odegrał.

George Keller podszedł do Hoppy'ego.

– Co się stało, Hop?

– Nic – odparł tamten krótko.

Wystraszyła mnie, pomyślał. Zrobiła ze mnie głupca, naśladując Jima Fergessona. Zupełnie mnie zaskoczyła. Naprawdę myślałem, że to Jim. Eddie została poczęta tego samego dnia, kiedy Jim zginął. Wiem, bo Bonny mi kiedyś powiedziała; myślę, że tego samego dnia został też poczęty brat Edie. Ale przecież... to nie może być prawda, to nie był Jim. To było... naśladownictwo.

– Widzi pan – odezwała się dziewczynka – Bill też potrafi naśladować głosy.

– Tak. – Pokiwał głową, trzęsąc się cały. – Potrafi.

– I to dobrze potrafi. – W oczach dziewczynki zapaliły się iskierki.

– Tak, bardzo dobrze – zgodził się Hoppy. Równie dobrze jak ja, pomyślał. A może nawet lepiej. Powinienem na niego uważać. Na tego Billa. Powinienem trzymać się od niego z daleka. Dał mi niezłą nauczkę.

To nawet mógł być Fergesson, zdał sobie sprawę. Narodzony raz jeszcze, tak zwana reinkarnacja. Mogła to sprawić bomba w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób. W takim razie nie było to naśladownictwo i miałem rację za pierwszym razem, kiedy pomyślałem, że to on. Tylko jak się przekonać, czy to prawda? On mi nie powie. Wygląda na to, że mnie nienawidzi, bo wyśmiewałem się z jego siostry. To był błąd, nie powinienem był tego robić.

– Trala lala la – zaśpiewał i niektórzy ze zgromadzonych znów zwrócili na niego uwagę. – Tu mówi wasz stary przyjaciel – powiedział, jednak nie było w tym przekonania, a jego głos drżał. Uśmiechnął się do nich, lecz nikt nie odwzajemnił tego uśmiechu. – A może tak jeszcze trochę lektury? Brat Edie chciałby posłuchać. – Wysunął protezę, nastawił głośniej radio i dostroił je.

Dostaniesz to, czego sobie życzysz, pomyślał. Powieść albo cokolwiek innego. Jak długo tu już jesteś? Tylko siedem lat? Wydaje mi się raczej, że byłeś tu zawsze. Tak jakbyś... istniał od zawsze. To, co się do niego odezwało, było bardzo stare, pomarszczone i siwe. To było coś niewielkiego, twardego, coś, co ulegało zmianom. Wargi zasłonięte sumiastym zarostem, który zwieszał się po bokach jak wiązki suchego siana. Założę się, że to Fergesson, pomyślał. Czuję, że to on. On tam jest, w ciele tej dziewczynki.

Ciekawe. Czy może stamtąd wyjść?

– Co zrobiłeś, że się aż tak wystraszył? – zapytała brata Edie Keller. – Naprawdę się bał.

– Byłem kimś, kogo on znał bardzo dawno temu – odezwał się z jej wnętrza znajomy głos. – Kimś, kto nie żyje.

– A więc to tak – powiedziała. – Tak też sobie myślałam. – Było jej wesoło. – Zrobisz mu jeszcze coś?

– Jak mi się narazi – odparł Bill – to mogę mu zrobić dużo różnych rzeczy.

– A skąd wiedziałeś o tym kimś, kto umarł?

– No bo... sama wiesz. Bo ja też jestem martwy. – Zaśmiał się gdzieś w głębi jej brzucha.

Poczuła, jak się zatrzęsł.

– Nie jesteś – zaprzeczyła. – Jesteś żywy, tak jak ja, więc nie mów takich rzeczy. Tak nie wolno. – Edie wystraszyła się.

– Udawałem tylko. Przepraszam. Szkoda, że nie mogłem zobaczyć jego twarzy. Jak wyglądała?

– Kiedy to powiedziałeś, wyglądała okropnie – odparła Edie. – Cała się skurczyła, jak u żaby. No, ale ty przecież nie wiesz, jak wygląda żaba, w ogóle nie wiesz, jak wyglądają różne rzeczy, więc nie ma sensu ci opowiadać.

– Szkoda, że nie mogę wyjść – powiedział Bill ze smutkiem. – Szkoda, że się nie mogę urodzić, tak jak inni. A może mógłbym się urodzić później?

– Doktor Stockstill powiedział, że nie.

– A nie dałby rady zrobić tak, żebym mógł? Zdaje się, że mówiłaś...

– Pomyliłam się – przerwała mu. – Myślałam, że mógłby wyciąć taką małą okrągłą dziurkę i że to by pomogło, ale on powiedział, że nie.

Jej schowany głęboko brat zamilkł.

– Nie martw się – dodała Edie. – Będę ci o wszystkim opowiadać. – Chciała go pocieszyć. – Nigdy już nie zrobię czegoś takiego, jak wtedy, kiedy byłam na ciebie zła i przestałam ci opowiadać, co się dzieje. Obiecuję.

– Może potrafiłbym zmusić doktora Stockstilla, żeby mnie wypuścił – powiedział Bill.

– Potrafiłbyś? Chyba nie. Mógłbym, gdybym chciał.

– Nie – zaprzeczyła. – Kłamiesz. Potrafisz tylko spać i rozmawiać z umarłymi i może jeszcze naśladować głosy, tak jak teraz. To mało. Tyle to i ja potrafię, i jeszcze o wiele więcej.

Z jej wnętrza nie dobiegła żadna odpowiedź.

– Wiesz co, Bill? – odezwała się znowu. – Teraz wiedzą o tobie dwie osoby, Hoppy Harrington i doktor Stockstill. A ty kiedyś mówiłeś, że nikt się o tobie nie dowie, więc wcale nie jesteś taki sprytny. Wcale nie sędzę, żebyś był bardzo sprytny.

Bill spał w brzuchu swojej siostry.

– Gdybyś zrobił coś złego, to mogłabym połknąć jakąś truciznę i cię zatruć. Prawda? Lepiej więc bądź grzeczny.

Bała się go coraz bardziej. Mówiła do siebie, starając się nabrać znów pewności siebie. Może byłoby dobrze, gdybyś rzeczywiście umarł, pomyślała. Tylko że wtedy musiałabym nosić w sobie twojego trupa i to... byłoby niemiłe. Nie podobałoby mi się coś takiego. Wstrząsnął nią dreszcz.

– Nie martw się o mnie – powiedział nagle Bill. Obudził się, a może wcale nie spał; może zwyczajnie udawał. – Bardzo dużo wiem. Potrafię o siebie zadbać. I ciebie też będę bronił. Powinnaś się cieszyć, że mnie masz, bo potrafię... i tak byś nie zrozumiała. Wiesz co, ja widzę wszystkich zmarłych, tak jak tego człowieka, którego naśladowałem. Jest ich bardzo dużo, całe miliardy, i każdy z nich jest inny. Kiedy śpię, słyszę ich pomruk. Są tutaj.

– Gdzie tutaj? – spytała.

– Pod nami – odparł Bill. – W ziemi.

– Brrr. – Otrząsnęła się. Bill się roześmiał.

– To prawda. I my też tam kiedyś będziemy. I mama z tatą, i w ogóle wszyscy. Wszyscy tam są, nawet zwierzęta. Ten pies prawie też tam jest, ten, który mówi. Może jeszcze nie całkiem, ale to prawie to samo. Zobaczysz.

– Wcale nie chcę zobaczyć – powiedziała. – Chcę posłuchać powieści, więc bądź cicho. Nie chcesz też posłuchać? Zawsze mówisz, że ci się podoba.

– On też tam niedługo będzie – rzekł Bill. – Ten pan, który czyta w satelicie.

– Nie – zaprzeczyła. – Nie wierzę. Naprawdę?

Tak – odparł jej brat. – Naprawdę. A jeszcze przed nim... wiesz, kto to jest „sprzedawca szkieł”? Pewnie nie, ale on też tam wkrótce będzie, już za parę minut. A potem... – Przerwał. – Nie powiem.

– Nie mów – zgodziła się. – Proszę cię, nie mów. – Nie chcę nic słyszeć.

Eldon Blaine szedł w stronę domu Hoppy’ego, kierując się na pokrzywiony maszt nadajnika. Teraz albo nigdy, pomyślał. Mam mało czasu. Nikt go nie zatrzymywał, bo wszyscy, nie wyłączając Hoppy’ego Harringtona, byli w Foresters’ Hall. Wezmę radio i znikam, po-stanowił Eldon. Jeżeli nie mogę ze sobą zabrać jego, przynajmniej nie wrócę do Bolinas z pustymi rękami.

Nadajnik był blisko. Blaine wyczuwał obecność zbudowanej przez Hoppy’ego konstrukcji... a potem nagle potknął się o coś. Próbował jeszcze odzyskać równowagę, lecz upadł, podpierając się rękami. Nisko nad ziemią sterczały resztki płotu.

Teraz spostrzegł sam dom, a przynajmniej to, co z niego zostało. Fundamenty, ściana, a w środku posklejany sześcian – zrobiony z odpadków pokój, który przed deszczem chroniła papa. Maszt, umocowany grubymi linami odciągowymi, wznosił się tuż za niewielkim metalowym kominem.

Nadajnik był włączony.

Usłyszał szum urządzenia, zanim jeszcze spostrzegł niebieskie fluorescencyjne światło jego lamp. Przez szparę pod drzwiami oklejonego papą pokoju wylewało się więcej światła. Znalazł klamkę, wahał się przez chwilę, a potem nacisnął ją szybkim ruchem. Drzwi otworzyły się bez najmniejszego oporu, jakby ktoś w środku na niego czekał.

Usłyszał sympatyczny, miły głos i rozejrzał się wokół z przerażeniem, spodziewając się – paradoksalnie – zobaczyć fokomelika. Głos jednak dobiegał ze stojącego na warsztacie radia, wokół którego walały się w strasznym nieładzie narzędzia, mierniki i części zamienne. Dangerfield ciągle mówił, chociaż satelita na pewno dawno już odleciał. Ma kontakt z satelitą jak nikt inny, pomyślał. Nawet to mają w West Marin. Ale dlaczego ten wielki nadajnik jest włączony? Jakie jest jego zadanie? Nerwowo zaczął się rozglądać...

Miły głos z radia nagle się zmienił: stał się bardziej szorstki, ostrzejszy.

– Sprzedawco szkieł – usłyszał – co robisz w moim domu?

To był głos Hoppy'ego Harringtona i Eldon stanął jak wryty, pocierając w zdumieniu czoło i próbując zrozumieć, co się stało, jednak gdzieś w głębi, instynktownie, wiedział już, że nie rozumie... i pewnie nigdy mu się to nie uda.

– Hoppy – zdołał wykrztusić. – Gdzie jesteś?

– Tutaj – powiedział głos z radia. – Jestem coraz bliżej. Nie ruszaj się, sprzedawco szkieł.

Otworzyły się drzwi pokoju i naprzeciwko Eldona pojawił się siedzący na wózku Hoppy Harrington, gromiąc go ostrym spojrzeniem.

– Witam w moich progach – rzekł z przekąsem, a jego głos dobiegał teraz z dwóch źródeł: od niego samego i z radiowego głośnika. – Wydawało ci się, że to radio odbiera transmisję z satelity? – Jedna z protez wysunęła się i wyłączyła urządzenie. – Może masz rację, a może stanie się tak dopiero w przyszłości. No, sprzedawco szkieł, odezwij się. Czego tu szukasz?

– Pozwól mi odejść – odezwał się Eldon. – Niczego nie chcę. Tylko się rozglądałem.

– Chciałeś zabrać radio, prawda? – spytał Hoppy pozbawionym emocji głosem. Sprawiał wrażenie zrezygnowanego, lecz nie zaskoczonego.

– Dlaczego nadajnik jest włączony? – zapytał Eldon.

– Bo nadaję do satelity.

– Jeżeli mnie puścisz, do oddam ci wszystkie moje szkła. A kosztowały mnie one całe miesiące poszukiwań w północnej Kalifornii.

– Tym razem nie masz przy sobie szkieł – powiedział fokomelik. – Nie widzę jakoś walizki. Ale nie mam nic przeciwko temu, żebyś sobie poszedł. Nie zrobiłeś nic złego. Nie dałem ci możliwości – wybuchnął wesołym, urywanym śmiechem.

– Chcesz spróbować ściągnąć satelitę? – zapytał Eldon.

Fokomelik spojrział na niego uważnie.

– Na pewno tak – rzekł sprzedawca szkieł. – Za pomocą tego nadajnika zamierzasz odpalić ostatni człon rakiety: spowodujesz, że zadziała on jak silnik hamujący, satelita wejdzie w atmosferę i w końcu wyląduje.

– Nie potrafiłbym czegoś takiego zrobić – powiedział Hoppy. – Nawet gdybym chciał.

– Potrafisz poruszać przedmioty na odległość.

– Powiem ci, co tutaj robię, sprzedawco szkieł. – Fokomelik przejechał obok Eldona i wysunął protezę, która podniosła z warsztatu jakiś przedmiot. – Poznajesz? To jest szpula taśmy magnetofonowej. Jej zawartość zostanie przekazana do satelity z szybkością tak olbrzymią, że transmisja całych godzin nagrań zajmie zaledwie kilka chwil. W tym samym czasie wszystkie informacje, które zebrał satelita, zostaną przekazane tutaj z równie wielką szybkością. Tak właśnie miało to kiedyś działać, sprzedawco szkieł. Tak miało to działać przed Katastrofą, zanim zaginęła aparatura nadawczo-odbiorcza.

Eldon Blaine popatrzył na stojące na warsztacie radio, a potem rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę drzwi. Fokomobil stał teraz tak, że nie blokował już drogi do wyjścia. Zastanowił się, czy mu się uda, czy ma jakąś szansę.

– Jestem w stanie nadawać w promieniu trzystu mil – ciągnął fokomelik. – Miałbym w swoim zasięgu odbiorniki w całej północnej Kalifornii, ale na tym koniec, oczywiście gdybym nadawał bezpośrednio. Jeśli jednak bym transmitował informacje najpierw do satelity, gdzie byłyby nagrywane, a potem odtwarzane raz za razem w czasie lotu...

– Wtedy objąłbyś cały świat – powiedział Eldon.

– Tak – rzekł Hoppy. – Na pokładzie jest potrzebna aparatura, która przyjmie wszelkie polecenia nadane z Ziemi.

– I wtedy staniesz się Dangerfieldem.

Fokomelik uśmiechnął się i wyjąkał:

– Nikt nawet nie zważa na różnicę. Tto się da zrobić. Wszystko już przemyślałem. Czy jest jakieś inne rozwiązanie? Chyba tylko cisza. Satelita za kilka dni może zamilknąć. Głos, który jednoczy świat, nie zabrzmi więcej i świat pograży się w otchłani. Jestem już przygotowany, żeby w każdej chwili odłączyć Dangerfielda. Zrobię to, gdy tylko będę pewien, że rzeczywiście z nim źle.

– A on wie o tobie?

– Nie – odparł Hoppy.

– Powiem ci, co na ten temat myślę – rzekł Eldon. – Sądzę, że Dangerfield nie żyje już od dłuższego czasu, a my cały czas słuchamy nie jego, lecz ciebie. – Mówiąc te słowa, przysunął się bliżej warsztatu, na którym stało radio.

– Nieprawda – powiedział spokojnie fokomelik. – Ale niedługo tak będzie – dodał po chwili.

– Zdziwiający, że udało mu się przetrwać w tych warunkach. Wojskowi zrobili znakomitą robotę, kiedy go wyselekcjonowali.

Eldon Blaine złapał radio z warsztatu i popędził do drzwi.

Fokomelik spojrzał na niego ze zdziwieniem. Eldon zdążył jeszcze dostrzec wyraz jego twarzy, a potem znalazł się w panujących na zewnątrz ciemnościach i pobiegł w kierunku policyjnego wozu. Wykołowałem go, pomyślał. Biedny skurczybyk nie miał pojęcia, co

chciałem zrobić. I to całe jego gadanie... co to miało znaczyć? Nic. Mrzonki o wielkości. Chciałby siedzieć sobie tutaj i przemawiać do całego świata, słuchać całego świata, chciałby, żeby wszyscy słuchali tego, co ma do powiedzenia... ale czegoś takiego nie może zrobić nikt poza Dangerfieldem. Nikt nie może sterować z Ziemi zamontowaną w satelicie aparaturą. Fokomelik musiałby znaleźć się tam, w górze, a to jest niemożliwe...

Coś złapało go za szyję.

Jakim cudem? – zdziwił się Eldon, kiedy upadł na twarz, wciąż trzymając kurczowo radio. Przecież on jest w domu, a ja tutaj. Działanie na odległość... złapał mnie. Pomyliłem się przedtem? Czy on naprawdę potrafi działać na taką odległość?

To coś, co trzymało go za szyję, zaczęło się zaciskać.

Rozdział jedenasty

Paul Dietz, wydawca „News & Views”, niewielkiego, ukazującego się co dwa miesiące w West Marin czasopisma, zdjął z powielacza pierwszy egzemplarz gazety i przyjrzał się krytycznie napisanej przez siebie czołówce.

URAZ KRĘGOSŁUPA POWODEM ŚMIERCI MIESZKAŃCA BOLINAS

Cztery dni temu na skraju drogi znaleziono zwłoki Eldona Blaine’a, sprzedawcy szkieł z Bolinas w stanie Kalifornia, który przybył w nasze strony w interesach. Uraz kręgosłupa oraz inne ślady wskazują na to, że powodem jego śmierci było zabójstwo, dokonane przez nieznanego dotychczas sprawcę. Earl Colvig, szef policji w West Marin, rozpoczął zakrojone na szeroką skalę śledztwo i obecnie przesłuchuje osoby, które widziały Blaine’a owego wieczoru.

Tak to właśnie wyglądało. Dietz, czytając notatkę, czuł głęboką satysfakcję, że znalazł dla numeru chwytliwą czołówkę. Ta historia powinna zainteresować wielu czytelników, co może sprawi, że przyjdzie więcej niż zwykle zamówień na reklamy do następnego wydania. Najwięcej pieniędzy wpływało od Andy’ego Gilla, który reklamował swoje wyroby tytoniowe i alkoholowe, oraz od aptekarza Freda Quinna, a poza tym w każdym numerze było jeszcze parę ogłoszeń drobnych.

W artykule nie napisał rzecz jasna o tym, że sprzedawca szkieł z Bolinas przybył do West Marin w złych zamiarach: wszyscy i tak o tym wiedzieli. Mówiło się nawet, że przyjechał, żeby porwać ich rzemieślnika. Ponieważ były to jednak tylko spekulacje, nie można ich było opublikować.

Teraz spojrział na drugi co do ważności artykuł.

CZY DANGERFIELD RZECZYWIŚCIE JEST CHORY?

Osoby, które słuchały wieczornej transmisji z satelity, twierdzą, że Walt Dangerfield powiedział, iż jest „chory, najprawdopodobniej na chorobę wrzodową lub na serce” i potrzebuje porady lekarskiej. Jak się dowiadujemy, oświadczenie to wywołało zaniepokojenie wśród zebranych w Foresters’ Hall mieszkańców. Pan Cas Stone, który poinformował „News & Views” o tym wydarzeniu, powiedział, że gdyby zawiodły inne rozwiązania, zwróci się do swojego osobistego lekarza specjalisty w San Rafael. Wysunięto również projekt, co do którego nie udało się jednak osiągnąć porozumienia, by Fred Quinn, właściciel apteki w Point Reyes Station, wyruszył do Dowództwa Sił Lądowych w Cheyenne i przekazał lekarstwa dla Dangerfielda.

Pozostałą część numeru zajmowały wiadomości lokalne, które nie były aż tak interesujące: kto z kim jadł obiad, kto odwiedził pobliskie miasteczko... obrzucił je wzrokiem, upewnił się, że ogłoszenia zostały wydrukowane bez błędów i zaczął powielać następne egzemplarze.

Były oczywiście również wiadomości, dla których zabrakło miejsca w gazecie, wiadomości, których w żadnym wypadku nie można było zamieścić. Na przykład to, że Hoppy'ego wystraszyła siedmioletnia dziewczynka. Dietz uśmiechnął się, kiedy sobie przypominał, jak doniesiono mu o tym, że Hoppy strasznie się przeraził, i to do tego na oczach tyłu ludzi. Bonny Keller ma kolejny romans, tym razem z nowym nauczycielem, Halem Barnesem... to dopiero byłby artykuł. Jack Tree, miejscowy hodowca owiec, oskarża nie wymienione z nazwiska osoby (po raz setny) o kradzież zwierząt. Co jeszcze? Zastanówmy się, pomyślał. Jakiś człowiek z miasta odwiedził Andrew Gilla, słynnego specjalistę w dziedzinie wyrobów tytoniowych. Prawdopodobnie wizyta ta ma związek z planowanym połączeniem alkoholowo-tytoniowego przedsiębiorstwa Gilla z nieznanym dotąd olbrzymim miejskim syndykatem. Zmarszczył brwi, gdy o tym pomyślał. Gdyby Gill się stąd wyprowadził, to „News & Views” straciłyby najczęściej drukowane ogłoszenie.

A może powinienem to opublikować? – zastanowił się. Może powinienem podburzyć tutejszą opinię publiczną przeciwko planowanym przez Gilla decyzjom? Obce wpływy w miejscowym przemyśle tytoniowym... tak mógłbym to sformułować. Obcy ludzie podejrzanego pochodzenia kręcą się po okolicy. Coś w tym guście. To mogłoby powstrzymać Gilla, ostatecznie jest tu nowy i z tego powodu wrażliwy na ataki. Mieszka tu od Katastrofy. Tak naprawdę to nie jest jednym z nas.

Kim była ta złowroga postać, którą widziano rozmawiającą z Gillem? Wszyscy mieszkańcy miasteczka chcieliby to wiedzieć. Nikomu się ta postać nie podobała. Niektórzy twierdzili, że to Murzyn, inni, że ciemny kolor jego skóry jest efektem poparzeń. Czarnuch popromienny – tak się na takich ludzi mówiło.

A może przytrafi mu się to samo co sprzedawcy szkieł z Bolinas, pomyślał Dietz. Jest u nas wiele osób, którym nie podobają się obce wpływy. Dlatego też niebezpiecznie jest wtykać tu nos w nie swoje sprawy.

Zabójstwo Eldona Blaine'a przywiodło mu na myśl śmierć Austuriasa... choć oczywiście ten ostatni został załatwiony w majestacie prawa i publicznie przez Radę Mieszkańców i sąd. A jednak w gruncie rzeczy nie było wielkiej różnicy. W obu wypadkach śmierć tych ludzi była odzwierciedleniem miejscowych resentymentów. I czymś takim byłoby również zniknięcie z tego świata owego Murzyna, czy też popromiennego czarnucha, który kręci się koło Gilla – niewykluczone, że zemsta w jakiś sposób mogłaby dotknąć również samego Gilla.

Gill jednak ma wpływowych przyjaciół, na przykład Kellerów. A poza tym wiele osób jest uzależnionych od sprzedawanego przez niego tytoniu i alkoholu. Zarówno Orion Stroud, jak i Cas Stone kupują od niego w dużych ilościach. Tak więc najprawdopodobniej Gill jest bezpieczny.

No, ale ten czarnuch nie, zdał sobie sprawę Dietz. Nie chciałbym być w jego skórze. Jest

z miasta i nie ma pojęcia, jak głęboko w takiej małej społeczności zakorzenione są pewne uczucia. Jesteśmy ze sobą zżyci i nie mamy zamiaru dopuścić do tego, by ktoś nas podzielił.

Może będzie musiał dostać nauczkę. Może będziemy świadkami jeszcze jednego zabójstwa. Zabójstwa czarnucha. A w pewnym sensie jest to najlepsze z możliwych zabójstw.

Hoppy Harrington jechał wyprostowany w wózku główną ulicą Point Reyes Station, kiedy zobaczył ciemnoskórego mężczyznę, który wydał mu się znajomy. Był to człowiek, którego znał od lat, z okresu, gdy pracował w Nowoczesnych Telewizorach. Wyglądał jak Stuart McConchie.

A potem sobie uświadomił, że to jeszcze jedno z naśladownictw Billa.

Poczuł przerażenie na myśl o tym, jaką mocą dysponuje stworzenie żyjące w ciele Edie Keller, skoro potrafi zrobić coś takiego w biały dzień. I czym mógłby mu się przeciwstawić? Podobnie jak tamtego wieczoru, kiedy usłyszał głos Jima Fergessona, był zupełnie zaskoczony. To, co teraz zobaczył, zbiło go z tropu, mimo jego ogromnych zdolności. Nie wiem, co robić, pomyślał z przerażeniem, zbliżając się do ciemnej postaci, która nie chciała zniknąć.

A może Bill wie, że to ja zabiłem sprzedawcę szkieł, pomyślał. Może chce mnie ukarać. Dzieci robią takie rzeczy.

Skręcił w boczną uliczkę i nabrał szybkości, uciekając od miejsca, gdzie stała imitacja Stuarta McConchie.

– Ej! – zawołał ktoś ostrzegawczo.

Hoppy rozejrzał się i spostrzegł, że o mało nie przejechał doktora Stockstilla. Zdenerwowany, zatrzymał fokomobil.

– Przepraszam – powiedział. Przyglądał się uważnie temu człowiekowi i pomyślał, że znał go jeszcze przed Katastrofą. Stockstill miał kiedyś gabinet w Berkeley i Hoppy widywał go od czasu do czasu na Shattuck Avenue. Co on tu robi? Jakim cudem zdecydował się osiedlić w West Marin, tak jak Hoppy? Czy to jedynie przypadek?

A potem fokomelik pomyślał, że Stockstill jest tylko imitacją, stworzoną tego dnia, kiedy w okolicy zatoki spadła pierwsza bomba. Czy Bill nie został też poczęty tego samego dnia?

To Bonny Keller, pomyślał. Wszystko ma jakiś związek z nią. Wszystkie te problemy, które powstają w naszej społeczności... sprawa Austuriasa, która mało nie doprowadziła wspólnoty do upadku i podzieliła nas na dwa wrogie obozy. To ta kobieta sprawiła, że Austurias został zabity, chociaż właściwie trzeba było zastrzelić tego degenerata Jacka Tree razem z jego owcami, a nie nauczyciela.

To był dobry, miły człowiek, pomyślał fokomelik o Austuriasie. I poza mną prawie nikt nie stanął po jego stronie podczas tak zwanego procesu.

– Uważaj no trochę z tym wózkiem, Hoppy – odezwał się ostro doktor Stockstill. – Bądź tak dobry.

– Powiedziałem już, że przepraszam – odparł Hoppy.

– Czego się boisz? – spytał psychiatra.

– Niczego – odpowiedział fokomelik. – Nie boję się niczego na świecie. – A potem przypomniał sobie incydent w Foresters' Hall i swoje zachowanie. Rozniosło się po całym mieście: doktor Stockstill już o tym wie, chociaż wcale go tam nie było. – Mam fobię – przyznał pod wpływem nagłego impulsu. – To jeszcze pana specjalność, czy już się pan takimi sprawami nie zajmuje? Boję się zamknięcia. Tego dnia, kiedy spadły bomby, zostałem przywalony w piwnicy. Dzięki temu żyję, ale... – Wzruszył ramionami.

– Rozumiem – powiedział Stockstill.

– Badał pan kiedyś córkę Kellerów? – zapytał Hoppy.

– Tak – odparł psychiatra.

– W takim razie pan wie – rzekł Hoppy ostro. – To niejedno dziecko, lecz dwoje. Są jakoś ze sobą połączone, pan pewnie w przeciwieństwie do mnie wie, jak to możliwe, ale mnie to nie interesuje. To dziecko jest nienormalne... a raczej jest to nienormalne rodzeństwo, prawda? – fokomelik wylewał z siebie gorycz. – Nie widać po nich, że są nienormalne, więc nie podpadają. Ludzie zwracają uwagę tylko na wygląd zewnętrzny, nie sądzi pan? Nie przekonał się pan o tym w czasie swojej pracy?

– Z grubsza można by tak powiedzieć – odparł Stockstill.

– Słyszałem – ciągnął Hoppy – że według prawa stanowego wszystkich niepełnoletnich, to znaczy wszystkie dzieci, które w jakikolwiek sposób odbiegają od normy, należy oddawać władzom w Sacramento.

Lekarz nie odezwał się. Przyglądał się tylko Hoppy'emu w milczeniu.

– Kellerowie łamią prawo, a pan im w tym pomaga.

– Czego ty chcesz, Hoppy? – odezwał się Stockstill po chwili cichym i spokojnym głosem.

– Nic – wyjąkał fokomelik. – Chcę tylko, żeby było sprawiedliwie. To znaczy chcę, żeby było przestrzegane prawo. Czy to coś złego? Ja go przestrzegam. Jestem zarejestrowany w Amerykańskim Urzędzie Eugenicznym jako... – następne słowo nie chciało przejść mu przez gardło -...jako wybryk natury. To było okropne, ale to zrobiłem. Trzymam się przepisów.

– Co zrobiłeś sprzedawcy szkieł z Bolinas? – zapytał cicho Stockstill.

Hoppy zakręcił w miejscu wózkiem i odjechał szybko.

Co mu zrobiłem? – pomyślał. Zabiłem go, przecież wiesz. Dlaczego pytasz? Co cię to obchodzi? To był człowiek z zewnątrz, nie liczył się i wszyscy o tym wiemy. Poza tym June Raub twierdzi, że chciał mnie porwać, i ten powód jest dla większości ludzi wystarczający – jest wystarczający dla Earla Colviga i dla Oriona Strouda, i dla Casa Stone'a, a to oni właśnie wspólnie z panią Tallman, Kellerami i June Raub są siłą napędową naszej wspólnoty.

Stockstill wie, że zabiłem Blaine'a, rozumiał Hoppy. Wie o mnie bardzo dużo, chociaż nigdy nie pozwoliłem mu się zbadać; wie, że potrafię działać na odległość... no, ale to akurat

wiedzą wszyscy. Chociaż być może tylko Stockstill rozumie, co to oznacza. To wykształcony człowiek.

Jeśli spotkam tę imitację Stuarta McConchie, postanowił nagle, to dopadnę ją i zaduszę. Nie mam innego wyjścia.

Mam jednak nadzieję, że go już nie zobaczę, pomyślał. Nie znoszę trupów. To właśnie moja fobia – grób. Byłem zasypany w grobie z tym, co zostało z Fergessona, i to było straszne. Spędziłem dwa tygodnie z połową człowieka, który za życia poświęcał mi więcej uwagi niż ktokolwiek inny. I co byś powiedział, doktorze Stockstill, gdybym położył się na kanapie w twoim gabinecie? Czy przeżycie traumatyczne tego rodzaju zainteresowałoby cię, czy może w ciągu ostatnich siedmiu lat było już zbyt wiele podobnych przypadków?

Ten cały Bill wewnątrz Edie Keller ma coś wspólnego z umarłymi, pomyślał Hoppy. Żyje częściowo tutaj, a częściowo w ich świecie. Zaśmiał się gorzko, bo przypomniały mu się czasy, gdy wyobrażał sobie, że potrafi kontaktować się ze światem umarłych... niezły żart, pomyślał. Oszukiwałem siebie bardziej niż innych. A oni nigdy się nie dowiedzieli prawdy. Stuart McConchie i szczur, Stuart przeżywający ze smakiem...

A potem nagle zrozumiał, co to oznacza. Stuart przeżył. Nie zginął w czasie Katastrofy, a przynajmniej nie od razu, jak Fergesson. Niewykluczone więc, że to, co właśnie widział, wcale nie jest imitacją.

Zatrzymał wózek, trzęsąc się cały, i zaczął intensywnie rozmyślać.

Czy on coś o mnie wie? – zadał sobie pytanie. Czy może wciągnąć mnie w jakieś kłopoty? Nie, odpowiedział sobie. Nie, bo kim byłem w tamtym czasie? Tylko bezradnym stworzeniem na dostarczonym przez rząd wózku, które było wdzięczne za jakąkolwiek pracę, za każdy rzucony mu ochłap. Wiele się zmieniło. W West Marin jestem ważną figurą, pomyślał. Jestem znakomitym rzemieślnikiem.

Ruszył z powrotem drogą, którą tu przybył. Wyjechał znowu na główną ulicę i zaczął się rozglądać za Stuartem McConchie. I oczywiście zaraz go dostrzegł: McConchie szedł w stronę wytwórni wyrobów alkoholowych i tytoniowych, należącej do Andrew Gilla. Fokomelik pojechał za nim i wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

Sprawił, że McConchie się potknął.

Hoppy uśmiechnął się pod nosem z wnętrza fokomobilu, kiedy zobaczył, jak czarnuch najpierw o mało nie upadł, a potem odzyskał równowagę. McConchie zmarszczył wściekle brwi i uważnie popatrzył na chodnik. Potem ruszył w dalszą drogę, teraz już wolniej, uważnie wybierając drogę pomiędzy kawałami betonu i kępami chwastów.

Fokomelik pojechał za nim, a kiedy się zrównali, powiedział:

– McConchie, sprzedawca telewizorów, który jada zdechłe szczury.

Murzyn zatrzymał się jak rażony piorunem i zaczął się trząść. Nie odwrócił się, stał tylko

z rozwartymi ramionami i rozczapierzonymi palcami.

– I jak ci się podoba życie po śmierci? – zapytał Hoppy.

– Może być – odezwał się po chwili Murzyn chrapliwym głosem. Odwrócił się. – A więc przeżyłeś. – Zmierzył fokomelika i jego pojazd uważnym spojrzeniem.

– Tak – odpowiedział Hoppy – przeżyłem. I to wcale nie dzięki zdechłym szczurom.

– Pewnie jesteś tu rzemieślnikiem

– Tak – potwierdził fokomelik. – Bezręki Hoppy zawsze pod ręką. A ty co robisz?

– Sprzedaję... homeostatyczne pułapki na szkodniki – odparł Stuart.

Fokomelik zaśmiał się.

– Co w tym, do cholery, takiego śmiesznego? – zapytał McConchie.

– Nic. Przepraszam. Cieszę się, że przeżyłeś. Kto jeszcze żyje? Stockstill, ten psychiatra z naprzeciwka, też tu jest. Fergesson zginął.

Oboje zamilkli.

– Lightheiser nie żyje – powiedział Stuart. – I Bob Rubinstein. Connie, ta kelnerka, i Tony, pamiętasz ich?

– Tak. – Fokomelik pokiwał głową.

– Znałeś pana Crody'ego, tego jubilera?

– Nie – odparł fokomelik.

– Został kaleką. Stracił obie ręce i oślepl. Ale żyje. Jest w rządowym szpitalu w Haywardzie.

– Po co tu przyjechałeś? – zapytał fokomelik.

– W interesach.

– Masz może zamiar wykraść Gillowi tajemnicę produkcji deluxe gold label? – Fokomelik znów się zaśmiał, lecz jednocześnie pomyślał sobie, że to prawda. Każdy, kto się tu wkłada z zewnątrz, przychodzi po to, by zabijać albo kraść. Weźmy na przykład Eldona Blaine'a, tego sprzedawcę szkieł, a on przecież był z Bolinas, które leży o wiele bliżej.

– Moja praca wymaga podróży – odpowiedział sucho Stuart. – Jeżdżę po całej północnej Kalifornii. Było dobrze, kiedy miałem Edwarda Księcia Walii. Teraz mam kiepskiego konia do ciągnięcia samochodu i wszystko trwa o wiele dłużej.

– Słuchaj no – powiedział Hoppy – nie mów nikomu, że znasz mnie z dawnych czasów, bo mógłbym się przypadkiem bardzo zdenerwować, rozumiesz? Od wielu lat jestem w tej społeczności kimś bardzo ważnym i nie życzę sobie, żeby jakiś człowiek z zewnątrz to zmienił. Może będę w stanie ci pomóc w interesach, ale potem powinieneś wyjechać. Zgoda?

– Dobrze – odparł Stuart. – Wyjadę, jak tylko będę mógł. – Przyglądał się fokomelikowi tak intensywnie, że ten poczuł zakłopotanie. – A więc znalazłeś sobie miejsce. Gratuluję.

– Poznam cię z Gillem – powiedział Hoppy. – To mogę dla ciebie zrobić. Jestem rzecz jasna jego dobrym znajomym.

– Świetnie – odparł Stuart, kiwając głową. – Byłbym ci wdzięczny.

– Ale ty nic nie rób, słyszysz? – Fokomelik nie panował nad swoim głosem, który stał się nagle skrzekliwy. – Nie wolno ci nikogo porwać ani niczego ukraść, ani popełnić żadnego innego przestępstwa, bo inaczej mogą ci się przydarzyć straszne rzeczy, rozumiałeś?

Murzyn pokiwał z powagą głową, lecz nie wydawał się przestraszony. Nie skurczył się z przerażenia i fokomelik czuł się coraz bardziej niepewnie. Chciałbym, żebyś odszedł, pomyślał. Wynoś się stąd i nie rób mi kłopotu. Żałuję, że cię kiedykolwiek poznałem; żałuję, że w ogóle znam ludzi z zewnątrz, że poznałem kogokolwiek przed Katastrofą. Nawet myśleć mi się o tym wszystkim nie chce.

– Schowałem się pod chodnikiem – powiedział nagle Stuart. – Kiedy spadła pierwsza bomba, zszedłem na dół przez kratkę kanalizacyjną. To była bardzo dobra kryjówka.

– Dlaczego mi o tym przypominasz?! – zaskowyczał Hoppy.

– Sam nie wiem. Myślałem, że może cię to zainteresuje.

– Nie! – zawył znowu Hoppy i przycisnął protezy rąk do uszu. – Nie chcę o tych czasach nic słyszeć ani o nich myśleć.

– No tak – powiedział Stuart, skubiąc w zamyśleniu dolną wargę. – W takim razie chodźmy do Andrew Gilla.

– Gdybyś wiedział, co mogę ci zrobić – odezwał się fokomelik – to byś się przestraszył. Potrafię... – Przerwał. Chciał już powiedzieć Stuartowi o Eldonie Blainie, sprzedawcy szkieł. – Potrafię poruszać przedmioty z bardzo dużej odległości. To coś w rodzaju czarów. Jestem czarodziejem.

– To nie żadne czary – odparł Stuart. Jego głos był zupełnie bezbarwny. – My na to mówimy „wirujące dziwadła”. – Uśmiechnął się.

– C... cco – wyjąkał Hoppy – co to znaczy? „Wirujące dziwadła”, nigdy czegoś takiego nie słyszałem. To coś takiego jak „wirujące stoliki”?

Tak, tylko że dziwadła, nienormalni.

Nie boi się mnie, zrozumiał Hoppy. To dlatego, że zna mnie z dawnych czasów, kiedy byłem nikim. Sprawa wyglądała na beznadziejną. Murzyn był zbyt głupi, by zrozumieć, że wszystko się zmieniło – był prawie taki sam jak przedtem, jak siedem lat temu, gdy Hoppy widział go po raz ostatni. Obojętny jak głąz.

A potem Hoppy pomyślał o satelicie.

– Poczekaj – powiedział do Stuarta, chwytając łąpczywie powietrze – niedługo nawet wy, ludzie z miasta, o mnie usłyszycie, wszyscy o mnie usłyszą na całym świecie, będę znany tak samo jak tutaj. Już niedługo. Jestem prawie gotów!

– Jeżeli chcesz mi zaimponować, to na początek przedstaw mnie temu waszemu specjalście od tytoniu – rzekł Stuart, uśmiechając się wyrozumiale.

– A wiesz, co mógłbym zrobić? – powiedział Hoppy. – Mógłbym gwizdnąć Gillowi recepturę z sejfu, czy gdzie on tam ją trzyma, i dać ci do ręki. I co ty na to? – Roześmiał się.

– Przedstaw mnie – powtórzył Stuart. – Niczego więcej nie chcę. Nie interesuje mnie formuła produkcji tytoniu. – McConchie wyglądał na zmęczonego.

Trzęsąc się z niepokoju i wściekłości, fokomelik zakręcił wózkiem i poprowadził Stuarta w kierunku fabryczki Andrew Gilla.

Andrew Gill przerwał kręcenie papierosów i zobaczył, że Hoppy Harrington – którego nie lubił – wjeżdża do fabryki, a z nim idzie jakiś nieznany Murzyn. Gill natychmiast poczuł niepokój. Odłożył bibułki i wstał. Siedzący obok niego robotnicy nie przzerwali pracy.

W samej tylko wytwórni papierosów zatrudniał ośmiu ludzi. W gorzelnii, gdzie destylowano brandy, pracowało kolejnych dwunastu, z tym że gorzelnia była na północ od nich, w hrabstwie Sonoma, i tam nie pracowali ludzie z tej okolicy. Gill był właścicielem największego przedsiębiorstwa w całym West Marin – jeśli nie liczyć gospodarstw rolnych, takich jak posiadłość Oriona Strouda czy owcze ranczo Jacka Tree – i sprzedawał swoje wyroby w całej północnej Kalifornii. Jego papierosy wędrowały powoli od miasteczka do miasteczka, a z tego, co słyszał, parę sztuk dotarło nawet na Wschodnie Wybrzeże, zdobywając i tam rozgłos.

– Tak? – Spojrzał na Hoppy'ego. Stał naprzeciwko wózka, by odgrodzić go od miejsca, gdzie trwała praca. Kiedyś mieściła się tu piekarnia, a ponieważ budynek był zbudowany z betonowych płyt, wytrzymał bombardowanie i teraz znakomicie spełniał funkcję wytwórni papierosów. Oczywiście Gill nie płacił pracownikom prawie nic. Byli zadowoleni, że mają pracę i że w ogóle dostają jakieś pieniądze.

T... tten człowiek przyjechał tu z Berkeley, żeby się z panem zobaczyć – wyjąkał Hoppy. – Mówi, że jest bardzo ważnym kupcem. Zgadza się? – Odwrócił się w stronę Murzyna. – Tak mi pan przecież powiedział.

– Jestem przedstawicielem spółki pod nazwą Homeostatyczne Pułapki Hardy'ego z siedzibą w Berkeley w stanie Kalifornia. Przyjechałem tu, żeby zapoznać pana ze znakomitym pomysłem, dzięki któremu mógłby pan potroić zyski w ciągu sześciu miesięcy. – W jego ciemnych oczach zapaliły się iskierki.

Zapadła cisza.

Gill walczył z sobą, żeby się w głos nie roześmiać.

– Rozumiem – powiedział, kiwając głową i wkładając ręce do kieszeni. Przybrał poważny wyraz twarzy. – To bardzo interesujące, panie... – Spojrzał na Murzyna pytającym wzrokiem.

– Stuart McConchie – przedstawił się Murzyn. Uścisnęli sobie dłonie.

– Mój pryncypał, pan Hardy – zaczął Stuart – upoważnił mnie do szczegółowego zapoznania pana z projektem całkowicie zautomatyzowanego urządzenia do produkcji papierosów. Naszej firmie wiadomo, że papierosy w pana wytwórni produkuje się w staroświecki sposób, to znaczy

ręcznie. – Wskazał na robotników pracujących z tyłu fabrycznej hali. – Panie Gill, taka metoda jest przestarzała przynajmniej o sto lat. Udało się panu osiągnąć znakomitą jakość marki deluxe gold label...

– I zamierzam ją utrzymać – powiedział Gill cicho.

– Nasz elektroniczny sprzęt, podwyższając wydajność, w żadnym razie nie wpłynie na jakość. Właściwie...

– Chwileczkę – przerwał mu Gill. – Nie chciałbym teraz na ten temat dyskutować. – Spojrzał na fokomelika, który zaparkował swój wózek tuż obok i przysłuchiwał się rozmowie.

Hoppy zaczerwienił się i natychmiast ruszył.

– Jadę – powiedział. – Nie interesuje mnie to. Do widzenia. – Wytoczył się przez otwartą bramę fabryczki na ulicę.

Obaj mężczyźni patrzyli za nim, dopóki nie zniknął im z oczu.

– Nasz rzemieślnik – odezwał się Gill. McConchie chciał coś powiedzieć, lecz się rozmyślił.

Odchrząknął i cofnął się parę kroków, przyglądając się badawczo fabryce i pracującym ludziom.

– Bardzo przyjemne miejsce, panie Gill. Chciałbym od razu powiedzieć, że podziwiam pana produkt. Jest najlepszy w swoim rodzaju, co do tego nie ma wątpliwości.

Czegoś takiego nie słyszałem od siedmiu lat, pomyślał Gill. Trudno uwierzyć, że tak się jeszcze mówi na świecie, a jednak ten McConchie przechował to w sobie. Gillowi zrobiło się nagle przyjemnie. Ta typowa dla sprzedawcy gadka przypomniała mu lepsze czasy. Poczul do McConchiego sympatię.

– Dziękuję – powiedział i było to szczere podziękowanie. Może wreszcie zaczynają się znów pojawiać dawne formy, uprzejmości, zwyczaje i zasady postępowania, które sprawiały, że ich świat wyglądał kiedyś tak, a nie inaczej. To, co usłyszałem, pomyślał, co powiedział ten McConchie, jest autentyczne. To zwycięstwo życia, a nie udawanie. Ten człowiek w jakiś sposób przeniósł swoje poglądy i swój entuzjazm przez to wszystko, co się stało... ciągle jeszcze coś planuje, wymyśla i plecie, co mu ślina na język przyniesie... nic nie jest w stanie go powstrzymać.

To po prostu dobry sprzedawca, pomyślał Gill. Nawet wojna jądrowa i upadek społeczeństwa nie zdołały go zniechęcić.

– Może filiżankę kawy? – zaproponował Gill. – Zrobię sobie dziesięć albo piętnaście minut przerwy, a pan będzie mi mógł opowiedzieć o tej maszynie, czy co to tam jest.

– Prawdziwej kawy? – zapytał McConchie, a maska uprzejmości i optymizmu opadła mu na chwilę z twarzy: patrzył teraz na Gilla wzrokiem, z którego wyzierał straszny, wilczy głód.

– Niestety – odparł Gill. – To tylko namiastka, ale niezła. Myślę, że będzie panu smakowała. Lepsze to niż kawa, którą sprzedają w mieście w tak zwanych kawiarniach. – Wziął garnek

i poszedł po wodę.

– Nieźle się pan tu urządził – powiedział McConchie, kiedy czekali, aż kawa będzie gotowa.

– Fabryka robi duże wrażenie i jest zmyślnie zaprojektowana.

– Dziękuję.

– Od dawna marzyłem, żeby tutaj przyjechać – ciągnął Stuart. – Podróż zajęła mi tydzień, a planowałem ją od chwili, kiedy zapaliłem pierwszego special deluxe gold label. To jest... – szukał słów, by wyrazić swoją myśl – to jest wyspa cywilizacji w tych barbarzyńskich czasach.

– A co pan sądzi o wsi jako takiej? – zapytał Gill. – Życie w małym miasteczku w porównaniu z życiem w wielkim mieście... to duża różnica.

– Dopiero co przyjechałem – odparł McConchie. – I od razu przyszedłem do pana, nie miałem więc czasu, żeby się rozejrzeć. Mój koń potrzebował nowej podkowy na prawym przednim kopycie, zostawiłem go więc w pierwszej stajni za takim małym żelaznym mostkiem.

– A tak – powiedział Gill. – Wiem, o czym pan mówi: to stajnia Strouda. Będzie pan zadowolony z roboty jego kowala.

– Życie tutaj wydaje się o wiele spokojniejsze – rzekł McConchie. – Jak się w mieście zostawi konia gdzieś na chwilę... Nie tak dawno zostawiłem konia po drugiej stronie zatoki, a kiedy wróciłem, okazało się, że jacyś ludzie go zjedli. To właśnie takie historie powodują, że człowiek nabiera obrzydzenia do życia w mieście i ma ochotę się stamtąd wynieść.

– Rozumiem pana – odrzekł Gill, kiwając głową. – Życie w mieście jest brutalne dlatego, że jest tam ciągle wielu bezdomnych i cierpiących nędzę ludzi.

– Ja naprawdę bardzo lubiłem tego konia – powiedział McConchie ze smutną miną.

– No cóż, mieszkając na wsi, ma się na co dzień do czynienia ze śmiercią zwierząt; to zawsze był jeden z nieprzyjemnych aspektów życia poza miastem. Kiedy spadły bomby, tysiące stworzeń zostało rannych; owce i krowy... no, ale tego nie można oczywiście porównywać ze śmiercią ludzi tam, skąd pan przybywa. Widział pan z pewnością sporo ludzkiego nieszczęścia od dnia Katastrofy.

Murzyn pokiwał głową.

– To i jeszcze wynaturzenia. Dziwadła wśród ludzi i zwierząt. A teraz jeszcze Hoppy...

– Hoppy nie jest stąd – powiedział Gill. – Zjawił się tutaj po wojnie, kiedy daliśmy ogłoszenie, że szukamy rzemieślnika. Ja też stąd nie pochodzę. Kiedy zaczęło się bombardowanie, właśnie tędy przejeżdżałem, no i postanowiłem zostać.

Kawa była już gotowa, więc zaczęli ją popijać. Przez jakiś czas żaden z nich się nie odzywał.

– Jakiego rodzaju pułapki produkuje pańska firma? – zapytał w końcu Gill.

– To nie są zwykłe pułapki pasywne – odparł McConchie. – Ponieważ są homeostatyczne, to znaczy samouczące, potrafią zejść za szczurem... albo za kotem czy psem... do sieci nor, takiego chociażby jak pod Berkeley... Łapią tam szczury po kolei, zabijają jednego po drugim, dopóki

nie skończy im się paliwo albo nie zostaną przypadkiem zniszczone przez szkodniki. Niektóre szczyry są naprawdę bardzo inteligentne... wie pan, są mutanty, które zaszły tak daleko na drodze ewolucji, że potrafią unieszkodliwić nawet homeostatyczną pułapkę Hardy'ego. Ale takich jest niewiele.

– No, no – mruknął Gill.

– Jeżeli natomiast chodzi o maszynę do wyrobu papierosów...

– Przyjacielu – przerwał mu Gill – bardzo pana lubię, ale jest pewien problem. Nie mam pieniędzy, żeby kupić od pana tę maszynę, i nie mam też niczego, co mógłbym panu dać w zamian. Nie mam również zamiaru przyjmować nikogo do spółki. I co mi zostaje? – Uśmiechnął się. – Muszę produkować tak jak dotychczas.

– Chwileczkę – powiedział szybko McConchie. – Musi być jakieś rozwiązanie. Może moglibyśmy wynająć panu maszynę za pewną liczbę papierosów, oczywiście gatunku special deluxe gold label, które byłyby dostarczane przez ileś tygodni. – Jego twarz jaśniała ekscytacją. – Spółka Hardy'ego mogłaby na przykład zostać wyłącznym dystrybutorem pana papierosów; moglibyśmy reprezentować pana interesy i rozwinąć sieć placówek w całej północnej Kalifornii. Zastąpiłaby ona dotychczasowy system przypadkowej sprzedaży, który... jak mi się wydaje... pan stosuje. I co pan na to?

– Hmmmmmm. Muszę przyznać, że brzmi to interesująco. Muszę też przyznać, że dystrybucja nie jest moją mocną stroną... Od paru już lat myślę o tym, żeby zająć się organizacją sprzedaży, zwłaszcza że moja wytwórnia położona jest na wsi. Myślałem nawet, żeby przenieść się do miasta, ale kradzieże i wandalizm zdarzają się tam zbyt często. Poza tym nie mam na to ochoty: tutaj jest mój dom.

Nie powiedział nic na temat Bonny Keller. To właśnie ona była prawdziwym powodem, dla którego nie wyjeżdżał z West Marin: ich romans skończył się wiele lat temu, ale i tak kochał ją teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Patrzył, jak zmienia kochanków, za każdym razem coraz bardziej rozczarowana, i w głębi duszy miał nadzieję, że do niego wróci. A poza tym Bonny była matką jego córki. Zdawał sobie doskonale sprawę, że Edie Keller jest jego dzieckiem.

– Czy może mnie pan zapewnić, że nie zjawił się pan tutaj po to, żeby wykraść mi formułę produkcji papierosów? – zapytał szybko.

McConchie zaśmiał się.

– Śmieje się pan – powiedział Gill. – Ale to nie jest odpowiedź.

– Nie, nie dlatego tutaj przyjechałem – odparł Murzyn. – Produkujemy sprzęt elektroniczny, a nie papierosy.

Gillowi wydawało się jednak, że McConchie unika jego wzroku i że w jego głosie jest zbyt wiele pewności siebie i zbyt wiele nonszalancji. Gill poczuł się niepewnie.

A może to tylko moja mentalność wieśniaka? – pomyślał. To ta izolacja, rodząca podejrzliwość w stosunku do wszystkich przybyszów... wszystkich obcych.

Powinienem być ostrożny, pomyślał. Nie wolno mi dać się ponieść sentymentom tylko dlatego, że ten człowiek przypomina mi przedwojenne czasy. Trzeba będzie bardzo dokładnie obejrzeć tę maszynę. W końcu mogłem równie dobrze poprosić Hoppy'ego, żeby zaprojektował i zbudował takie urządzenie; zdaje się, że ma w tym kierunku wystarczające zdolności. Wszystko, co ten człowiek mi zaproponował, równie dobrze mogłem przeprowadzić sam.

A może jestem samotny? – pomyślał. Może to dlatego: jestem samotny, tak widzą mnie ludzie z miasta z tym swoim sposobem myślenia. Wieś mnie przytłacza – Point Reyes i „News & Views” z tymi swoimi wiadomościami wiejskiego gatunku, do tego drukowanymi na powielaczu!

– Przybywa pan z miasta – odezwał się – więc niech mi pan powie, czy są jakieś świeże wiadomości, o których mogłem nie słyszeć? Odbieramy tutaj satelitę, ale szczerze mówiąc, mam już dosyć konferansjerki, muzyki i tych nie kończących się powieści.

Zaśmiali się obaj.

– Znakomicie pana rozumiem – powiedział McConchie i pociągnął łyk kawy, kiwając głową. – No cóż. Z tego, co słyszałem, to gdzieś w ruinach Detroit próbuje się wyprodukować samochód. Robią go głównie ze sklejki, ale ma być napędzany silnikiem na naftę.

– Nie rozumiem, skąd chcą wziąć naftę? – zdziwił się Gill. – Zanim zabiorą się do samochodów, powinni najpierw postawić na nogi parę rafinerii. I naprawić kilka głównych dróg.

– Aha, jest jeszcze coś. Rząd zamierza w tym roku otworzyć jedną z tras prowadzących przez Góry Skaliste. Pierwszy raz od wybuchu wojny.

– Znakomita wiadomość – powiedział Gill z zadowoleniem. – Nic o tym nie słyszałem.

– A przedsiębiorstwa telefoniczne...

– Chwileczkę – przerwał mu Gill, wstając. – Może chciałby pan odrobinę brandy do kawy? Kiedy pił pan ostatnio coffee royal?

– Ładnych parę lat temu – odparł Stuart.

– Pięciogwiazdkowa brandy Gilla. Własny wyrób. Z Sonoma Valley. – Z pękatej butelki nalał brandy do filiżanki McConchiego.

– Jest jeszcze jedno, co mogłoby pana zainteresować. – McConchie sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął stamtąd jakiś płaski, złożony w kilkoro przedmiot. Rozwinął to coś, wygładził i oczom Gilla ukazała się koperta.

– Co to jest? – Gill podniósł kopertę i przyjrzał się jej, ale nie zauważył niczego szczególnego. Zwykła koperta z wypisanym adresem i ostemplowanym znaczkiem... a potem nagle zrozumiał i nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Poczta. List z Nowego Jorku.

– Zgadza się – powiedział McConchie. – List dostarczony mojemu szefowi, panu

Hardy'emu. Przyszedł aż ze Wschodniego Wybrzeża, i to tylko w cztery tygodnie. Rząd w Cheyenne i wojskowi... odpowiedzialni ludzie. Częściowo wiozą to sterowcami, częściowo ciężarówkami, częściowo konno. Przez ostatni odcinek listy przenoszone są na piechotę.

– Dobry Boże – powiedział Gill i nalał pięciogwiazdkowej brandy Gilla także do swojej filiżanki.

Rozdział dwunasty

– To Hoppy zabił sprzedawcę szkiele z Bolinas – powiedział Bill do siostry. – Chce wkrótce zabić jeszcze kogoś, a co będzie dalej, to już nie wiem, ale pewnie też coś takiego.

Siostra Billa bawiła się w „kamień, nożyczki i papier” z trójką innych dzieci; kiedy usłyszała Billa, zerwała się na nogi i pobiegła w kąt szkolnego podwórza, gdzie mogła być sama i porozmawiać z bratem.

– Skąd wiesz? – zapytała podekscytowana.

– Bo rozmawiałem z panem Blaine’em – odparł Bill. – Jest teraz tam, na dole, a inni już nadchodzą. Chciałbym wyjść i ukarać Hoppy’ego. Pan Blaine mówi, że tak właśnie powinienem zrobić. Spytaj jeszcze raz doktora Stockstilla, czy nie mógłbym się urodzić. – W jego głosie zabrzmiał smutek. – Może mógłbym się urodzić chociażby na chwilę...

– A może ja mogłabym go ukarać – zastanowiła się Edie. – Spytaj pana Blaine’a, co powinnam zrobić. Trochę się boję Hoppy’ego.

– Gdybym tylko wydostał się na zewnątrz, mógłbym naśladować głosy, które by go zabiły – powiedział Bill. – Mam parę niezłych pomysłów. Powinnaś posłuchać ojca Hoppy’ego. Naprawdę nieźle go robię. Chcesz posłuchać? „Widzę już, jak Kennedy proponuje kolejne cięcie podatkowe”, odezwał się Bill niskim, męskim głosem. „Jeśli sądzi, że w ten sposób poprawi sytuację gospodarczą, to jest jeszcze bardziej szalony, niż mi się wydaje, a ja i tak uważam, że jest kompletnym wariatem”.

– A zrób mnie – poprosiła Edie. – Spróbuj naśladować mój głos.

– W jaki sposób? – zdziwił się Bill. – Przecież ty jeszcze nie umarłaś.

– Jak to jest, kiedy się nie żyje? – zapytała. – Też kiedyś umrę, więc chciałabym wiedzieć.

– Śmiesznie jest. Leży się w dole i patrzy do góry. I człowiek jest zupełnie płaski, jakby... jakby był pusty w środku. I wiesz co? Po chwili się wraca. Odlatujesz gdzieś, a potem się okazuje, że jesteś tam, skąd przyszedłeś. Wiedziałaś o tym? Znajdziesz się dokładnie tu, gdzie teraz jesteś. Pusta, lecz jednocześnie żywa.

– Nie wiedziałam – odparła Edie. Zaczynało ją to nudzić; chciała usłyszeć więcej o tym, jak Hoppy zabił pana Blaine’a. Po jakimś czasie martwi, którzy mieszkają tam, w dole, nie są już tak interesujący, bo przecież nic nie robią, tylko czekają. Niektórzy z nich, jak na przykład pan Blaine, cały czas myślą o zabijaniu, a inni wegetują tylko jak rośliny – Bill opowiadał jej o tym wiele razy, bo kiedyś ją to interesowało. Myślał, że to ważne.

– Słuchaj, Edie – powiedział Bill. – Spróbujemy jeszcze raz tego eksperymentu ze zwierzętami, dobrze? Złap jakieś małe zwierzątko i przyciśnij je do brzucha, a ja postaram się znowu do niego wejść, dobrze?

– Przecież już próbowaliśmy – odparła Edie.

– Spróbujmy jeszcze raz. Złap jakiegoś bardzo małego zwierzaka. Jak one się nazywają... No wiesz, te, co mają skorupki i wytwarzają śluz.

– Pomrowy.

– Nie.

– Ślimaki.

– No właśnie. Złap takiego ślimaka i przyciśnij go do mnie tak blisko, jak tylko możesz. Gdzieś koło głowy, żeby on mnie słyszał i ja jego. Zrobisz tak? Jak nie, to zasnę na cały rok – zakończył Bill złowieszczo i umilkł.

– No to zaśnij – powiedziała Edie. – Wszystko mi jedno. Ja mogę sobie rozmawiać z różnymi ludźmi, a ty nie.

– No to umrę, a ty tego nie wytrzymasz, bo będziesz musiała do końca życia nosić w brzuchu trupa; albo... powiem ci, co zrobię, już wiem. Jeśli nie złapiesz jakiegoś zwierzątka i nie przybliżysz go do mnie, to urosnę i niedługo będę już taki duży, że się rozwalisz jak taka stara... no wiesz.

– Torebka – dokończyła Edie.

– No właśnie. I w ten sposób wydostanę się na zewnątrz.

– Wydostaniesz się – zgodziła się Edie. – Ale potem będziesz się tylko kulał po ziemi i umrzesz, bo nie możesz sam żyć.

– Nienawidzę cię – powiedział Bill.

– A ja cię jeszcze bardziej nienawidzę. I nienawidziłam cię pierwsza, jak tylko się o tobie dowiedziałam.

– No dobra – rzekł Bill ponuro. – Co mnie to obchodzi? Tyle co nic.

Edie nic nie powiedziała. Wróciła do koleżanek i znów zajęła się grą w „kamień, nożyce i papier”. To było o wiele bardziej interesujące niż opowieści jej brata, który tak mało wiedział, nic nie robił, niczego nie widział i tylko siedział tam w środku.

Chociaż opowiadanie o tym, jak Hoppy udusił pana Blaine’a, było ciekawe. Zastanawiała się, kogo też Hoppy tym razem zadusi i czy powinna o tym powiedzieć matce albo policjantowi, panu Colvigowi.

– Mogę też zagrać? – spytał nagle Bill.

Edie rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, czy żadna z koleżanek go nie usłyszała.

– Czy mój brat może zagrać? – zapytała

– Przecież ty nie masz brata – powiedziała Wilma Stone z przyganą.

– To wymyślony brat – przypomniała koleżance Rose Quinn. – Więc może grać. Może grać – zwróciła się do Edie.

– Raz, dwa, trzy – powiedziały dziewczynki i każda z nich wysunęła przed siebie dłoń,

pokazując albo wszystkie palce, albo tylko dwa, albo zaciśniętą pięść.

– Bill ma nożyczki, więc wygrywa z tobą, Wilma, bo nożyczki tną papier, a ty, Rose, możesz go uderzyć, bo nożyczki kruszą się na kamieniu, a Bill jest ze mną.

– A jak mam to zrobić? – zapytała Rose.

– Uderz mnie bardzo lekko tutaj – powiedziała Edie po zastanowieniu. Pokazała na swój bok, tuż nad paskiem spódniczki. – Bokiem dłoni i uważaj przy tym, bo on jest bardzo delikatny.

Rose trzepnęła ją lekko we wskazane miejsce.

– Dobra, następnym razem jej oddam – odezwał się Bill z brzucha Edie.

Z przeciwległej strony boiska nadszedł ojciec Edie, który był kierownikiem szkoły, i pan Barnes, nowy nauczyciel. Przystanęli przy trójce dziewcząt, uśmiechając się.

– Bill też gra – powiedziała Edie do ojca. – Właśnie oberwał.

George Keller roześmiał się.

– Tak to właśnie jest, kiedy jest się wymyślonym – rzekł do pana Barnes. – Zawsze się obrywa.

– A jak Bill miałby mnie uderzyć? – zapytała Wilma niepewnie; odsunęła się kawałek i popatrzyła na kierownika szkoły i na nauczyciela. – Musi mnie uderzyć – wyjaśniła. – Nie bij mnie za mocno – poprosiła, zwracając się mniej więcej w kierunku Edie. – Dobrze?

– On nie potrafi mocno bić – uspokoiła ją Edie. – Nawet gdyby chciał.

Stojąca naprzeciw Wilma odskoczyła na bok.

– Widzisz – powiedziała Edie. – To wszystko, co potrafi, chociażby nie wiem jak próbował.

– Nie uderzył mnie – oświadczyła Wilma. – Tylko wystraszył. Nie potrafi za dobrze celować.

– To dlatego, że nie widzi – wyjaśniła Edie. – Może ja cię uderzę zamiast niego, tak będzie sprawiedliwiej. – Pochyliła się do przodu i szybko uderzyła Wilmę po nadgarstku. – Gramy jeszcze raz. Raz, dwa, trzy.

– Edie, dlaczego on nie widzi? – zapytał pan Barnes.

– Bo nie ma oczu – odpowiedziała dziewczynka.

– Dosyć rozsądna odpowiedź – rzekł Barnes do ojca Edie. Mężczyźni roześmiali się i odeszli.

– Gdybyś znalazła ślimaka, to mógłbym stać się nim na chwilę, popęłzać trochę i się rozejrzeć – powiedział Bill z brzucha Edie. – Ślimaki widzą, prawda? Mówiłaś mi kiedyś, że mają oczy na kijkach.

– Na szypułkach – poprawiła go siostra.

– Proszę cię.

Wiem, co zrobię, pomyślała. Przycisnę do brzucha dżdżownicę, a kiedy on do niej wejdzie, to będzie taki sam jak teraz – dżdżownica nie widzi, ani nie potrafi robić nic innego, tylko ryć

w ziemi, więc Bill wcale się nie zdziwi.

– Dobra – zgodziła się, zrywając się znów na nogi. – Znajdę jakieś zwierzę i zrobię, jak chcesz. Tylko poczekaj chwilę, aż je znajdę; muszę najpierw poszukać, więc bądź cierpliwy.

– Ojej, dziękuję ci bardzo – powiedział Bill głosem, w którym słychać było niepokój i oczekiwanie. – Zrobię za to coś dla ciebie, słowo honoru.

– A co ty mógłbyś dla mnie zrobić? – spytała Edie, szukając dżdżownicy w trawie w rogu szkolnego boiska; było ich tu dość dużo po wczorajszym deszczu. – Co taki stworek jak ty mógłby dla kogoś zrobić? – Szukała chciwie, przeczesując trawę szybkimi ruchami niespokojnych palców.

Brat nic jej nie odpowiedział; czuła jego niemy smutek i zaśmiała się w duchu.

– Zgubiłaś coś? – zabrzmiał nad jej głową męski głos. Spojrzała w górę: obok stał pan Barnes i uśmiechał się.

– Szukam dżdżownic – odrzekła nieśmiało.

– Co to za dziewczynka, która się nie brzydzi robaków? – powiedział pan Barnes.

– Z kim rozmawiasz? – zapytał zdezorientowany Bill. – Kto to jest?

– Pan Barnes – wyjaśniła mu.

– Tak? – odezwał się Barnes, słysząc swoje nazwisko.

– Mówiłam do brata, a nie do pana – powiedziała Edie. – Pytał, z kim rozmawiam. To nasz nowy nauczyciel – wyjaśniła Billowi.

– Tak – odpowiedział Bill. – Rozumiem go: jest tak blisko, że go odbieram. Zna mamę.

– Naszą mamę? – zapytała Edie, zdziwiona.

– Naszą – potwierdził Bill, a w jego głosie też zabrzmiało zdziwienie. – Nie rozumiem, o co tu chodzi, ale on ją zna i ciągle się z nią spotyka, kiedy nikt nie widzi. Oni... – Przerwał. – To jest okropne i złe. To jest... – Zakrzuszył się. – Nie mogę tego powiedzieć.

Edie rozdziawiła buzię i patrzyła na nauczyciela szeroko otwartymi oczami.

– No widzisz – powiedział Bill z satysfakcją. – A nie mówiłem, że coś dla ciebie zrobię? Powiedziałem ci tajemnicę, o której inaczej nigdy byś się nie dowiedziała. To jest jednak coś, prawda?

– Tak – odparła Edie powoli, kiwając głową w zdumieniu.

– Widziałem dzisiaj twoją córkę – powiedział Hal Barnes do Bonny. – I odniosłem nieodparte wrażenie, że ona o nas wie.

– O Chryste, a niby skąd? – spytała Bonny. – To niemożliwe. – Sięgnęła do lampki oliwnej i podkręciła płomień. Kiedy krzesła, stół i obrazy stały się widoczne, pokój nabrał bardziej wyrazistych kształtów. – A zresztą to i tak nie ma znaczenia: nic by ją to nie obeszło.

Ale mogłaby powiedzieć George'owi, pomyślał Barnes.

Myśl o mężu Bonny sprawiła, że spojrział przez okno na oświetloną księżycem drogę. Żadna

postać nie mąciła spokoju; droga była pusta i widać było tylko liście na drzewach, opadające zbocza wzgórza i leżące w dole płaskie pola. Cichy, sielankowy wieczór, pomyślał. George, jako kierownik szkoły, musiał pójść na zebranie komitetu rodzicielskiego i miało go nie być przez kilka godzin. Edie oczywiście spała: była ósma.

A Bill? – zastanowił się. Gdzie jest ten, jak go Edie nazywa, Bill? Może pęta się po domu i nas szpieguje? Poczul niepokój i odsunął się od leżącej obok na kanapie kobiety.

– Co się stało? – zapytała Bonny, zaalarmowana. – Słyszałeś coś?

– Nie, ale... – Machnął ręką.

Bonny objęła go i przyciągnęła do siebie.

– Mój Boże, ale z ciebie tchórz. Czy wojna cię niczego nie nauczyła?

– Nauczyła mnie doceniać dar życia i nie ryzykować jego utraty; nauczyła mnie nie narażać się na niebezpieczeństwo.

Bonny usiadła z westchnieniem; poprawiła ubranie i zapięła bluzkę. Ten mężczyzna to zupełne przeciwieństwo Andrew Gilla, który zawsze kochał się z nią na otwartej przestrzeni, w biały dzień, przy obsadzonych dębami drogach West Marin, gdzie w każdej chwili ktoś mógł koło nich przejechać. Brał ją zawsze tak samo jak za pierwszym razem: ciągnął gwałtownie, zamiast gadać jakieś bzdury, trząść się czy mrużyć pod nosem... może powinnam do niego wrócić, pomyślała.

A może należałoby ich wszystkich zostawić – Barnes'a, George'a i tę moją pokreconą córkę; powinnam otwarcie zamieszkać z Gillem, na złość całej wspólnoty, i raz wreszcie zaznać szczęścia.

– No, to jeśli nie będziemy się kochali, chodźmy do Foresters' Hall i posłuchajmy satelity.

– Poważnie mówisz? – zapytał Barnes.

– Oczywiście. – Podeszła do szafy, żeby wziąć płaszcz.

– A więc chodzi ci tylko o miłość fizyczną – powiedział powoli. – Tylko to jest dla ciebie ważne w związku między kobietą a mężczyzną.

– A co jest ważne dla ciebie? Rozmowy?

Spojrzał na nią melancholijnie, lecz nic nie odpowiedział.

– Ty pedale – powiedziała, kręcąc głową. – Ty biedny pedale. Po co w ogóle zjawiłeś się w West Marin? Żeby uczyć małe dzieci i chodzić na grzyby? – Bonny ogarnął wstręt.

– To, co się dzisiaj stało na boisku... – zaczął Barnes.

– Nic się nie stało – przerwała mu. – To tylko twoje cholerne wyrzuty sumienia. Chodźmy, chcę posłuchać Dangerfielda. Kiedy on mówi, to chociaż przyjemnie posłuchać. – Włożyła płaszcz, podeszła szybko do frontowych drzwi i otworzyła je.

– A Edie nic się nie stanie? – zapytał Barnes, kiedy zaczęli schodzić ścieżką.

– Oczywiście, że nie – odparła. W tej chwili nie potrafiła się niczym przejmować. A niech

szlag trafi Edie. Szła ponura, z rękami wbitymi w kieszenie. Barnes dreptał z tyłu, usiłując dotrzymać jej kroku.

Przed nimi na drodze pojawiły się dwie postacie: wyszły zza rogu, prosto na nich. Bonny zatrzymała się zaskoczona, myśląc, że jeden z tych ludzi to George. Potem spostrzegła, że niższy, bardziej przysadzisty mężczyzna to Jack Tree, a ten drugi... wyteżyła wzrok, idąc dalej, jakby nic się nie stało. To był doktor Stockstill.

– Chodź tu – rzuciła przez ramię do Barnesesa, całkiem spokojnie. Podeszedł niechętnie, jakby miał ochotę uciec.

– Cześć! – zawołała do Stockstilla i Bluthgelda, czy może raczej Jacka Tree; musiała pamiętać, żeby stale tak się do niego zwracać. – Co to ma być? Psychoanaliza ciemną nocą? Czy przez to jest bardziej skuteczna? Wcale bym się nie zdziwiła.

– Bonny, ja go znowu widziałem – powiedział Tree swoim ochryłym, chropawym głosem, łapiąc gwałtownie powietrze. – To ten Murzyn, którego spotkałem, gdy zaczęła się wojna, kiedy szedłem do gabinetu Stockstilla, ten, który wszystko o mnie wiedział. Pamiętasz, jak mnie posłałeś do psychiatrii?

– Mówią, że oni wszyscy są do siebie podobni – zażartował Stockstill. – A w ogóle to...

– Nie, to ten sam człowiek – zaprotestował Tree. – Wiecie, co to oznacza? – Popatrzył najpierw na Bonny, a potem na Stockstilla i Barnesesa rozszerzonymi, przerażonymi oczami, które wyglądały jak zrobione z gumy. – To znaczy, że znowu się zacznie.

– Co się znowu zacznie? – zapytała Bonny.

– Wojna – odparł Tree. – Z tego właśnie powodu zaczęła się ostatnim razem: ten Murzyn zobaczył mnie i zrozumiał, co zrobiłem. Wiedział, kim jestem, i nie zapomniał. Kiedy mnie zobaczy... – Przerwał, rżąc i zanosząc się kaszlem, jakby miał zaraz umrzeć. – Przepraszam – mruknął.

– To prawda, że pojawił się u nas Murzyn – powiedziała Bonny do Stockstilla. – Widziałam go. Najprawdopodobniej przyjechał do Gilla w sprawie sprzedaży papierosów.

– To nie może być ten sam człowiek – odparł Stockstill. Bonny i psychiatra odeszli nieco na bok i teraz rozmawiali już tylko ze sobą.

– Oczywiście, że może – zaprzeczyła Bonny. – Ale to i tak nie ma znaczenia, ponieważ to tylko jeden z jego omamów. Tysiąc razy słyszałam już, jak o tym bełkotał. Jakiś Murzyn, który zamiatał chodnik, zobaczył go, jak wchodzi do twojego gabinetu, a tego samego dnia zaczęła się wojna, więc w swoim umyśle połączył te dwa wydarzenia. A teraz to już chyba zupełnie z nim źle, nie sądzisz? – Ogarnęła ją rezygnacja: spodziewała się, że coś takiego kiedyś nastąpi. – I tak oto dobiega końca stabilny okres nieprzystosowania – powiedziała. A może dotyczy to nas wszystkich, pomyślała. Po prostu wszystkich. Przecież to nie mogło trwać wiecznie. Bluthgeld i owce, ja z George'em... – Westchnęła – Jak myślisz?

– Żałuję, że nie mam stelazyny, no ale stelazyny nie ma od Dnia Katastrofy. To by mu pomogło. Ja sam nie potrafię. Podałem się, Bonny. – W jego głosie rzeczywiście było słycać rezygnację.

– Wszystkim o tym opowie – powiedziała Bonny, patrząc, jak Bluthgeld powtarza swoją historię Barnesowi. – Dowiedzą się, kim jest, i zabiją go. Zrobią to, czego się obawia. Ma rację.

– Ja mu nie mogę przeszkodzić – rzekł spokojnie Stockstill.

– Specjalnie ci na nim nie zależy – stwierdziła Bonny. Wzruszył ramionami.

Bonny podeszła do Bluthgelda.

– Słuchaj, Jack. Pójdziemy wszyscy do Gilla i obejrzymy sobie tego Murzyna. Założę się, że to nie ten sam, który cię wtedy widział. Chcesz się założyć? Stawiam dwadzieścia pięć centów w srebrze.

– Dlaczego pan twierdzi, że to pan wywołał wojnę? – spytał Barnes. Odwrócił się do Bonny, a na jego twarzy widać było zdziwienie. – Co mu jest? Czy to jakaś psychoza wojenna? Mówi, że znowu wybuchnie wojna. To niemożliwe, żeby wojna wybuchła – zwrócił się do Bluthgelda. – Mogę panu podać pięćdziesiąt powodów, dla których to się nie może stać. Po pierwsze, nie istnieje już broń wodorowa. Po drugie...

Bonny położyła Barnesowi rękę na ramieniu.

– Cicho bądź – uciszyła go. – Chodźmy wszyscy na dół i posłuchajmy satelity. – Spojrzała na Bluthgelda. – W porządku?

– A co to jest satelita? – wymruczał Bluthgeld.

– Dobry Boże – powiedział Barnes. – On nie wie, o czym ty mówisz. Jest umysłowo chory. – Popatrzył na Stockstilla. – Panie doktorze, jeżeli człowiek traci kontakt ze środowiskiem, w którym żyje, i z jego wartościami, to czy to czasem nie schizofrenia? Ten człowiek stracił kontakt ze środowiskiem, wystarczy go posłuchać.

– Słyszałem – oznajmił obojętnie Stockstill.

– Jack Tree bardzo wiele dla mnie znaczy – powiedziała Bonny do psychiatry. – Kiedyś był dla mnie jak ojciec. Na miłość boską, niech mu pan jakoś pomoże. Nie mogę patrzeć, jak on cierpi. Po prostu tego nie wytrzymuję.

Stockstill rozłożył bezradnie ręce.

– Bonny, rozumiesz jak dziecko. Wydaje ci się, że można wszystko dostać, wystarczy tylko bardzo chcieć. To myślenie magiczne. Ja nie potrafię pomóc Jackowi Tree. – Odwrócił się i zrobił kilka kroków w kierunku miasteczka. – Chodźcie – powiedział przez ramię. – Zrobimy tak, jak zaproponowała pani Keller. Jeśli posiedzimy dwadzieścia minut w Foresters' Hall i posłuchamy satelity, to będziemy się wszyscy potem o wiele lepiej czuli.

Barnes znów z wielkim ożywieniem rozmawiał z Jackiem Tree.

– Pozwoli pan, że wskażę na błąd w pańskim rozumowaniu. W dniu Katastrofy widział pan

pewnego człowieka, Murzyna. W porządku. Teraz, siedem lat później...

– Zamknij się – ucieła ten wywód Bonny, wbijając mu palce w ramię. – Na miłość boską... – Przyspieszyła kroku i dogoniła doktora Stockstilla. – Nie wytrzymuję już – powiedziała. – Wiem, że on się kończy. Umrze, jeżeli znowu zobaczy tego Murzyna. – W oczach zakręciły się jej łzy; czuła jak wypływają i toczą się po policzkach. – Szlag by to trafił – zaklęła gorzko, idąc tak szybko, jak tylko mogła, w kierunku miasteczka i Foresters' Hall. Nawet nie wie o satelicie... jest taki odcięty od rzeczywistości, taki zdegenerowany... nie wiedziałam. Jak mam sobie z tym poradzić? Jak to się mogło stać? Przecież kiedyś to był taki błyskotliwy człowiek. Występował w telewizji, pisał artykuły, uczył, dyskutował.

– Doktorze Stockstill, ja wiem, że to ten sam człowiek – bełkotał za nią Bluthgeld – ponieważ spotkałem go na ulicy. Kupowałem jedzenie w sklepie spożywczym, a on spojrzał na mnie w ten sam dziwny sposób, jakby chciał zaraz zacząć się ze mnie wyśmiewać, ale zdał sobie sprawę, że gdyby zaczął się ze mnie wyśmiewać, sprawiłbym, że to wszystko by się powtórzyło, i tym razem się wystraszył. Był tego świadkiem i teraz już wie. Czy to nie jest dowód, doktorze Stockstill? Teraz on już wie. Czyż nie mam racji?

– Wątpię, czy on zdaje sobie sprawę, że pan żyje – powiedział Stockstill.

– Ale ja nie mogę umrzeć – odrzekł Bluthgeld. – Bo inaczej świat... – Jego głos przeszedł w bełkot i Bonny nie zrozumiała już reszty; słyszała tylko, jak jej obcasy stukają o porośnięte zielskiem resztki chodnika.

My wszyscy też powariowaliśmy, pomyślała. Moja córka ma wyimaginowanego brata, Hoppy przesuwa monety siłą woli i naśladuje głos Dangerfielda, Andrew Gill kręci ręcznie od lat jednego papierosa za drugim... tylko śmierć potrafi nas od tego wybawić, a kto wie, może i nawet ona nie. Może jest już za późno i zabierzemy tę degrengoladę ze sobą w przyszłe życie.

Byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy zginęli w dniu Katastrofy, pomyślała; przynajmniej nie widzielibyśmy tych wszystkich dziwadeł, nienormalnych, czarnuchów popromiennych i inteligentnych zwierząt. Ludzie, którzy wywołali tę wojnę, nie dokończyli roboty. Jestem zmęczona i chcę odpocząć; chcę się z tego wypłatać i położyć się gdzieś daleko, gdzie jest ciemno i nikt nic nie mówi. Na zawsze.

Potem pomyślała trzeźwiej. Może mój problem polega po prostu na tym, że nie znalazłam jeszcze właściwego mężczyzny. Jeszcze nie jest za późno: ciągle jestem młoda i wszyscy mi mówią, że nie jestem gruba. Mam zęby w znakomitym stanie. Jeszcze może mi się udać, muszę mieć tylko oczy szeroko otwarte.

Przed sobą zobaczyła Foresters' Hall, staroświecki, pomalowany na biało drewniany budynek, którego okna były zabite deskami – nikt nie wstawił i już nigdy nie wstawi wybitych szyb. Jeśli Dangerfield nie umarł jeszcze na krwawiący wrzód, to może mógłby nadawać moje ogłoszenie, pomyślała. Ciekawe, jak by to przyjęła nasza wspólnota. Albo może dać ogłoszenie

do „News & Views” i niech ten stary pijak Paul Dietz drukuje je przez jakieś sześć miesięcy.

Kiedy otworzyła drzwi Foresters’ Hall, usłyszała nagrany na taśmie, sympatyczny głos Walta Dangerfielda, który czytał kolejny odcinek powieści; zobaczyła rzędy twarzy. Niektórzy słuchali z niepokojem, inni z widocznym odprężeniem i przyjemnością... spostrzegła siedzących w kącie dwóch mężczyzn – Andrew Gilla, a obok szczupłego, przystojnego Murzyna. To był właśnie człowiek, który naruszył delikatną konstrukcję egzystencji Brunona Bluthgelda. Bonny stała w drzwiach, nie wiedząc, co robić.

Nadeszli Barnes i Stockstill, a z nimi Bruno. Wszyscy trzej ją minęli. Stockstill i Barnes szukali wolnych miejsc w zatłoczonej sali. Bruno, który nigdy jeszcze nie pojawił się, by posłuchać satelity, stał zdezorientowany, jakby nie mógł pojąć, co ci ludzie tu robią; jakby nie mógł zrozumieć słów, które dobiegały z małego radia na baterie.

Bruno – najwyraźniej oszołomiony – stał koło Bonny i pocierał czoło, przyglądając się zgromadzonym ludziom; spojrzął na nią pytająco zmęczonym wzrokiem, a potem ruszył za Barnesem i Stockstillem. I wtedy właśnie spostrzegł Murzyna. Zatrzymał się. Odwrócił się w stronę Bonny, a jego twarz zmieniła wyraz. Bonny zobaczyła na niej straszliwe, niszczące podejrzenie – przekonanie, że pojął znaczenie tego, co zobaczył.

– Bonny – wybełkotał – musisz go stąd zabrać.

– Nie mogę – odparła.

– Jeśli go stąd nie zabierzesz, to spowoduję, że znów zaczną spadać bomby.

Spojrzała na niego, a potem usłyszała swój własny, ostry, suchy głos:

– Tak? Czy o to ci chodzi, Bruno?

– Muszę – wybełkotał słabym głosem, patrząc na nią niewidzącym wzrokiem: był całkowicie zajęty własnymi myślami i zmianami, które zachodziły w jego umyśle. – Przykro mi, ale najpierw spowoduję eksperymentalne wybuchy stratosferyczne... od tego zacząłem ostatnim razem... a jeżeli to nie przyniesie efektów, ściągnę bomby tutaj, żeby spadły wszystkim na głowy. Bonny, wybac mi, proszę, ale na litość boską, przecież muszę się bronić. – Próbował się uśmiechnąć, lecz nie mógł zmusić swoich bezzębnych ust do niczego więcej niż nerwowe drżenie.

– Naprawdę potrafisz to zrobić? – zapytała Bonny. – Jesteś pewien?

– Tak – odparł, kiwając głową. Był o tym przekonany, zawsze był pewien swojej siły. Raz już rozpętał wojnę i mógł to zrobić ponownie, jeśli będą zbyt mocno naciskać; w jego oczach Bonny nie dostrzegła ani wątpliwości, ani wahania.

– To wielka siła jak na jednego człowieka – zauważyła. – Czy to nie dziwne?

– Tak – odrzekł. – To cała siła tego świata skupiona w jedno. Ja jestem centrum. Bóg tak chciał.

– Bóg popełnił ogromny błąd.

Spojrzał na nią ponuro.

– Ty też popełniłaś błąd – powiedział. – Myślałem, że nigdy nie zwrócisz się przeciwko mnie.

Bonny nic nie odpowiedziała; podeszła do wolnego krzesła i usiadła. Nie zwracała uwagi na Brunona. Nie mogła: zmęczyła się przez te wszystkie lata i nie zostało w niej już nic, co mogłaby mu ofiarować.

Siedzący niedaleko Stockstill nachylił się w jej stronę.

– Ten Murzyn tu jest – powiedział.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Wiem. – Siedziała wyprostowana jak struna i skupiła się na słowach dobiegających z radia. Słuchała Dangerfielda i próbowała zapomnieć o otaczających ją ludziach i przedmiotach.

Teraz nie mam już na nic wpływu, pomyślała. Cokolwiek zrobi, cokolwiek się z nim stanie – to nie będzie moja wina. Cokolwiek się stanie... z nami wszystkimi. Nie mogę już za to brać odpowiedzialności; ta cała historia i tak trwa zbyt długo i jestem szczęśliwa, że mogę się z niej wyplątać.

Co za ulga, pomyślała. Dzięki Bogu.

Znowu musi się zacząć, pomyślał Bluthgeld. Wojna. Nie ma innego wyjścia, zmuszono mnie. Żal mi tych ludzi. Będą cierpieli, lecz może to przyniesie im odkupienie. Może w efekcie to dobre rozwiązanie.

Usiadł, założył ręce na piersi, zamknął oczy i skoncentrował się, by przywołać swe moce. Rośnijcie, rozkazał wszystkim swoim mocom na świecie. Połączcie się i stańcie potężne jak kiedyś. Wszystkie moce, znów jesteście potrzebne.

Jednak głos dobiegający z radiowego głośnika rozpraszał go i przeszkadzał się skupić. Przerwał. Nie wolno mi odwracać uwagi, pomyślał. To sprzeczne z Planem. Kto to jest ten człowiek, który mówi? Wszyscy go słuchają... czy dostają od niego polecenia? Czy o to chodzi?

– Kim jest ten człowiek, którego słuchamy? – spytał siedzącego obok mężczyznę.

Starszy człowiek odwrócił się gniewnie, żeby mu się przyjrzeć.

– No co pan, przecież to Walt Dangerfield – powiedział tonem świadczącym o najwyższym zdumieniu.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł Bruno. To dlatego, że nigdy nie chciał się o nim dowiedzieć. – Skąd on mówi?

– Z satelity – odrzekł zimno starszy pan i wrócił do słuchania.

Teraz sobie przypominam, pomyślał Bruno. To dlatego tutaj przyszliśmy: żeby posłuchać satelity. Człowieka, który mówi do nas z góry.

Zgiń – posłał w niebo myśl. Przestań, ponieważ celowo mnie torturujesz i przeszkadzasz mi w pracy. Bruno odczekał chwilę, lecz głos wciąż było słyhać.

– Dlaczego nie przestaje? – zagadnął mężczyznę siedzącego po jego drugiej stronie. – Jak to możliwe, że jeszcze mówi?

Jego sąsiad był nieco zbity z tropu.

– Ma pan na myśli jego chorobę? – zapytał. – Nagrał to dawno temu, zanim zaczął chorować.

– Chorować – powtórzył jak echo Bluthgeld. – Rozumiem. – Udało mu się sprawić, że człowiek w satelicie zachorował, i to już było coś, lecz jeszcze za mało. Umrzyj – posłał myśl w kierunku satelity. Jednak głos ciągle było słyhać.

Czy zasłoniłeś się przede mną ekranem? – zastanowił się Bruno. Czy dostałeś od nich taki ekran? Zniszczę go. Najwyraźniej od dawna już przygotowywałeś się do obrony, ale to ci w niczym nie pomoże.

Niech stanie się bomba wodorowa, pomyślał. Niech wybuchnie na tyle blisko satelity, by złamać w tym człowieku wolę oporu. A potem niech umrze, całkowicie świadomy, kim jest ten, któremu się sprzeciwił. Bruno Bluthgeld skoncentrował się, splótł mocno dłonie i z głębi umysłu zaczął dobywać moc.

A mimo to ciągle było słyhać głos Dangerfielda.

Jesteś bardzo silny, pomyślał z uznaniem Bruno. Mimo woli czuł dla niego podziw. Uśmiechnął się nawet lekko, kiedy o tym pomyślał. A teraz niech wybuchnie cała seria bomb wodorowych, rozkazał. Niech satelita odbija się jak piłka; niech ten człowiek pozna prawdę.

Dobiegający z głośnika głos zamilkł.

Najwyższy czas, pomyślał. Nie koncentrował się już tak intensywnie na swojej sile. Westchnął, założył nogę na nogę, przygładził włosy i spojrzął na mężczyznę siedzącego po lewej stronie.

– Skończyło się – zauważył Bruno.

– Tak – odparł jego sąsiad. – Teraz będzie czytał wiadomości, oczywiście o ile dobrze się czuje.

– Przecież on już nie żyje – powiedział Bruno ze zdziwieniem.

– To niemożliwe – zaprotestował zaskoczony mężczyzna. – Nie wierzę. No wie pan, zwariował pan chyba.

– To prawda – upierał się Bruno. – Satelita został całkowicie zniszczony i nic z niego nie zostało. – Czy ten człowiek tego nie wie? Czy ta wiadomość jeszcze do ludzi nie dotarła?

– Szlag by trafił – odezwał się sąsiad Bluthgelda. – Nie wiem, kim pan jest ani dlaczego opowiada pan takie rzeczy, ale na pewno niezły z pana ponurak. Niech pan chwilę poczeka, to go pan usłyszysz. Jestem nawet gotów założyć się z panem o pięć centów w srebrze.

Radio milczało. Zgromadzeni w sali ludzie poruszyli się i zaczęli szeptać między sobą z troską i zaniepokojeniem.

Zaczął się, pomyślał Bruno. Najpierw eksplozje w stratosferze, tak jak wtedy. A wkrótce... będzie i coś dla was.

Świat zostanie zniszczony, jak wtedy, by zatrzymać powolny pochód okrucieństwa i zemsty. Trzeba go zatrzymać, zanim będzie za późno. Spojrzał na Murzyna i uśmiechnął się. Murzyn udawał, że go nie widzi; udawał, że jest zajęty rozmową z siedzącym obok mężczyzną.

Ty wiesz, pomyślał Bruno. Widzę to i nie jesteś w stanie mnie oszukać. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, co się właśnie rozpoczęło.

Coś jest nie w porządku, pomyślał doktor Stockstill. Dlaczego Dangerfield zamilkł? Zator albo coś w tym rodzaju?

A potem spostrzegł bezzębne usta Brunona Bluthgelda skrzywione w grymasie triumfu. Ten człowiek przypisuje sobie zasługę za to, co się stało, pomyślał natychmiast. Paranoiczne mrzonki o potędze: wydaje mu się, że wszystko dzieje się za jego sprawą. Odwrócił się z obrzydzeniem i przesunął swoje krzesło tak, żeby nie widzieć Bluthgelda.

Teraz przeniósł uwagę na młodego Murzyna. Tak, pomyślał, to może być ten sam człowiek, który przed łąty otwierał sklep z telewizorami naprzeciwko mojego gabinetu w Berkeley. Podejdę i spytam go.

Podniósł się z krzesła i ruszył w stronę Andrew Gilla i Murzyna.

– Przepraszam – powiedział, pochylając się nad nimi. – Czy mieszkał pan kiedyś w Berkeley i sprzedawał telewizory przy Shattuck Avenue?

– Doktor Stockstill – odezwał się Murzyn. Wyciągnął dłoń, którą psychiatra uściskał. – Jaki ten świat mały.

– Co się stało z DangerfielDEM? – zapytał Gill z troską w głosie. June Raub podeszła do radia i zaczęła kręcić gałkami; ludzie gromadzili się wokół niej, udzielając rad i szepcząc między sobą w małych grupkach. – Myślę, że to koniec. Jak pan sądzi, doktorze?

– Jeśli by tak było, oznaczałoby to tragedię – powiedział Stockstill.

Bruno Bluthgeld podniósł się ze swojego miejsca w tyle sali.

– Dzieło niszczenia życia zostało rozpoczęte – oświadczył głośno i ochryple. – Osoby, które się tu znajdują, zostaną potraktowane w specjalny sposób i oszczędzone, by dać im czas na spowiedź i żal za grzechy, o ile będzie on szczerzy.

Na sali zapadła cisza. Ludzie, jeden po drugim, odwracali się w jego stronę.

– Macie tu duchownego? – zapytał Murzyn psychiatrę.

– Andy, on jest chory – powiedział Stockstill do Gilla. – Musimy go stąd wyprowadzić. Pomóż mi.

– Jasne – rzekł Gill, idąc za psychiatrą po Bluthgelda, który ciągle jeszcze stał.

– Bomby, które za moją sprawą eksplodowały w 1972 roku w stratosferze – oświadczył Bluthgeld – były początkiem tego, co Bóg w swojej mądrości dopuścił, by stało się ze światem.

Spójrzcie do Apokalipsy, a znajdziecie tam potwierdzenie. – Patrzył, jak Stockstill z Gillem zbliżają się do niego. – Oczyszciliście się już? – zapytał ich. – Czyście przygotowani na sąd, który nadejdzie?

Nagle z radiowego głośnika odezwał się znajomy głos. Trząśnięty i był przytłumiony, wszyscy jednak go rozpoznali.

– Przepraszam za przerwę, przyjaciele – powiedział Dangerfield – ale przez chwilę czułem się nie za dobrze; musiałem się położyć i nie zauważyłem, że taśma się skończyła. No, ale znowu jestem z wami. – Zaśmiał się w znajomy im sposób. – Przynajmniej przez jakiś czas. Co to ja teraz miałem zrobić? Czy ktoś jeszcze pamięta? Chwileczkę, zapaliło się czerwone światło: ktoś z dołu chce się ze mną połączyć. Poczekajcie.

Wśród zgromadzonych na sali podniósł się gwar radości i ulgi. Odwrócili się w stronę radia i zapomnieli o Bluthgeldzie. Stockstill też podszedł do odbiornika, podobnie jak Gill i czarny sprzedawca telewizorów. Dołączyli do kręgu uśmiechniętych ludzi i stanęli w oczekiwaniu.

– Mam tu zamówienie na *Bei mir bist du schon* – powiedział Dangerfield. – I kto to przebija? Pamiętacie jeszcze siostry Andrews? Poczciwy stary rząd Stanów Zjednoczonych, możecie mi wierzyć lub nie, zaopatrzył mnie także w taśmę z nagraniem tego starego i lubianego kawałka... podejrzewam, że chcieli, bym stał się na Marsie czymś w rodzaju świadka minionych zdarzeń. – Zaśmiał się. – Oto więc *Bei mir bist du schon* dla pewnego starucha w okolicy Wielkich Jezior. Jedziemy. – Z głośnika popłynęła prościutka, archaiczna melodia, a ludzie z radością i ulgą zaczęli wracać na miejsca.

Bruno Bluthgeld stał sztywno obok swojego krzesła. To niemożliwe, pomyślał. Tego człowieka już nie ma. Ja sam sprawiłem, że został unicestwiony. To musi być ktoś, kto go udaje. Oszustwo. Wiem, że to nie on.

Tak czy inaczej powinienem jeszcze bardziej wyteńczyć siły, zdał sobie sprawę. Muszę zacząć od początku, tym razem z olbrzymią siłą. Nikt nie zwracał na niego uwagi, ponieważ wszyscy zajęli się znów audycją w radiu, zostawił więc swoje krzesło i wyszedł z budynku w ciemność.

W perspektywie drogi wysoka antena koło domu Hoppy'ego Harringtona buczała, iskrzyła się i pulsowała. Bruno Bluthgeld zauważył ją ze zdziwieniem, kiedy szedł w stronę miejsca, gdzie uwiązał swojego konia. Co ten fokomelik wyczynia? W oknach obitego papą domu płonęło światło. Hoppy był zajęty pracą.

O nim też trzeba pomyśleć, powiedział do siebie Bluthgeld. Musi przestać istnieć, jak inni, bo jest zły tak samo jak oni.

Kiedy przechodził obok domu Hopp'ego, posłał w tamtym kierunku promień – gwałtowną, niszczycielską myśl. Światła jednak nie zgasły, a antena nie przestała buczeć. Będę potrzebował więcej siły umysłu, zrozumiał Bluthgeld, lecz w tej chwili nie mam czasu. Trochę później.

Poszedł dalej, zatopiony w myślach.

Rozdział trzynasty

Bill Keller usłyszał, że blisko jest jakieś małe zwierzątko – ślimak albo pomrów – i jeszcze raz przeszedł w jego ciało. Dał się jednak nabrać, bo zwierzę było ślepe. Był na zewnątrz, lecz nie widział ani nie słyszał. Mógł się tylko poruszać.

– Wpuść mnie! – zawołał do siostry w panice. – Zobacz, coś narobiła, wszedłem nie tam, gdzie powinienem! – Specjalnie tak zrobiłaś, pomyślał, sunąc przed siebie. Czołgał się w poszukiwaniu siostry.

Gdybym tylko mógł sięgnąć... sięgnąć w górę, pomyślał. Jednak nie mógł tego zrobić, bo nie miał kończyn. W końcu wydostałem się na zewnątrz, ale czym teraz jestem? – zadał sobie pytanie, próbując się wspiąć. Jak się nazywają te takie w górze, które świecą? Te światełka na niebie... czy mogę je dojrzeć, jeśli nie mam oczu? Nie, pomyślał, nie mogę.

Sunał przed siebie, podnosząc się od czasu do czasu tak wysoko, jak tylko mógł, a potem znów opadał, by powrócić do jedynej czynności, jaką było mu dane wykonywać w nowym życiu, życiu na zewnątrz, do którego się właśnie narodził.

Walt Dangerfield przesuwał się na tle nieba, chociaż siedział nieruchomo z głową złożoną na rękach. Ból rósł w nim, zmieniał się, ogarniał go coraz bardziej, aż w końcu, tak jak przedtem, nie mógł już myśleć o niczym innym.

Nagle wydało mu się, że coś zauważył. Przez iluminator spostrzegł daleki błysk na obrzeżu ciemnej strony Ziemi. Co to było? – zdziwił się. Czy to eksplozja, jak te sprzed kilku lat, które tak go przeraziły? Na powierzchni Ziemi zapałyły się ognie. Czy znowu się zaczyna?

Wstał i popatrzył w dół, wstrzymując oddech. Mijały sekundy, lecz kolejnych eksplozji nie było. A ta, którą widział, była jakaś słaba, nierzeczywista i blada, co sprawiało, że wydawała się mało realna, jakby była tylko złudzeniem.

To tak, pomyślał, jakby była tylko wspomnieniem czegoś, co się kiedyś stało, a nie rzeczywistym wydarzeniem. Doszedł do wniosku, że to z pewnością echo kosmiczne. Pozostałość z dnia Katastrofy, która odbija się jeszcze gdzieś w przestrzeni... ale teraz jest już nieszkodliwa. Z każdym dniem coraz mniej.

A jednak to zjawisko go przeraziło. Było jak ból w jego ciele – zbyt dziwne, by je zlekceważyć. Wydawało się niebezpieczne i nie mógł o nim zapomnieć.

Jestem chory, zaczął znowu powtarzać, wracając do wywołanej wielkim bólem litanii. Czy oni nie mogą mnie ściągnąć? Czy muszę tu zostać, pełzną po niebie w nieskończoność?

Dla własnej przyjemności włączył taśmę z nagraniem *Mszy b-moll* Bacha. Monumentalny chorał wypełnił satelitę i sprawił, że Dangerfield o wszystkim zapomniał. Zarówno ból, jak i ta dawna, niewyraźna eksplozja, która na chwilę zarysowała się za iluminatorem, przestawały

powoli zaprządać jego uwagę.

– Kyrie elejson – mruknął do siebie. Greckie słowa zanurzone w łacińskim tekście. Dziwne. Ślady przeszłości... ciągle żywe, przynajmniej dla niego. Puszczę *Mszę b-moll* dla okolic Nowego Jorku, postanowił. Będzie im się podobało, bo dużo tam intelektualistów. A w ogóle to dlaczego mam puszczać muzykę tylko na zamówienie? Powinienem ich uczyć, zamiast stosować się do ich upodobań. Zwłaszcza że, niedługo już mnie nie będzie, pomyślał... trzeba wziąć się w garść i na koniec odwalić kawałek naprawdę porządnej roboty.

Nagle jego statek kosmiczny zakolysał się. Dangerfield zatoczył się i oparł o najbliższą ściankę. Wstrząs. A potem przez statek przeszła seria fal uderzeniowych.

Przedmioty spadały, zderzały się ze sobą i rozbijały; zdumiony rozejrzał się dookoła.

Meteor?

Wydawało mu się, że ktoś go zaatakował.

Wyłączył taśmę z *Mszą b-moll*; nasłuchiwał i czekał. Przez iluminator dostrzegł kolejną daleką i niewyraźną eksplozję. Pewnie mnie zabijają, pomyślał. Ale po co? Przecież i tak niedługo już pociągnę... dlaczego nie poczekają? Cholera, przecież jeszcze żyję i powinienem zachowywać się jak żywy człowiek. Przecież jeszcze nie do końca umarłem.

Włączył nadajnik.

– Przepraszam za tę przerwę, przyjaciele – powiedział do mikrofonu. – Ale przez chwilę czułem się nie za dobrze; musiałem się położyć i nie zauważyłem, że taśma się skończyła. No, ale...

Zaśmiał się w charakterystyczny dla siebie sposób i spojrzał przez iluminator, wypatrując kolejnych dziwnych eksplozji. Oto i następna, ale bardzo słaba i jeszcze dalej od statku... poczuł ulgę. Może jednak go nie zabijają; wydawało się, że nie mogą go sięgnąć, jakby to, gdzie się znajduje, było dla nich tajemnicą.

Puszczę im najbardziej staromodne nagranie, jakie znajdę, zdecydował. Jako prowokację. *Bei mir bist du schon* powinno się do tego nadać. Żeby, jak to się mówi, dodać sobie otuchy. A potem pomyślał o tym i znów się roześmiał. Mój Boże, też mi prowokacja. Z pewnością będzie to niespodzianka dla tego kogoś, kto próbuje go zniszczyć... jeżeli o to właśnie chodziło.

Może mają po prostu dosyć mojego staromodnego gadania i staromodnych powieści, zastanowił się Dangerfield. No, jeśli tak, to ich teraz urządzę.

–...znowu jestem z wami. Przynajmniej przez jakiś czas. Co to ja teraz miałem zrobić? Czy ktoś jeszcze pamięta?

Wstrząsy ustały. Dangerfield miał wrażenie, że przynajmniej na razie dali mu spokój.

– Chwileczkę, zapaliło się czerwone światelko: ktoś z dołu chce się ze mną połączyć. Poczekajcie. – Wybrał z taśmoteki właściwą szpulę, podszedł z nią do magnetofonu i założył na koło napędowe. – Mam tu zamówienie na *Bei mir bist du schon* – powiedział z okrutnym

uśmieszkiem, myśląc o konsternacji, jaka zapanuje na dole. – I kto to przebije? – Nikt, pomyślał. Z pomocą sióstr Andrews Dangerfield odpowiada ciosem na cios. Uśmiechając się, puścił taśmę.

Edie Keller z radosnym dreszczem triumfu przyglądała się, jak dżdżownica wolno pełźnie po ziemi, i wiedziała z absolutną pewnością, że w środku jest jej brat.

Ponieważ w jej wnętrzu, w głębi brzucha, była teraz świadomość robaka. Słyszała jego monotony głos. Bum, bum, bum – odbijały się echem nieokreślone procesy biologiczne.

– Wyjdź ze mnie, robaku – powiedziała i zachichotała. Co też robak może myśleć o swojej nowej formie istnienia? Czy jest teraz tak samo osłupiały jak Bill? Muszę mieć na niego oko, zdała sobie sprawę, mając na myśli stworzenie, które pełzało po ziemi. Może mi się zgubić. – Bill – rzekła, pochylając się nad nim – śmiesznie wyglądasz. Jesteś długi i cały czerwony. Wiedziałaś? – Powinnam wpuścić go do ciała jakiegoś człowieka, pomyślała. Czemu tego nie zrobiłam? Wtedy byłoby tak, jak powinno być. Miałabym prawdziwego brata, na zewnątrz, i mogłabym się z nim bawić.

Z drugiej jednak strony miałyby w brzuchu nową, obcą osobę. A to nie wydawało jej się zbyt zabawne.

Kto by się nadawał? Jakiś dzieciak ze szkoły? Dorosły? Założę się, że Bill chciałby być dorosłym. Może pan Barnes. Albo Hoppy Harrington, który i tak boi się Billa. Albo – Edie aż zapiszczała z zachwytu – mama. To byłoby łatwe: przytuliłabym się do niej, położyła się obok... Bill mógłby się z nią zamienić, a ja miałabym w brzuchu własną mamę, i czy to nie byłoby cudowne? Mogłabym jej kazać, co tylko bym chciała. A ona nie mogłaby mi mówić, co mam robić.

I nie mogłaby robić z panem Barnesem ani z nikim innym tych wszystkich rzeczy, o których nie wolno mówić, pomyślała jeszcze Edie. Zająłabym się tym. A Bill na pewno by się tak nie zachowywał, bo był tak samo zaszokowany jak ja.

– Bill – odezwała się, klękając, i ostrożnie podniosła dżdżownicę; trzymała ją teraz w dłoni. – Poczekaj, aż powiem ci, na czym polega mój plan. Wiesz co, damy mamie nauczkę za te brzydkie rzeczy, które robi. – Przycisnęła robaka do boku, w miejscu, gdzie było zgrubienie. – Wchodź do środka. I tak chyba nie chcesz być robakiem. To nie jest zabawne. – Znów usłyszała głos brata:

– Ty świniou. Nienawidzę cię. Nigdy ci nie przebaczę. Wpuściłaś mnie do czegoś ślepego, co nie miało nóg ani w ogóle niczego. Mogłem się tylko czołgać.

– Wiem – powiedziała. Kołysała się w przód i w tył, ciągle trzymając w zwiniętej dłoni niepotrzebnego już robaka. – Słyszałaś, co powiedziałam? Chcesz zrobić tak, jak mówię? Mam namówić mamę, żeby pozwoliła mi położyć się koło siebie, żebyś mógł zrobić to, co wiesz? Miałbyś oczy i uszy i byłbyś dorosły.

– Nie wiem – odparł Bill nerwowo. – Chyba nie chcę być mamą: jakoś się tego boję.

– Tchórz – powiedziała Edie. – Radziłabym ci to zrobić, bo jak nie, to możesz nigdy stąd nie wyjść. No, to kim chcesz być, jak nie mamą? Powiedz mi, a ja to już załatwię. Przysięgam z ręką na sercu.

– Zobaczę – odparł Bill. – Porozmawiam na dole z umarłymi i zobaczę, co oni sądzą. A w ogóle to nie wiem, czy mi się uda. Trudno mi było wejść do tego małego zwierzątko, do tego robaka.

– Boisz się spróbować – zaśmiała się. Wrzuciła dżdżownicę w krzaki rosnące przy końcu boiska. – Tchórz! Mój brat to małe dziecko i tchórz!

Bill nic nie odpowiedział; odwrócił się już myślami od niej i jej świata i odszedł tam, gdzie tylko on potrafił dotrzeć. Rozmawia z tymi starymi, paskudnymi, wrednymi trupami. Puste, świńskie trupy, które nigdy się z niczego nie cieszą.

A potem przyszedł jej do głowy znakomity pomysł. Urządę wszystko tak, żeby Bill wszedł do tego szalonego pana Tree, o którym teraz wszyscy rozmawiają, postanowiła. Pan Tree wstał wczoraj z krzesła w Foresters' Hall i mówił takie jakieś głupie rzeczy o żalu za grzechy, więc jeśli Bill będzie się dziwnie zachowywał albo nie będzie wiedział, co powiedzieć, nikt na to nie zwróci uwagi.

Tu jednak pojawiał się straszny problem, ponieważ miałaby w swoim ciele szaleńca. Może powinnam zażyć truciznę, tak jak zawsze chciałam, pomyślała. Mogłabym zjeść dużo liści oleandra albo połknąć nasiona rącznika i pozbyć się go. Będzie bezbronny, więc mi nie przeszkodzi.

A jednak problem pozostawał. Nie pociągał jej specjalnie pomysł, by ten cały Tree znalazł się w jej brzuchu – widziała go dostatecznie wiele razy, by go nie lubić. Ma miłego psa i to właściwie wszystko...

Terry, ten pies. To jest pomysł. Mogłaby się położyć koło Terry'ego, a Bill przeszedłby do ciała psa i wszystko byłoby w porządku.

Psy jednak krótko żyją. A Terry miał już siedem lat, jak mówili jej rodzice. Urodził się prawie równo z nią i Billem.

Do licha, pomyślała. Trudno się zdecydować. To prawdziwy kłopot – co zrobić z Billem, który koniecznie chce się wydostać na zewnątrz i widzieć, i słyszeć. A potem pomyślała: kogo ze wszystkich ludzi, których znam, chciałabym mieć w brzuchu? Odpowiedź brzmiała: ojca.

– Chciałbyś być naszym tatusiem? – zapytała Billa. Brat jednak nie odpowiedział: był ciągle odwrócony i rozmawiał z większością, która była pod ziemią.

Myślę, że pan Tree będzie najlepszy, zdecydowała. Mieszka na wsi wśród owiec i nie widuje zbyt wielu ludzi, więc Billowi byłoby łatwiej, bo nie miałby problemów z mówieniem. Miałby tam Terry'ego i owce, a poza tym pan Tree jest szalony, wszystko by więc świetnie zagrało. Założę się, że Bill o wiele lepiej dawałby sobie radę z ciałem pana Tree niż sam pan Tree. A ja

musiałabym zatroszczyć się tylko o to, żeby zjeść dosyć liści oleandra: żeby go zabić i sama nie umrzeć. Może dwa by starczyły. Myślę, że najwyżej trzy.

Pan Tree oszalał we właściwym momencie, pomyślała. No, ale o tym nie wie. Poczekajmy, aż się dowie... ale będzie zdziwiony. Może pozwolę mu jeszcze trochę pożyć w brzuchu, żeby się zorientował, co się z nim stało. To powinno być zabawne. Nigdy go nie lubiłam, chociaż mama go lubi, przynajmniej tak mówiła. Jest jakiś niesamowity. Edie otrząsnęła się.

Biedny, biedny pan Tree, pomyślała z zachwytem. Nie będzie pan już psuł spotkań w Foresters' Hall, ponieważ nie będzie pan już mógł nikomu prawić kazań, chyba tylko mnie, ale ja nie będę słuchać.

Gdzie mam to zrobić? – zastanowiła się. Dzisiaj poproszę mamę, żeby nas do niego zabrała po szkole. A jak nie, to sama pójdę.

Nie mogę się doczekać, pomyślała Edie, trzęsąc się z ekscytacji.

Zadzwonił dzwonek na lekcję i Edie ruszyła wraz z innymi dziećmi w stronę budynku szkoły. Pan Barnes czekał w drzwiach jedynej sali, która służyła wszystkim dzieciom od pierwszej do szóstej klasy. Kiedy mijala go pogrążona w myślach, zapytał:

– Czym jesteś taka zaabsorbowana, Edie? Jakie to ważne sprawy zaprzatają ci dzisiaj głowę?

– Przez chwilę myślałam o panu – odparła, zatrzymując się. – A teraz dla odmiany myślę o panu Tree.

– Rozumiem – rzekł pan Barnes, kiwając głową. – Słyszałaś zatem, co się stało.

Inne dzieci przeszły obok nich i teraz byli sami. Dlatego Edie powiedziała:

– Panie Barnes, nie sądzi pan, że powinien pan przestać robić to, co pan robi z moją mamą? To jest coś złego. Bill tak powiedział, a on już dobrze wie.

Nauczyciel nie powiedział ani słowa, lecz jego twarz zmieniła barwę. Odsunął się tylko od dziewczynki, wszedł do sali i podszedł do biurka, ciągle oblany ciemnym rumieńcem. A może źle to powiedziałam? – zastanowiła się Edie. Czy teraz jest na mnie wściekły? Może za karę będę musiała zostać po lekcjach, a może powie mamie i mama mnie zbije.

Poczuła zniechęcenie; usiadła i otworzyła bezcenną, podartą i pozbawioną okładek książkę na historii o Królowie Śnieżce, bo to właśnie mieli na dzisiaj zadane do czytania.

Bonny Keller leżała wśród wilgotnych, gnijących liści w cieniu dębów. Przyciągnęła do siebie pana Barnes'a i pomyślała, że to pewnie już ostatni raz. Była już tym wszystkim zmęczona, a Hal się bał, co akurat – jak nauczyło ją doświadczenie – stanowiło fatalną kombinację.

– No dobra – mruknęła. – Więc wie. Ale wie na takim poziomie, na jakim rozumuje małe dziecko: tak naprawdę niczego nie rozumie.

– Wie, że to coś złego – powiedział Barnes. Bonny westchnęła.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytał.

– Za tamtym drzewem. Patrzy na nas.

Hal Barnes zerwał się jak oparzony; z rozszerzonymi oczami okręcił się dookoła, a potem, kiedy zrozumiał, znów oklapł.

– Masz wredne poczucie humoru – mruknął pod nosem. Nie wrócił do niej; stanął niedaleko, ponury i niepewny. – Gdzie ona jest naprawdę?

– Poszła na owcze ranczo Jacka Tree.

– Przecież... – Machnął ręką. – Ten człowiek jest szalony! Czy on... czy to nie jest niebezpieczne?

– Poszła, żeby się pobawić z Terrym, tym gadającym psem. – Bonny usiadła i zaczęła wyjmować sobie z włosów kawałki mchu. – Nie sędzę, żeby w ogóle tam był. Ostatnim razem, kiedy widziano Brunona, to...

– Brunona – powtórzył Barnes. Spojrzał na nią spod oka.

– To znaczy Jacka. – Serce zaczęło jej walić jak młotem

– Wtedy, wieczorem, powiedział zdaje się, że jest odpowiedzialny za wybuchy stratosferyczne z 1972 roku. – Barnes ciągle ją obserwował, a ona czekała, czując bicie serca w gardle. No tak, wcześniej czy później musiało się wydać.

– On jest szalony – powiedziała. – Zgadza się? Wydaje mu się...

– Wydaje mu się, że jest Brunonem Bluthgeldem – dokończył Barnes. – Tak?

– Między innymi. – Wzruszyła ramionami.

– To on, prawda? Stockstill o tym wie, ty wiesz... i ten Murzyn.

– Nie – odparła. – Ten Murzyn nie wie. I przestań stale mówić „ten Murzyn”. Nazywa się Stuart McConchie. Rozmawiałam o nim z Andrew i on twierdzi, że to bardzo sympatyczny, inteligentny, zaangażowany i pełen życia człowiek.

– To znaczy, że doktor Bluthgeld nie zginął w Katastrofie – stwierdził Barnes. – Przybył tutaj. Mieszka tu i żyje wśród nas. Człowiek, który bardziej niż inni jest odpowiedzialny za to, co się stało.

– Idź go zabij – powiedziała Bonny. Barnes chrząknął.

– Mówię poważnie – dodała. – Wszystko mi już jedno. Szczerze mówiąc, chciałabym, żebyś to zrobił. – To byłaby rozsądna, męska decyzja, pomyślała. Zaszłaby radykalna zmiana.

– Dlaczego próbowałaś osłaniać kogoś takiego?

– Nie wiem. – Nie miała ochoty rozmawiać na ten temat. – Wracajmy do miasta – powiedziała. Jego towarzystwo męczyło ją i znów pomyślała o Stuarcie McConchie. – Skończyły mi się papierosy. Możesz mnie podrzucić do fabryki. – Ruszyła w stronę uwięzianego do drzewa konia Barnesesa, który z błogością skubał wysoką trawę.

– Czarnuch – powiedział gorzko Barnes. – Teraz z nim chcesz się zadać. Bardzo miło mi to słyszeć.

– Ty snobie – rzuciła. – I tak nie chcesz już tego dalej ciągnąć: masz ochotę skończyć.

Następnym razem, kiedy zobaczysz Edie, możesz zgodnie z prawdą powiedzieć: „Nie robię z twoją mamą nic złego, nic, czego mógłbym się wstydzić. Słowo harcerza”. Zgoda? – Osiodłała konia i ujęła wodze. – No dalej, Hal.

Niebo rozświetliła eksplozja.

Koń wyrwał się do przodu. Bonny zeskoczyła z jego grzbietu, odbiła się od końskiego boku, przekulała się i wpadła w zarośla dębowego lasu. Bruno, pomyślała. Czy to rzeczywiście on? Leżała, ściskając dłońmi czaszkę, i płakała z bólu: jakaś gałąź rozcięła jej skórę na głowie i krew kapłała przez palce, spływając po nadgarstku. Barnes pochylił się nad nią, pociągnął i odwrócił.

– To Bruno – powiedziała. – Niech go szlag trafi. Ktoś będzie musiał go zabić; to powinno było się stać już dawno: ktoś powinien był go zabić w 1970 roku, bo już wtedy był szalony. – Wyciągnęła chusteczkę i wytarła głowę. – O Boże. Naprawdę jestem ranna. Co za upadek. – I koń uciekł – dodał Hal.

– Bóg, który dał Bluthgeldowi tę moc, to zły bóg, czymkolwiek jest. Hal, ja wiem, że to on. Przez te wszystkie lata widzieliśmy tu sporo dziwnych rzeczy, więc niby dlaczego nie to? Ta umiejętność ponownego wywołania wojny, sprowadzenia jej tu, tak jak mówił wczoraj wieczorem... Może uwięził nas w czasie? Czy to w ogóle możliwe? Ugrzęźliśmy tu, a on... – Przerwała, bo nad ich głowami przetoczył się z ogromną szybkością kolejny jasny błysk; drzewa wokół nich przygięły się i Bonny usłyszała, jak tu i tam pękają pnie starych dębów.

– Ciekawe, gdzie się podział koń – mruknął Barnes, wstając ostrożnie i rozglądając się dookoła.

– Mniejsza o to – powiedziała. – Będziemy musieli wrócić pieszo, przecież to jasne. Słuchaj, Hal, może Hoppy mógłby coś zrobić, on też ma takie dziwne zdolności. Myślę, że powinniśmy do niego pójść i powiedzieć mu o tym. On pewnie też by nie chciał, żeby jakiś wariat spalił go na popiół. Nie sądzisz? Niczego innego nie możemy w tej chwili zrobić.

– Dobra myśl – odparł Barnes, ciągle rozglądając się za koniem. Najwyraźniej jej nie słuchał.

– To nasza kara – powiedziała Bonny.

– Co? – mruknął.

– No wiesz, za to, co Edie nazywa „brzydkimi rzeczami, których trzeba się wstydzić”. Kiedyś wieczorem pomyślałam sobie... że może powinniśmy byli zginąć, jak inni; może to, co się dzieje, jest dobre.

– Jest koń – oznajmił Barnes, odchodząc od niej szybko. Zwierzę nie mogło się ruszyć, bo wodze zaczepiły o gałąź wawrzynu.

Niebo było czarne jak sadza. Pamiętała tę barwę, która nigdy do końca nie zniknęła. Nieco tylko zblakła.

Nasz mały, kruchy świat, który mozolnie próbujemy odbudować po Katastrofie, pomyślała.

Słabiutkie społeczeństwo, te nasze podarte podręczniki, papierosy „deluxe”, ciężarówka na gaz drzewny – to społeczeństwo nie jest w stanie znieść surowej kary. Nie jest w stanie wytrzymać tego, co robi czy też próbuje robić Bruno. Jeszcze jeden wymierzony w nas cios i przestaniemy istnieć – zginą inteligentne zwierzęta, nowe, dziwne gatunki znikną równie szybko, jak się pojawiły. Szkoda, pomyślała ze smutkiem. To niesprawiedliwe. Terry, ten gadający pies, też zginie. Może byliśmy zbyt ambitni, może nie powinniśmy byli próbować niczego odbudowywać ani normalnie żyć.

Wydaje mi się, że w sumie całkiem niezłe się nam udało. Żyliśmy, kochaliśmy się, piliśmy „pięcigwiazdkową” Gilla, uczyliśmy dzieci w szkole z dziwnymi oknami, wydawaliśmy „News & Views”, poskładaliśmy do kupy stare radio samochodowe i słuchaliśmy codziennie powieści Somersetu Maughama. Czego jeszcze można od nas wymagać? Chryste, pomyślała, to, co się dzieje, jest niesprawiedliwe. To jest złe. Mamy konie, które trzeba chronić, i zbiory, i życie...

Następna eksplozja, tym razem dalej. Na południu, pomyślała. Tam gdzie wtedy. San Francisco. Zmęczona, zamknęła oczy. I to wszystko właśnie w chwili, kiedy pojawił się ten McConchie, pomyślała. Co za zakichany, paskudny pech.

Pies leżał w poprzek ścieżki, zagrządzając jej drogę.

– Treee jsszzzaajęty. Sssstop – wywarczał swym trudnym do zrozumienia głosem. Zaszczekał ostrzegawczo. Nie wolno jej było podejść do drewnianej chaty.

Tak, pomyślała Edie, wiem, że jest zajęty. Widziała eksplozje na niebie.

– Wiesz co? – zagadnęła psa.

– Coooo? – zapytał pies z zaciekawieniem; Edie dobrze wiedziała, że jego umysł jest nieskomplikowany i że Terry’ego łatwo nabrać.

– Nauczyłam się rzucać patyk tak daleko, że nikt nie potrafi go znaleźć – powiedziała. Schyliła się i podniosła leżący nieopodal patyk. – Mam ci udowodnić?

– Z kim rozmawiasz? – zapytał z jej brzucha Bill. Był podekscytowany, ponieważ zbliżał się decydujący moment. – Czy to pan Tree?

– Nie – odparła. – To tylko pies. – Pomachała patykiem. – Założę się z tobą o papierowe dziesięć dolarów, że go nie znajdziesz.

– Ppppwwno, żżżże zzznjdę – powiedział pies i zaskomlał niecierpliwie. To była jego ulubiona rozrywka. – Aaaalle nnie mmmmgę sssię zzzzłożć – dodał. – Nnnnie mmmam ppppnidzy.

Nagle z drewnianej chaty wyszedł pan Tree. Zaskoczył zarówno dziewczynkę, jak i psa. Oboje znieruchomieli. Pan Tree nie zwracał na nich uwagi; wszedł na małe wzgórze i po chwili zniknął po drugiej stronie zbocza.

– Panie Tree! – zawołała Edie. – Może teraz nie jest zajęty – zwróciła się do psa. – Idź i spytaj go, dobrze? Powiedz mu, że chciałabym z nim chwilę porozmawiać.

– Jest za daleko, prawda? – zapytał Bill z niepokojem. – Wiem, że tu jest. Jestem gotów i tym razem bardzo się postaram. Zdaje się, że on potrafi prawie wszystko, prawda? Widzi i umie chodzić, i słyszy, i czuje zapachy, zgadza się? On nie jest taki jak ten robak.

– Nie ma zębów – powiedziała Edie. – Ale poza tym jest zupełnie taki sam jak inni ludzie. – Kiedy pies rzucił się posłusznie za panem Tree, Edie ruszyła ścieżką. – Już niedługo – zapewniła brata. – Powiem mu... – Miała opracowany cały plan. – Powiem: „Panie Tree, wie pan co? Połknęłam wabik na kaczki, taki, jakiego używają myśliwi, i jeśli pan się pochyli, to może go pan usłyszeć”. Co o tym sądzisz?

– Nie wiem – odparł Bill z rozpaczą. – Co to jest wabik na kaczki? A co to jest kaczka? Czy to coś, co żyje? – Wydawał się coraz bardziej zagubiony, jakby cała ta sytuacja go przerastała.

– Ty tchórze – syknęła. – Cicho bądź.

Pies dogonił właśnie pana Tree, a ten odwrócił się i ruszył z niezadowoloną miną w stronę dziewczynki.

– Edie, jestem teraz bardzo zajęty! – zawołał. – Później... później z tobą porozmawiam! Nie wolno mi teraz przeszkadzać! – Uniósł ramiona i zrobił w jej kierunku jakiś dziwny gest, jak gdyby wymachiwał rękami w rytm muzyki. Patrzył groźnie, kołysząc się przy tym, i wyglądał tak głupio, że Edie o mało się nie roześmiała.

– Chciałam tylko coś panu powiedzieć! – odkrzyknęła.

– Później! – Ruszył w przeciwną stronę i powiedział coś do psa.

– Ttttak prszszsze ppna – warknął pies i podbiegł do dziewczynki. – Nnnie – powiedział. – Sssstój.

A niech to licho, pomyślała Edie. Dzisiaj się nie uda. Będziemy musieli przyjść tutaj jeszcze raz; może jutro.

– Odddejdź – rzekł do niej pies, odsłaniając kły: otrzymał widocznie bardzo surowe rozkazy.

– Słuchaj, pan Tree... – zaczęła Edie, lecz przerwała zaraz, bo pan Tree już zniknął. Pies zawrócił, skomlał, a Bill jęknął w jej brzuchu.

– Edie! – krzyknął. – On sobie poszedł! Czuję to! I do kogo teraz mam wejść?! Co mam robić?!

Wysoko w górze chwiała się i wirowała malutka plamka. Dziewczynka patrzyła, jak się unosi, jakby porwana gwałtownym podmuchem wiatru. To był pan Tree, kręcący się z rozpostartymi ramionami, opadający i wznoszący się jak latawiec. Co mu się stało? – pomyślała ze zdumieniem, wiedząc już, że Bill ma rację. Ich szansa, ich plan spaliły na panewce.

Jakaś siła zawładnęła panem Tree i chciała go zabić. Podnosiła go coraz wyżej i wyżej, aż w końcu Edie krzyknęła przeraźliwie. Nagle pan Tree spadł. Upadł na ziemię jak kamień. Zamknęła oczy, a Terry zawył głośno ze zdziwienia.

– Co się dzieje?! – krzyknął rozpaczliwie Bill. – Kto mu to zrobił?! Zabrali go, prawda?!

– Tak – odparła i otworzyła oczy.

Pan Tree leżał połamany na ziemi, jego ręce i nogi były dziwnie powyginane. Nie żył. Edie wiedziała o tym i wiedział o tym pies. Terry podbiegł do pana Tree, przystanął, odwrócił się do Edie i popatrzył na nią zdumionym, pustym wzrokiem. Nie powiedziała nic. Też się zatrzymała w pewnej odległości. To, co zrobili panu Tree – kimkolwiek byli ci „oni” – było straszne. Tak jak ze sprzedawcą szkieł z Bolinas, pomyślała. To też jest morderstwo.

– Hoppy to zrobił – wyjęczał Bill. – Hoppy zabił pana Tree na odległość, bo się go bał. Pan Tree jest teraz na dole z umarłymi; słyszę, jak coś mówi. Mówi, że Hoppy złapał go, nie ruszając się z domu, podrzucił w górę i szarpał nim na wszystkie strony!

– Ojej – powiedziała Edie. Ciekawe, dlaczego Hoppy to zrobił? – zastanowiła się. Czy to dlatego, że pan Tree robił na niebie wybuchy? Czy Hoppy’emu to przeszkadzało? Czy się zdenerwował?

Bała się. Hoppy potrafi zabijać na odległość, pomyślała. Nikt inny tego nie umie. Powinniśmy być ostrożni. Bardzo ostrożni. Mógłby nas wszystkich pozabijać. Mógłby nami szarpać na wszystkie strony albo udusić.

– To pewnie będzie na pierwszej stronie „News & Views” – powiedziała na pół do siebie, na pół do Billa.

– Co to jest „News & Views”? – domagał się wyjaśnień Bill, a w jego głosie było słychać cierpienie. – Nie rozumiem, co tu się dzieje. Możesz mi wytłumaczyć? Proszę.

– Wracajmy lepiej do miasta – postanowiła Edie. Odeszła powoli, zostawiając psa przy zmiądzonych zwłokach pana Tree. To chyba dobrze, że się z nim nie zamieniłeś, pomyślała, bo gdybyś był wewnątrz pana Tree, to teraz byś nie żył.

A on żyłby we mnie. Przynajmniej tak długo, aż połknęłabym przeżute liście oleandra. A może udałoby się mu przeszkodzić mi w tym. Miał takie dziwne zdolności: potrafił robić wybuchy, więc może zrobiliby je w moim brzuchu.

– Spróbujemy z kimś innym – powiedział Bill z nadzieją w głosie. – Możemy chyba? Chcesz jeszcze raz spróbować tego... no, jak się to nazywa? Może z psem? Myślę, że chciałbym być tym psem. Potrafi szybko biegać, łapać różne rzeczy i daleko widzi, prawda?

– Nie teraz – odparła Edie. Ciągle się bała i chciała stąd odejść. – Kiedy indziej. Poczekaj. – Pobiegła ścieżką w kierunku miasta.

Rozdział czternasty

Orion Stroud, usadowiony pośrodku Foresters' Hall tak, by wszyscy mogli go dobrze słyszeć, uciszył zebranych stukaniem w stół i powiedział:

– Pani Keller i doktor Stockstill poprosili, by Sąd West Marin i Rada Mieszkańców zebrały się, aby wysłuchać ważnych wiadomości na temat zabójstwa, które dzisiaj popełniono.

Wokół niego siedzieli pani Tallman, Cas Stone, Fred Quinn, pani Lully, Andrew Gill, Earl Colvig i panna Costigan. Przyjrzał się im kolejno, zadowolony, że wszyscy są obecni. Patrzyli z uwagą, wiedząc, że to bardzo ważna sprawa. Dotychczas w ich wspólnocie nie wydarzyło się nic takiego. To nie była śmierć podobna do tej, jaka spotkała sprzedawcę szkieł czy pana Austuriasa.

– Dowiaduję się, że odkryto, iż pan Jack Tree, który mieszkał wśród nas... – zaczął Stroud.

– To był Bluthgeld – sprostował ktoś z sali.

– Zgadza się – powiedział Stroud, kiwając głową. – On już nie żyje, więc nie ma powodu do niepokoju. Powinniście wbić to sobie do głów. Hoppy go zatłukł. To znaczy zabił. – Spojrzał przepaszająco na Paula Dietza. – Muszę wyrażać się poprawnie, bo to wszystko będzie w „News & Views”, prawda, Paul?

– W specjalnym wydaniu – potwierdził Dietz, również kiwając głową.

– Rozumiecie teraz, że nie zebraliśmy się tu po to, by zdecydować, czy Hoppy powinien zostać ukarany za swój czyn. Ten problem nie istnieje, ponieważ Bluthgeld był poszukiwanym zbrodniarzem wojennym, a co więcej, zaczął używać swoich magicznych zdolności, by sprowadzić na nas wojnę. Sądzę, że wszyscy tu zebrani zdają sobie z tego sprawę, ponieważ widzieli eksplozje. Poza tym – spojrzał w stronę Gilla – mamy u nas nowego, Murzyna, który nazywa się Stuart McConchie, i choć muszę przyznać, że w normalnej sytuacji nie przyjęlibyśmy czarnucha, to z tego, co mi wiadomo, McConchie był na tropie Bluthgelda, więc pozwolimy mu osiedlić się w West Marin, jeśli taka jego wola.

Wśród siedzących na sali rozległ się pomruk aprobaty.

– Zebraliśmy się tu przede wszystkim po to – ciągnął Stroud – by przez głosowanie zdecydować, jaką nagrodę powinien od nas otrzymać Hoppy w dowód wdzięczności. Prawdopodobnie wszyscy byśmy zginęli wskutek działania magicznych mocy Bluthgelda. Mamy więc wobec Hoppy'ego prawdziwy dług wdzięczności. Widzę, że nie ma go tutaj, ponieważ jest teraz w domu, zajęty pracą, różnymi naprawami. Ostatecznie jest naszym rzemieślnikiem, a to spora odpowiedzialność. No więc, czy ktoś ma może jakiś pomysł, jak powinniśmy wyrazić Hoppy'emu uznanie za to, że w porę zabił doktora Bluthgelda? – Stroud rozejrzał się wokół pytająco.

Andrew Gill podniósł się z krzesła, odchrząknął i odezwał się:

– Myślę, że powinienem powiedzieć kilka słów. Przede wszystkim chciałbym podziękować panu Stroudowi i całej wspólnotie za gościnność, jaką okazali mojemu nowemu wspólnikowi, panu McConchie. Poza tym chcę przekazać nagrodę, która wydaje mi się właściwa, wzięwszy pod uwagę wielkie zasługi Hoppy’ego dla naszej wspólnoty i dla całego świata. Chciałbym przekazać sto papierosów special deluxe gold label. – Przerwał i chciał już usiąść, lecz dodał jeszcze: – I skrzynkę pięciogwiazdkowej brandy Gilla.

Zebrani wyrazili swoją aprobatę oklaskami, gwizdami i tupaniem.

– No, to jest rzeczywiście coś – ocenił Stroud z uśmiechem. – Myślę, że pan Gill zdaje sobie sprawę, przed czym uchroniła nas interwencja Hopp’ego. W miejscach, gdzie Bluthgeld wywołał eksplozję, jest wiele połamanych dębów. Może słyszeliście też, że skierował uwagę na południe, w stronę San Francisco... Zgadza się – odezwała się Bonny.

– Więc może ludzie, którzy tam mieszkają – ciągnął Stroud – chcieliby się do nas przyłączyć i przekazać coś Hoppy’emu jako dowód uznania. Wydaje mi się, że najlepsze, co możemy zrobić... to naprawdę dobry pomysł... to przekazać Hoppy’emu sto papierosów special deluxe gold label i skrzynkę brandy, które ofiarował pan Gill... Hoppy na pewno to doceni, chociaż myślałem raczej, żeby jakoś go uhonorować, może postawić mu pomnik albo zbudować park, czy przynajmniej ufundować jakąś tablicę pamiątkową. Jestem gotów przekazać na ten cel ziemię i wiem, że Cas Stone też zgłosił taką gotowość.

– To prawda – oświadczył uroczyście Cas Stone.

– Czy ktoś ma jeszcze jakiś pomysł? Pani Tallman, chciałbym poznać pani zdanie.

– Należałoby wybrać Hoppy’ego na jakiś honorowy urząd publiczny, na przykład na przewodniczącego Rady Mieszkańców albo na członka zarządu Rady Szkolnej. Oczywiście dodatkowo, oprócz parku albo pomnika i papierosów, i brandy – powiedziała pani Tallman.

– Dobry pomysł – rzekł Stroud. – Ktoś jeszcze? Ludzie, bądźmy realistami, Hoppy uratował nam życie. Ten cały Bluthgeld zwariował i każdy, kto wczoraj wieczorem słuchał odcinka powieści, o tym wie... chciał nas cofnąć o siedem lat, a wtedy ciężka praca, którą włożyliśmy w odbudowę, poszłaby na marne. Zupełnie by się zmarnowała.

Na sali podniósł się pomruk aprobaty.

– Kiedy ma się taką magiczną siłę jak on... – ciągnął Stroud. – Fizyk taki jak Bluthgeld, z całą jego wiedzą... świat nigdy przedtem nie był w takim niebezpieczeństwie, czy nie mam racji? Mieliśmy szczęście, że Hoppy potrafi poruszać przedmioty na odległość; mieliśmy szczęście, że ćwiczył się w tym całym czasie, ponieważ żadna inna siła nie byłaby w stanie zadziałać na tę odległość i rozgnieść Bluthgelda na miazgę, tak jak to się stało.

Teraz głos zabrał Fred Quinn:

– Rozmawiałem z Edie Keller, która była świadkiem tego wydarzenia, i ona powiedziała mi,

że Bluthgelda coś wyrzuciło w powietrze i ciskało nim na wszystkie strony, zanim Hoppy go rozgniótł.

– Wiem – powiedział Stroud. – Przesłuchiwałem Edie w tej sprawie. – Rozejrzał się po ludziach siedzących na sali. – Jeśli ktoś chciałby dowiedzieć się szczegółów, to Edie na pewno chętnie o nich opowie. Prawda, pani Keller?

Bonny, siedząca sztywno, z pobladłą twarzą, pokiwała głową.

– Ciągłe się boisz? – zapytał Stroud.

– To było straszne – powiedziała cicho.

– Z pewnością – przyznał Stroud. – Ale Hoppy go załatwił. – Co sprawia, pomyślał, że Hoppy stał się kimś bardzo wyjątkowym, prawda? Może to o tym Bonny właśnie myśli. Może dlatego jest taka cicha.

– Myślę, że najlepsze, co możemy zrobić – powiedział Cas Stone – to pójść do Hoppy’ego i powiedzieć tak: „Hoppy, co mamy dla ciebie zrobić w dowód uznania?” Pójdziemy z tym prosto do niego. Może jest coś, czego bardzo by chciał, a o czym my nie wiemy.

Tak, pomyślał Stroud. Masz wiele racji, Cas. Możliwe, że pragnie bardzo wielu rzeczy, o których nie wiemy, i może pewnego dnia, już niedługo, będzie chciał je dostać. Niezależnie od tego, czy wybierzemy delegację, która go o to zapyta, czy nie.

– Bonny – zwrócił się do pani Keller. – Chciałbym, żebyś zabrała głos. Siedzisz tak cicho.

– Jestem po prostu zmęczona – mruknęła Bonny.

– Wiedziałaś, że Jack Tree to Bluthgeld?

Pokiwała głową w milczeniu.

– W takim razie czy to ty powiedziałaś Hoppy’emu? – zapytał Stroud.

– Nie – odparła. – Chciałam to zrobić, szłam właśnie do niego. Ale to już się stało. On wiedział.

Ciekawe skąd? – pomyślał Stroud.

– Wydaje się, że Hoppy potrafi prawie wszystko... – odezwała się pani Lully drżącym głosem. – Najwyraźniej okazał się silniejszy niż pan Bluthgeld.

– Zgadza się – przyznał Stroud. Zebrani zaszemrali nerwowo.

– Jednak wykorzystał wszystkie te swoje zdolności dla dobra naszej wspólnoty – powiedział Andrew Gill. – Pamiętajcie o tym. Pamiętajcie, że jest naszym rzemieślnikiem i że pomaga nam ustawić radio na Dangerfielda, kiedy sygnał jest słaby, a kiedy w ogóle nie ma odbioru, pokazuje nam sztuczki i naśladuje głosy. Robi wiele różnych rzeczy, a nawet uratował nas od kolejnej nuklearnej zagłady. Powiadam więc: niech Bóg błogosławi Hoppy’ego i jego zdolności. Myślę, że powinniśmy podziękować Bogu, że mamy tutaj takiego właśnie inwalidę.

– Racja – potwierdził Cas Stone.

– Zgadzam się – rzekł ostrożnie Stroud. – Ale myślę, że powinniśmy chyba powiedzieć

Hoppy'emu, że może od teraz... – zawahał się – uśmiercanie powinno się u nas odbywać tak, jak w wypadku Austuriasa: legalnie, z wyroku sądu. Chciałem powiedzieć, że Hoppy dobrze zrobił i musiał działać szybko i w ogóle... ale to sąd jest ciałem, które ma podejmować decyzje. A sam wyrok powinien być wykonywany przez Earla. To znaczy w przyszłości. Bluthgelda to nie dotyczy, bo miał te siły magiczne i przez to był inny. – Nie można w zwykły sposób zabić człowieka obdarzonego taką mocą, pomyślał. Na przykład Hoppy'ego... gdyby ktoś chciał go zabić. To prawie niemożliwe.

Dreszcz przeszedł mu po plecach.

– Co się stało, Orion? – zapytał ostro Cas Stone.

– Nic – odpowiedział. – Zastanawiałem się tylko, co możemy zrobić, żeby okazać Hoppy'emu wdzięczność. To poważny problem, bo mamy wobec niego wielki dług.

Na sali podniósł się gwar, kiedy członkowie wspólnoty zaczęli dyskutować o tym, jak wynagrodzić Hoppy'ego.

George Keller spostrzegł, że twarz jego żony jest ściągnięta i blada.

– Wszystko w porządku? – zapytał. Położył rękę na jej ramieniu, lecz Bonny odsunęła się.

– Jestem po prostu zmęczona – odparła. – Przebiegłam pewnie z milę, kiedy zaczęły się te eksplozje. Chciałam dobiec do domu Hoppy'ego.

– Skąd wiedziałaś, że Hoppy mógłby to zrobić? – zapytał.

– Och, wszyscy przecież wiedzieli. Z pewnością wszyscy wiedzieli, że tylko on włada czymś, co choćby odrobinę przypomina moc Bluthgelda. Zaraz nam to przyszło do głowy... to znaczy mnie... – poprawiła się -...kiedy zobaczyłam eksplozje. – Spojrzała na męża.

– Kto z tobą był?

– Barnes. Szukaliśmy kurek pod dębami, które rosną wzdłuż drogi do rancza w Bear Valley.

– Jeśli chodzi o mnie, to boję się Hoppy'ego – powiedział George. – Popatrz, nawet go tutaj nie ma. W pewnym sensie nami wszystkimi pogardza. Zawsze się spóźnia do Foresters' Hall. Wiesz, co mam na myśli? Czujesz to? I to się cały czas nasila. Może dlatego, że jego umiejętności stają się coraz większe.

– Może – mruknęła Bonny.

– Jak myślisz, co się z nami teraz stanie? – zapytał George. – Teraz, kiedy zabiliśmy Bluthgelda? Jest lepiej, bezpieczniej. Wszystkim nam spadł kamień z serca. Ktoś powinien zawiadomić Dangerfielda, żeby mógł ogłosić to z satelity.

– Hoppy może to zrobić – powiedziała nieobecny głosem. – Wszystko może zrobić. Prawie wszystko.

Siedzący na przeznaczonym dla przewodniczącego krześle Orion Stroud zastukał w stół, by uciszyć zebranych.

– Kto chciałby znaleźć się w delegacji, która pójdzie do Hoppy'ego, żeby przekazać mu

nagrodę oraz dyplom uznania? – Rozejrzył się po sali. – Niech ktoś się zgłosi.

– Ja pójde – odezwał się Andrew Gill.

– Ja też – rzekł Fred Quinn.

– I ja – powiedziała Bonny.

– Czujesz się na siłach? – zapytał ją George.

– Pewnie. – Pokiwała obojętnie głową. – Czuję się już dobrze. Oprócz tej rany na głowie. –

Odruchowo dotknęła bandaża.

– A pani, pani Tallman? – zapytał Stroud.

Tak, ja też pójde – odparła pani Tallman, lecz jej głos drżał.

– Boi się pani? – spytał Stroud.

– Tak.

– Dlaczego?

Pani Tallman zawahała się.

– N... nie wiem.

– Ja też pójde – oświadczył Orion Stroud. – To by było pięć osób: dwie kobiety i trzech mężczyzn. Weźmiemy ze sobą brandy i fajki, a resztę przekazemy ustnie. Powiemy mu o tablicy pamiątkowej i o tym, że zostanie przewodniczącym rady i honorowym członkiem, i w ogóle wszystko.

– Może powinniśmy wysłać do niego delegację, która go ukamieniuje – odezwała się cicho Bonny.

George'a zatkało.

– Bonny, na miłość boską.

– Naprawdę tak myślę.

– Zachowujesz się jakoś przedziwnie – powiedział wściekły i zdumiony. Nie rozumiał jej. –

Co się stało?

– No, ale to oczywiście na nic by się nie zdało – stwierdziła. – Porozgniatalby nas, zanim byśmy podeszli do jego domu. A mnie może teraz rozgniecie – uśmiechnęła się – za to, co powiedziałam.

– Więc się zamknij! – Popatrzył na nią z przerażeniem.

– Dobrze – zgodziła się. – Będę cicho. Nie chcę polecieć w powietrze, a potem spaść na ziemię, jak Jack.

– Też tak myślę – powiedział, trzęsąc się cały.

– Jesteś tchórzem – rzekła łagodnie. – Prawda? Nie rozumiem, dlaczego przez te wszystkie lata tego nie zauważyłam. Może to dlatego żywię do ciebie takie a nie inne uczucia.

– To znaczy jakie?

Bonny uśmiechnęła się. Ale mu nie odpowiedziała. Był to okrutny, nienawistny, lodowaty

uśmiech, którego George nie zrozumiał. Odwrócił spojrzenie, zastanawiając się kolejny raz, czy w tych wszystkich plotkach na temat jego żony, które słyszał od lat, nie ma czasem prawdy. Jest taka zimna, taka niezależna. George Keller był przygnębiony.

– Chryste – powiedział. – Nazywasz mnie tchórzem dlatego, że nie chcę zobaczyć swojej żony spłaszczoną na placek?

– To jest moje ciało i moje życie – odparła. – I mogę z nimi robić to, na co mam ochotę. Nie boję się Hoppy’ego; to znaczy właściwie boję się, ale nie mam zamiaru tego okazywać, jeśli rozumiesz tę różnicę. Pójdę do tego domku z papy i spojrzę Hoppy’emu uczciwie w oczy. Podziękuję mu, ale myślę, że powiem też, że powinien być w przyszłości ostrożniejszy. Będziemy na to nalegać.

Nie mógł jej nie podziwiać.

– Zrób tak. Tak będzie dobrze. Powinien zrozumieć, co czujemy.

– Dziękuję – powiedziała od niechcienia. – George, dziękuję ci bardzo za to, że dodałeś mi otuchy. – Odwróciła się od niego i zaczęła się przysłuchiwać temu, co mówi Orion Stroud.

George Keller nigdy nie był tak przygnębiony.

Najpierw trzeba było pójść do fabryczki Andrew Gilla po papierosy special deluxe gold label i po pięciogwiazdkową brandy. Bonny, Orion Stroud i Gill opuścili Foresters’ Hall i szli teraz drogą, świadomi wagi swojego zadania.

– W jaki układ wchodzisz z tym McConchie? – zapytała Bonny Gilla.

– Stuart zamierza zautomatyzować fabrykę – odparł Gill.

Nie uwierzyła mu.

– I pewnie będziesz się reklamował przez satelitę, co? Śpiewane reklamy, jak to się kiedyś mówiło. Masz na nie jakiś pomysł? Może mogłabym ci napisać muzykę?

– Jasne – powiedział. – Jeśliby to miało pomóc w prowadzeniu interesów.

– Poważnie mówisz o tej automatyzacji? – Pomyślała nagle, że może rzeczywiście nie żartuje.

– Będę więcej wiedział, kiedy się spotkam z szefem Stuarta w Berkeley. Wkrótce wybieramy się w drogę. Lata całe nie byłem w Berkeley. Stuart mówi, że się odbudowuje... oczywiście nie będzie takie jak kiedyś. Chociaż może któregoś dnia i do tego dojdzie.

– Wątpię – rzekła Bonny. – Zresztą wszystko mi jedno, i tak tam za dobrze nie wyglądało. Przynajmniej trochę odbudują.

Gill obejrzał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy Orion go nie słyszy, i powiedział:

– A może pojedziesz ze mną i ze Stuartem?

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona.

– Dobrze by ci zrobiło, gdybyś zerwała z George’em. Może nawet udałoby ci się zerwać z nim na dobre. Powinnaś tak zrobić. Dla jego dobra i twojego.

– Ale... – Pokiwała głową. Wydawało jej się to niemożliwe. Nie można by już zachować pozorów. – Wtedy wszyscy by się dowiedzieli. Nie sądzisz?

– Bonny, oni już wiedzą.

– O! – Pochyliła głowę jak skarcona dziewczynka. – To niespodzianka. Najwidoczniej żyłam w nieświadomości.

– Jedź z nami do Berkeley – powiedział Gill. – I zacznij od nowa. W pewnym sensie ja też zamierzam tak zrobić: koniec z ręcznym kręceniem papierosów po jednym na tej małej maszynie. Będę miał fabrykę z prawdziwego zdarzenia, taką, jakie były przed wojną.

– Jak przed wojną – powtórzyła. – Czy to dobrze?

– Owszem – odparł Gill. – Niedobrze mi się robi od tego ręcznego kręcenia. Próbowałem się przez lata uwolnić, a teraz Stuart pokazał mi, jak to zrobić. Taką mam przynajmniej nadzieję. – Skrzyżował palce.

Dotarli do fabryki. W tyle pomieszczenia robotnicy wciąż byli zajęci pracą – kręceniem papierosów. A więc ten rozdział naszego życia niedługo skończy się na zawsze, pomyślała Bonny. Widocznie jestem sentymentalna, skoro tak mi go żal. Andrew jednak ma rację. Tak nie można produkować: to jest zbyt pracochłonne, zbyt powolne. Poza tym w ten sposób wytwarza się zbyt mało papierosów, jak się nad tym dobrze zastanowić. Gdyby Andrew miał porządne maszyny, mógłby zaopatrywać cały kraj – gdyby miał do dyspozycji transport, możliwość rozwożenia towaru.

Między robotnikami zobaczyła Stuarta McConchie, który przykucnął nad beczką ze znakomitą namiastką tytoniu wyprodukowaną przez Gilla i badał jej zawartość. No tak, pomyślała Bonny, albo już ma recepturę special deluxe Andrew, albo mu na niej wcale nie zależy.

– Dzień dobry – powiedziała do McConchiego. – Będzie pan w stanie sprzedać te papierosy, kiedy zaczną masowo schodzić z taśmy? Zastanowił się pan już nad tym?

– Tak – odparł McConchie. – Opracowaliśmy plany dystrybucji na dużą skalę. Mój pracodawca, pan Hardy...

– Niech mi pan tutaj nie wciska gadki o wielkich interesach – przerwała mu. – Wierzę panu. Byłam po prostu ciekawa. – Spojrzała na niego krytycznie. – Andrew chce, żebym pojechała z wami do Berkeley. I co pan na to?

– Pewnie, niech pani jedzie – odparł wymijająco.

– Mogłabym być u was recepcjonistką. W centrali firmy. W samym centrum Berkeley. Prawda? – Roześmiała się, lecz Stuart McConchie i Gill zachowali powagę. – Czy to jakieś tabu? – zapytała. – Czy naruszam jakieś świętości, kiedy tak żartuję? Jeżeli tak, to przepraszam.

– W porządku – rzekł McConchie. – Jesteśmy po prostu dosyć zajęci: jest jeszcze parę szczegółów, które trzeba omówić.

– Może z wami pojedę – powiedziała. – Może to rozwiąże moje kłopoty, przynajmniej finansowe.

Teraz McConchie miał okazję, żeby ją wy badać.

– Jakie pani ma kłopoty? Wydaje mi się, że to dobra okolica, żeby wychowywać dziecko. A pani mąż, który jest dyrektorem...

– Proszę pana – przerwała mu znowu – nie mam ochoty wysłuchiwać listy zalet sytuacji, w której się znajduję. Niech pan mi tego oszczędzi. – Zostawiła go i podeszła do Gilla, który pakował do metalowego pudełka papierosy przeznaczone na prezent dla fokomelika.

Świat jest taki niewinny, pomyślała. Nawet teraz, po tym wszystkim, co się stało. Gill usiłuje uleczyć mnie z mojego... niepokoju. Stuart McConchie nie potrafi sobie wyobrazić, czego jeszcze mogłabym chcieć. Może to nie ja, lecz oni mają rację. Może skomplikowałam sobie niepotrzebnie życie... może w Berkeley jest też taka maszyna, która mi pomoże. Może dałoby się moje problemy zautomatyzować i wyrzucić z życia.

W kącie pomieszczenia Orion Stroud pisał przemówienie, które zamierzał wygłosić przed Hoppym. Bonny uśmiechnęła się, kiedy pomyślała, jakie to wszystko uroczyste. Czy na Hoppym zrobi to wrażenie? A może raczej go to rozbawi, lub nawet napelni odrazą? Nie, pomyślała, spodoba mu się – mam takie przeczucie. Takie dowody uznania bardzo mu pochlebią.

Czy Hoppy przygotowuje się, żeby nas przyjąć? – zastanowiła się. Czy umył twarz, ogolił się, założył czyste ubranie... czy czeka niecierpliwie na nasze przybycie? Czy to jego życiowe osiągnięcie, największy sukces?

Spróbowała sobie wyobrazić, co też może teraz robić fokomelik. Kilka godzin temu popełnił zabójstwo. Poza tym Bonny wiedziała od Edie, że wszyscy są przekonani, iż zabił również sprzedawcę szkieł. Małomiasteczkowy szczurołap, pomyślała, a po plecach przebiegł jej dreszcz. Kto będzie następny? Czy Hoppy będzie od teraz zawsze dostawał prezenty? Za każdego kolejnego człowieka?

Może będziemy tu przychodzić raz za razem, by wręczać mu podarunki, pomyślała. Pojedę do Berkeley. Chcę się znaleźć jak najdalej stąd.

I to jak najszybciej, zdecydowała. Jeśli mi się uda, to jeszcze dzisiaj. Natychmiast. Z rękami w kieszeniach płaszcz podeszła do Stuarta McConchie i Gilla, którzy byli właśnie zajęci rozmową. Stała tak blisko, jak tylko mogła, i zaczęła z największą uwagą przysłuchiwać się temu, o czym mówią.

– Jesteś pewien, że on mnie słyszy? – zapytał z powątpiewaniem doktor Stockstill. – Czy aby na pewno sygnał dochodzi do satelity? – Dotknął na próbę guzika mikrofonu.

– Nie mogę zagwarantować, że pana słyszy – powiedział Hoppy, chichocząc. – Mogę tylko zagwarantować, że ten nadajnik ma pięćset watów mocy. To niewiele, jeśli wziąć pod uwagę dawne standardy, ale wystarczająco dużo, by sygnał do niego dotarł. Udało mi się to już parę

razy. – Wykrzywił usta w cierpkim, drapieżnym uśmiechu, a w jego bystrych szarych oczach zapaliły się iskierki. – No dalej. Ma tam jakąś kanapę czy to akurat możemy sobie darować? – Fokomelik zaśmiał się.

– Kanapę możemy sobie darować – odparł doktor Stockstill. Nacisnął guzik mikrofonu. – Panie Dangerfield, jestem... lekarzem z West Marin. Niepokoi mnie pański stan zdrowia. To oczywiste. Wszyscy się tutaj martwimy. Myślałem, że... eee... mógłbym panu pomóc.

– Niech mu pan powie prawdę – wtrącił się Hoppy. – Niech mu pan powie, że jest pan psychoanalitykiem.

– Kiedyś byłem psychoanalitykiem, psychiatrą – powiedział ostrożnie Stockstill. – Teraz jestem oczywiście lekarzem ogólnym. Czy pan mnie słyszy? – Z zamontowanego w kącie głośnika dobiegał tylko szum. – Nie odbiera mnie – rzekł do Hoppy'ego z rozczarowaniem.

– Trzeba czasu, żeby nawiązać łączność – poinformował go fokomelik. – Niech pan jeszcze raz spróbuje. – Zachichotał. – Więc przypuszcza pan, że to wszystko ma źródło w jego psychice. Hipochondria. Jest pan pewien? Oczywiście może pan wyjść z takiego założenia, bo nawet jeśli to nieprawda, i tak nie jest pan w stanie niczego zrobić.

Doktor Stockstill znów nacisnął przycisk mikrofonu.

– Panie Dangerfield, tu mówi Stockstill z hrabstwa Marin w Kalifornii. Jestem lekarzem. – To wszystko wydawało mu się zupełnie beznadziejne. Po co próbować? Jednak z drugiej strony...

– Niech mu pan powie o Bluthgeldzie – podsunął nagle Hoppy.

– Dobrze – odparł psychiatra.

– Może pan wymienić moje nazwisko – powiedział Hoppy. – Niech mu pan powie, że ja to zrobiłem. Niech pan posłucha, doktorze, tak to będzie brzmiało w jego wykonaniu. – Twarz fokomelika przybrała dziwny wyraz, a z jego ust rozległ się głos Walta Dangerfielda: – No cóż, przyjaciele, mam dla was dobrą wiadomość... myślę, że wszyscy będziecie zadowoleni. Wydaje się... – Fokomelik przerwał, bo z głośnika dobiegł słaby dźwięk.

–...dzień dobry, doktorze. Tu Walt Dangerfield.

– Świetnie, panie Dangerfield – powiedział natychmiast Stockstill do mikrofonu. – Chciałem z panem porozmawiać o tych bólach, które ostatnio panu dokuczają. Ma pan tam jakąś papierową torebkę? Spróbujemy terapii dwutlenkiem węgla. Niech pan weźmie papierową torebkę i ją nadmucha. Niech pan ją nadmucha, a potem wdycha to samo powietrze tak, żeby w końcu wciągać do płuc czysty dwutlenek węgla. Zrozumiał pan? To niby nic, ale rzecz jest poparta rozsądną teorią. Polega to na tym, że zbyt duża ilość tlenu powoduje reakcje międzymózgowiowe, które z kolei uruchamiają nie kończący się cykl w autonomicznym systemie nerwowym. Jednym z objawów spowodowanych przez nadmiernie pobudzony system autonomiczny jest hiperperystaltyka i możliwe, że to właśnie panu dolega. W gruncie rzeczy to

objaw lęku.

Fokomelik potrząsnął głową, odwrócił się i odjechał.

– Przepraszam – głos Dangerfielda słabo dobiegał z głośnika. – Nie rozumiem, doktorze. Powiedział pan, że mam nadmuchać papierową torebkę? A może być foliowa? Czy się przy tym nie uduszę? – Dangerfield bełkotał nielogicznie, a w jego głosie brzmiała skarga. – Czy jestem w stanie uzyskać fenobarbital drogą syntezy ze składników, które mam w satelicie? Przekażę panu listę i może... – Szum zagłuszył słowa Dangerfielda. Kiedy znów go było słychać, mówił już o czymś innym. Niewykluczone, że opuszczają go władze umysłowe, pomyślał doktor Stockstill.

– Izolacja w przestrzeni kosmicznej – przerwał Dangerfieldowi psychiatra – powoduje specyficzne szkodliwe zjawiska, podobne do tego, co kiedyś nazywano „syndromem zamknięcia w domu”. Specyficzne jest tutaj sprzężenie zwrotne lęku wolno płynącego, które niesie ze sobą skutki somatyczne. – Kiedy to mówił, pomyślał, że wszystko robi źle, że już poniósł klęskę. Fokomelik odjechał, bo był zbyt zdegustowany, by słuchać ich rozmowy i teraz grzebał przy czymś gdzieś w kącie. – Panie Dangerfield – powiedział psychiatra. – Chodzi mi o to, żeby przerwać to sprzężenie zwrotne, i ta sztuczka z dwutlenkiem węgla temu właśnie ma służyć. I wtedy, kiedy ustąpią objawy napięcia, będziemy mogli rozpocząć formę psychoterapii, która będzie polegała na przywoływaniu zapomnianych zdarzeń traumatycznych.

– Ja żadnych zdarzeń traumatycznych nie zapomniałem, doktorze – odparł sucho Dangerfield. – Właśnie je przeżywam. Otaczają mnie ze wszystkich stron. To rodzaj klaustrofobii, i to bardzo, bardzo ostrej klaustrofobii.

– Klaustrofobia – powiedział Stockstill – jest rodzajem fobii mającej źródło w międzymózgowiu, gdzie dochodzi do zakłócenia sposobu odbierania przestrzeni. Wiąże się to z lękową reakcją na rzeczywiste lub urojone niebezpieczeństwo, jest to stłumiona potrzeba ucieczki.

– A dokąd mógłbym uciec, panie doktorze? – zapytał Dangerfield. – Bądźmy realistami. W czym, na miłość boską, może mi pomóc psychoanaliza? Jestem chorym człowiekiem, potrzebna mi operacja, a nie te bzdury, które mi pan opowiada.

– Jest pan pewien? – spytał Stockstill. Czuł się głupio i zdawał sobie sprawę, że to, co mówi, nie daje żadnych rezultatów. – To wszystko musi potrwać, ale przynajmniej nawiązaliśmy podstawowy kontakt. Wie pan, jestem tu po to, żeby panu pomóc, i wiem, że pan mnie słucha. – Słuchasz mnie, prawda? – pomyślał. – Wydaje mi się więc, że coś już osiągnęliśmy.

Czekał. Nie było odpowiedzi.

– Halo, panie Dangerfield – powiedział do mikrofonu. Cisza.

– Albo sam się wyłączył, albo satelita jest już za daleko – odezwał się fokomelik zza jego pleców. – Sądzi pan, że pan mu pomaga?

– Nie wiem – odparł psychiatra. – Ale wiem, że trzeba próbować.

– Gdyby zaczął pan rok temu...

– Ale nikt o niczym nie wiedział. – Przyjmowaliśmy jego istnienie jako coś oczywistego, jak słońce, pomyślał Stockstill. Teraz, jak słusznie powiedział Hoppy, jest trochę za późno.

– Jutro po południu będziemy mieli więcej szczęścia – powiedział Hoppy ze słabym, nieomal drwiącym uśmiechem.

Stockstilla ogarnął głęboki smutek. Czy Hoppy go żałuje z powodu tych bezowocnych wysiłków? Czy żał mu raczej człowieka w przelatującym nad nimi satelicie? Trudno powiedzieć.

– Będę próbował – rzekł Stockstill. Rozległo się pukanie do drzwi.

– To na pewno oficjalna delegacja – stwierdził Hoppy. Na jego wychudzonej twarzy pojawił się szeroki uśmiech zadowolenia. Wydawało się, że twarz fokomelika wypełnia się wewnętrznym ciepłem. – Przepraszam. – Podjechał do drzwi i protezą ręki otworzył je na oścież. W drzwiach stali Orion Stroud, Andrew Gill, Cas Stone, Bonny Keller i pani Tallman. Wszyscy wyglądali na zdenerwowanych i niepewnych siebie.

– Hoppy Harrington – odezwał się Stroud – przynieśliśmy ci skromny podarunek.

– Znakomicie – powiedział Hoppy. Odwrócił głowę i uśmiechnął się do Stockstilla. – Widzi pan? A nie mówiłem, że przyjdą z dowodami uznania? Proszę wejść – zaprosił członków delegacji. Czekałem na was. – Przytrzymał drzwi, a oni weszli do środka.

– Co tu robisz? – spytała Bonny doktora, widząc, że ten stoi koło nadajnika.

– Próbowałem nawiązać łączność z Dangerfieldem – odparł.

– Terapia? – zapytała.

– Tak. – Pokiwał głową.

– Jednak bez efektów.

– Jutro spróbujemy znowu.

Orion Stroud zapomniał na chwilę o swoim przemówieniu i zwrócił się do doktora Stockstilla:

– Prawda, przecież pan był kiedyś psychiatrą.

– I co mi tam przynieśliście? – zapytał niecierpliwie Hoppy. Ominął wzrokiem Strouda i popatrzył na Gilla. Zauważył pudełko z papierosami i skrzynkę brandy. – Czy to dla mnie?

– Tak – odparł Gill. – W dowód wdzięczności. Pudełko i karton uniosły się z jego dłoni; patrzył, mrugając oczami, jak płyną w powietrzu w kierunku fokomelika i lądują na podłodze tuż przed wózkim. Hoppy niecierpliwie rozerwał je protezami rąk.

– Eee – zaczął Stroud, wyraźnie zbity z tropu – mamy jeszcze oświadczenie. Możemy je teraz wygłosić? – Spojrzał na fokomelika z oczekiwaniem.

– Macie jeszcze coś? – zapytał Hoppy, kiedy otworzył już opakowania. – Co jeszcze przynieśliście mi w nagrodę?

Nie myślałam, że jest taki dziecinny, pomyślała Bonny, przyglądając się tej scenie. Jak mały chłopiec... Powinniśmy byli przynieść mu o wiele więcej prezentów, i to opakowanych w ładny papier, z wstążkami i karteczkami, tak kolorowych, jak tylko możliwe. Nie wolno pozwolić, by poczuł się zawiedziony, pomyślała. Od tego, czy uda nam się go przekupić, zależy nasze życie.

– Więcej już nie ma? – zapytał Hoppy z irytacją w głosie.

– Na razie nie – rzekł Stroud. – Ale będzie więcej. – Rzucił szybkie, ukradkowe spojrzenie na pozostałych członków delegacji. – Te właściwe prezenty trzeba najpierw starannie przygotować. To tutaj to tylko zadatek.

– Rozumiem – odparł fokomelik. Nie wyglądał jednak na przekonanego.

– Poważnie mówię – zapewnił go Stroud. – To prawda.

– Nie palę – powiedział Hoppy, patrząc na papierosy. Wziął kilka w garść i pokruszył, pozwalając, by drobiny spadły na podłogę. – Palenie powoduje raka.

– No cóż – odezwał się Gill. – Można na to spojrzeć z dwóch stron. Właściwie...

– Wygląda mi na to, że to wszystko, co chcieliście mi ofiarować – parsknął fokomelik.

– Nie, na pewno będzie więcej – powiedział Stroud. W pokoju zrobiło się cicho, tylko z głośnika słychać było szum.

Z kąta uniosła się lampa nadajnika, popłynęła w powietrzu i z głośnym trzaskiem uderzyła o ścianę, zasypując wszystkich okruchami rozbitego szkła.

– Więcej – powtórzył Hoppy, naśladując głęboki, tubalny głos Strouda. – Na pewno będzie więcej.

Rozdział piętnasty

Przez trzydzieści sześć godzin Walt Dangerfield leżał półprzytomny na koi i wiedział już, że nie dolega mu żaden wrzód. Miał atak serca, który zapewne niedługo go zabije. Wbrew temu, co powiedział mu doktor Stockstill, psychoanalityk.

Nadajnik satelity transmitował w kółko lekką muzykę koncertową; delikatny dźwięk smyczków brzmiał w jego uszach jak parodia, która nie mogła przynieść ukojenia. Nie miał nawet tyle siły, by podnieść się z koi, podejść do magnetofonu i wyłączyć go.

Psychoanalityk, pomyślał z goryczą. Opowiadał coś o dmuchaniu w papierową torebkę. To było jak sen... słaby głos, pełen pewności siebie. Przesłanki, na których się opierał, były zupełnie fałszywe.

Gdy satelita okrążał raz za razem Ziemię, z całego świata nadchodziły wiadomości. Urządzenia odbiorcze przechwytywały je i zapamiętywały, lecz na tym koniec. Dangerfield nie mógł już odpowiedzieć.

Pewnie będę musiał im powiedzieć, pomyślał. Wygląda na to, że ta chwila – chwila, której się wszyscy spodziewaliśmy – w końcu nadeszła.

Na czworakach podpełzł do fotela naprzeciw mikrofonu, skąd przez siedem lat prowadził audycje dla całego świata. Posiedział chwilę, żeby odpocząć, a potem włączył jeden z wielu magnetofonów i zaczął dyktować wiadomość, która później, gdy skończy ją nagrywać, miała być odtwarzana w nieskończoność zamiast muzyki koncertowej.

– Przyjaciele, mówi do was Walt Dangerfield. Chciałbym podziękować wam za wszystkie spędzone razem chwile, kiedy kontaktowaliśmy się przez radio. Obawiam się, że dolegliwość, na którą cierpię, już mi na to dłużej nie pozwoli. Z wielkim żalem muszę rozłączyć się po raz ostatni... – mówił dalej, przepełniony bólem, dobierając uważnie słowa, starając się sprawić im, to znaczy swoim słuchaczom, jak najmniej przykrości. Niemniej jednak mówił im prawdę: powiedział, że z nim już koniec i że będą musieli znaleźć jakiś sposób, by porozumiewać się między sobą bez jego udziału, aż wreszcie skończył, wyłączył mikrofon i leniwym ruchem, z przyzwyczajenia, puścił taśmę.

Taśma była czysta. Nie było na niej nic, chociaż mówił piętnaście minut.

Najwyraźniej urządzenie z jakiegoś powodu się zepsuło, ale był zbyt chory, aby się tym przejmować. Włączył znów mikrofon, ustawił potencjometry na konsolecie i przygotował się, by nadać wiadomość na żywo dla znajdującego się w tej chwili pod nim obszaru. Ci ludzie będą musieli przekazać wiadomość innym, nie było innego sposobu.

– Przyjaciele – zaczął znowu. – Mówi do was Walt Dangerfield. Mam złą wiadomość, ale...
– W tym momencie zrozumiał, że mówi do wyłączonego mikrofonu. Głośnik nad jego głową

umilkł, żadna wiadomość nie była przekazywana. Gdyby było inaczej, słyszałby swój głos z systemu monitorującego.

Kiedy tak siedział, próbując dociec, co też mogło się zepsuć, zauważył coś jeszcze, coś o wiele bardziej dziwnego i złowróżbnego.

Otoczające go urządzenia były w ruchu. Wyglądało to tak, jakby działały już od jakiegoś czasu. Bębny szybkorejestrujących magnetofonów, których nigdy nie używał, nagle zaczęły się obracać – po raz pierwszy od siedmiu lat. Nawet teraz widział, jak włączają się i wyłączają przekaźniki. Jeden bęben zatrzymał się, inny ruszył, tym razem wolno.

Nie rozumiem, pomyślał. Co się tu dzieje?

Najwyraźniej urządzenia nagrywały na dużej szybkości, a teraz jedno z nich zaczęło odtwarzać, ale co sprawiło, że się włączyły? W każdym razie nie on. Wskaźniki pokazywały, że nadajnik satelity jest włączony. W momencie, w którym zdał sobie z tego sprawę, zrozumiał także, że to, co zostało nagrane, jest teraz odtwarzane, usłyszał, że nadajnik wraca do życia.

– Trala lala la – zaśpiewał wesoło jakiś głos, jego głos. – Tu znów wasz stary przyjaciel Walt Dangerfield i proszę, wybaczcie mi tę koncertową muzykę. To się więcej nie powtórzy.

Kiedy ja to mogłem powiedzieć? – zastanowił się. Siedział oniemiały i słuchał. Był zszokowany i zdezorientowany. W tym głosie było tyle życia, tyle optymizmu. Jak to możliwe, żeby teraz mógł tak brzmieć? – pomyślał. Taki byłem wiele lat temu, kiedy dopisywało mi zdrowie i kiedy jeszcze żyła ona.

– Cóż – zamruczał znowu głos. – Ta drobna niedyspozycja, która mi dokuczała... najwyraźniej myszy dobrały się do szaf, w których są zapasy... pewnie was ubawi wiadomość, że Walt Dangerfield musi bronić się w kosmosie przed myszami, ale to prawda. W każdym razie część zapasów się zepsuła, a ja tego nie zauważyłem... i narobiło mi to niezłych spustoszeń w organizmie. No, ale... – usłyszał swój śmiech – teraz czuję się już dobrze. Wiem, że będziecie zadowoleni, kiedy to usłyszycie, moi drodzy słuchacze. Przesyłaliście mi życzenia powrotu do zdrowia i teraz chcę wam za nie podziękować.

Walt Dangerfield wstał z fotela przed mikrofonem i niepewnie podszedł do koi. Położył się, zamknął oczy i pomyślał raz jeszcze o bólu w klatce piersiowej i o tym, co on oznacza. Dusznica bolesna, pomyślał, ma objawy przypominające bardziej nacisk ogromnej pięści, a to, co mi dolega, to piekący ból. Gdybym mógł jeszcze raz przejrzeć te medyczne mikrofilmy... może jest tam jakaś informacja, którą przeoczyłem. Na przykład, że ten ból jest umiejscowiony bezpośrednio pod mostkiem, a nie na lewo od niego. Czy to coś znaczy?

A może w ogóle nic mi nie jest, pomyślał, próbując jeszcze raz podnieść się z pośłania. Może Stockstill, ten psychiatra, który chciał, żebym wdychał dwutlenek węgla, miał jednak rację. Może to rzeczywiście tkwi w mojej psychice i jest wywołane latami samotności.

Nie sądził jednak, że to jest powodem. Ból był zbyt realny.

Dziwiła go jeszcze jedna sprawa związana z tą chorobą. Choćby nie wiem jak się starał, nie mógł zrozumieć jej przyczyny, więc nawet nie zadał sobie trudu, żeby wspomnieć coś na ten temat, kiedy rozmawiał z lekarzami czy nawiązywał łączność z jakimś szpitalem. Teraz było już za późno, gdyż był zbyt chory, aby obsługiwać nadajnik.

Ból stawał się silniejszy zawsze wtedy, kiedy satelita przelatywał nad północną Kalifornią.

Niespokojny szept Billa Kellera obudził w środku nocy jego siostrę.

– Co się dzieje? – spytała sennie, próbując zrozumieć, co też brat chce jej powiedzieć. Usiadła w łóżku, przecierając oczy, a szept stał się głośniejszy.

– Hoppy Harrington! – mówił ukryty głęboko w jej ciele brat. – Zawładnął satelitą! Hoppy zawładnął satelitą Dangerfielda! – Mamrotał tak i mamrotał, powtarzając w kółko jedno i to samo.

– Skąd wiesz?

– Bo pan Bluthgeld tak powiedział. Jest tutaj, na dole, ale jeszcze widzi, co się dzieje tam, w górze. Nie może nic zrobić i jest wściekły. Ciągle jeszcze wie dokładnie, co się u nas dzieje. Nienawidzi Hoppy'ego, bo Hoppy go zmiażdżył.

– A Dangerfield? – spytała dziewczynka. – Też już nie żyje?

– Nie ma go tu, na dole – odparł jej brat po długiej chwili – więc sędzę, że żyje.

– Komu mam powiedzieć o tym, co zrobił Hoppy?

– Powiedz mamie. Idź do niej zaraz – ponaglił ją brat.

Edie wygramoliła się z łóżka, pobiegła do drzwi, a potem przez korytarz, do sypialni rodziców. Gwałtownie otworzyła drzwi pokoju, wołając:

– Mamo, muszę ci coś powiedzieć...! – I wtedy głos odmówił jej posłuszeństwa, ponieważ matki tam nie było. Jediną śpiącą osobą był jej ojciec, sam. Matka, zrozumiała nagle z całkowitą pewnością Edie, odeszła i nigdy już nie wróci.

– Gdzie ona jest? – ukryty w niej Bill głośno domagał się odpowiedzi. – Wiem, że jej tu nie ma. Nie czuję jej obecności.

Edie powoli zamknęła drzwi sypialni. Co mam zrobić? – zadała sobie pytanie. Szła bez celu, trzęsąc się z nocnego zimna.

– Uspokój się – odezwała się do Billa i jego głos przycichł nieco.

– Musisz ją znaleźć.

– Nie potrafię – odparła. Wiedziała, że to beznadziejna sprawa. – Niech no pomyślę, co by tu zrobić – powiedziała, wracając do swojego pokoju po szlafrok i kaptcie.

– Bardzo ładnie tu u pani – stwierdziła Bonny, zwracając się do Elli Hardy. – A jednak to dziwne uczucie znaleźć się znowu w Berkeley po tak długim czasie. – Czuła ogarniające całe ciało zmęczenie. – Będę musiała się zdrzemnąć – powiedziała. Była druga nad ranem. Spojrzała na Andrew Gilla i Stuarta. – Niesamowicie szybko udało się nam tu dojechać, prawda? Jeszcze

rok temu podróż trwałaby trzy dni dłużej.

– Tak – odparł Gill i ziewnął. Też wyglądał na zmęczonego. Powoził przez większą część drogi, ponieważ jechali jego zaprzęgiem.

– A wie pani, pani Keller, że mniej więcej o tej porze zwykle łapiemy jeszcze późny sygnał z satelity? – odezwał się pan Hardy.

– Tak? – powiedziała Bonny. Było jej wszystko jedno, ale wiedziała, że nie da się tego uniknąć. Będą musieli posłuchać chociaż przez kilka chwil, żeby nie urazić gospodarzy. – A więc łapiecie tu dwie transmisje dziennie?

– Tak – potwierdził pan Hardy. – I szczerze mówiąc, uważamy, że warto poczekać na tę późną audycję, chociaż przez ostatnie kilka tygodni... – Machnął ręką. – Sądzę, że wie pani o tym tak samo dobrze jak my. Dangerfield jest tak ciężko chory.

Wszyscy umilkli na moment.

– Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy... tak jakoś od wczoraj w ogóle go nie odbieramy – ciągnął pan Hardy. Złapaliśmy tylko lekką muzykę operową, która leciała na okrągło... więc... – Spojrzał po ich twarzach. – Dlatego dzisiaj nie robiliśmy sobie wielkich nadziei na tę nocną audycję.

Mamy jutro tyle spraw do załatwienia, pomyślała Bonny. Jednak on ma rację, musimy poczekać na tę audycję. Musimy się dowiedzieć, co dzieje się w satelicie, to dla nas takie ważne. Było jej smutno. Czy umierasz tam w samotności, Walcie Dangerfield? – pomyślała. A może już nie żyjesz, a my o tym nie wiemy?

Czy ta lekka muzyka operowa będzie grała do końca świata? Albo przynajmniej do chwili, gdy satelita opadnie na Ziemię lub odleci w przestrzeń, przyciągnięty przez Słońce.

– Włączę radio – oznajmił pan Hardy, spoglądając na zegarek. Podszedł do stojącego w drugim końcu pokoju odbiornika i ostrożnie go włączył. – Bardzo długo się nagrzewa – wyjaśnił. – Myślę, że któraś lampa jest już słaba. Prosiłszy Związek Rzemieślników Zachodniego Berkeley, żeby ktoś to obejrzał, ale oni są zbyt zajęci, powiedzieli, że są zawaleni robotą. Sam bym się tym zajął, ale... – Ponuro wzruszył ramionami. – Kiedy ostatnim razem próbowałem naprawić tę lampę, to tylko bardziej ją popsułem.

– Jeszcze nam pan wystraszy pana Gilla – powiedział Stuart.

– Nie – zaprzeczył Gill. – Ja to rozumiem. Radioodbiorniki to sprawa rzemieślników. Tak samo jest w West Marin.

– Stuart mówił, że pani tu kiedyś mieszkała – zwróciła się pani Hardy do Bonny.

– Pracowałam przez pewien czas w laboratorium radiologicznym – odparła Bonny. – A potem przeniosłam się do Livermore, to znaczy pracowałam na uniwersytecie. Oczywiście... – Zawahała się. – Tyle się tu zmieniło. Nie poznałabym teraz Berkeley. Kiedy przejeżdżaliśmy przez miasto, wszystko było dla mnie obce, może z wyjątkiem samej San Pablo Avenue. Te

wszystkie małe sklepiki wyglądają na nowe.

– I są nowe – powiedział Dean Hardy. Z głośnika dobiegł szum i pan Hardy nachylił się z uwagą ku radiu, prawie przytykając do niego ucho. – Zwykle odbieramy wieczorną audycję na częstotliwości mniej więcej 640 kiloherców. Przepraszam. – Odwrócił się znów w ich stronę, ciągle jednak całkowicie zaabsorbowany radiem.

– Zapal łożówkę – zwrócił się Gill do Bonny. – Będzie mu łatwiej dostroić radio.

Bonny zrobiła, o co ją prosił, dziwiąc się, że nawet tu, w mieście, ludzie ciągle są uzależnieni od prymitywnych łożówek. Przypuszczała, że dawno już mają prąd, przynajmniej częściowo. Pod pewnymi względami jest tu gorzej niż w West Marin, pomyślała. A w Bolinas...

– No – powiedział pan Hardy, przerywając jej rozmyślania. – Zdaje się, że go złapałem. I to wcale nie jest lekka muzyka operowa. – Jego twarz promieniała, jaśniała radością.

– O Boże – odezwała się Ella Hardy. – Będę się modlić o jego zdrowie. – Załamała z niepokojem ręce.

Z radia dobiegał donośnie przyjacielski, sympatyczny, znany głos:

– Cześć, witam wszystkich nocnych marków. I jak myślicie, kto powiedział do was to „cześć”? – Dangerfield zaśmiał się. – Tak, kochani, to ja, znów stoję na własnych dwóch nogach. I znów manipuluję jak szalony tymi wszystkimi gałkami i guzikami... tak jest. – Głos Dangerfielda był ciepły i twarze siedzących wokół Bonny ludzi odprężyły się i uśmiechnęły w odpowiedzi na radość, która emanowała z tego głosu. Pokiwali głowami.

– Słyszeliście, co powiedział? – odezwała się Ella Hardy. – Na pewno czuje się lepiej. Na pewno, przecież to słyhać. I to nawet nie to, że sam tak powiedział. Przecież słyhać różnicę.

– Trala lala la – zanucił Dangerfield. – Spójrzmy teraz, co tam słyhać nowego. Czy słyszeliście już o wrogu publicznym numer jeden, o byłym fizyku, którego tak dobrze pamiętamy? O naszym starym przyjacielu doktorze Bluthgeldzie? W każdym razie przypuszczam, że wszyscy wiecie, że nie ma już wśród nas drogiego doktora Bluthgelda. Tak, to prawda.

– Słyszałem jakieś plotki na ten temat – powiedział z ożywieniem pan Hardy. – Komiwojażer, który złapał okazję balonem z hrabstwa Marin...

– Ćśśś – uciszyła go Ella Hardy.

– Tak się właśnie stało – mówił Dangerfield. – Pewna osoba z północnej Kalifornii rozwiązała problem doktora B. Na zawsze. Tej skromnej osobie winniśmy głęboką, bezgraniczną wdzięczność, ponieważ... cóż, pomyślcie tylko, ta osoba jest nieco upośledzona. A jednak była w stanie dokonać czegoś, czego nikt inny dokonać nie potrafił. – Teraz głos Dangerfielda stał się twardy, stanowczy, był to nowy ton, którego nigdy przedtem u niego nie słyszeli. Spojrzeli po sobie niepewnie. – Mówię tu o Hoppym Harringtonie, przyjaciele. Nic wam nie mówi to nazwisko? A powinno, bo gdyby nie Hoppy, byłibyście teraz martwi.

Hardy, trąc podbródek i marszcząc brwi, rzucił żonie pytające spojrzenie.

– Hoppy Harrington – ciągnął Dangerfield – zmiądzzył doktora B. z odległości dobrych czterech mil, i to z łatwością. Z wielką łatwością. Wydaje się wam, że to niemożliwe dopaść kogoś z odległości czterech mil? To ci dopiero długachne ręce, prawda kochani? I bardzo silne ręce. I powiem wam coś jeszcze bardziej zdumiewającego. – Głos stał się tajemniczy, przycichł prawie do porozumiewawczego szeptu. – Hoppy w ogóle nie ma rąk. – A potem Dangerfield zamilkł.

– Andrew, to on, prawda? – zapytała cicho Bonny. Gill obrócił się ku niej w krzesło.

– Tak, kochanie, tak sędzę.

– Kto? – zapytał Stuart McConchie.

Głos z radia znów się odezwał: tym razem spokojniej, lecz jednocześnie bardziej blado. Był zimny i twardy.

– Podjęto próbę przekazania panu Harringtonowi nagrody – powiedział. – Nie było tego wiele. Parę papierosów i trochę kiepskiej whisky. Czy coś takiego można w ogóle nazwać nagrodą? Jakiś miejscowy drobny politykier wygłosił jeszcze parę pustych zdań. To było wszystko, wszystko, co otrzymał człowiek, który nas uratował. Sądzę, że wydawało im się...

To nie jest Dangerfield – powiedziała Ella Hardy.

– Kto to jest? Powiedźcie – zwrócił się pan Hardy do Gilla i Bonny.

– To Hoppy – odparła Bonny. Gill pokiwał głową.

– Czy on tam jest? – zapytał Stuart. – W satelicie?

– Nie wiem – odparła Bonny. Czy to miało jakieś znaczenie? – Opanował satelitę i to jest ważne. – Wydawało się nam, że uciekniemy do Berkeley, pomyślała. Wydawało się nam, że zostawimy Hoppy'ego za sobą. – Wcale się nie dziwię – dodała. – Od dawna się do tego przygotowywał. Wszystko, co robił, to były przygotowania.

– No, ale dosyć już na ten temat. – Głos z radia przybrał teraz lżejszy ton. – Później usłyszycie więcej o człowieku, który nas uratował: od czasu do czasu będę was informował na bieżąco... stary Walt o tym nie zapomni. Tymczasem posłuchajmy przez chwilę muzyki. A może by tak jakiś oryginalny kawałek na pięciostrunowym bandzo, co, przyjaciele? Autentyczna, stara muzyka ludowa... *Na farmie Penny* w wykonaniu Pete'a Seegera, jednego z najlepszych muzyków folkowych.

Przez chwilę nie było nic słychać, a potem z głośnika usłyszeli orkiestrę symfoniczną w pełnym składzie.

– Hoppy jeszcze nie opanował wszystkiego do końca – rzekła Bonny z zadumą. – Jest parę obwodów, których nie kontroluje.

Orkiestra symfoniczna urwała nagle. Przez chwilę znów nie było nic słychać, a potem zajęczała jakaś melodia puszczone na złą szybkości. Zakwiczała dziko i umilkła, jak ucięta

siekierą. Bonny uśmiechnęła się mimo woli. W końcu rozległ się dźwięk pięciostrunowego bandzo.

Ciężkie czasy na wsi, Ciężko na farmie Penny.

Sympatyczny tenor śpiewał przez nos do granej na bandzo melodii. Siedzący w pokoju ludzie słuchali, posłuszni przyzwyczajeniu. Przez ostatnie siedem lat uzależnili się od muzyki płynącej z radia. Nauczyli się słuchać i ten odruch stał się ich częścią. A jednak... Bonny czuła żal i rozpacz siedzących wokół niej ludzi. Żadne z nich nie rozumiało do końca, co się stało. A i ona sama była otepiała i zdezorientowana. Mieli znów Dangerfielda, a jednak go nie mieli. Dostali tylko zewnętrzną formę, pozór, ale czy w istocie, tak naprawdę, to był on? To raczej stworzone przez kogoś widmo, duch; coś niezdolnego do życia. Stwarzało wprawdzie pozory, że żyje, ale naprawdę było puste i martwe. To coś miało pewną szczególną właściwość – izolowało. Jakby chłód i samotność połączyły się, by otoczyć człowieka w satelicie nową skorupą. Błoną, która przylgnęła do żywego organizmu, by go zabić.

Powolne umieranie Dangerfielda było wynikiem zamierzonego działania, pomyślała Bonny. Miało swoje źródło nie w kosmosie, nie nad ich głowami, lecz tu, na Ziemi, wśród znajomych krajobrazów. Dangerfield nie umarł dlatego, że całe lata był samotny: zadawano mu starannie wymierzone ciosy stąd, z tego świata, z którym usilnie próbował nawiązywać kontakt. Gdyby się od nas odizolował, teraz by żył, pomyślała. Wtedy właśnie, gdy nas słuchał, gdy odbierał nasze sygnały radiowe, coś go zabijało, a on nic o tym nie wiedział.

Nawet teraz nic nie wie, pomyślała. Pewnie jest zdziwiony, jeśli rozumie jeszcze, co się naokoło niego dzieje, jeżeli w ogóle jest jeszcze świadomy.

– To straszne, straszne – powtarzał monotennie Gill.

– Straszne – zgodziła się Bonny. – Ale nieuniknione. Był tam taki bezbronny. Gdyby Hoppy tego nie zrobił, to pewnego dnia znalazłby się ktoś inny.

– I co my teraz pocniemy? – zapytał pan Hardy. – Jeśli jesteście tego tak pewni, to lepiej...

– Och – przerwała mu – jesteśmy pewni. Nie ma żadnych wątpliwości. Myśli pan może, że powinniśmy wyznaczyć delegację i znowu pójść do Hoppy'ego? Poprosić go, żeby przestał? Ciekawe, co by powiedział. – Ciekawe, jak blisko udałoby się nam podejść do tego znajomego małego domku, zanim zostalibyśmy uśmierceni. Może nawet teraz, siedząc w tym pokoju, jeszcze jesteśmy za blisko.

Za żadne skarby nie chcę znaleźć się bliżej tamtego miejsca. Myślę, że raczej powinnam się jeszcze od niego oddalić. Namówię Andrew Gilla, żeby ze mną poszedł, a jeśli się nie uda, namówię Stuarta, a jak nie Stuarta, to jeszcze kogoś innego. Będę szła przed siebie, nie zatrzymam się nigdzie na dłużej i może będę bezpieczna od Hoppy'ego. Teraz nie obchodzą mnie inni, bo za bardzo się boję. Teraz liczę się tylko ja.

– Słuchaj, Andy – powiedziała – chcę stąd wyjechać.

– Chcesz opuścić Berkeley?

– Tak. – Pokiwała głową. – Chcę pojechać wzdłuż wybrzeża aż do Los Angeles. Jestem pewna, że się nam uda. Dojedziemy tam i będziemy bezpieczni. Wiem, że tak będzie.

– Nie mogę, kochanie – rzekł Gill. – Muszę wracać do West Marin. Mam przecież fabrykę, nie mogę jej zostawić.

– Chcesz wrócić do West Marin? – zapytała z przerażeniem.

– Owszem. Dlaczego nie? Nie możemy się poddawać tylko dlatego, że Hoppy zrobił to, co zrobił. Nikt rozsądny nie mógłby tego od nas żądać. Nawet Hoppy tego od nas nie żąda.

– Jeszcze nie – uściśliła. – Ale w swoim czasie zażąda wszystkiego. Wiem, że tak będzie. Spodziewam się tego.

– W takim razie poczekamy – powiedział Gill. – Dopóki to się nie stanie. A tymczasem zajmijmy się pracą. Pójdę się zdrzemnąć – zwrócił się do Stuarta i Hardy'ego. – Jutro będziemy musieli omówić bardzo wiele spraw. – Wstał. – Może wszystko samo się jakoś ułoży. Nie możemy wpadać w rozpacz. – Klepnął Stuarta w plecy. – Prawda?

– Kiedyś schowałem się pod chodnikiem – rzekł Stuart. – Czy znowu będę musiał to zrobić? – Spojrzał na nich, szukając odpowiedzi.

– Tak – odparła Bonny.

– W takim razie to zrobię. Ale potem wyjdę spod chodnika, nie zostanę tam. – On też wstał. – Gill, pan może przenocować u mnie, a pani niech zostanie u Hardy'ch.

– Oczywiście – powiedziała Ella Hardy, podnosząc się. – Znajdzie się dla pani miejsce, dopóki nie urządzą się państwo na stałe.

– Dobrze – zgodziła się odruchowo Bonny. – Świetnie. – Potarła oczy. Porządnie przespana noc, pomyślała, to by mi pomogło. A co potem? Będziemy musieli poczekać.

Jeśli jutro jeszcze będziemy żyli.

– Słuchaj, Boimy – odezwał się nagle Gill. – Czy trudno ci uwierzyć w tę historię z Hoppym? Czy może łatwo? Znasz go aż tak dobrze? Rozumiesz go?

– Myślę, że to bardzo ambitne zadanie, jak na jego siły – odparła. – Ale czegoś takiego mogliśmy się spodziewać. Sięgnął dalej niż my, jak sam mówi. Ma bardzo, bardzo długie ręce. Udało mu się wspaniale pokonać kalectwo. Należy go podziwiać.

– Tak – przyznał Gill. – Podziwiam go. Bardzo.

– Gdybym wiedziała, że to mu wystarczy, to bym się aż tak nie bała.

– Żal mi Dangerfielda – powiedział Gill. – Leży tam taki bezradny, chory i może tylko słuchać.

Pokiwała głową, lecz nie chciała sobie niczego wyobrażać. Nie potrafiłaby tego znieść.

Edie Keller, ubrana w szlafrok i kaptcie, biegła ścieżką w stronę domku Hoppy'ego Harringtona.

– Pospiesz się – powiedział z jej brzucha Bill. – On już o nas wie. Tak mi mówią. Mówią, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Jeśli uda się nam do niego zbliżyć, to powiem coś głosem jakiegoś zmarłego człowieka i to go przestraszy, bo Hoppy boi się zmarłych. Pan Blaine mówi, że to dlatego, że traktuje ich jak ojców, jak bardzo wielu ojców, i...

– Cicho bądź – przerwała mu Edie. – Pozwól mi pomyśleć. – W ciemnościach pomyliła drogę. Nie potrafiła odnaleźć ścieżki prowadzącej przez dębowy las; zatrzymała się zdyszana, próbując ją dostrzec w bladym świetle księżyca.

Na prawo, pomyślała. Trzeba zejść ze wzgórza. Nie wolno mi się przewrócić, bo usłyszy hałas. On słyszy prawie wszystko z bardzo wielkiej odległości. Zaczęła schodzić krok po kroku, wstrzymując oddech.

– Już sobie obmyśliłem, co zrobić – odezwał się Bill. Ciągłe coś mamrotał i nie potrafił się uspokoić. – Będzie tak: kiedy do niego podejdziemy, to połączę się z jakimś zmarłym – nie będzie ci się to podobało, bo to dosyć... niesamowite, ale potrwa tylko kilka minut – i wtedy oni będą mogli mówić do niego prosto z twojego brzucha. Powiedz, czy się zgadzasz, bo kiedy usłyszysz...

– Zgadzam się – odparła. – Ale tylko na chwilę.

– Wiesz, co mu powiedzą? „Otrzymaliśmy straszliwą nauczkę za nasze szaleństwa. W ten właśnie sposób Bóg sprawił, że przejrzelismy”. Wiesz, kto tak powiedział? Pastor na mszy. Hoppy był wtedy małym dzieckiem i ojciec nosił go na plecach do kościoła. Przypomni to sobie, chociaż minęło już bardzo wiele lat. To była najgorsza chwila w jego życiu, a wiesz dlaczego? Bo ten pastor sprawił, że wszyscy w kościele zaczęli patrzeć na Hoppy’ego, i to była bardzo zła rzecz, i ojciec Hoppy’ego potem już nigdy nie poszedł do kościoła. Ale w dużej części to właśnie dlatego Hoppy jest teraz taki: to wina tego pastora. Więc strasznie się go boi, a kiedy znowu usłyszysz jego głos...

– Zamknij się – powiedziała Edie z rozpaczą w głosie. Byli teraz nad domem Hoppy’ego, widziała palące się w dole światła. – Proszę cię, Bill. Proszę.

– Ale przecież muszę ci wytłumaczyć – ciągnął Bill. – Kiedy...

Przerwał. W jej brzuchu niczego nie było. Edie była pusta.

– Bill – powiedziała. Zniknął.

W mdłym świetle księżyca podskakiwało przed jej oczami coś, czego jeszcze nigdy nie widziała. To coś podnosiło się urywanymi ruchami, a jego jasne, długie włosy wisały jak koński ogon. Wznosiło się tak długo, aż zawisło dokładnie naprzeciw jej twarzy. Miało malutkie, martwe oczy, otwarte usta i składało się tylko z małej, kościstej głowy przypominającej piłkę do baseballa. Z ust stworzonka wydobył się pisk, a potem wyrwało się jeszcze raz w górę, jakby przestała działać jakaś przytrzymująca je siła. Patrzyła, jak nabiera wysokości, wznosi się płynnym ruchem ponad drzewa, jak wzbija się w niebo, którego dotychczas nie znało.

– Bill – powiedziała. – On cię wyciągnął. Wydobył cię na zewnątrz. – A ty odchodzisz, zrozumiała. Hoppy cię do tego zmusza. – Wróc – poprosiła, ale to i tak nie miało znaczenia, ponieważ Bill nie mógł żyć poza jej ciałem. Wiedziała o tym. Doktor Stockstill jej powiedział. Bill nie mógł się urodzić. Hoppy usłyszał go i sprawił, że się urodził, bo wiedział, że przez to Bill umrze.

Nie doczekasz się swojego występu, pomyślała. Mówiłam ci, żebyś był cicho, ale ty nie chciałeś słuchać. Wyteżyła wzrok i zobaczyła nad sobą – a przynajmniej tak się jej wydawało – małą kulkę ze zwisającymi pasmami włosów... a potem kulka bezgłośnie zniknęła.

Została sama.

I po co dalej iść? Skończyło się. Zawróciła i ruszyła w górę ze zwieszoną głową i zamkniętymi oczami, wymacując drogę. Z powrotem do domu, do łóżka. Czowała w sobie ranę; czowała, że coś zostało wyrwane z jej ciała. Gdybyś tylko siedział cicho, pomyślała. Wtedy by cię nie usłyszał. Mówiłam ci, mówiłam.

Człapała w stronę domu.

Bill Keller unosił się w powietrzu. Widział trochę i słyszał, czuł obecność drzew i poruszających się między nimi zwierząt. Czuł siłę, która go unosi, ale nie zapomniał o swoim występie i powiedział przygotowany tekst. W chłodnym powietrzu jego głosu prawie nie było słychać, lecz w końcu dźwięk wypowiedzanych słów dotarł do jego uszu i wtedy Bill krzyknął.

– Otrzymaliśmy straszliwą nauczkę za nasze szaleństwa! – zapiszczał, a głos, który zabrzmiał teraz wyraźnie w jego uszach, sprawił mu ogromną przyjemność.

Pchająca go w górę siła przestała działać. Podskakiwał w górę i w dół, unosząc się radośnie płynnym ruchem, a potem zaczął opadać. Spadał tak i spadał, lecz nim dotknął ziemi, zaczął poruszać się na boki, aż w końcu, kierowany obecnością żywej istoty, zawisł nad anteną i domem Hoppy'ego Harringtona.

– Bóg to sprawił! – krzyknął cieniutkim, słabym głosem. – Widzimy już, że nadszedł czas, by skończyć z eksperymentami nuklearnymi w stratosferze. Chcę, żebyście wszyscy napisali listy do prezydenta Johnsona! – Bill nie wiedział, kto to jest prezydent Johnson. Może to jakiś żywy człowiek? Rozejrzał się, lecz nie zobaczył go. Zobaczył za to dębowe lasy pełne zwierząt, zobaczył też ptaka o wielkim dziobie i bystrych oczach, który płynął bezgłośnie w powietrzu. Bill pisnął ze strachu, kiedy wielki, brunatnopióry ptak skierował się w jego stronę.

Ptak wydał z siebie straszny dźwięk, oznaczający głód i pragnienie rozerwania ofiary na strzępy.

– Wszyscy! – krzyknął Bill, uciekając przez ciemność i chłód. – Wszyscy musicie napisać listy protestacyjne!

Błyszczące oczy ptaka śledziły w bladym świetle księżyca jego lot nad drzewami.

Sowa dopadła go. I natychmiast połknęła.

Rozdział szesnasty

I znów był wewnątrz. Nie widział już nic i nie słyszał. To trwało tylko krótką chwilę, a potem się skończyło. Sowa leciała dalej, pohukując.

– Słyszysz mnie? – zagadnął ją Bill Keller.

Może słyszała, a może nie; to była tylko sowa i nie miała rozumu, tak jak Edie. To nie to samo.

– Czy będę mógł w tobie zamieszkać? – zapytał. Schowany tam, gdzie nikt mnie nie znajdzie... Obok Billa w brzuchu sowy było kilka martwych myszy i jeszcze coś, co kręciło się i drapało, coś dostatecznie dużego, by walczyć o życie.

– Niżej – powiedział do sowy. Oczami ptaka zobaczył dęby. Widział bardzo wyraźnie, jakby wszystko rozświetlał od wewnątrz jasny blask. Miliony obiektów leżały nieruchomo, aż w końcu dostrzegł jeden, który się poruszał – to było coś żywego i sowa skreśliła w tamtą stronę. Ruchomy obiekt, który nic nie słyszał i niczego nie podejrzewał, wyszedł na otwartą przestrzeń.

W sekundę później obiekt został połknięty. Sowa poleciała dalej.

Dobrze, pomyślał. Czy będzie więcej? To potrwa całą noc, raz za razem, a potem kąpiel, jeśli spadnie deszcz i długi, głęboki sen. Czy to najlepsze, co może się stać? Tak.

– Fergesson nie pozwala swoim ludziom na alkohol. To wbrew jego zasadom, prawda? – powiedział. – Hoppy, skąd pochodzi to światło? Czy to Bóg? No wiesz, tak jak w Biblii? Czy to wszystko prawda?

Sowa zahukała.

– Słuchaj – odezwał się z brzucha sowy – ostatnim razem mówiłeś, że wszędzie panuje ciemność, zgadza się? Nie było żadnego światła?

Tysiąc martwych ludzi dopraszało się, by poświęcił im uwagę. Słuchał, powtarzał, wybierał.

– Ty cholerny potworku – powiedział. – A teraz słuchajcie. Zostańcie tutaj, jesteśmy poniżej poziomu ulicy. Zostań, durniu, gdzie jesteś, gdzie jesteś. Pójdę na górę i sprowadzę stamtąd. Ludzi. Zrób tu tyle. Miejsca. Ile tylko się da.

Wystraszona sowa zatrzepotała skrzydłami i wzbijała się wyżej, próbując od niego uciec. Ale on nie przestawał: przebierał, wybierał, słuchał.

– Zostańcie tutaj – powtórzył. Znów pokazały się światła domu Hoppy'ego. Sowa zatoczyła koło i wróciła w to samo miejsce, nie mogąc się oddalić. Potrafił ją zmusić, by poleciała tam, gdzie chciał. Podprowadzał ją coraz bliżej Hoppy'ego. – Zostań, durniu, gdzie jesteś – powiedział.

Sowa obniżyła lot; pohukiwała, chciała uciec. Znalazła się w potrzasku i zdawała sobie z tego sprawę. Nienawidziła go.

– Prezydent musi wysłuchać naszych wniosków – mówił. – Zanim będzie za późno.

Doprowadzona do wściekłości sowa zrobiła z ogromnym wysiłkiem to, co zwykle robiła w podobnych wypadkach – wypluła go i Bill poleciał w dół, próbując wylapywać prądy powietrza. Spadł pomiędzy rośliny na czarną ziemię; potoczył się, popiskując cicho, aż w końcu zatrzymał się w jakimś zagłębieniu.

Sowie ulżyło. Odleciała i zniknęła.

– Odnajdźcie w sobie litość – powiedział, leżąc w zagłębieniu. Mówił głosem pastora. – To my sami tego dokonaliśmy: widzimy tu owoce szaleństwa ludzkiego gatunku.

Ponieważ nie miał już sowych oczu, widział dość niewyraźnie. Wydawało mu się, że światła zniknęły, zostały tylko pobliskie niewyraźne kształty. To były drzewa.

Zobaczył też dom Hoppy’ego, rysujący się na tle mrocznego nieba. Był blisko.

– Wpuść mnie – poruszył wargami Bill. Zaczął się kulać w zagłębieniu, wiercił się tak długo, aż poruszyły się liście. – Chcę wejść.

Jakieś zwierzę usłyszało go, lecz poszło leniwie dalej.

– Wejść, wejść, wejść – powiedział Bill. – Nie mogę tutaj długo zostać. Umrę. Edie, gdzie jesteś? – Nie wyczuwał w pobliżu jej obecności, czuł tylko znajdującego się w domku fokomelika.

Potoczył się w tamtym kierunku, najszybciej, jak tylko potrafił.

Wczesnym rankiem doktor Stockstill przyszedł do obitego papą domku Hoppy’ego Harringtona, żeby podjąć czwartą próbę wyleczenia Walta Dangerfielda. Zauważył, że nadajnik jest włączony i że tu i tam palą się światła. Zdziwiony zapukał do drzwi.

Kiedy się otworzyły, zobaczył siedzącego na wózku Hoppy’ego Harringtona. Fokomelik spojrzał na niego jakoś dziwnie – jakby był zaniepokojony, a jednocześnie się bał.

– Chciałbym jeszcze raz spróbować – powiedział psychiatra. Zdawał sobie sprawę, jakie to bezsensowne, a jednak chciał dalej próbować. – Można?

– Oczywiście, proszę pana – rzekł Hoppy. – Można.

– Czy Dangerfield jeszcze żyje?

– Tak, proszę pana. Gdyby nie żył, to bym o tym wiedział. – Hoppy odjechał na bok, żeby wpuścić Stockstilla. – Na pewno tam jeszcze jest.

– Co się stało? – zapytał psychiatra. – Nie spałeś całą noc?

– Nie spałem – potwierdził Hoppy. – Uczyłem się, jak robi się różne rzeczy. – Z ponurą miną objechał pokój. – Trudna sprawa – powiedział, najwyraźniej zaabsorbowany.

– Teraz wydaje mi się, że ten pomysł z terapią dwutlenkiem węgla był pomyłką – rzekł Stockstill, siadając przed mikrofonem. – Tym razem spróbuję wolnych skojarzeń, jeśli uda mi się go do tego namówić.

Fokomelik wciąż krążył po pokoju. Wózek uderzył o stół.

– To przez pomyłkę – odezwał się Hoppy. – Przepraszam, nie chciałem.

– Wydaje mi się, że się zmieniłeś – rzekł Stockstill.

– Jestem ciągle taki sam. Nazywam się Bill Keller, a nie Hoppy Harrington – wyjaśnił fokomelik. – Hoppy jest tam. – Pokazał protezą prawej ręki. – Od teraz to on.

W kącie leżał skurczony, ciastowaty, długi na kilkanaście cali kształt. Puste usta zastygły w śmiertelnym skurczu. Było w nim coś ludzkiego; Stockstill podszedł, by go podnieść.

– To kiedyś byłem ja – powiedział fokomelik. – Ale wczoraj w nocy udało mi się podejść do niego na tyle blisko, żeby się zamienić. Mocno się bronił, ale był przestraszony, więc wygrałem. Naśladowałem głosy, jeden po drugim. Pastor go załatwił.

Stockstill, który trzymał w ręku zasuszonego, maleńkiego homunkulusa, nie odezwał się ani słowem.

– Wie pan, jak się obsługuje nadajnik? – zapytał fokomelik. – Bo ja nie. Próbowałem, ale mi się nie udało. Nauczyłem się tylko włączać i wyłączać światła. – Podjechał do ściany i żeby udowodnić, że to prawda, pstryknął przełącznikiem.

– Wiedziałem, że nie uda mu się przeżyć – odezwał się po chwili Stockstill, patrząc na maleńką martwą istotę, którą trzymał w dłoni.

– Żył trochę – powiedział fokomelik. – Mniej więcej przez godzinę. Całkiem nieźle, prawda? Część tej godziny spędził w brzuchu sowy. Nie wiem, czy to się liczy.

– Lepiej będzie... jak zabiorę się do roboty i spróbuję nawiązać łączność z Dangerfieldem – stwierdził w końcu Stockstill. – Może lada chwila umrzeć.

– No tak. – Fokomelik pokiwał głową. – Mam to zabrać? – Wyciągnął w stronę psychiatry protezę, a ten podał mu homunkulusa. – Ta sowa mnie połknęła – powiedział. – Nie bardzo mi się to podobało, ale trzeba przyznać, że miała dobre oczy. Bardzo dobrze mi się patrzyło.

– Tak – rzekł Stockstill z roztargnieniem. – Sowy mają wyjątkowo ostry wzrok... to rzeczywiście musiało być wspaniałe przeżycie. – Ta rzecz, którą trzymał w ręce... to wszystko wydawało mu się niemożliwe. A jednak nie było wcale dziwne. Fokomelik przesunął Billy'ego tylko o kilka cali – to wystarczyło. A zresztą czym był ten wyczyn w porównaniu z tym, co Hoppy zrobił z doktorem Bluthgeldem. Najwyraźniej fokomelik stracił ślad Billa po tym, jak ten wyszedł z ciała siostry i połączył się najpierw z jedną, a potem drugą substancją. Znalazł fokomelika i z nim także się połączył, a w końcu wyparł go i przeniósł do swojego ciała.

To była nieuczciwa wymiana. Hoppy zrobił wyjątkowo zły interes: ciało, które otrzymał w zamian, żyło najwyżej kilka minut dłużej.

– Wiedział ppan o tym, że Hoppy przez jakiś czas kkontrolował satelitę? – zapytał Bill Keller, zacinając się, jakby ciągle jeszcze miał kłopoty z ciałem fokomelika. – Wszyscy się strasznie zdenerwowali. Obudzili mnie w nocy, żeby mi o tym powiedzieć, a ja obudziłem Edie. I tak się tutaj znalazłem – dodał z napiętym, poważnym wyrazem twarzy.

– A co zamierzasz teraz zrobić? – zapytał Stockstill.

– Muszę się przyzwyczaić do tego ciała – odparł fokomelik. – Jest ciężkie. Czuję siłę przyciągania... przedtem tylko się unosiłem. Wie pan co? Te protezy są naprawdę świetne. Już potrafię się nimi niezłe posługiwać. – Protezy poruszyły się szybko, dotknęły wiszącego na ścianie obrazu, a potem machnęły w stronę nadajnika. – Muszę znaleźć Edie – dodał. – Chcę jej powiedzieć, że ze mną wszystko w porządku. Myśli na pewno, że umarłem.

Stockstill odwrócił się do mikrofonu.

– Panie Dangerfield, tu mówi doktor Stockstill z West Marin. Słyszysz mnie pan? Jeśli tak, to proszę odpowiedzieć. Chciałbym kontynuować terapię, którą zacząłem parę dni temu. – Przerwał, a potem powtórzył to, co powiedział.

– Musi pan próbować wiele razy – poradził fokomelik, patrząc na niego. – Trudno będzie, bo on jest bardzo słaby. Pewnie nie może wstać i nie rozumiał, co się dzieje, kiedy Hoppy zapanował nad satelitą.

Stockstill pokiwał głową, nacisnął przycisk mikrofonu i spróbował jeszcze raz.

– Mogę już iść? – zapytał fokomelik. – Mogę poszukać Edie?

– Idź – odparł Stockstill, pocierając czoło. Pozbierał myśli. – Tylko uważaj, co robisz... może już nigdy nie będziesz mógł się zamienić.

– Nie chcę się zamieniać – rzekł fokomelik. – Tu mi się podoba, bo pierwszy raz nie ma tu nikogo poza mną. Chodzi mi o to, że jestem sam – wyjaśnił. – Nie jestem już tylko częścią kogoś innego. Oczywiście już się kiedyś zamieniałem, ale wszedłem do tego ślepego zwierzątka: Edie mnie nabrała i to wcale nie było to, o co mi chodziło. Teraz jest inaczej. – Na chudej twarzy fokomelika pojawił się uśmiech.

– Uważaj na siebie – powtórzył Stockstill.

– Dobrze, proszę pana – zgodził się posłusznie fokomelik. – Spróbuję. Miałem pecha z tą sową, ale to nie była moja wina, bo wcale nie chciałem, żeby mnie połknęła. To był pomysł sowy.

Ale to tutaj to był twój pomysł, pomyślał Stockstill. Jest różnica, widzę to wyraźnie. To bardzo ważne.

– Panie Dangerfield, tu doktor Stockstill – powiedział do mikrofonu. – Ciągłe próbuję nawiązać z panem łączność. Wydaje mi się, że mógłbym panu pomóc się z tego wydobyć, jeżeli będzie pan postępował według moich wskazówek. Myślę, że dzisiaj spróbujemy metody wolnych skojarzeń, żeby zrozumieć podstawowe przyczyny napięcia, w jakim pan się znajduje. Tak czy inaczej w niczym to panu nie zaszkodzi. Myślę, że powinien pan to docenić.

Z głośnika słychać było tylko szum. Czy to czasem nie beznadziejne? – zastanowił się doktor Stockstill. Czy warto dalej próbować? Jeszcze raz wdusił przycisk mikrofonu.

– Wiemy już, kto próbował zająć pana miejsce. Ten człowiek już nie żyje, więc nie musi się

pan martwić. Kiedy nabierze pan dostatecznie dużo sił, opowiem panu o tym szczegółowo. Dobrze? Zgadza się pan? – Wyteńczył słuch. Nic, tylko szum.

Fokomelik jeździł wózkiem po pokoju jak wielki, kaleki chrząszcz.

– Czy jak już wydostałem się na zewnątrz, to będę mógł pójść do szkoły? – zapytał.

– Tak – mruknął psychiatra.

– Ale ja i tak wiem bardzo dużo – ciągnął Bill. – W szkole słuchałem razem z Edie. Nie muszę się cofać i powtarzać klasy. Mogę chodzić dalej razem z nią. Nie sądzi pan?

Stockstill pokiwał głową.

– Ciekawe, co powie moja mama – zastanowił się fokomelik.

– Co? – Stockstill drgnął na dźwięk tych słów, a potem zrozumiał, o kim mowa. – Nie ma jej. Odeszła z Gillem i McConchiem.

– Wiem, że odeszła – powiedział smutno Bill. – A wróci kiedyś?

– Pewnie nie – odparł psychiatra. – Bonny to dziwna kobieta, bardzo niespokojna. Nie liczyłbym na to, że wróci. – Byłoby lepiej, gdyby się nie dowiedziała, pomyślał. To byłoby dla niej bardzo trudne przeżycie. Ostatecznie wcale cię nie znała, zdał sobie sprawę. Wiedziałem tylko ja i Edie. No i Hoppy. I sowa, pomyślał. – Dam sobie spokój z tym wywoływaniem Dangerfielda – rzekł nagle. – Może innym razem.

– Zdaje się, że panu przeszkadzam – zauważył Bill. Stockstill pokiwał głową.

– Przepraszam – powiedział Bill. – Próbowałem ćwiczyć i nie wiedziałem, że pan ma przyjść. Nie chciałem pana zdenerwować. To się stało nagle, w nocy: przykulałem się tutaj i wszedłem przez szparę pod drzwiami, zanim Hoppy zrozumiał, co się dzieje, a potem było już za późno, bo byłem blisko niego. – Przerwał, widząc wyraz twarzy doktora.

– To coś, z czym nigdy przedtem się nie spotkałem – stwierdził Stockstill. – Wiedziałem o twoim istnieniu. Ale właściwie nic więcej.

– Nie wiedział pan, że uczę się zamieniać z innymi – stwierdził z dumą Bill.

– Nie.

– Niech pan jeszcze raz spróbuje połączyć się z Dangerfieldem. Niech pan się nie poddaje: wiem, że on tam jest. Nie powiem panu, skąd to wiem, bo by się pan tylko bardziej zdenerwował.

– Dziękuję ci – powiedział Stockstill. – Za to, że mi nie powiesz.

Po raz kolejny nacisnął guzik mikrofonu. Fokomelik otworzył drzwi i wyjechał na zewnątrz, na ścieżkę. Fokomobil zatrzymał się przed domem i fokomelik obejrzał się, niezdecydowany.

– Jedź lepiej i poszukaj siostry – rzekł Stockstill. – Jestem pewien, że to dla niej bardzo ważne.

Kiedy znów podniósł wzrok, fokomelika już nie było. Jego wózek zniknął.

– Panie Dangerfield – powiedział Stockstill do mikrofonu. – Będę tu siedział i próbował się

z panem połączyć tak długo, aż pan się wreszcie odezwie albo ja padnę trupem. Nie twierdzą, że nie cierpi pan na rzeczywistą dolegliwość w sensie fizycznym, twierdzą natomiast, że częściowo może być ona wywołana pana kondycją psychiczną, która... co trzeba przyznać... jest pod wieloma względami zła. Zgodzi się pan ze mną? A po tym, przez co pan przeszedł, widząc, jak odbiera się panu kontrolę nad...

Z głośnika rozległ się odległy głos:

– No dobra, Stockstill – odezwał się lakonicznie Dangerfield. – Spróbujemy tych pana wolnych skojarzeń. Chociażby po to, aby udowodnić panu, że jestem naprawdę bardzo poważnie chory.

Doktor Stockstill odetchnął i odprężył się.

– Nareszcie. Odbierał mnie pan przez cały czas?

– Tak, przyjacielu – potwierdził Dangerfield. – Zastanawiałem się, jak długo jeszcze będzie pan tak marudził. Wyglądało na to, że do końca świata. Cokolwiek by się o was powiedziało, jesteście bardzo uparci.

Stockstill rozparł się na krześle i drżącymi rękami zapalił papierosa special deluxe gold label.

– Chciałbym, żeby się pan wygodnie położył.

– Cały czas wygodnie leżę – odparł kwaśno Dangerfield. – Nie wstaję od pięciu dni.

– Powinien pan również, jeśli to możliwe, być całkowicie bierny. Odprężony i pasywny.

– Coś jak wieloryb – powiedział Dangerfield. – Mam unosić się wśród odmetów, co? Mam się teraz zacząć zastanawiać nad popędami kazirodczymi z dzieciństwa? Niech no pomyślę... zdaje się, że patrzę na matkę, która rozczesuje włosy przy toalecie. Jest bardzo ładna. Nie, przepraszam, pomyliłem się. To jest film, a ja oglądam Normę Shearer. Jest bardzo późno i ten film leci w telewizji. – Roześmiał się słabo.

– Czy pana matka była podobna do Normy Shearer? – zapytał Stockstill. – Wyjął papier i ołówek i robił notatki.

– Raczej do Betty Gracie, jeśli ją pan sobie przypomina. Ale pewnie jest pan za młody. Ja jestem stary. Mam prawie tysiąc lat... człowiek się starzeje, kiedy jest tak wysoko, i to sam.

– Niech pan nie przerywa – powiedział Stockstill. – Niech pan mówi, co tylko przyjdzie panu do głowy. Niech pan się do niczego nie zmusza, tylko pozwoli, by myśli płynęły same.

– Zamiast odczytywać światu klasykę, mogę się zająć wolnymi skojarzeniami na temat traumatycznych przeżyć w łazience. Zastanawiam się, czy ludzkość byłaby tym równie zainteresowana. Ja uważam, że to fascynujące.

Stockstill roześmiał się mimo woli.

– Jest pan ludzki – stwierdził Dangerfield, a w jego głosie zabrzmiało zadowolenie. – Podoba mi się to. To punkt na pana korzyść. – Zaśmiał się znajomo. – Mamy ze sobą coś

wspólnego: obaj uważamy, że to, czym się w tej chwili zajmujemy, jest bardzo zabawne.

– Chcę panu pomóc. – Stockstill się zdenerwował.

– A tam, do diabła – odpowiedział odległy głos. – Przecież to ja panu pomagam, doktoru. Gdzieś głęboko w podświadomości zdaje pan sobie sprawę z tego, że tak jest. Potrzebna jest panu świadomość, że robi pan coś istotnego, prawda? Kiedy miał pan po raz pierwszy takie uczucie? Niech pan tylko położy się i odpreży, a ja zajmę się resztą. – Zachichotał. – Zdaje sobie pan oczywiście sprawę, że nagrywam wszystko na taśmę? Zamierzam puszczać tę naszą głupią rozmowę co wieczór, kiedy będę przelatował nad Nowym Jorkiem: będą zachwyceni taką intelektualną gadaniną.

– Proszę pana – powiedział Stockstill – kontynuujmy.

– Trala lala la – zaśpiewał wesoło Dangerfield. – Ależ oczywiście. Może porozmawiamy o dziewczynce, którą kochałem, kiedy byłem w piątej klasie? To właśnie wtedy tak naprawdę zaczęły się moje kazirodcze myśli. – Zamilkł na chwilę, a potem powiedział z zastanowieniem: – Wie pan co, bardzo dawno nie myślałem o Myrze. Chyba ze dwadzieścia lat.

– Zabierał pan ją na tańce albo gdzie indziej?

– W piątej klasie?! – krzyknął Dangerfield. – Zwariował pan czy co?! Oczywiście, że nie. Ale ją pocałowałem. – Jego głos wydawał się teraz spokojniejszy, taki jak dawniej. – Nigdy o tym nie zapomniałem – mruknął. Szum zagłuszył na chwilę jego słowa. –...a potem – mówił Dangerfield, kiedy Stockstill znów go usłyszał – Arnold Klein trzepnął mnie w łeb, a ja go popchnąłem i przewróciłem, bo na nic innego sobie nie zasłużyłem. Nadażają pan? Zastanawiam się, iluż to żarliwych słuchaczy odbiera naszą rozmowę. Widzę, że zapalają się światełka: próbują się ze mną połączyć na wielu częstotliwościach. Chwileczkę, doktorze. Będę musiał przyjąć kilka rozmów. Kto wie, może się okaże, że to jacyś inni, lepsi od pana psychoanalitycy. I tańsi – dodał jeszcze, rozłączając się.

Przez dłuższą chwilę było cicho, a potem Dangerfield odezwał się znowu:

– Sprawiedliwi ludzie mówią mi, że postąpiłem słusznie, kiedy trzepnąłem Arnolda Kleina w łeb – powiedział radośnie. – Jak na razie stosunek głosów wynosi cztery do jednego na moją korzyść. Mam mówić dalej?

– Tak, proszę – odparł Stockstill, skrobiąc coś w notatniku.

– A potem pojawiła się Jenny Linhart. To było na początku szóstej klasy.

Krażący po orbicie satelita zbliżył się do Ziemi: Dangerfielda było słychać głośno i wyraźnie. A może to aparatura Hoppy'ego Harringtona była tak znakomita. Doktor Stockstill, rozparty na krześle, palił papierosa i słuchał głosu, który stawał się coraz donośniejszy, aż w końcu zaczął wypełniać pokój i odbijać się echem.

Ileż to razy musiał tu siedzieć Hoppy, słuchając satelity, pomyślał psychiatra. Planował, przygotowywał się do najważniejszego dnia. A teraz wszystko się skończyło. Czy fokomelik Bill

Keller zabrał tę pomarszczoną, wysuszoną rzecz ze sobą? Czy może jeszcze gdzieś tu leży?

Stockstill nie rozglądał się na boki; skupił się na głosie, który teraz dochodził do niego z tak wielką siłą. Nie pozwolił sobie na to, by zwracać uwagę na cokolwiek innego, co mogłoby się znajdować w pokoju.

Bonny Keller obudziła się w obcym, lecz miękkim łóżku, które stało w nieznanym pokoju. Ciągle jeszcze była odurzona snem. Ze wszystkich stron oblewało ją rozproszone, żółte światło, którego źródłem było niewątpliwie poranne słońce, a nad nią pochylał się dobrze znany mężczyzna, wyciągając do niej ręce. Był to Andrew Gill i przez chwilę wyobraziła sobie, a właściwie zmusiła się, by sobie to wyobrazić, że znów jest dzień Katastrofy.

– Cześć – mruknęła, przyciągając go do siebie. – Przestań – powiedziała po chwili. – Zmiażdżysz mnie, a poza tym jeszcze się nie goliłeś. Co się dzieje? – Znienacka usiadła na łóżku, odpychając go.

– Tylko spokojnie – rzekł Gill. Odrzucił na bok pościel, wziął ją na ręce i poniosł Bonny w stronę drzwi.

– Dokąd idziemy? – spytała. – Do Los Angeles? Chcesz mnie tam zanieść na rękach?

– Pójdziemy kogoś posłuchać. – Pchnął ramieniem drzwi i ruszył wąskim, niskim korytarzykiem.

– Kogo? – zażądała odpowiedzi. – Słuchaj, przecież nie jestem ubrana. – Miała na sobie tylko bieliznę, w której położyła się spać.

Przed sobą zobaczyła living room Hardych, gdzie przy radioodbiorniku, z twarzami przepełnionymi głęboką, młodzieńczą radością, stali Stuart McConchie, państwo Hardy i kilku mężczyzn, którzy, jak pomyślała, musieli być pracownikami Hardy'ego.

Z radia dobiegał głos, który słyszeli poprzedniego wieczoru, a może jakiś inny? Wsłuchiwała się weń; Andrew Gill usiadł i posadził ją sobie na kolanach.

–...a potem Jenny Linhart powiedziała, że jej zdaniem przypominam dużego pudła – mówił głos. – Myślę, że miało to coś wspólnego z tym, jak strzygła mnie moja starsza siostra. Rzeczywiście wyglądałem jak duży pudel. To nie była obelga. To było stwierdzenie faktu, które dowodziło, że Jenny mnie zauważa. Przecież to lepiej, niż gdyby w ogóle mnie nie zauważała, prawda? – Dangerfield zamilkł, jakby czekał na odpowiedź.

– Z kim on rozmawia? – zapytała, ciągle jeszcze odurzona snem, ciągle nie w pełni rozbudzona. A potem zrozumiała, co to wszystko oznacza. – On żyje – powiedziała. I nie ma Hoppy'ego. – Do diabła – zakląła głośno. – Czy ktoś mi może powiedzieć, co się stało? – Zsunęła się z kolan Gilla i stała teraz, dygocząc. Poranek był chłodny.

– Nie wiemy, co się stało – odparła Ella Hardy. – Najwidoczniej wrócił w nocy na antenę. Nie wyłączyliśmy radia, więc go usłyszeliśmy. To nie jest pora, o której zwykle dla nas nadaje.

– Najwyraźniej rozmawia z jakimś lekarzem – wtrącił się pan Hardy. – Może to psychiatra,

który poddaje go psychoanalizie.

– Boże drogi – powiedziała ze śmiechem Bonny. – To niemożliwe: Dangerfield i psychoanaliza. – No, ale co z Hoppym? – pomyślała. Czy zrezygnował? Czy wysiłek związany z próbą dotarcia aż tak daleko okazał się dla niego zbyt wielki? Czyżby on też podlegał ograniczeniom, jak każda żyjąca istota? Wróciła szybko do sypialni po rzeczy, ciągle słuchając, co mówi Dangerfield. Nikt nie zauważył jej odejścia, byli zbyt zajęci radiem.

I pomyśleć, że ta czarna magia mogłaby mu pomóc. To wyjątkowo zabawne; trzęsa się z zimna i radości, zapinając guziki koszuli. Dangerfield leży na kanapie w satelicie i głądzi o swoim dzieciństwie... O Boże, pomyślała i pobiegła do living roomu, żeby nie uronić ani słowa.

Andrew zatrzymał ją w korytarzu.

– Sygnał zanikł – oznajmił. – Nie słychać go już.

– Dlaczego? – Przystała się śmiać: była przerażona.

– Mieliśmy szczęście, że w ogóle coś usłyszeliśmy. Myślę, że wszystko z nim w porządku.

– Tak się boję – powiedziała. – Przypuśćmy, że wcale tak nie jest.

– Ależ wszystko jest dobrze – próbował ją uspokoić. Położył swoje wielkie dłonie na jej ramionach. – Przecież go słyszałaś, słyszałaś, jak brzmi jego głos.

– Ten psychoanalityk zasłużył na medal za odwagę pierwszej klasy – powiedziała.

– Tak – odparł ponuro Gill. – Psychoanalityk, bohater pierwszej klasy, masz całkowitą rację.

– Zamilkł, ciągle trzymał dłonie na jej ramionach, odsunął się jednak trochę. – Przepraszam, że tak wpadłem i wyciągnąłem cię z łóżka. No, ale byłem pewien, że chciałabyś posłuchać.

– Tak – przyznała.

– Bardzo ci zależy na tym, żebyśmy ruszyli w dalszą drogę? Mamy się wybrać aż do Los Angeles?

– Cóż – powiedziała. – Masz tutaj swoje interesy. Moglibyśmy zostać, przynajmniej na razie. I przekonać się, czy z nim dalej będzie wszystko w porządku. – Ciągle była zdenerwowana, ciągle niepokoił ją Hoppy.

– Nigdy nie można być niczego do końca pewnym – rzekł Andrew. – I to właśnie powoduje, że życie jest takie trudne, nie sądzisz? Spójrzmy prawdzie w oczy: on jest tylko śmiertelnikiem; pewnego dnia go nie będzie. Tak jak nas wszystkich. – Spojrzał na nią z góry.

– Ale jeszcze nie teraz – odparła. – Gdyby to miało się stać za kilka lat, potrafiłabym to znieść. – Ujęła go za rękę i pocałowała go. Czas, pomyślała. Miłość, którą kiedyś darzyliśmy się wzajemnie, miłość, którą czujemy do Dangerfielda teraz i którą czuć będziemy w przyszłości. Szkoda, że to taka bezsilna miłość; szkoda, że nie potrafi sama postawić go na nogi – to uczucie, które żywimy do siebie i do niego.

– Pamiętasz dzień Katastrofy? – zapytał Andrew.

– Oczywiście, że tak.

– Czy w związku z tym doszłaś do jakiś wniosków?

– Zrozumiałam, że cię Kocham. – Odeszła szybko od niego, czerwieniąc się z powodu tego, co właśnie powiedziała. – Nieźle – mruknęła. – Poniosło mnie, przepraszam. To minie.

– Ale naprawdę tak myślisz.

– Tak. – Pokiwała głową.

– Trochę się starzeję – powiedział Andrew.

– Wszyscy się starzejemy. Trzeszczy mi w stawach, kiedy rano wstaję... może ostatnio zauważyłeś.

– Nie – odparł. – Nie będziesz stara, dopóki będziesz miała wszystkie zęby na swoim miejscu, tak jak teraz. – Spojrzał na nią niepewnie. – Nie wiem, co mam ci powiedzieć, Bonny. Mam przeczucie, że możemy tutaj bardzo wiele osiągnąć. Taką mam przynajmniej nadzieję. Przyjechałem tutaj po nowe maszyny dla mojej fabryki; czy to jest podle albo uciążliwe? Czy to jest... – machnął ręką – beznadziejnie głupie?

– Nie, to sympatyczne – odpowiedziała.

Pani Hardy wyszła na korytarz.

– Złapaliśmy go jeszcze raz na minutę. Dalej opowiadał o swoim dzieciństwie. Wydaje mi się, że teraz usłyszymy go dopiero o zwykłej porze o czwartej po południu. Co ze śniadaniem? Mamy trzy jajka do podziału; mężowi udało się je w zeszłym tygodniu kupić od domokrażcy.

– Jajka – powtórzył Andrew Gill. – Jakie jajka? Kurze?

– Są duże i brązowe – odparła pani Hardy. – Myślę, że kurze, chociaż nie można być pewnym, dopóki ich się nie rozbije.

– Wspaniała perspektywa – powiedziała Bonny. Była już bardzo głodna. – Myślę, że jednak powinniśmy za nie zapłacić. Dostaliśmy od państwa już tak dużo: dach nad głową i wczorajszą kolację. – Taka gościnność była w owych czasach niesłychana, a Bonny z pewnością nie spodziewała się natrafić na nią w mieście.

– Prowadzimy wspólne interesy – zwróciła jej uwagę pani Hardy. – Wszystko, co mamy, i tak pójdzie do wspólnego worka, prawda?

– Ale ja niczego nie mam. – Nagle wyraźnie sobie to uświadomiła i zwiesiła głowę. Mogę tylko brać, pomyślała. A nie dawać.

Inni nie podzielali jednak jej zdania. Pani Hardy wzięła ją za rękę i poprowadziła do kuchni.

– Pomoże mi pani – powiedziała. – Mamy też ziemniaki. Może je pani obrać. Pracownicy dostają od nas śniadanie; zawsze jemy razem. Tak jest taniej, a oni nie mają kuchni, mieszkają w pojedynczych pokojach. Stuart i inni. Musimy się nimi opiekować.

Jesteście bardzo dobrzy, pomyślała Bonny. A więc tak wygląda miasto – to przed tym ukrywaliśmy się przez te wszystkie lata. Słyszeliśmy straszne historie o tym, że zostały tu tylko

ruiny, wśród których czają się drapieżniki, bezdomni, oportuniści i ćpuny. Że to tylko wspomnienie po tym, czym kiedyś było miasto... przed wojną też od niego uciekaliśmy. Już wtedy baliśmy się tu mieszkać.

Kiedy weszli do kuchni, usłyszeli, że Stuart McConchie rozmawia z Deanem Hardym.

-...a ten szczur, oprócz tego, że potrafił grać na flecie nosowym... – Stuart przerwał na jej widok. – To taka miejscowa anegdota – usprawiedliwił się. – Mogłaby panią przestraszyć. Opowiada o inteligentnych zwierzętach, a wielu ludzi uważa, że one są odrażające.

– Niech mi ją pan opowie – poprosiła. – Niech mi pan opowie o szczurze, który grał na flecie nosowym.

– Niewykluczone, że pomyliły mi się ze sobą dwa inteligentne zwierzaki – powiedział Stuart, nastawiając wodę na substytut kawy. Przez chwilę bawił się czajnikiem, a potem oparł się zadowolony, z rękami w kieszeniach, o piec, w którym paliło się drewno. – Tak czy inaczej, wydaje mi się, że ten weteran mówił, że szczur opracował też jakiś prymitywny system księgowości. No, ale to nie brzmi przekonująco. – Zmarszczył brwi.

– Dla mnie tak – powiedziała Bonny.

– Przydałby się nam tutaj taki szczur – odezwał się pan Hardy. – Będziemy potrzebowali dobrego księgowego, skoro interes ma się rozwijać tak, jak przewidujemy.

Na San Pablo Avenue ruszyły w drogę pierwsze ciągnięte przez konie wozy. Bonny słyszała ostry stukot podków. Usłyszała krzątanicę i podeszła do okna, by wyjrzeć na zewnątrz. Zobaczyła też rowery i olbrzymią ciężarówkę na gaz drzewny. I idących ludzi. Bardzo wielu.

Zza zbitej z desek szopy wychynęło jakieś zwierzę, ostrożnie przeszło otwartą przestrzeń i zniknęło za gankiem domu po przeciwnej stronie ulicy. Po chwili pokazało się znowu, tym razem w towarzystwie drugiego. Oba stworzenia były krępe, miały krótkie kończyny i wyglądały jak zmutowane buldogi. Drugie zwierzę ciągnęło niechlujnie zbudowaną, przypominającą sanki platformę. Platforma, załadowana różnymi cennymi rzeczami, głównie żywnością, sunęła za szukającymi panicznie kryjówek zwierzętami, podskakując na nierównościach chodnika.

Bonny stała przy oknie i patrzyła uważnie, jednak krótkonogie zwierzęta już się nie pojawiły. Chciała się właśnie odwrócić, kiedy kątem oka zauważyła, że coś jeszcze rozpoczyna nowy dzień. Ujrzała pomalowaną na błotnisty kolor metalową obudowę, która dodatkowo zamaskowana była kawałkami liści i gałązek. To coś zatrzymało się i wysunęło w stronę porannego słońca dwie delikatne, drżące anteny.

Co to, u licha, może być? – zastanowiła się. A potem zrozumiała, że patrzy na homeostatyczną pułapkę Hardy'ego w akcji.

Powodzenia, pomyślała.

Pułapka najpierw stała w miejscu, jakby się wahając, i rozglądała się uważnie we wszystkie strony, aż w końcu ruszyła niepewnie śladem dwóch buldogowatych zwierząt. Zniknęła za

pobliskim domem, poważna, uroczysta i o wiele za wolna, by pościg mógł się jej udać. Bonny nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

Zaczynał się zwykły dzień. Dookoła niej miasto budziło się kolejny raz do normalnego życia.

Posłowie

Cóż, kiedy w 1964 roku pisałem *Doktora Bluthgelda*, nie udało mi się odgadnąć przyszłości. Wydarzenia, których nadejście przewidywałem, nigdy nie nastąpiły. Mieliście okazję się przekonać, co chcę przez to powiedzieć, czytając tę książkę. Ale tak właściwie to prognozowanie nie jest zadaniem fantastyki naukowej. Fantastyka naukowa tylko na pozór stawia prognozy. To tak, jak z kosmitami z serialu *Star Trek*, którzy mówią po angielsku. Mamy tu do czynienia z konwencją literacką. I z niczym więcej.

A jednak zabawnie będzie się przyjrzeć, co do jakich szczegółów się pomyliłem. Najgorsze, że zupełnie nie udało mi się przewidzieć przyszłości kosmicznych lotów załogowych. W *Doktorze Bluthgeldzie* mamy jednego Amerykanina, który w nieskończoność okrąża Ziemię. To zupełny nonsens, bo Amerykanów – czy Rosjan – powinno być albo wielu, albo nie powinno być ich wcale.

Oczywiście podstawową sprawą, co do której się myliłem, było nadejście końca świata. W 1964 roku spodziewałem się, że nastąpi on lada chwila, i ciągle patrzyłem na zegarek. Horace Gold, wydawca czasopisma „Galaxy”, zbeształ mnie za to, że przewiduję nadejście globalnej katastrofy w ciągu najbliższego tygodnia. To było około roku 1954, a ja sądziłem, że świat skończy się przed rokiem 1964. Teraz mamy inne kłopoty. Problemem wydaje się spłacanie długów dolarami, które uległy ogromnej inflacji, znalezienie benzyny do samochodu – znacznie bardziej przyziemne troski. Mniej kosmiczne.

Co dziwne, to właśnie tego rodzaju zmartwienia trapią bohaterów *Doktora Bluthgelda*, żyjących w świecie, który pojawił się po trzeciej wojnie światowej. Są tam konie, które ciągną samochody. Okulary są trudno dostępne i drogie. Człowiek, który wyrabia papierosy, jest przyjmowany z honorami, gdziekolwiek się pojawi. Ktoś, kto potrafi naprawiać różne rzeczy, jest ceniony szczególnie wysoko. Społeczeństwo uwsteczniło się, ale nie aż tak, jak moglibyśmy się spodziewać. Stało się raczej bardziej wiejskie w swojej istocie. Zniknęły wielkie miasta, a w ich miejsce pojawiło się coś w rodzaju wsi, która wcale nie jest straszna. Muszę jednak dodać, że realia tej wsi w żadnym razie nie przypominają świata, w którym żyjemy.

No, ale oczywiście nie było też trzeciej wojny światowej.

Moim zdaniem w tej powieści jest bardzo wiele nadziei. Książka nie zakłada, że w wyniku kolejnej wojny światowej nastąpi koniec cywilizacji. Ludzie żyją i dają sobie radę. W każdym razie ci, którzy przeżyli, są w nowych warunkach całkiem szczęśliwi. Interesująca jest niewielka zmiana we wzajemnym układzie sił, jaka zaszła wśród ocalałych. Weźmy na przykład Hoppy’ego Harringtona, który nie ma rąk ani nóg. Zanim spadną bomby, Hoppy jest postacią

marginalną. Ma szczęście, że w ogóle dostał jakąkolwiek pracę. Lecz w powojennej rzeczywistości już tak nie jest. Hoppy pnie się ukradkiem w górę, aż w końcu zagraża nawet człowiekowi, który żyje poza Ziemią: Hoppy staje się półbogiem, a do tego bardzo skomplikowanym półbogiem. Właściwie nie jest zły w potocznym sensie tego słowa... lecz mamy tu do czynienia z przykładem nadużycia siły – zło emanuje z siły jako takiej. Tak naprawdę to nie Hoppy jest zły, lecz jego siła.

Krażący w satelicie Walt Dangerfield przechodzi metamorfozę – z kogoś, kto pomagał rozdrobnionemu powojennemu społeczeństwu, kto dawał mu poczucie jedności, siłę i podtrzymywał morale, staje się słabnącym z dnia na dzień człowiekiem, desperacko szukającym pomocy tegoż społeczeństwa. Dangerfield uosabia samotność, która stała się też koszmarem wielu ludzi żyjących na Ziemi – samotność i utratę tych przedmiotów i wartości, które składały się na ich dawny świat. Z czasem Walt Dangerfield jest zmuszony czerpać siłę od ludzi żyjących na Ziemi, zamiast im ją dawać. W pustkę, która powstaje, wkracza Hoppy Harrington, ucieleśniający drzemiącą w każdym z nas bestię – głodnego człowieka. Głodnego nie pożywienia, lecz władzy nad innymi. Ta żądza ma u Hoppy'ego źródło w jego fizycznym upośledzeniu. Jest rekompensatą za to, czego mu od urodzenia brakowało. Hoppy jest upośledzony i chce kosztem całego świata wyrównać to upośledzenie; chce pożreć świat, w psychologicznym rozumieniu tego słowa.

Zauważyliście, że w *Doktorze Bluthgeldzie* mowa jest o przeprowadzonych w 1972 roku eksperymentach, które zakończyły się katastrofą. Oczywiście nie było ani takich eksperymentów, ani katastrofy. No i nie było nikogo takiego jak doktor Bluthgeld. To wszystko fikcja literacka. A jednak w pewnym sensie tak nie jest. West Marin – zachodnia część hrabstwa Marin, gdzie toczy się większa część akcji – to miejsce, które dobrze znam. Mieszkałem tam, kiedy pisałem tę powieść. Wiele z tego, co opisuję, jest prawdziwe. Tak więc w dużym stopniu prawda miesza się z fikcją. Tak jak niektórzy bohaterowie, ja też szukałem grzybów w West Marin i znajdowałem te gatunki, które oni znajdują (i wystrzegałem się tych, których oni się wystrzegają). To jedna z najpiękniejszych okolic w Stanach Zjednoczonych, a Sierra Club nazwał ją „wyspą na oceanie czasu”. Kiedy mieszkałem tam na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, okolica ta była odcięta od pozostałej części Kalifornii i dlatego wydawała mi się naturalnym tłem dla mikrokosmosu powojennego społeczeństwa. Właściwie już wtedy stanowiła zamknięty światek. Kiedy czytam po raz kolejny *Doktora Bluthgelda*, zauważam z zadowoleniem, że udało mi się utrwalić w słowach ten niewielki świat, który tak kochałem – świat, od którego dzielą mnie teraz czas i przestrzeń.

Moim ulubionym bohaterem jest sprzedawca telewizorów, Stuart McConchie, który – tak się akurat złożyło – jest Murzynem. W roku 1964, kiedy pisałem *Doktora Bluthgelda*, trzeba było odwagi, by uczynić Murzyna główną postacią książki. Mój Boże, ileż się zmieniło w ostatnich

latach! Ale są to bardzo pozytywne zmiany, z których możemy być dumni. W mojej pierwszej powieści, *Słonecznej loterii*, Murzyn był kapitanem statku kosmicznego – odważnie, jak na książkę, która ukazała się w 1955 roku. Według mnie Stuart jest centralną postacią powieści – zresztą pierwszy się też w niej pojawia. To jego oczami oglądamy pierwszy raz doktora Bluthgelda. Reakcja Stuarta jest prosta – widzi szaleńca i tyle. Bonny Keller, która zna Bluthgelda bliżej, ma na jego temat bardziej złożoną opinię. Szczerze mówiąc, odbieram doktora Bluthgelda podobnie jak Stuart McConchie. Jestem w pewnym sensie Stuartem McConchie i też byłem kiedyś sprzedawcą telewizorów w sklepie przy Shattuck Avenue w Berkeley. Podobnie jak Stuart zamiatałem rano chodnik przed sklepem i przyglądałem się idącym do pracy ładnym dziewczynom. Muszę się więc przyznać, że mam wyjątkowo uproszczony pogląd co do Bluthgelda – nienawidzę go i nienawidzę wszystkiego, co sobą reprezentuje. To on jest obcy i to on jest wrogiem. Nie potrafię zgłębić jego umysłu i nie potrafię zrozumieć, skąd bierze się jego nienawiść. Nie boję się Rosjan, przerażają mnie raczej Bluthgeldowie żyjący w naszym społeczeństwie. Jestem całkowicie pewien, że są świadomi mojego istnienia i że rozpoznaliby mnie, nienawidzili i zrobili ze mną to samo, co ja zrobiłbym z nimi.

„Pierwszy tego dnia świrus, co do tego oparty na miotle Stuart nie miał wątpliwości, sunął ukradkiem, jakby z poczuciem winy, w kierunku gabinetu psychiatrii”.

Tak po raz pierwszy widzimy doktora Bluthgelda – oczami zamiatającego chodnik sprzedawcy. Towarzyszę temu sprzedawcy od początku do końca powieści. Stuart McConchie jest spostrzegawczy i widząc doktora Bluthgelda, w jednej chwili intuicyjnie odgaduje, kim on jest – to coś, czego nie potrafi Bonny Keller, mimo że zna Bluthgelda od lat służbowo i prywatnie. Przyznaję się, że jestem uprzedzony. Myślę jednak, że można mieć zaufanie do pierwszej reakcji człowieka, który zamiata chodnik. Doktor Bluthgeld jest chory, i to tak chory, że zagraża nam wszystkim. Wiele zła, które istnieje na tym świecie, ma źródło w takich ludziach, ponieważ oni istnieją naprawdę.

Być może, pisząc *Doktora Bluthgelda* w 1964 roku, myliłem się często co do przyszłości, lecz kiedy niedawno przeczytałem tę powieść po raz kolejny, poczułem, że jest w niej jakaś podstawowa prawda o człowieku i jego umiejętności przetrwania. Przetrwania nie jako zwierzę, lecz jako istota, która zachowuje się w prawdziwie ludzki sposób. W tej powieści nie występują nadludzie. Nie ma w niej bohaterских czynów. Muszę przyznać, że postawiłem parę beznadziejnych prognoz, lecz jeśli chodzi o samych ludzi, ich siłę, nieustępliwość, żywotność... myślę, że tutaj przewidywałem słusznie. Ponieważ, rzecz jasna, tak naprawdę niczego tutaj nie wymyśliłem, lecz opisywałem tylko to, co się działo wokół mnie – mężczyźni, kobiety, dzieci, zwierzęta, życie na tej planecie takie, jakie było, jest i będzie, niezależnie od tego, co może się stać. Jestem dumny z bohaterów tej powieści. I tak jak powiedziałem, chciałbym być jednym z nich. Zamiatałem kiedyś chodnik na Shattuck Avenue w Berkeley i też, tak jak Stuart, czułem

radość i zadowolenie z pracy, z wykonywanego zajęcia, i podobnie jak on z radością czekałem, co przyniesie przyszłość.

I tak, jak to przedstawiłem w powieści, mimo wojny, do której naprawdę nigdy nie doszło, ta przyszłość jest pomyślna. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł tam z nimi być w ich mikrokosmosie – w powojennym świecie West Marin.